



WYDANIE SPECJALNE NA WIELKANOC – 124 STRONY

„Do Rzeczy” – najbardziej opiniotwórczy tygodnik w Polsce w 2020 r.

TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 13/418 29 MARCA–5 KWIETNIA 2021

RZECZY

PAMFLET PAWŁA LISICKIEGO

Ateiści bezsilni wobec Zmartwychwstania

ZIEMKIEWICZ o katastrofie
po katastrofie smoleńskiej

A CO z bezpodstawnie
oskarżanymi księżmi?

JOANNA SIEDLECKA odnalazła
listy miłosne Cata-Mackiewiczza

ROMAN KLUSKA gorzko
o „dobrej zmianie”

ZYCHOWICZ: sensacyjne zapiski
– jak zdradzono Polskę w 1939 r.

KTO PIERWSZY poleci
na Marsa?

Kup
**KUBEK
TERMICZNY**

za 39,99 zł i odbierz
MAŁĄ KAWĘ
w cafe pŹnkt



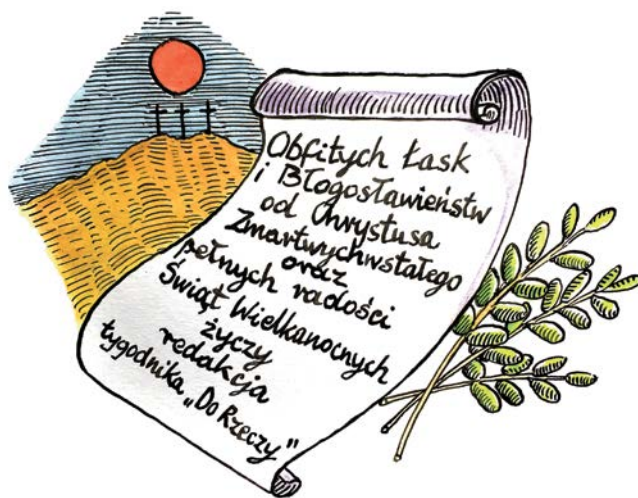
+200 pkt.
navigator



Promocja trwa od 01.03 do 31.05.2021 lub do wyczerpania zapasów kubków.
Szczegóły w regulaminie na lotos.pl

eprasa.pl 8056c630a1

 **LOTOS**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Świąteczko w tunelu

Nie jest dziś łatwo znaleźć dobre informacje. W powodzi doniesień złych i bardzo złych, a wszystkie one związane są z epidemią i reakcjami na nią, udało mi się jednak taką jedną nie najgorszą, a może w ogóle dobrą informację odszukać. Otóż jest całkiem prawdopodobne, że dzięki ostatecznemu rozstrzałowi Fideszu, partii Viktora Orbána, z Europejską Partią Ludową nastąpi zmiana sił w Parlamencie Europejskim. Optymistyczny scenariusz zakłada, że dojdzie do rozszerzenia formuły działania grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, w której po odejściu brytyjskich torysów pozostali praktycznie tylko europosłowie PiS. Do ugrupowania mogliby wejść europosłowie węgierscy z Fideszu i, co byłoby jeszcze lepszym rozwiązaniem, grupa europosłów z Ligi, włoskiego ugrupowania Matteo Salvini. Gdyby tak się stało, to w PE pojawiłaby się trzecia siła polityczna, niewiele mniej liczna niż partia socjaldemokratyczna. Miałoby to swoje ogromne zalety.

Po pierwsze byłyby to znak, że wreszcie różne formacje konserwatywne, w obliczu zagrożenia lewicowo-liberalną dominacją, nauczyły się działać razem. Pojawiłaby się pozycja oparta na trzech filarach PiS-Fidesz-Liga. Zmieniłby się wówczas układ sił: zamiast jak do tej pory stanowić margines, europejscy konserwatyści mogliby odgrywać znacznie większą rolę. Nie chodzi tu tylko o zwiększenie czasu na

przemówienia ani większy udział w komisjach PE, choć to też ważne. Takie ugrupowanie stałoby się też naturalnym punktem oporu, zarówno w sensie intelektualnym, jak i politycznym, dla liberalnej lewicy. Być może zagroziłoby ono pozycji najliczniejszej Europejskiej Partii Ludowej. Kto wie, może uchowali się tam jeszcze jacyś prawdziwi konserwatyści?

Po drugie, a ma to ogromne znaczenie dla Polski, wzmocniona grupa EKR miałaby znacznie więcej do powiedzenia w przypadku obrad i ich przebiegu. Chociaż nadal trzeba się będzie liczyć z szarżami radykałów, którzy będą opowiadać o końcu polskiej demokracji i panującym nad Wisłą autorytaryzmie, to ich głos będzie brzmiał mniej donośnie. Sam fakt, że przeciw będzie występować zorganizowana i liczna grupa polityczna, składająca się również z włoskich europosłów, czynić będzie tę narrację dodatkowo absurdalną.

Po trzecie wreszcie pojawienie się takiej wyrażonej alternatywy, odwołującej się do wartości takich jak suwerenność narodowa, ojczyzna, tradycja zachodnia i chrześcijaństwo, na pewno wzmocniłoby różne antyestablishmentowe ugrupowania w całej Europie i, kto wie, być może w ogóle w przyszłości doprowadziłoby do realnej równowagi w PE. Obecnie bowiem PE występuje w dwóch głównych rolach. Jest, po pierwsze, propagandową szkieletką oraz silną grupą lobbystyczną na rzecz rewolucji genderowej. Stanowi, po drugie, zaplecze dla

europejskiego federalizmu. Parlament to oparcie dla tych, którzy najchętniej pozbyliby się osobnych państw narodowych.

Główną przeszkodą w osiągnięciu porozumienia między europosłami PiS, Fideszu i Ligi może być odmienny stosunek do Rosji. Polscy politycy są pod tym względem znacznie bardziej ostrożni i krytyczni niż Włosi czy Węgrzy. Warszawa wciąż uważa Rosję za największe zagrożenie, dla Włochów i Węgrów jest ona raczej partnerem. Trudno pogodzić te różne wrażliwości. Jednak kto nie podejmuje ryzyka, ten w końcu traci. Obecna sytuacja, skutek praktycznego poddania chadeckiej Europejskiej Partii Ludowej pod mentalną dominację lewicy, sprawia, że polscy prawicowi europosłowie występują wyłącznie w roli chłopca do bicia. Nie ma innego sposobu, by to zmienić, niż połączenie sił. To zaś oznacza zawarcie kompromisu z Węgrami Orbána i w przyszłości z Włochami Salvini. Jeśli chodzi o stosunek do Rosji, to niech każdy postępuje tak, jak uważa za stosowne. Dla polskich, konserwatywnych europosłów na pierwszym miejscu powinna być obrona polskiej tożsamości kulturowej i narodowej, na którą to właśnie najbardziej nastaje Unia w obecnej swojej postaci. PE odgrywa w tym procesie wyjątkowo niechlubną rolę. Nowe ugrupowanie (nieważne, czy pod starą, czy zmienioną nazwą) mogłoby to zmienić. ©©

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ WE WTOREK 6 KWIETNIA



TEMAT TYGODNIA

18 PAWEŁ LISICKI

NIEZNOŚNY SKANDAL ZMARTWYCHWSTANIA

Jak współcześni ateści próbują
zniszczyć wiarę chrześcijan



KRAJ

24 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM

MAMY PĘKAJĄCY OBÓZ WŁADZY ORAZ ZJEDNOCZONĄ OPOZYCJĘ

Pierwszy raz widać polityków opozycji
przy jakiejś pracy

27 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

WYGRANY PUTIN, BUTNY TUSK

30 KAMILA BARANOWSKA

„PISTOLETY” PREZESA

32 TOMASZ ROWIŃSKI

KRZYŻ FAŁSZYWEGO OSKARŻENIA

34 ROZMOWA Z JOHNEM GODSONEM

Z PIERWSZĄ ZAGRANICZNĄ WIZYTĄ PRZYJCHAŁBYM DO POLSKI

KULTURA

38 JERZY MIZIOŁEK

MOC SZTUKI MICHAŁA ANIOŁA

„Pieta” i „Zmartwychwstanie”

40 ELŻBIETA MORAWIEC

SZTANDAR W PSIEJ KUPIE

42 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT

FILMY, KTÓRE NIE POWSTAŁY

49 GRZEGORZ KONDRASIUŁ

POST-APO-SPAGHETTI-SPEKTAKL GRZEGORZA JARZYNY

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 JAN FIEDORCZUK

NIEODZOWNOŚĆ PAŃSTWA NARODOWEGO

Naród, czyli przetrwanie

52 MAREK JUREK

DONOSO, KRASIŃSKI ZZA PIRENEJÓW

HISTORIA

56 PIOTR ZYCHOWICZ

SPISEK PRZECIW POLSCE

Sensacyjne pamiętniki sowieckiego dyplomaty

60 ŁUKASZ CZARNECKI

GANGI ŚREDNIOWIECZNEGO MIASTA

63 JOANNA SIEDLECKA

BEDE CI SŁUŻYŁ JAK WIERNY PIES

ŚWIAT

66 MACIEJ PIECZYŃSKI

W CO WIERZY MOSKWA

Czerwono-brunatny konserwatyzm

69 TERESA STYLIŃSKA

POLITYKA WE KRWI

EKONOMIA

74 ROZMOWA Z ROMANEM KLUSKĄ

STOPNIOWA UTRATA WOLNOŚCI

Im więcej państwo robi za nas, tym niższy
poziom życia

78 ŁUKASZ ZBORALSKI

KRÓL PACZKOMATÓW

80 JACEK PRZYBYLSKI

ZAROBIĆ NA MARSA

DODATEK SPECJALNY

83

GOSPODARCZY CZEMPIONI POLSKI

O ZDROWIU

106 ROZMOWA Z PROF. WALDEMAREM WIERZBĄ

NIE ZOSTAWIAMY PACJENTÓW BEZ POMOCY

Leczenie w czasie pandemii

108 ROZMOWA

Z KS. PROF. STANISŁAWEM DZIEKOŃSKIM

ODNALEŹĆ NADZIEJĘ

DODATEK SPECJALNY

111

MECENAS SPORTU

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Przeżyłam piekło
Hiroszimy.
Wywiad z ocaloną

Piotr Zychowicz – **Gehenna Hiroszimy i Nagasaki**

Piotr Włoczyk – **Kulisy budowy bomby atomowej**

Asbjørn Jaklin – **Polacy pod Narwikiem**

Jacek Bartosiak – **Starcie mocarstw w kosmosie**

Maciej Rosalak – **Brawurowe ucieczki z PRL**

Sławomir Cenckiewicz – **Testament Studnickiego**

Arkadiusz Karbowski – **Czesi na Wołyniu**

Tomasz Stańczyk – **Żydzi w polskich mundurach**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Jacek Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Łukierm, Krzysztof Czapajski, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn,
Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenkowski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Maciej Pieczyński,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkos, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szezech Weiss,
Piotr Wólczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński,
Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Przemysław Harczuk, Paweł Józefowski

Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadarowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa**
Okładka: **DeAgostini/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzący w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Ilona Weiss, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**; tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy nasz adres
e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

Szymek Płacziwy i inni

[...] Podobna mi się formuła nadawania
pseudonimów bohaterom rubryki „Dwaj
panowie G.”. Mam kilka własnych propo-
zycji [...].

*I tak – Szymon Hołownia. Tajemni-
czy, zmienny jak kameleon, stąd i kilka
propozycji:*

1. Szymon I (pierwszy) Płacziwy – nikt
tak nie płakał nad konstytucją jak on!

2. Jako że jest autorem książek, tutaj
dwie propozycje: Król Złodziei – nikt nie
ukradł tylu posłów co Szymek Płacziwy!

*I w odniesieniu do katolicyzmu Szymo-
na – „prorok Hołowniasz”. Mam na myśli
cytaty z Szymona, który jeżdżąc po tym
kraju z promocją swojej książki „Boskie
zwierzęta”, stwierdził był, że każdego
komara i mrówkę Pan Bóg zna po imieniu
i że zwierzęta będą nas sądzić na Sądzie
Ostatecznym. To wyższa szkoła jazdy,
więc myślę, że Szymek został prorokiem
nowego wyznania i od teraz, cytując go,
należy pisać „cytat/czytanie/słuchanie
z proroka Hołowniasza”, żeby oddać cześć
temu wielkiemu człowiekowi, na którego
geniusz jeszcześmy nie gotowi.*

*Mój ulubieniec – Dariusz „Powstaniec”
Joński. Czy trzeba tłumaczyć? Ten młody
lew intelektu, miecz lewicy, zasłynął był
wywiadem, w którym dzielnie walcząc
z patriarchalnym uciskiem martyrolo-
gii polskiej, powiedział, że Powstanie
Warszawskie wybuchło w 1988 r., a stan
wojenny wprowadzono rok później. Medal
mu dać za odwagę w walce z nieludzkim,
wykluczającym systemem edukacyjnym!*

*Teraz będzie tandem, czyli Borysław
„Egon, masz plan?” Budka i Rafcio „Klawo
jak cholera” Czajkowski, co jakiś czas nabie-*

*rający Polaków na kolejne próby zdobycia
poparcia, każdorazowo bez jakiegokolwiek
programu, bez choćby chęci udawania, że
mają cokolwiek do zaoferowania. Idą na
rympał jak Gang Olsena, stąd i ksywy.*

*Dziękuję Państwu za cotygodniową
porcję zdrowego rozsądku w tym zwario-
wanym świecie. [...]*

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Sen o wieżowcach”, Agnieszka Niewińska, „DRz” 10/2021

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł
redaktor Agnieszki Niewińskiej „Sen o wie-
żowcach” opisujący budowlane rekordy
Polski w 10. numerze Waszego poczytnego
tygodnika. Autorka podaje, że do powsta-
nia rekordowo wysokiego Varso Tower
wylano 140 tys. m sześć. betonu z ponad
15 tys. standardowych betonowozów,
które ustawione jeden za drugim rzekomo
miałyby okrążyć kulę ziemską prawie 3,5
razy. Jest to niemożliwe przy obwodzie
Ziemi wynoszącym 40 750 km, gdyż z pro-
stych wyliczeń geometrycznych wynika, że
musiałby być długi na ponad 9 km.

Z poważaniem!
Piotr Kaszowski

Od autorki

W artykule „Sen o wieżowcach” infor-
mację o tym, że betonowozy mogłyby
okrążyć ziemię 3,5 razy, podał przed-
stawiciel inwestora – HB Reavis Poland.
Poprosiłam firmę o wyjaśnienie tej
kwestii. „Przepraszamy, rzeczywiście
w przesłane liczby wkradł się błąd.
15 tys. to liczba standardowych beto-
nowozów, które, ustawione jeden za
drugim, sięgałyby od centrum Warszawy
na przedmieścia Lublina. Chcąc okrążyć
kulę ziemską, potrzebowalibyśmy 4 mln
takich pojazdów” – poinformowało nas
biuro prasowe HB Reavis Poland.

Panu Piotrowi bardzo dziękuję za
uwagą lekturę.

Agnieszka Niewińska

Wyjaśnienie

W ubiegłym numerze „Do Rzeczy” w no-
tatkę poświęconej prezydentowi Francji
pomyliłem nazwisko i zdjęcie – kłopoty
z prawem i wyrok ma były prezydent Ni-
colas Sarkozy, a nie, jak błędnie podałem,
Emmanuel Macron.

Za to niezamierzone wprowadzenie
czytelników w błąd – przepraszam.

Łukasz Zboralski

ale to nie „Babcia Kasia”...
to jakaś Baba Jaga!!!



cc z e r c y 2 4 5 2 5 0 0 2

Kupując kawę Salvatti wspierasz edukację najuboższych dzieci w Afryce.
Kawa SPECIALITY z Rwandy, Kraju Tysiąca Wzgórz.



Zamów na: www.sklep.salvatti.pl

Wpisz kod rabatowy „DORZECZY” – otrzymasz 10% rabatu na wszystkie kawy.

KAWA DOBRA

100%
arabica

skosztuj, rozkoszuj się smakiem i pomagaj innym

Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci



Teresy Majchrzak

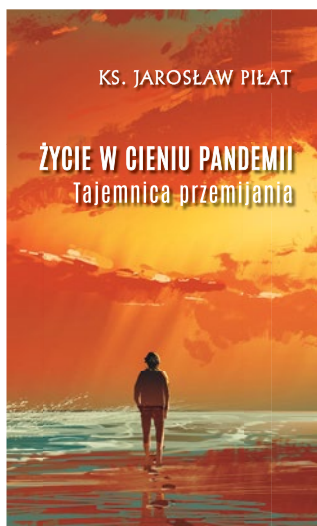
matki dziewiętnastoletniego wówczas
Piotra Majchrzaka,
śmiertelnie pobitego przez ZOMO w czasie
niepodległościowej demonstracji
w Poznaniu w maju 1982 r.

Szczególnym powodem do żalu
jest dla mnie bolesny fakt,
że pomimo trwających wiele lat starań
matka zamordowanego nie doczekała się
sprawiedliwego osądzenia zabójców jej syna.

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

KS. JAROSŁAW PIŁAT

ŻYCIE W CENIU PANDEMII
Tajemnica przemijania



Wydawnictwo
bernardinum
POLECA:

KS. JAROSŁAW PIŁAT
**ŻYCIE W CENIU
PANDEMII**

Aktualny komentarz duchowy do obecnego czasu!

Lektura tej książki niesie –
używając słów św. Franciszka z Asyżu –
światło w mroku, nadzieję w strapieniu,
radość w smutku.

Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o.
tel. +48 58 531 64 81, kom. 662 014 683
www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl; zakupy@bernardinum.com.pl



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

„My, reakcja”

Tym razem, zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – za jego zgodą drukujemy fragment wstępu do jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

To będzie opowieść o świecie ludzi odrzucających marksizm, którym przyszło żyć po wojnie w Polsce pod władzą komunistów. Kieruję tę książkę do młodej generacji, która podjęła pamięć o żołnierzach wyklętych. W ciągu ostatniej dekady polscy historycy wykonali ogromną pracę, aby wydobyć prawdę o zbrojnym podziemiu niepodległościowym z lat 1944–1963.

Ja chcę pójść dalej. Grupa „ludzi wyklętych” w nowym ustroju była znacznie szersza. Pragnę zarysować panoramę społecznego oporu z okresu pierwszej dekady komunistycznego zniewolenia. Ukazać losy niedobitków przedwojennych elit, niepodległościowej inteligencji i pokolenia AK-owskiego. Chcę opowiedzieć o realiach ich życia codziennego w szarzyźnie PRL-u.

Jak dotąd nie było zbyt wiele syntetycznych prób spojrzenia

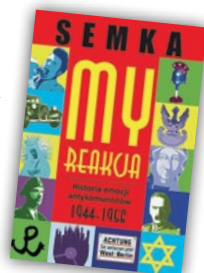
na ten okres z „prawej strony”. W wielu książkach o dziejach PRL-u na pierwszym planie przedstawia się działania komunistów, a ci, których nowe władze uznawały za wrogów, są zazwyczaj tłem dla psychodramy ludzi, których uwiódł komunizm. Widać to bardzo dobrze w rozliczeniowych opowieściach byłych marksistów. Tylko mimochodem, często ogólnikowo i zdawkowo, wspomina się o tych, którzy byli wtedy przez system miażdżeni lub marginalizowani. Ofiary ZMP-owskich nagonek, prześladowani AK-owcy, chłopci, którzy padali ofiarą „szturmowych” wypraw na wieś, zarysowani są jako godne współczucia, ale jednak drugoplanowe postaci wydarzeń lat 40. i 50. minionego stulecia. Dlatego zdecydowałem się napisać opowieść, w której to właśnie »reakcja« będzie na pierwszym planie, to jej wspomnienia będą najważniejsze, jej problemy i dylematy najistotniejsze. [...]

„Ludzie wyklęci” – uznani przez nową, komunistyczną władzę za obywateli drugiej kategorii –

musieli dokonywać setek najróżniejszych wyborów. Zostać w kraju czy przedzierać się na emigrację? Cierpieć nędzę za cenę zachowania godności i nie schylać karku czy robić karierę, ale zdradzać kolegów? Chodzić na

pochody pierwszomajowe czy ich unikać? Po wojnie bezpieczeństwa i propaganda nazywała ich „reakcją”, „wrogami ludu”, „kontrewolucją”, a na wsi „kułakami”. Bardziej oględne było określenie w miastach: „ludzie przedwojenni”, a na prowincji: „ludzie ze złym życiorysem”. Tuż po wojnie pod te stygmatyzujące określenia mógł podpaść każdy, potem już na celowniku władz były tylko pewne grupy, a na koniec zarezerwowano je jedynie dla czynnych antykomunistów z opozycji niepodległościowej. [...]

Chcę opowiedzieć, skąd brały się emocje i jaki był stan wiedzy naszych przodków o sytuacji politycznej w poszczególnych momentach historii. Jakie były ich ograniczenia. Próbować zrozumieć, dlaczego w taki, a nie inny sposób rozwiązywali swoje dylematy. © ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NIEMCY MUSZĄ PRZEPROSIĆ ZA KŁAMSTWA

23 marca w Krakowie zapadł jeden z kluczowych wyroków ostatnich lat. Sąd Apelacyjny w Krakowie orzekł, że producenci miniseriale „Nasze matki, nasi ojcowie”, czyli UFA Fiction oraz ZDF (II program niemieckiej telewizji publicznej), mają przeprosić Światowy Związek Żołnierzy AK za naruszenie dóbr osobistych. Według powodów w miniseriale znalazły się sceny sugerujące antysemicki charakter Armii Krajowej. Z kolei Niemcy przedstawieni są jako ofiary drugiej wojny światowej. Wyrok jest prawomocny.

Jak podał portal Deutsche Welle, telewizja ZDF i studio UFA Fiction rozważają zaskarżenie decyzji polskiego sądu. Stowarzyszenie Patria Nostra zwróciło uwagę, że ten sam krakowski

sąd apelacyjny 22 grudnia 2016 r. w sprawie Karola Tendery przeciw ZDF także nakazał niemieckiej telewizji przeprosiny za obelgę „Auschwitz polskim obozem zagłady”. Wyrok ten już niemal pięć lat czeka na wykonanie na terenie Niemiec. „Szlaban” na jego wykonanie postawił Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe (BGH) w lipcu 2018 r. – Niestety, dopóki wyrok Sądu Najwyższego Niemiec (BGH) obowiązuje, dopóty wszystkie niemieckie sądy – powagą jego autorytetu – będą uchylać się od uznawania na terenie Niemiec wyroków polskich sądów w sprawach o naruszenie dóbr osobistych – podsumowuje mec. Lech Obara, prezes Stowarzyszenia Patria Nostra. (jap) © ©

*Koncert Wielkanocny
Telewizji Republika*
— JOSZKO BRODA Z RODZINĄ —

**4 kwietnia 2021 r.,
o godz. 19:00**
na antenie Telewizji Republika

Spędźmy razem
ten niezapomniany wieczór!

SPONSORZY



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Oddajcie afery!

Trudno powiedzieć, o co chodzi w serialu „afery Obajtka”, którego codzienne odsłony prezentuje „Gazeta Wyborcza” i inne „totalne” media. Od początku sprawa miała niewielki potencjał: prezesa Orlenu oskarżono o to, że jest bogaty i że dorobił się sporego majątku, zanim jeszcze został szefem spółki Skarbu Państwa. Żeby to była afery, wypadałoby znaleźć przesłanki, że wzbogacenie się Obajtka nastąpiło w sposób nieuczciwy. Tymczasem „Wyborcza” tylko zasugerowała, że jeśli ktoś jest taki obrotny, to coś tu musi śmierdzieć, i przeszła gładko do innego wątku: Obajtek bardzo brzydko się wyrażał kiedyś o swoim wuju. Potem napisano, że kiedy był wójtem, wbrew przepisom pracował nadal

w prywatnej spółce, z tym że nie ma na to dowodów, ale są tacy, którzy tak mówią. Potem odkryto, że za czasów Obajtka zmieniono dostawcę parówek sprzedawanych na stacjach benzynowych – na polskiego i w dodatku tańszego, zresztą na firmę jeszcze za rządów PO nagrodzoną przez media dzisiejszej opozycji jakimiś laurami dla wzorowego biznesu. Następnego dnia pękła bomba, że prezes Orlenu jest jednocześnie udziałowcem w firmie sprzedającej foliowe worki, w której pracuje syn byłej premier, wprowadzie na niskim stanowisku, ale za to pod zmienionym nazwiskiem.

Wreszcie odpaliła „Wyborcza” największą sensację: prezes Orlenu był już za rzekome nadużycia na szkodę firmy wujka skazany, ale Sąd Najwyższy uznał ten wyrok

za bezprawny. Problem w tym, że zrobił to sąd pani prezes Gersdorf, na wniosek prokuratora Seremeta, bo wyrok wydany był jedynie na podstawie zeznań miejscowego gangusa, który za te zeznania uzyskał od miejscowego prokuratora nadzwyczajne złagodzenie zarzutów. I tu docieramy do źródła pierwszych publikacji „Wyborczej”, bo i je oparto na słowach i nagraniach tegoż gangusa.

Na koniec, jak po każdej takiej „afery”: „sensacyjny” sondaż Kantaru, że „trendy się odwracają” i PiS zaczyna tracić. Słowem, wszystko dokładnie tak samo jak przy poprzednich „aferych PiS” w „Wyborczej”.

Kiedyś słowo „afery” coś znaczyło. Przynajmniej tyle, że będzie o czym poczytać. Oddajcie nam te czasy! ©©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

W wielką Noc

Co może odnowić katolicyzm w czasach dzisiejszego dramatycznego kryzysu? Nie strukturalne reformy i nawet nie wspinać się na wyżyny humanitaryzmu. Ratunek jest w pierwszym i ostatecznym motywie wiary: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8,32). Prawda spychana często na dalszy plan przez swe wtórne owoce, „wartości dodane” chrześcijaństwa, sprowadzana czasami do płaszczyzny czysto naturalnej: „praw człowieka” czy solidarności narodowej. Do „wartości”, które w czasach wzrostu wywołują zaślepiającą euforię, zmieniającą się w czasach kryzysu w gorzki zawód. „A myśmy się spodziewali”... (Łk 24,21).

Chrześcijaństwo zaprzęgnięte do posługi takich idei w najlepszym razie – nawet jeśli nie zostanie przelicytowane – traktowane będzie jako język przekazu „treści ważniejszych”, używany wobec tych, którzy nie są w stanie takich rewelacji przyjąć bezpośrednio. Chrześcijaństwo tymczasem nie jest ani mitem, ani językiem, ani metaforą; ale nie jest też buddyjską negacją widzialnego świata i wcale nie przekreśla „dodanych wartości”, które rodzi.

Prawda chrześcijaństwa jest w nim samym: w tym, że Chrystus zmartwychwstał, w wiarygodności świadectw, że Grób był pusty. Prawda katolicyzmu to prymat Piotrowy, ustanowiony przez Chrystusa

w Cezarei Filipowej i wykonywany przez ponad 200 kolejnych papieży, przekazujących skumulowane, nieodwołalne świadectwo o Chrystusie i Jego Kościele, i będących – mimo wszelkiej politycznej bezradności i ludzkich słabości – widzialnymi zwornikami powszechności Kościoła. Prawda katolicyzmu to codzienny Cud Eucharystii, Bóg ciągle zstępujący na nasze ołtarze w swym ludzkim ciebie i krwi, niezależnie od wszelkich naszych i cudzych upadków.

To wszystko jest widzialną Prawdą, dla której warto być katolikiem, której nie naruszy najmniejsza ludzka małość. Dla niej warto wierzyć. Ona jest radością niekończącej się młodości wiary. Prawda nas ocali. ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Hajże na „Berluskę”!

W krajach powszechnie uważanych za demokratyczne najbardziej obrzydliwy wymiar sprawiedliwości ma Italia. Od ponad 30 lat dziesiątki umarżanych procesów wytaczanych jest politykom przed wyborami. Naczelną Radą Sędziowską jest siedliskiem korupcji wszelkiej, szczególnie politycznej. Potwierdzają to fakty, policyjne podsłuchy i wyznania

prawicową partią od dwóch lat przewodzącą w sondażach. Gdyby teraz odbyły się wybory, Salvini zostałby premierem. Więc prokuratorzy ruszyli swoim politycznym mocodawcom z odsieczą.

Silvio Berlusconi miał 28 procesów, a pięć dalszych jest w toku. Skazali go w końcu za korupcję, której się nie dopuścił. Potwierdził to jeden z sędziów, który podpisał wyrok. „Berluska” musiał opuścić Senat i przestać zajmować się polityką przez pięć lat. I właśnie o to chodziło. Jednak 84-letni dziś krezus pozbierał się i odwojował część utraconej popularności. W tej chwili politycy Forza Italia zasiadają w rządzie. Partia jest ważnym elementem prawicowej koalicji, jak mówią sondaże, gwarantującym jej zwycięstwo w wyborach.

Co na to prokuratura? Oskarżyła właśnie Berlusconi, że był zleceniodawcą największych mafijnych zamachów bombowych w latach 90. ubiegłego wieku. Oczywiście nikt w to nie wierzy. Zarzuty opierają się na tym, co jeden gangster miał wyznać drugiemu ponad ćwierć wieku temu. Co więcej, te zarzuty, na tej samej podstawie, stawiano Berlusconiemu już czterokrotnie. W czterech procesach uznano, że to bzdury. Można być pięć razy sądzonym za to samo? We Włoszech można. „Berluska” poskarżył się w Luksemburze. TSUE milczy. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

kilku prominentnych sędziów. O konieczności głębokiej rewizji systemu mówi nawet prezydent republiki Sergio Mattarella.

Na razie po sędziach realizujących polityczne zamówienia sływa to jak po kacze. Toczą się procesy przeciw szefowi Ligi, Matteo Salviniemu. Rzekomo szef MSW ubezwłasnowolnił migrantów na pokładzie statków, których nie chciał wpuścić do włoskich portów. Naturalnie chodzi o to, że Liga jest



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Na poniedziałek Środa

Zacznijmy od Środy, Magdaleny Środy, wstrząśniętej i wymieszanej przez Twitter (z błotem, niestety, co robić, co robić, panie). Środzie Magdalenie nie spodobało się, że najlepszy na świecie piłkarz Robert Lewandowski został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. To, że odznaczony, to nic; pani profesor się nie spodobało, że nasz piłkarz śmiał przyjąć ten order od tego prezydenta.

Według kół, kółeczek, kręgów i bezkręgowców od tego prezydenta nic przyjąć nie można, i basta. Pani profesor wydała więc z siebie opinię: „Nie rozumiem złości na pana od kopania piłki (w Niemczech, bo tam głównie kopie) niejakiego Lewandowskiego. Prezydentowi Dudzie kopanie imponuje, mimo że nie odbywa się na stoku, a we wrażliwym państwie, a Lewandowski... coś powyżej kopania nie podskoczy, czasem też wali głową. Oto skutki. Chyba nie pokumał, gdzie był i od kogo odbierał medal, tak jak Duda chyba nie za bardzo kuma, komu je daje, mimo że nie kopie ani nie wali głową w piłkę... w sumie to ciekawe zjawisko, z tym kopaniem i medalami za kopanie, bardzo dziaderskie”. W związku z „dziaderskie” tytułem kronikarskiego obowiązku nadmienię, że pani profesor ma lat 64 (nie wiem, czy się komuś przyda ta informacja).

Generalnie lud, w tym twitterowy, jednak uwielbia Lewandowskiego, a Środa jakby mniej jest też na świecie znana. Było więc sporo brutalnej krytyki w stronę profesorki (jeśli forma niepoprawna, to przepraszam, ale nie nadążam za cis i dżender). Znany dziennikarz nie tylko sportowy Krzysztof Stanowski, którego lapidarne podsumowanie pokochało prawie 4 tys. titerian, w związku z wypowiedzią Środy rzekł na TT: „Pewnie nie wypadła, nawet na pewno nie wypadła, ale coś zrobić, że chciałem od kilku lat napisać i wreszcie nadszedł ten czas: Magdalena Środa jest zwyczajnie głupia”. Uważam, że kwestia czy „zwyczajnie”, czy „niezwyczajnie” jest co najmniej dyskusyjna, ale nie narzucam się, nie otwieram frontu.

W ubiegłym tygodniu było jeszcze sporo o Obajtku. Z mojego subiektywnego punktu widzenia najciekawszy i najbardziej pouczający był wątek, w którym red. Wojciech Wybranowski przeprowadził red. Romana Imielskiego (zastępcę redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”) przez meandry prawa związanego choćby z procedurami umorzenia postępowania. Miło się czytało, polecam. Ciekawe i merytoryczne zastosowanie zasady pewnego nieżywającego biskupa o imieniu Ignacy: „Ucząc, bawić”. ©



BOGATE WNĘTRZE?



FOT. ADAM JANOWSKI/REPORTER

Celebrytka Natalia Siwiec opowiedziała swoim fankom na Instagramie o tym, jak bardzo jest uduchowiona i z czego to wynika. – Od zawsze miałam takie zapędy... mając 13 lat, przeczytałam książkę „Podróże poza ciałem”, a zaraz później „Potęga podświadomości”. Później wszystkie P. Coelho. I nagle... Zawiałam w próżni ego... nadal czytałam, ale nad sobą nie pracowałam. Mimo że nie brakowało mi niby niczego, czułam się jakoś nieznośnie. Jak zaczęłam mieć rosnące życie w brzuchu, zaczęłam bardzo dużo czytać, medytować i skupiać się na swoim wnętrzu – wyznała. To już chyba lepiej, jak Natalia skupia się na tym, co ma na zewnątrz. Tam ma zdecydowanie więcej atutów.

SZCZEPIONKA NA GŁUPOTĘ

Wokalista Andrzej Piaseczny „Piasek”, który trafił do szpitala z powodu COVID, spotkał się z hejtem swojej koleżanki z show-biznesu Violi Kołakowskiej, która zarzuciła mu, że ściemnia. Do tego typu komentarzy postanowił odnieść się lekarz, były główny inspektor sanitarny dr Marek Posobkiewicz, który odwiedził „Piaska” w szpitalu. – Byłem u Andrzeja Piasecznego w szpitalu. Jest rzeczywiście chory, pod wysokimi przepływami tlenu – mówił Wirtualnej Polsce. – Jeśli chodzi o takie komentarze sugerujące, że on udaje chorobę, to mogę powiedzieć tylko tyle: doczekaliśmy się szczepionki na ko-



FOT. PAVEŁ GROMADA

ronawirusa, ale na głupotę jeszcze nie – dodał. Obawiamy się, że nawet gdybyśmy się takowej doczekali, ci, którym jest najbardziej potrzebna, i tak odmówiliby jej przyjęcia. Z głupoty.

KOSMICI SĄ WŚRÓD NAS

Edzia Górniak poinformowała właśnie świat, że istnieje życie pozaziemskie i ona jest o tym święcie przekonana. A nawet więcej, ma nie tylko przekonanie, lecz także wiedzę na ten temat. Wiedzę! – Zawsze czułam, ale nie miałam jakby wiedzy na ten temat, teraz zgłębiłam tę wiedzę i absolutnie nie mam wątpliwości, że w naszej przestrzeni galaktycznej są również cywilizacje wyższe, bardziej rozwinięte od nas i takie, które chcą nas wspierać i bardzo kochają ludzi i są gotowi pomóc. I też inne, które może nie do końca kochają ludzi – stwierdziła. – Na każdym planecie istnieje życie. Jest to wiedza znana od bardzo dawna, ale chroniona, ukryta bardzo, bardzo, bardzo szczelnie przez przynajmniej 40 lat była, głównie przez głowy państw – ujawniła. No proszę, głowy państw ukrywały prawdę przez 40 lat, a wystarczyła jedna tęgą głowa Edzi, by to wszystko zdemaskować! Na koniec okaże się, że sama jest kosmitką. I w to akurat, gwarantujemy, każdy uwierzy.

KOMU ODBIŁA PALMA

Kinga Rusin obruszyła się, że ludzie nie doceniają jej pełnej poświęcenia walki z okropnym rządem PiS, którą to walkę prowadzi ze słonecznej plaży na Malediwach. – Kilku osobom nie spodobało się, że na moim profilu na Instagramie, „pod palmą”, mocno wypowiadam się na tematy polityczne i społeczne. No tak, mogłabym przecież lokować jakiś dramatyczny ciuch, opowiadać bzdety o „rewolucji szczęścia”, walić monochromatyczne fotki 10 razy dziennie albo opowiadać, że wspieram wszystkie kobiety w głębi duszy, ale nie zaryzykuję na głos – oznajmiła Rusin. Po czym wylicza wszystkie swoje zasługi. Między innymi to, że wpłaciła 100 tys. zł na ochronę prawną protestujących w strajkach kobiet, a także że czyni darowizny dla domów samotnej matki i antyprzemocowych niebieskich linii. A wszystko to, jak podkreśla, „by zachęcić ludzi sukcesu do podobnego działania”. – Jeśli te moje działania są odklejone, elitarne i niesmaczne, to... zachęcam do naśladownictwa! – dodała. No więc, ludzie sukcesu, czytaj celebryci, idąc za radą Kingi, rzucili się do naśladownictwa. I jak jeden mąż zaczęli wyjeżdżać na Malediwy i inne Zanzibary. Od czegoś trzeba zacząć. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Centralna Komisja Egzaminacyjna ogłosiła, jaką formę będzie miała od 2023 r. nowa matura z języka polskiego. Otóż młodzież dostanie w cholerę zadań do rozwiązania w 240 minut. Pierwsze to przeliczyć, ile to jest godzin.

4) Analiza i interpretacja treści z taśm Daniela Obajtki.

5) „Jeszcze dwa tygodnie” i „zostań w domu” – jak czas i przestrzeń zmieniają się podczas pandemii?

Jak myślicie, na 30 proc. każdy by napisał?

TW „Justyna”? Czy to wasz syn napisał, ze obłata komuny w 1990?!



c e z a t y c t y s z t o p a

Naszym zdaniem neomatura w tym roku powinna być łatwa i odwoływać się do bieżących wydarzeń. Mamy nawet kilka propozycji tematów:

1) „Pan mówi, sługa słucha”, czyli publiczne wypowiedzi przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia.

2) Rada Medyczna przy premierze – bohater tragiczny czy komiczny?

3) Piękno tkwi w detalu. Co mówią do nas i o nas treści rozporządzeń COVID-owych?

Chciełobyśmy jasno zadeklarować, iż nigdy nie rozważaliśmy przyjęcia, nie chcemy i nie zechcemy przyjąć jakiegokolwiek odznaczenia państwowego z rąk Andrzeja Dudy.

Jednocześnie jest nam wstyd za piłkarza Lewandowskiego, który mimo tego, iż na co dzień żyje w Niemczech i widzi, jak wygląda normalny kraj, postanowił legitymizować tę prezydenturę i zapisał się do obozu Polski ciemnej, wstecznej, konserwatywnej i brzydkiej. Człowiek

z Podkarpacia wyjdzie, ale Podkarpacie z człowieka – nie ma szans.

Osobna kwestia to honorowanie odznaczeniami przedstawiciela takiej prymitywnej dyscypliny jak piłka nożna. To nic innego jak schlebienie masowemu gustowi, iż Polacy wciąż wolą kopanie pęcherza od intelektualnych rozrywek typu scrabble czy rzut młotem.

Wiecie, w takiej Liberii, kraju w Afryce, prezydentem został były piłkarz George Weah. Jak tak patrzymy, co się dzieje, to nabieramy przekonania, iż jeszcze kilka lat i janusze nam wybiorą na prezydenta Lewandowskiego.

Jak się trzymacie po zmianie czasu w tym lockdownie? To strasznie perfidne, nie dość, iż jesteśmy pozamykani w domach, to jeszcze rząd postanowił, iżbyśmy się nie mogli wyspać.

Myśleliśmy, iż ta godzina, która została nam zabrana, będzie z puli godzin przeznaczonych do pracy zdalnej, ale ostatecznie okazało się, iż nadal musimy siedzieć 8 h nad pakietami Internet + telefon.

Staramy się mimo wszystko być dobrej myśli, iż jedna godzina dziennie mniej to po 24 dniach jeden dzień mniej, a więc bliżej do końca lockdownu. Nie pytajcie, jak to wyliczyliśmy, to zaawansowana matematyka, drugi raz byśmy nie powtórzyli tego wzoru. ☺☺

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Papier toaletowy

Adam, cześć, Jacek mówi. Słuchaj, te budowlane markety to jeszcze są czynne?

Czekaj, muszę sprawdzić, bo sam nie pamiętam, co myśmy tam zamknęli tym razem... Nie, sorry, już zamknięte. A co?

Jak to co?! Człowieku, mnie się tu woda leje!

Ale gdzie ci się leje?

Z rury! Rura mi poszła przy kaloryferze, zalewa mnie!

Prześń się drzeć, spokojnie. Fachowca zawołaj.

Za idiotę mnie masz? Fachowiec przyjechał, obok stoi.

No to każ mu zrobić.

Ale co mu mamazać?! Mówi, że tu jakiegoś kolanka potrzeba, a markety zamknęte!

To musisz poczekać, aż otworzymy.

Ale ile mam czekać?!

Nie wiem, tak ze dwa tygodnie minimum.

Pogrzało cię?!

Papier toaletowy masz?

Mam jeszcze kilka rolek. A co? Jaki to ma związek?

To radzę ci szybko dokupić. Drogerie mamy następne na liście. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Morawiecki przedstawił fakty, które powinny uzasadniać jego dymisję, po czym uznał je za powód do ataku na opozycję”

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze



No więc opcja majowa chwilowo wygrywa. Znaczy w PiS. A konkretnie w sprawie terminu ogłoszenia Nowego Polskiego Ładu. Pożyjemy, zobaczymy. Grunt, żeby nie wygrała pandemia.

Wkwestii pandemii: były marszałek Senatu Karczewski pracuje w szpitalu, była wicepremier Jadwiga Emilewicz jest wolontariuszem w punkcie szczepień w Poznaniu. Marszałkissimus Tomasz Grodzki, chępiący się swą medyczną karierą, zajmuje się w tym czasie szczuciem na PiS. Tak tylko przypominamy, bo niektórzy zapominają, że jednak są dwie różne Polski. A nie wspomnieliśmy nawet o pewnym senatorze i wiceministrze ZP, który – jeszcze przed pandemią – jako zwykły lekarz pracował w karecie.

Jeszcze o pandemii. W rządzie zmarł. Nazywa się prof. Horban. Narasta bowiem przeświadczenie, że najlepiej byłoby mu wydać zakaz występowania w mediach, bo co nie chlapnie, to się trzeba z tego tłumaczyć. Sprawy zaszły już tak daleko, że nawet ci, którzy rekomendowali Horbana jako głównego doradcę rządu ds. COVID-19, twierdzą dziś, że nie znają sprawy i nigdy nie słyszeli o takim człowieku.

Zfrontu walki o nową frakcję w europarlamencie. Na spotkaniu w tej sprawie szeregowego wicepremiera Kaczyńskiego z europosłami polskimi była rekordowa frekwencja. Kaczyński SWP surowo oceniał dotychczasowe działania EKR i domagał się „nowej dynamiki”. Włącznie z założeniem nowej konserwatywnej frakcji. Zatem oś Rzym-Warszawa-Budapeszt, znaczy Salvini-PiS-Orbán, coraz bliżej. Grupa profesorska wśród europejów jest

jednak wstrzemięźliwa. Za to Jaki – entuzjastycznie nastawiony.

Zżycia elit Eine Totalopposition. Miejsce akcji: Lotnisko Chopina. Czas akcji: początek minionego tygodnia. O ciężkim życiu pod jarzmem reżimu PiS rozmawiają światli Europejczycy: europoseł Radek Sikorski oraz europoseł Leszek Miller. Smutną dyskusję puentuje europoseł Miller, mówiąc: – Nie o taką Polskę walczyliśmy, panie europośle!

Zajmujemy się ostatnio ciekawą lekturą. Dotyczy ona mecenasa zwanego Koniem. Otóż czytamy po kolei: akty notarialne, zeznania PIT, oświadczenia majątkowe, umowy darowizn, umowy sprzedaży, porównanie dochodów z inwestycjami... A nie, przepraszamy bardzo, nie możemy się zajmować taką lekturą. Gdyż w odróżnieniu od Daniela Obajtka mecenas Koń niczego nie ujawnił. Upraszamy więc „GazWyb” o szczerze oburzenie z tego powodu.

Tymczasem na mieście rozkwita podziemie. Wszystko przez TVN, gdzie zabroniono pracownikom utrzymywania relacji z innymi pracownikami. Zrozpaczone stadła o kilkuletnim czasem stażu są w szoku. Znamy nawet stadła z dziećmi – i co oni teraz mają zrobić? Paranoja i lęk przed donosicielami narastają. Apelujemy o pomoc dla nieszczęśliwych par. TVP wzywamy do wyprodukowania dramatu „Kochankowie z Wiertniczej”. To będzie mocniejsze niż „Romeo i Julia”.

Podziemie działa także na lewicy. Szczególnie w okolicy Robika Biedronia. Po fatalnym pechu, znaczy odejściu posłanki Moniki Pawłowskiej do Gowina, do exodusu szykują się jeszcze trzy inne osoobosoby (używamy takiego określenia w ramach poprawności płciowo-politycznej). Niekoniecznie do Gowina. Bardzo nas ubawiło to, co usłyszeliśmy od jednej z osoobosób na temat Robika Biedronia: „Robert Lepper”.

Już wyjaśniamy: wstrętni złośliwcy bez krzty szacunku dla swojego szefa powracają tymi krzywdzącymi słowami do sytuacji sprzed paru tygodni, kiedy to pającącego w europarlamencie Biedronia przegoniono z mównicy, bo zamiast wygłaszać wystąpienie, stał z tabliczką: „Free media”. Poprzednim polskim politykiem, któremu wyłącono mikrofon (tyle że na

Na mieście rozkwita podziemie. Wszystko przez TVN, gdzie zabroniono pracownikom utrzymywania relacji z innymi pracownikami

sesji w Strasburgu), był właśnie Andrzej Lepper, naonczas lider Samoobrony.

Àpropos transferów: okienko wiosenne otworzyło się na dobre. Są i tacy, którzy zamiast z Lewicy uciekać, chcą do niej przystąpić. Ledwie Borysławowi uciekło parę szabel do Szymona, a już po słowie, tyle że z Władimirem Sweterkowiczem Czarzastym, są przedstawiciele Partii Zielonych. Więc opuszczają Koalicję Łobywatską. Zawsze mówiliśmy, że nie tylko w Niemczech zieloni to arbuzy. Z wierzchu zieloni, w środku czerwoni.

Pary z TVN muszą się ukrywać, a na Wiejskiej nowa para właśnie się ujawniła. To przedstawiciele najmłodszego pokolenia posłów: Kamil Bortniczuk z Porozumienia i Łukasz Mejza z Peezelu. Dominującą stroną jest bardziej doświadczony Bortniczuk. Mejza jest posłem raptem drugi tydzień. Objął bowiem mandat po zmarłej Jolancie Fedak. Żeby nie było podejrzeń – panowie nie mają inklinacji homo. Wiewiórki doniosły nam o ich wspólnej nocnej eskapadzie po stolicy. Miała ona jak najbardziej charakter hetero.

Mejza dopiero się otrząskuje w Warszawie, ale ma duży potencjał, a na pewno ambicje. Do Sejmu dostał się dzięki chłopom, ale raczej przy nich nie wytrwa. Jednoznacznie wysłała sygnały, że jest zainteresowany przejściem do obozu władzy. Tyle że minimum jego oczekiwań to posada wiceministra. Resort jest mu obojętny.

Na koniec element humorystyczny, tym razem sportowy. Były premier i były mąż Isabel, niejaki Kazik Marcinkiewicz, wychodzi na ring bokserki. I weźmie udział w walce na gali charytatywnej jakoś na początku czerwca w hotelu Marriott. Mamy nadzieję, że Isabel napisze o tym wiersz. Kto wie, może zatytułowany „Moje sparingi z Kazimierzem”? ©©



FOT. ROBERT CAROZINSKI



Łączymy różańcem

Głosimy duchową moc różańca i nowenny pompejańskiej. Także i Ty odkryj tę siłę z „**Królową Różańca Świętego**” – nowoczesnym czasopismem osadzonym w tradycyjnej duchowości Maryjnej. Pogłębiaj swoją wiarę i więź z Maryją oraz z różańcową rodziną. Bo różaniec łączy!

„Królowa Różańca Świętego”

Prenumerata roczna z wysyłką: tylko 30 zł!

Zawiera sześć wydań dwumiesięcznika z dostawą do Twojego domu. Zamów na stronie www.rosemaria.pl albo na stronie czasopisma: www.krolowa.pl



Wydanie specjalne PDF!

Pobierz bezpłatne wydanie ze strony www.krolowa.pl/pdf lub kodem QR

Idźcie do Józefa!

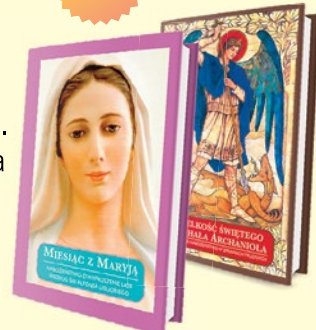
W 2021 r., ogłoszonym przez papieża Franciszka **Rokiem św. Józefa**, podejmij duchowe wyzwanie. Odpraw 31-dniowe nabożeństwo do św. Józefa, które jest doskonałą okazją do poznania tego Świętego, zawierzenia mu siebie i swoich spraw. Przekonaj się, jak potężnym jest on orędownikiem. Ta książka, napisana przez bł. Bartola Longo, stała się pierwowzorem innych nabożeństw do św. Józefa.

Nabożeństwa miesięczne

W serii ukazały się: *** Miesiąc ku czci św. Józefa** *** Miesiąc z Maryją** *** Wielkość św. Michała Archanioła**. Każdy dzień nabożeństwa to lektura o świętym, zadanie i modlitwa. *Dostępne w oprawie miękkiej, twardej ze wstążeczką oraz jako audiobook na CD.*



19⁹⁰ zł



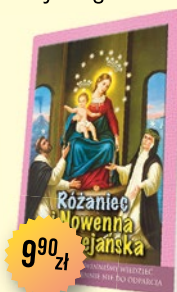
Biblioteczka pompejańska

W drugiej połowie XIX w. w Pompejach, tuż obok wykopalisk starożytnego miasta rozpoczęła się niezwykła misja bł. Bartola Longo. Ten był antyklerykał i spirytysta rozpoczął budowę sanktuarium Królowej Różańca Świętego, które wkrótce stało się sławne na całym świecie. Opowiadają o tym książki i filmy, wydane we współpracy z Sanktuarium w Pompejach.

- * Bartolo Longo. Od kapłana szatana do apostoła różańca** (M. Woś) opowieść biograficzna o życiu autora nowenny pompejańskiej.
- * Cuda i łaski Królowej Różańca Świętego w Pompejach** (B. Longo) historia Sanktuarium i cudownego obrazu pompejańskiego, objawienia i cuda Maryi w Pompejach.

- * Matka Boża Pompejańska ratuje dzieci więźniów** (B. Longo) historie ratowania rodzin skazańców.
- * Najpiękniejsze świadectwa nowenny pompejańskiej** – wybrane świadectwa z Wielkiej Księgi Łask Nowenny Pompejańskiej.
- * Różaniec i nowenna pompejańska** modlitewnik, poradniki i rozważania.

- * DVD „Tajemnica nowenny pompejańskiej”** trzy filmy dokumentalne (1. nagroda Festiwal Filmów Katolickich Niepokalana).
- * DVD „Bartolo Longo”** dwa filmy o bł. Bartolo Longo: fabularny i dokumentalny.



9⁹⁰ zł



25 zł



34⁹⁰ zł

- * Historia sanktuarium w Pompejach. Boska epopeja** (B. Longo) ta pasjonująca opowieść przedstawia niezwykłą historię świątyni w Pompejach i kształtowania się nowego Miasta Miłości.
- * Bartolo Longo. Miłosierdzie, które zmienia historię** (A. Illibato) biografia bł. Bartola Longo, człowieka Maryi, apostoła różańca i Bożego Miłosierdzia. To doskonałe uzupełnienie **Historii sanktuarium**.
- * Nabożeństwo dwudziestu sobót** (B. Longo) niezwykle bogate w treść rozważania różańcowe oraz nieprzebrane pokłady inspiracji do modlitwy różańcowej, do których odwoływał się Jan Paweł II w **Liście o różańcu**.

19⁹⁰ zł



Wysyłka GRATIS dla zamówień od 150 zł

Jak złożyć zamówienie?

Wybierz jedną z trzech możliwości:

- 1) telefonicznie: 61-86-87-345 lub 720-123-183
- 2) przez internet: na stronie www.rosemaria.pl
- 3) przez e-mail: napisz na sprzedaz@rosemaria.pl

WYDAWNICTWO ROSEMARIA



LOTOS wspiera piłkę nożną i stawia na rozwój młodych zawodników

Grupa LOTOS to ceniony mecenas polskiego sportu. Logo gdańskiego koncernu znajdzie kibice skoków narciarskich, tenisa czy koszykówki. Od wielu lat LOTOS jest także sponsorem najpopularniejszej dyscypliny w naszym kraju, czyli piłki nożnej. Oprócz wsparcia kadry narodowej spółka inwestuje w programy dla młodych zawodników, którzy w przyszłości chcieliby zostać gwiazdami futbolu

Grupa LOTOS z zaangażowaniem realizuje politykę społecznie odpowiedzialnego biznesu i wspiera różne inicjatywy istotne dla społeczeństwa. Finansuje rozwój sportu, kultury i sztuki, wspiera także akcje z zakresu promocji zdrowia, ochrony środowiska oraz edukacji. Jednak dziedziną, w której najlepiej widać zaangażowanie sponsoringowe firmy, jest sport. Podkreślają to liczne nagrody i wyróżnienia. Spółkę doceniono m.in. w raporcie Sponsor Monitor ARC Rynek i Opinia, który umieścił ją w ścisłej czołówce najbardziej znanych sponsorów wydarzeń sportowych. Koncern zdobył także statuetkę DEMES w kategoriach

Sponsor Sportu oraz Kampania Marketingowa. Zaangażowanie Grupy LOTOS we wsparcie polskiego sportu stanowi prawie 90 proc. całego nakładu firmy na sponsoring.

ULUBIONA PIŁKA NOŻNA

Polscy piłkarze przodują w rankingach popularności. Piłka nożna to bez wątpienia sport narodowy, który nie tylko dostarcza fanom największych emocji, lecz także regularnie jednoczy wszystkich Polaków, co świetnie wyraża motto PZPN: „Łączy nas piłka”. Kibice uwielbiają takich sportowców jak Robert Lewandowski, który zaliczany jest do najbardziej wpływowych ludzi sportu.



Grupa LOTOS od wielu lat wspiera rozwój tej najpopularniejszej dyscypliny sportowej w naszym kraju – jest sponsorem kadry narodowej i olimpijskiej. Współpraca z Polskim Związkiem Piłki Nożnej będzie trwała minimum do końca 2022 r. Oznacza to, że gdański koncern – w zależności od sytuacji związanej z pandemią koronawirusa – będzie razem z Biało-Czerwonymi podczas przełożonych turniejów mistrzostw Europy czy w trakcie rywalizacji w Lidze Narodów, a także w drodze do mistrzostw świata 2022 w Katarze. Ponadto LOTOS jest głównym sponsorem reprezentacji Polski U-21, a także sponsorem reprezentacji Polski kobiet.

– LOTOS to ważny mecenas polskiego sportu. Angażujemy się w różne dyscypliny, od lat pozostając głównym sponsorem reprezentacji Polski w piłce nożnej. Chcemy wspólnie kibicować Biało-Czerwonym i pomagać im w osiąganiu sukcesów międzynarodowych. Jako jedna z największych polskich firm chcemy dzielić się naszym kapitałem i wspierać to, co dla Polaków ważne – mówi Zofia Paryła, prezes zarządu Grupy LOTOS.

ROZWÓJ MŁODYCH TALENTÓW

LOTOS patrzy szerzej na rozwój piłki nożnej. Inwestuje środki w programy kierowane także do młodych amatorów tego sportu i wspiera rozwój talentów, które w przyszłości mogą pomóc polskiej reprezentacji w osiąganiu kolejnych sukcesów. Współpraca koncernu z Polskim Związkiem Piłki Nożnej nie ogranicza się więc tylko do wsparcia drużyn narodowych. Zaangażowanie w sponsoring sportowy LOTOS rozszerza o inicjatywy kierowane do młodzieży. Ten kierunek przynosi efekty i sprawdził się już m.in. w programach realizowanych z młodymi narciarzami, którzy przygodę ze sportem zaczęli w ramach Narodowego Programu Rozwoju Skoków Narciarskich i Kombinacji Norweskiej „LOTOS Szukamy Następców Mistrza”. Dzisiaj są najbardziej utytułowanymi sportowcami, stanowiącymi trzon narodowej reprezentacji w skokach narciarskich.

Podobne ambicje gdański koncern ma w związku z programami kierowanymi

do młodych piłkarzy. Grupa LOTOS jest współautorem programu „Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM”, której adresatami są chłopcy i dziewczęta pragnący rozwijać piłkarską karierę. Obecnie działa już niemal 20 ośrodków w sześciu województwach (pomorskim, warmińsko-mazurskim, podlaskim, zachodniopomorskim, śląskim oraz podkarpackim), gdzie pod okiem ponad 120 profesjonalnych trenerów kształcą się ponad 3,5 tys. młodych piłkarzy. Program funkcjonuje od 2012 r. Swoim patronatem objęły go Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu oraz Polski Związek Piłki Nożnej. Inicjatywa pełni także rolę wychowawczą – kładzie nacisk na budowanie ducha patriotyzmu młodych zawodników, a także promuje uczciwość i przestrzeganie zasad fair play.

Podobnie jak w przypadku innych programów „Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM” służy znalezieniu nowych talentów, a także umożliwieniu młodzieży amatorskiego uprawiania tego sportu dzięki prowadzonym na najwyższym poziomie treningom, wyposażeniu w odpowiedni sprzęt, a także wyjazdom na obozy i stypendia sportowe. Młodzi, utalentowani sportowcy mogą kontynuować rozwój umiejętności w Akademii Piłkarskiej LG. Potem mogą trafić nawet do młodzieżowej reprezentacji Polski.

Inicjatywę wspiera znany były piłkarz i trener reprezentacji Polski – Paweł Janas, który jest koordynatorem programu.

Do ubiegłego roku w ramach programu tylko w Gdańsku działał klub kobiecy, który rok po roku rósł w siłę, czego zwieńczeniem był awans zespołu senierek Akademii Piłkarskiej LOTOS Gdańsk do rozgrywek ekstraklasy kobiet. W ubiegłym roku na mapie programu „Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM” pojawił się więc kolejny damski ośrodek – Ladies Football Academy Szczecin.

– Wspieramy sport dwutorowo: poprzez pomoc zawodowcom i otwieranie szans tym, którzy dopiero rozpoczynają przygodę ze sportem. Młodzież to nasz największy kapitał. Program „Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM” jest doceniany przez zawodników i ich rodziców, a także przez trenerów piłki nożnej. Inicjatywa ta rozwija się i z programu regionalnego sta-

je się ogólnopolskim. Na przestrzeni lat wielu zawodników dostało powołania zarówno do młodzieżowej, jak i seniorskiej reprezentacji Polski. Pokazujemy więc, że marzenia naprawdę mogą się spełnić – dodaje Zofia Paryła, prezes zarządu Grupy LOTOS.

Oprócz programu „Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM” gdański koncern organizuje także Dziecięcą Eskortę. To inicjatywa umożliwiająca młodym fanom futbolu wprowadzenie na boisko swoich idoli. To niezwykła szansa, aby najmłodszy mogli poczuć się wyjątkowo, towarzysząc gwiazdom, które zazwyczaj podziwiają jedynie na ekranach telewizorów lub z trybun.

Oprócz piłki nożnej Grupa LOTOS wspiera także inne dyscypliny sportowe. Jest także sponsorem Polskiego Związku Narciarskiego, Polskiego Związku Tenisowego i Akademickiego Związku Sportowego. Ponadto LOTOS dostarcza rajdowych emocji i wspiera najlepszego polskiego kierowcę rajdowego Kajetana Kajetanowicza. Angażuje się także w rozwój polskiej koszykówki. Wśród projektów, które finansuje LOTOS, jest także wsparcie sportowców indywidualnych „Nadzieje Olimpijskie” w takich dyscyplinach jak kajakarstwo, żeglarstwo, pływanie, windsurfing, łyżwiarstwo figurowe.



Nieznośny skandal

Zmartwychwstania



Paweł Lisicki

Jak współcześni ateści próbują zniszczyć wiarę chrześcijan

Najważniejszym wyzwaniem dla racjonalistów, którzy chcą obalić chrześcijaństwo, jest kluczowy problem: Co zrobić z doniesieniami o zmartwychwstaniu? Dla ewangelistów zmartwychwstanie jest ostatecznym potwierdzeniem słuszności posłania Jezusa, pieczęcią, rozstrzygającym i kluczowym dowodem na to, że słowa i czyny Jezusa były dziełem Bożym, że Jezus nie działał na zlecenie Beliala, księcia ciemności, nie zwodził ludu Izraela, nie był hochsztaplerem, fałszywym prorokiem, czarownikiem ani magiem, ale prawdziwym Synem Bożym, umiłowanym, jedynym Synem Ojca, prawdziwym Bogiem z Boga. Dla racjonalistów z tego samego powodu zmartwychwstanie nie mogło się dokonać. Nie są w stanie jednak zaprzeczyć, że w Nowym Testamencie o nim się mówi. Muszą zatem znaleźć dla niego inne wytłumaczenie.

POWÓD DO ZGORSZENIA

Sprawa zmartwychwstania jest zatem z samej natury rzeczy problemem skuteczności metody racjonalistycznej redukcji. Można się bowiem spierać o to, czy w czasach Jezusa ludziom można było przypisywać cześć boską czy nie; można się kłócić

o to, kiedy i w jakim środowisku powstały ewangelie; można się zastanawiać, czy w tamtych czasach obdarzona niezwykleymi charyzmatami osoba mogła uzdrawiać czy nie – i czy, biorąc pod uwagę różnicę w wiedzy medycznej, mogła wskrzeszać. Ale przecież, i tu się zgadzamy wszyscy, tym rozstrzygającym zdarzeniem, które kłóci się z całą naturalną wiedzą o świecie, było właśnie powstanie Chrystusa z martwych w tym samym ciele, w którym został pochowany trzy dni wcześniej w taki sposób, że choć ciało zostało przemienione i nabrało niezwykleych właściwości, to przecież nigdzie już w całym świecie nie można było znaleźć jego najmniejszej części. A Ten, który został pochowany i pogrzebany, ten sam Chrystus, nie duch, nie zjawa, nie widmo, po śmierci przyszedł do swoich uczniów, dał się im widzieć, rozmawiał z nimi, jadł z nimi, pozwolił, by nawet jeden z nich włożył do Jego ran swoje palce, a potem jakby nigdy nic przyszedł przez zamknięte drzwi i oddalił się. Oto jest prawdziwy skandal. Oto powód do zgorszenia. Oto moment, w którym rozum krytyczny musi zaprotestować, wykrzyczeć najgłośniejszą, jak może, swoje „nie”.

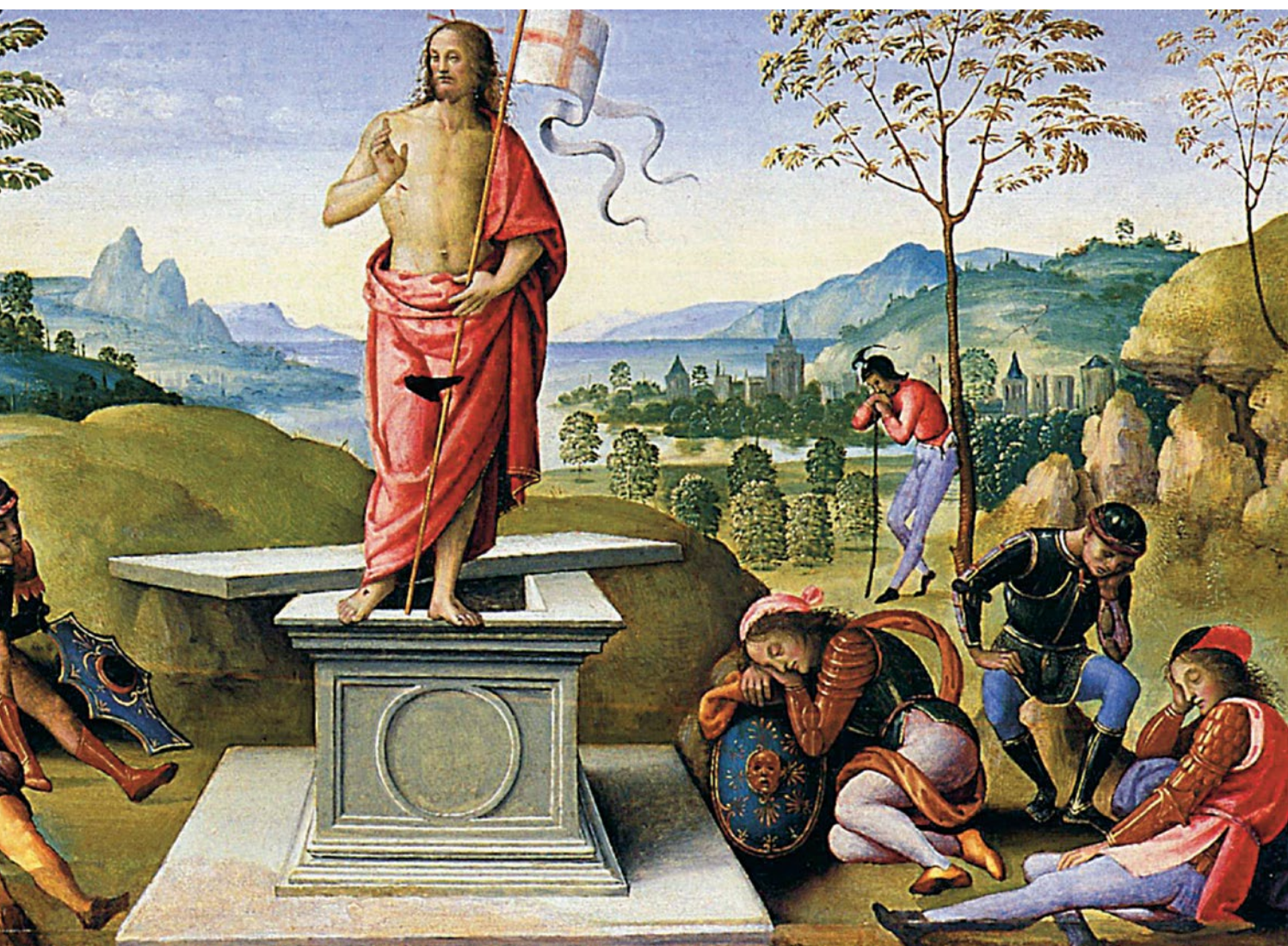
Dlatego od co najmniej końca XVII w., od Spinozy i Tolanda, a później już regularnie od Reimarus a całą krytyką racjonalistyczną obiera za cel właśnie zmartwychwstanie. Różne były próby jego wyjaśnienia. Reimarus jako pierwszy zaproponował teorię, zgodnie z którą Jezusa z grobu wykradli uczniowie. Inni twierdzili, że Jezus pozornie tylko umarł na krzyżu, następnie zaś w grobie odzyskał świadomość. Najwy-



Pietro Perugino „Zmartwychwstanie Chrystusa” FOT. DOMENA PUBLICZNA

rażniej nie bardzo umieli się oni pogodzić z wizją uczniów jako skrajnie cynicznych, do szpiku kości zepsutych potworów, którzy to najpierw kradną zwłoki, potem opowiadają, że widzieli Jezusa, a potem umierają w męczarniach, zaspokajając swoją potrzebę masochizmu – rozkoszy znoszenia cierpienia, i sadyzm – mściwą myśl, że inni naiwni dali się nabrać i będą cierpieć podobnie. Z tego punktu widzenia teoria późnego ocucenia była mimo wszystko bardziej rozsądna. Jej zwolennicy dzielą się na tych, którzy sądzą, że wszystko zostało z góry ukartowane przez uczniów, i na tych, którzy uważają, że Jezus sam się obudził i dopiero potem poszedł do swoich wyznawców.

Obie próby są równie niedorzeczne jak opowieść o wykradnięciu zwłok. Dzisiaj nie mają one praktycznie sympatyków



(poza niektórymi niemieckimi profesorami, którzy z nauką solidnością są w stanie udowodnić wszystko, jak zrobił to jeszcze w 2019 r. Johannes Fried, do niedawna przewodniczący niemieckiego stowarzyszenia historyków). Gdyby uczniowie wyprowadzili z grobu Jezusa poranionego, ledwo żywego, ofiarę męczarni, niewolnika oderwanego od krzyża – to jak mieliby zaraz potem głosić, że jest On Chrystusem i Panem? To samo stosuje się zresztą do teorii, zgodnie z którą Jezus po wielu godzinach męczarni, bicia, tortur i umierania na krzyżu wstał sobie z łóża śmierci, odepchnął kamień nagrobny i radośnie podążył przywitać uczniów, ci zaś zapewne wyprawili Go w dalszą podróż (może do Indii albo na Marsa) i ogłosili, że jest Synem Bożym. Nic dziwnego, że teorie te, właśnie ze względu na swoją absurdal-

ność, miały krótki żywot i zostały odrzucone nawet przez najbardziej zacieklej racjonalistów, takich jak David Friedrich Strauss. Nawet radykalni krytycy, jeśli chcą zdobyć uznanie, nie mogą przekraczać pewnych granic szaleństwa. Chociaż granice te wciąż się przesuwają i jestem w stanie sobie wyobrazić, że w obecnej atmosferze narastającej wrogości wobec chrześcijaństwa nawet odrzucone wcześniej teorie o wykradnięciu zwłok powrócą. Spodziewam się również, że wkrótce przełomowe dzieło na ten temat opublikuje jeden z profesorów ważnych uniwersytetów. Poczekamy, zobaczymy.

NIEBEZPIECZNY ZABOBON

Współcześni ateści próbują radzić sobie z tym wyzwaniem w inny sposób. Nim ktoś tchnie nowe życie w stare

truchło teorii kradzieży bądź ocucenia, muszą się zadowalać innymi hipotezami. Pierwszym problemem, który muszą rozwiązać, są ewangeliczne doniesienia o pustym grobie. Pustego grobu być nie może, twierdzą zatem, po prostu nie może, a kto uważa inaczej, ten otwiera drogę do niebezpiecznego zabobonu. Dzięki temu, że grób nie był pusty, że nikt o nim nie słyszał ani nie wiedział, można dokonać zamachu na zmartwychwstanie. Już nie opierać się na nieco przestarzałej teorii wykradnięcia zwłok lub ocucenia Jezusa – faktycznie, nieco to trąci naftaliną – ale w prawdziwie nowoczesny sposób, zgodnie z wymaganiami XXI w., ogłosić, iż „niektórzy wcześnie chrześcijanie wierzyli, że Jezus powstał z martwych w duchu, ale jego ciało uległo rozpadowi” – jak to robi słynny amerykański biblista, Bart Ehr-



■ man, profesor Uniwersytetu Północnej Karoliny, prawdziwa międzynarodowa gwiazda racjonalistycznego myślenia.

Racjoniści nie mogą zanegować wiary chrześcijan jako faktu historycznego. Muszą ją tylko wybebeszyć z treści. Nikomu nie przeszkadza, że słowa te są wierutną bzdurą: w żydowskim kręgu kulturowym, inaczej niż wśród pogan, powstanie z martwych musiało mieć charakter cielesny. Nie było czegoś takiego jak „wiara, że Jezus powstał z martwych w duchu” i jednocześnie, że „jego ciało uległo rozpadowi”. Te dwa zdania dla umysłowości żydowskiej są wewnętrznie sprzeczne. Brzmiały tak, jakby ktoś powiedział, że widział człowieka, który miał głowę konia, cztery nogi i ogon.

Tę różnicę doskonale wychwycił Łukasz w Dziejach Apostolskich, kiedy ledwo Paweł w Atenach zaczął mówić o powstaniu z martwych, natychmiast wywołał niechętną reakcję zgromadzonych Hellenów. „Nie biorąc pod uwagę czasów nieświadomości, żywa Bóg teraz wszędzie i wszystkich ludzi do nawrócenia, dlatego że wyznaczył dzień, kiedy to sprawiedliwie będzie sądzić świat przez Człowieka, którego na to przeznaczył, po uwierzytelnieniu Go wobec wszystkich przez wskrzeszenie Go z martwych». Gdy usłyszeli o zmartwychwstaniu, jedni się wyśmiewali, a inni powiedzieli: »Posłuchamy cię o tym innym razem«” (Dz 17, 30–32). Jaka szkoda, że wobec Ateńczyków na Areopagu nie przemawiał Ehrman, który wyjaśniłby im, że mówiąc o „wskrzeszeniu z martwych”, Paweł miał na myśli znany przecież Grekom i wielu innym, przynajmniej od czasów Platona i Pitagorasa, przyjmowany pogląd o życiu duszy po śmierci. Szkoda, że zamiast Pawła nie pojawił się wtedy na areopagu jeden z licznych dziś ateistów racjonalistów i nie mówił im, że mówiąc o zmartwychwstaniu, ma na myśli to, iż ciało Jezusa uległo rozpadowi, ale Jego duch został z nimi. Wtedy zapewne Grecy by nie odeszli. Albo może odeszliby z innego powodu. Już nie dlatego, że opowieści o cielesnym zmartwychwstaniu wydać się im musiały grubym barbarzyństwem, ale dlatego, że uznaliby, iż Paweł nic ciekawego do powiedzenia nie ma. Stwierdziliby: „Czyli jesteś jednym z wyznawców Platona... Dlaczego nie wspomniłeś o tym od razu?”. Szkoda również, że sam Paweł nie potrafił im tego wytłumaczyć i powiedzieć, że on o żadnym pustym grobie nie ma pojęcia, że mówiąc o wskrzeszeniu, ma na myśli to, iż zwłoki Jezusa zgniły w grobie, ale za to Jego Duch radośnie sobie hasa.

Żarty na bok – pokazują jedynie, do jakich niedorzeczności musi prowadzić rozumowanie ateistów. Ale cóż, na tym polega racjonalizm. Jak powiedziałem, choćby świat miał się zachwiać w posadach, racjonalista nie może dopuścić do połączenia tych dwóch zdarzeń – pustego grobu i pokazania się Jezusa w tym samym czasie tuż po śmierci.

NAJPIERW BYŁ WIZJE

Co się tyczy tej kwestii, Ehrman idzie drogą wytyczoną niestety przez teologów chrześcijańskich, a coraz częściej, choć to bardzo smutne, także katolickich. Niektórzy z nich, choćby Edward Schillebeeckx, już w latach 70. XX w. ogłosili, że cielesnego, fizycznego powstania z martwych nie było i że wiara w pusty grób to przeszłość, przeżytek, reszka magii i zabobonów. „Powinienem podkreślić, że to wizje, i nic innego było tym, co doprowadziło pierwszych uczniów do uwierzenia w zmartwychwstanie” – to jest akurat cytaty z amerykańskiego agnostyka, ale dokładnie oddaje sposób myślenia wielu katolickich teologów, że o liberalnych protestantach nie wspomnę.

Rosnąca liczba zwolenników tego poglądu pokazuje, jak powoli, systematycznie upada rozum, a jego miejsce zajmuje uparta, zbuntowana wola odrzucenia Boga. Wizje, cokolwiek miał na myśli Ehrman, nie mogły bowiem doprowadzić uczniów Jezusa do wiary w zmartwychwstanie. Byli to bowiem ludzie praktyczni i rozumni, nie zaś bujające w chmurach pięknoduchy, nowożytni postmoderniści, wyćwiczeni w dialektyce nominaliści. Przede wszystkim byli to Żydzi, którzy wierzyli w ostateczne powstanie z martwych w cielesny sposób, a nie tylko w istnienie duszy po śmierci. To drugie przekonanie nikogo by nie poruszyło. To drugie było w świecie pogańskim czymś powszechnym. To drugie również obecne było w żydowskiej wierze – dusze nie zniknęły, nie rozproszyły się, przebywały w Szeolu, oczekując na powstanie w ciałach do życia u kresu czasów. Jednak mówić Żydom w Jerozolimie lub w Galilei,

że Jezus powstał z martwych, było tym samym, co mówić, że dokonało się to w cielesny sposób, że ciało Jego nie uległo rozpadowi, że opuściło grób. To był właśnie krzykący w niebo skandal. To był powód represji i wrogości. Pusty grób był pieczęcią prawdziwości opowiadania o zmartwychwstaniu. Nie ma pustego grobu, nie może być wiary w zmartwychwstanie.

Cały wysiłek myśli racjonalistycznej zmierza ku temu, żeby odwrócić przyczynę i skutek: trzeba oderwać pojawienie się Jezusa od znalezienia pustego grobu. Trzeba czytać teksty wbrew logice i wbrew nim samym. To się nie mogło stać, więc się nie stało. „Opowieści o pustym grobie pojawiły się później – po tym, jak już istniało credo zawarte w 1 Kor 15, 3–5, i po tym, jak powstały inne pisma Pawła” (lok. 2754). Znowu musi uderzać elementarny brak logiki. Przecież głoszenie zmartwychwstałego Chrystusa było stałą, podstawową wręcz częścią nauczania Pawła. Zmartwychwstały Chrystus to treść jego Ewangelii, którą znajdziemy we wszystkich, bezsprzecznie napisanych przez Pawła listach. W tej sprawie Paweł jedynie przekazywał to, co otrzymał – podzielaną przez Piotra, Jana i Jakuba, filary Kościoła, wiarę. Wszyscy oni byli Żydami i dla nich wszystkich powstać z martwych oznaczało powstać w cielesny sposób, opuścić grób. A więc w jaki to niby sposób przez te wszystkie lata żydowskie chrześcijanie mieli nie słyszeć nic o pustym grobie i dowiedzieć się o nim dopiero od jakiegoś żyjącego w Rzymie Marka? Ponad 30 lat biedacy czekali, aż im ktoś powie o pustym grobie, bo oni nic o takim grobie nie słyszeli. Grecy z powodu ich wiary w powstanie z martwych ich wyśmiewali, a oni przecież wcale takiej wiary nie mieli, tyle że zapomnieli o tym powiedzieć. A może się wstydzili? Kto to wie? Kiedy słyszę takie wywody, różne słowa cisną mi się na usta, ale wiem, rozumiem, papier zniszczy wszystko. Po zostaniemy więc przy tym: nonsens.

HALUCYNACJE NA ODSIECZ

Kiedy czyta się dalsze wywody uznanego biblisty, słowo „nonsens” naprawdę okazuje się zbyt słabe i łagodne. Otóż okazuje się, że owe spotkania z Jezusem, owe ukazania się to nie było nic innego, jak tylko... halucynacje. „Wizje były, zapewne, wywołane w sensie psychologicznym lub neurofizjologicznym”. Kto wie, czy nie chodziło o to, że apostołowie czegoś

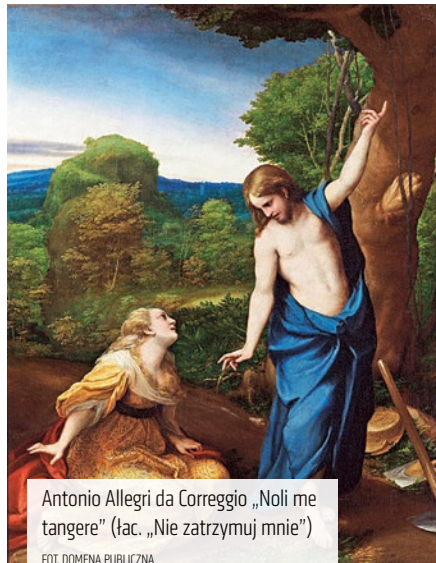
Racjoniści nie mogą zanegować wiary chrześcijan jako faktu historycznego. Muszą ją tylko wybebeszyć z treści



nieodpowiedniego się nawąchali albo zjedli jakąś tajemniczą, nieznaną odmianę halucynogennego grzyba? Wiem, kpię, nie powinienem. Ale nie mogę się powstrzymać, bo amerykański autor wszystko to pisze na poważnie. On w to wierzy! Nie może uwierzyć w to, że Bóg wskrzesił Chrystusa z martwych – rozumiem. Ale jak może opowiadać o tym, że przyczyną wiary apostołów były halucynacje? Żeby nie było, że to, co nam tu przedstawia, to tylko intelektualny chłam, muszą się, jakżeby inaczej, pojawić naukowcy i właściwy naukowy żargon, który pomoże strawić to, czym nas Ehrman faszeruje. Otóż halucynacje to „zmysłowe wrażenie, które ma przymuszający charakter taki jak prawdziwe wrażenie, ale do którego dochodzi bez zewnętrznego pobudzenia odpowiedniego organu zmysłowego”. Mówiąc zwykłym językiem: halucynacja to iluzja albo złudzenie, kiedy to bierzemy za rzeczywiste to, co takim nie jest. Wygląda na to, że tak się właśnie sprawy mają z życiem Jezusa po śmierci – uczniom wydało się, że Go widzą, więc Go zobaczyli. Tęsknili za Nim i Go zobaczyli. Nie sprawdzili, czy spoczywa w grobie, bo to ich nie interesowało; żyli duchem.

PIERWSI WINNI

Zdaniem Amerykanina pierwszymi, którzy mieli te halucynogenne wizje, byli Piotr, Paweł i Maria Magdalena, chociaż pod tym względem autor wykazuje się prawdziwą szczodroblowością – wizjonerów, którzy spotkali ducha Jezusa, miało być pewnie więcej. Zobaczyli i usłyszeli Jezusa, a następnie powiedzieli o tym innym. A potem poszło gładko: „Większość z najbliższych uczniów uwierzyła im i doszła do wniosku, że Jezus został wskrzeszony z martwych”. Na wszelki wypadek nie poszli do grobu sprawdzić, bo to oznaczałoby brak wiary i zaufania do Piotra. Skoro im powiedział, że widział, to najwyraźniej widział i oni też uwierzyli. Oszołomiony czytelnik zapewne chciałby wiedzieć, czy podobne przypadki zbiorowych halucynacji są udokumentowane. Czy znamy z okresu starożytnego jakieś inne przykłady zbiorowych wizji zmarłych, których uznaje się za żywych? Przecież gdyby przyjąć wyjaśnienia racjonalistów za dobrą monetę, to w przekazach historycznych powinno się wręcz roić od zmartwychwstałych Jezusów, Jakubów, Andrzejów. Powinno ich być na pęczki. A tu, ot, przykro to powiedzieć, cisza. A tu, jakby to ująć, wielka, totalna, bezbrzeżna cisza. Jeden Apoloniusz z Tiany niby mógł



Antonio Allegri da Correggio „Noli me tangere” (łac. „Nie zatrzymuj mnie”)
FOT. DOMENA PUBLICZNA

wystąpić w tej roli pogańskiego Chrystusa, ale i on nie bardzo.

Na szczęście jest też dobra informacja. Amerykański autor nie pozostawia nas samych na pastwę wątpliwości. Uff, jest coś, co można uznać za uzasadnienie. A mianowicie mamy do dyspozycji raporty współczesnych psychologów, którzy opisują, jak ich pacjenci opowiadają o wizjach zmarłych bliskich. Uwagę biblisty szczególnie przykuł jeden raport, w którym mówi się o tym, że „3300 osób twierdziło, iż miało kontakt z ukochanymi zmarłymi, i w swoich publikacjach przedstawiły one liczne raporty z takich spotkań”. On to naprawdę pisze i sądząc po informacjach od wydawców, ktoś to czyta i w to wierzy. Szkoda, że Ehrman nie informuje nas, czy chociaż jedna z tych osób, które twierdzą, że miały kontakt z osobą zmarłą, twierdzi, że owa osoba nie zmarła, lecz żyje w ciele. I co na ten temat mówią psychologowie? Obawiam się, że uporczywe obstawanie przy tym, iż ktoś, kto zmarł, żyje w ciele, a nie w postaci zjawy, snu, majaku, przywidzenia, jest jednak – nawet w naszych czasach przyzwolenia na każdą ekspresję – uważane za chorobę i poddawane leczeniu.

Jakkolwiek by jednak było, to, co przedstawił Ehrman, to jedynie dowód na to, że niektórzy ludzie spotykają dusze zmarłych, a nie na to, że wierzą, iż ci zmarli żyją nadal w ciele. To absolutnie zasadnicza różnica: spotkać zmarłego, mieć jego wizję, dostrzec, że się z nim obcuje jako zmarłym po śmierci, i ogłosić, że ten zmarły żyje, że pokonał śmierć. Ba, to jest istota rzeczy. Żeby mieć halucynacje i doświadczyć obecności zmarłego, czy to z powodu żalu, czy tęsknoty, czy bólu, trzeba najpierw doświadczyć jego śmierci i wiedzieć, że ten żywy obraz odnosi

się już do człowieka zmarłego. Inaczej każdego roku halucynacje i wizje zmarłych powinny generować kolejne Kościoły wyznawców, którzy by zaludnili świat innymi zmartwychwstałymi. Doprawdy, gdyby nie dotyczyło to sprawy poważnej, a taką jest kwestia wiary, można by się nieźle bawić. „Te doświadczenia [spotkań ze zmarłymi] często wydarzają się bezpośrednio po śmierci osoby – ale czasem dochodzi do nich po roku, po trzech latach, po dziesięciu lub jeszcze później” (lok. 2909). Ehrman chce nas tu przekonać do tego, że wizje Jezusa przypominały halucynacje, że to, o czym opowiadają dziś pacjenci psychologom, to inna wersja zjawień i objawień z Nowego Testamentu.

NIEGASNĄCA TĘSKNOTA

Jak wielu innych, również Amerykanin postanawia nieco dokładniej opisać, jak do powstania tych widzeń doszło. „Wielce ukochany nauczyciel uczniów – ten, dla którego wyrzekli się wszystkiego i któremu poświęcili swoje życie – nagle został im brutalnie odebrany, publicznie upokorzony, umęczony i ukrzyżowany”. Uczniowie odczuwali z tego powodu wyrzuty sumienia, mieli poczucie, że nie stanęli na wysokości zadania. Zaczęli tęsknić za spotkaniem z Nim. Chcieli się zrehabilitować w Jego oczach. I oto tak się stało. Ich zapłakane oczy ujrzaly Go, ich bijące serca podskoczyły radośnie. Wystarczyło uwierzyć, że jest i był. Widzieli Go, przychodził do nich. „Głęboko byli poruszeni jego obecnością i odczuwali jego przebaczenie”. Wiara w zmartwychwstanie zrodziła się właśnie z tego nieczystego sumienia, z potrzeby kompensacji, z halucynacji i odwiedzin zmarłego. Jednak – jak tłumaczy Ehrman – uwaga, to wszystko jest na poważnie – „byli oni Żydami apokaliptycznymi i wierzyli, że życie po śmierci pociąga za sobą zmartwychwstanie umarłych. Gdy mieli doświadczenie Jezusa po tym, jak był umarł, naturalnie rozumieli jego nowe życie w świetle swych własnych, głęboko żywionych przekonań. Cieleśnie powstał z martwych”. Naprawdę nieźle. Autorowi nie przeszkadza nawet to, że gdyby jego rekonstrukcja była prawdziwa, to przekonani o cieleśnym zmartwychwstaniu Mistrza uczniowie poszliby sprawdzić jego grób nieco wcześniej niż po 35 latach.

Podobnie nie zauważa, że żaden ze znanych nam z historii Żydów nie wierzył w to, iż zmartwychwstanie może się dokonać w środku czasów, a nie u ich kresu. Owszem, niektórzy wierzyli w możliwość wskrzeszenia zmarłych do życia, ale



■ przecież nie na tym polegała wiara chrześcijan. Jezus zmartwychwstał raz na zawsze, a nie powrócił do życia, by umrzeć jak młodzieniec z Nain, córka Jaira czy Łazarz. Po prostu podobna wiara do tej, z jaką spotykamy się w pismach chrześcijan, nie była znana ani wcześniej, ani później w stosunku do żadnej innej osoby! Żaden Żyd, tym bardziej apokaliptyczny, nie był aż tak szalony jak współcześni racjonałści, by uwierzyć, że Jezus, którego widziano przybitego do krzyża i pochowanego, nagle żyje, powstał cielesnie z martwych, ale... Jego ciało leży w grobie, a On żyje, ale jako zjawy. I dla tego doświadczenia Żydzi gotowi byli umrzeć, bo niestety nie potrafili odróżnić zjawy od rzeczywistości – chociaż może i umieli, ale nie potrafili o tym powiedzieć. Biedacy, że też tyle musieli potem wycierpieć. Ale dzięki temu mogli znaleźć ujście dla swojego żalu. Zniknęły wyrzuty sumienia. Zniknęło poczucie rozczarowania. Jezus żył. Ale nie tylko żył. Jak na zjawę prowadził całkiem krzepkie i rześkie życie. „Uczniowie, wiedząc zarówno, że Jezus powstał z martwych i że już go nie ma wśród nich, wyciągnęli wniosek, że został wyniesiony na niebiosa”. Nie wiem dlaczego? Właściwie mogli przecież przyjąć, że pojechał z wycieczką do Chin albo – skoro pozostajemy w sferach niezemskich – że podróżuje po Hadesie. Ależ nie, zapomniałem o prawie kompensacji. Uczniowie mieli wyrzuty, że opuścili Jezusa, więc żeby Mu to teraz wynagrodzić, wsadzili Go na boski tron obok Boga i zaczęli Mu oddawać cześć. Nie sprawdzili się za życia Mistrza, którego opuścili w chwili próby, więc teraz postanowili dać z siebie wszystko. Tak mocno się w to zaangażowali, że w pewnym momencie już sami uwierzyli, iż wszystko to dzieje się naprawdę. Zresztą, można odnieść wrażenie, że w ich umysłach, umysłach apokaliptycznych Żydów, podział na jawę i ułudę się nie dokonał. Żyli duchem i radością.

Powtarzam, najbardziej zdumiewa mnie to, że amerykański autor najwyraźniej sam wierzy w to, co napisał – mimo że są to tezy absurdalne w każdym tego słowa znaczeniu. Ani ludzka psychologia tak nie działa, ani Żydzi, niech będzie, że apokaliptyczni, tak nie wierzyli. Jednak dzięki tej genealogii zmartwychwstania Ehrman odpowiadał, jak sądził, na swoje podstawowe pytanie o powstanie wiary w boskość Jezusa. „Początkowo myślano, że Jezus został wyniesiony tylko podczas zmartwychwstania; gdy chrześcijanie zaczęli głębiej się nad tym się zastana-

wiać, zaczęli myśleć, że musiał być Synem Bożym podczas całej swojej misji, że stał się Synem Bożym podczas chrztu; kiedy zaczęli zastanawiać się jeszcze intensywniej, doszli do przekonania, że musiał być Synem Bożym podczas całego swego życia i że był narodzony z Dziewicy, i że w tym sensie był (dosłownie) Synem Bożym; i kiedy o tym myśleli jeszcze dłużej, zrozumieli, że musiał być Synem Bożym, nawet zanim pojawił się na świecie – i tak ogłosili, że był boskim, przeegzystującym bytem”. Oto do czego prowadzi nieprzewidywana wiara. Cała wiara chrześcijańska ma zatem wynikać z wyrzutów sumienia i próby kompensacji. Łatwo zauważyć, jak pokazałem to już wiele razy, że opowieść ta ma się nijak do wszystkiego, co wiemy na podstawie historii.

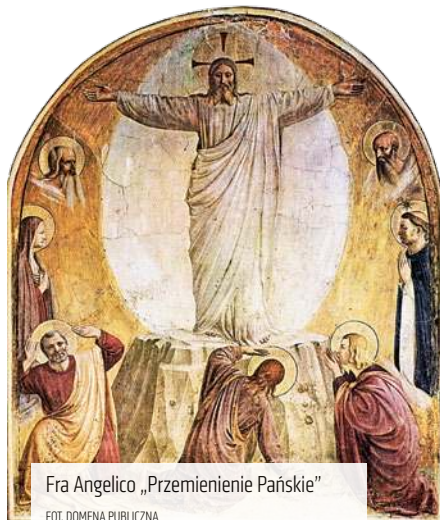
Wynikać z tego musi zresztą, że również pamięć historyczna o Jezusie, to, jakim naprawdę był, uległa całkowitej mutacji, została poddana operacji, która miała nadać Jego życiu pozór cudowności i boskości. Stąd pojawiły się opowieści o cudach, uzdrowieniach, wskrzeszeniach: skoro już uczniowie wcześniej uwierzyli, że Jezus powstał z martwych, to teraz musieli do tej wiary dostosować swoją pamięć. Z Jezusa Żyda apokaliptycznego musieli stworzyć Syna Bożego. Oczywiście na końcu całej tej historii docieramy do kolejnego nonsensu: okazuje się, że jedy-nymi, co prawdziwe, były śmierć Mistrza, zdrada uczniów i pragnienie rehabilitacji. To ono pchnęło ich do przyjęcia wiary w to, że zjawy jest żywym Jezusem, a następnie do odpowiedniego przekształcenia pamięci o Jego życiu. Wszystko to razem, przypominam, nie są opowieści z domu wariatów, ale zapiski, refleksje,

tezy uznanego profesora historii biblijnej, który zresztą, jakkolwiek by było, uchodzi za guru współczesnych racjonalistów i ateistów. Nie zauważa on, że wizja, którą przedstawia, mogłaby opisywać działanie jakiejś zamkniętej w domu szaleńców sekty, ale nie życie wspólnoty chrześcijańskich, które wciąż stykały się ze światem zewnętrznym. Pamięć o Jezusie, jeśli miała zostać przyjęta, musiała być wiarygodna. Tymczasem portret psychologiczny, jaki powstaje w oparciu o rekonstrukcję Ehrmana, zakłada, że chodzi o ludzi pozbawionych zdolności odróżniania rzeczywistości od złudy, lunatyków poddanych nieustannemu praniu mózgu, odrzucających rozum, a w końcu ludzi, którzy z masochistycznym zaangażowaniem idą na śmierć, byle tylko nie stracić fałszywego, kompensującego ich słabości przekonania, że Jezus żyje. Jest to obraz sekty szaleńców i dziwaków, którzy wprowadzili się Żydami, ale tak bardzo ulegli chęci wynagrodzenia Mistrzowi za słabość, że zrównali Go ze swym Bogiem. Najkrócej: nie jest to żadna racjonalna teoria, ale hucpiarstwo.

NIEMIECKI GURU

Wiem, wielu moje opinie mogą się wydać przesadne. Pojawia się na pewno głosy, że znalazłem sobie ofiarę w postaci Barta Ehrmana i wyżywam się na nim, a ściślej – na jego teorii powstania wiary w zmartwychwstanie. Może faktycznie nie jest ona, co zauważą bardziej zdroworozsądkowo nastawieni czytelnicy, wolna od wad, ale niemożliwe, żeby nie było innych naukowych sposobów rozwiązania tego problemu. W porządku, niech wystąpią inni świadkowie oskarżenia. Jak mówi Pismo, potrzeba dwóch albo trzech świadków. Dlatego teraz przywołam drugiego obok Ehrmana (powtarzam, autora cenionego i uznanego za autorytet), równie głośnego, a w swoim czasie nawet głośniejszego głosiciela racjonalnej krytyki chrześcijaństwa. Mam na myśli Gerda Lüdemanna, profesora historii Nowego Testamentu z Getyngi.

Podobnie jak inni krytycy przyjmuje on, że wiara w zmartwychwstanie wzięła się ze zbiorowego zauroczenia, z halucynacji. „Trzeba przyjąć, że »pokazanie się więcej niż pięciuset braciom naraz« było przypadkiem masowej ekstazy, która wydarzyła się we wczesnym okresie życia wspólnoty”. Jak do tego doszło? Prosto (jak wszystkie odpowiedzi ateistów, tak i ta musi być pro-



Fra Angelico „Przemienienie Pańskie”

FOT. DOMENA PUBLICZNA



sta). Być może komuś się wydało, że widzi Jezusa, a reszta uległa zbiorowej histerii. No bo skoro ktoś miał widzenie, to inni bali się to podważać, nieprawdą? A skoro się bali, to sami też zobaczyli, żeby widzącemu nie było smutno. W ten sposób wystarczyło – tłumaczy nam to człowiek, który mieni się racjonalistą – żeby choć jeden był nieczłowiekiem Jezusa zobaczył zjawę, a reszta posłusznie podążyła za nim.



Lüdemann przeciwstawia opowieść o zjawieniu się Jezusa Tradycji, która mówi o pustym grobie – ta jest późniejsza i służy temu, by skutecznie odierać zarzuty. „Dowody zdecydowanie wskazują na to, że Galilea była miejscem pierwotnych wizji”. Oznacza to, konsekwentnie, że wiara w zmartwychwstanie narodziła się całkiem niezależnie od istnienia bądź nie pustego grobu, który musiał się znajdować w Jerozolimie. Skoro tak, to uczniowie mogli przyjąć wiarę, nie wiedząc, czy grób był pusty. Jeśli jednak w grobie znajdowały się zwłoki, a wiara mimo to mogła się zrodzić, to najprawdopodobniej wiara jest od zwłok niezależna. To zaś oznacza, że dla wiary zawartość grobu nie miała znaczenia. A to z kolei oznacza, że buja ona sobie radośnie w obłokach, że jest halucynacją, wizją, doświadczeniem. Z tego też wynika, że albo w grobie leżało rozkładające się ciało Jezusa, albo nikt nie wiedział, gdzie grób się znajdował, albo wreszcie że grób był niepotrzebny, bo – jak ustalił John Dominic Crossan, inny specjalista redukcjonista – przybite do krzyża zwłoki Jezusa zostały zjedzone przez psy i innych padlinożerców.

MECHANIZM SAMOOSZUSTWA

Konsekwencją musi być całkowite pożegnanie się z chrześcijaństwem. Pozostaje ono formą ulotnego, psychologicznego doznania. Wszystko zatem, co zostało przekazane jako zapis faktów, musi być ostatecznie fałszerstwem, wymysłem, konstrukcją, manipulacją. Cała wiara w zmartwychwstanie, kamień węgielny Kościoła i chrześcijaństwa, opiera się zdaniem Lüdemanna na dwóch ekstatycznych wizjach – Piotra i Pawła. Pod tym względem znowu nic nie różni opinii Lüdemanna i Ehrmana. Jeden i drugi konstruują z niczego, wyłącznie odwołując się do taniej, płaskiej wizji natury ludzkich potrzeb, rzekome

halucynacje. I tak zdaniem Niemca świat Piotra legł w gruzach w Wielki Piątek, a w Wielką Niedzielę się odrodził. Niemal kubek w kubek Lüdemann powtarza to samo co Ehrman: Piotr żałował tego, co się stało; żeby zrozumieć, co przeżywał, należy odwołać się do opisu „innych żałobników, z których wielu doświadcza widzenia ukochanych zmarłych osób”. Mamy zatem wytłumaczenie:

dramatyczne poczucie straty, poznanie własnej winy, wyrzuty sumienia, wszystko to przygotowuje grunt do „spotkania” z Jezusem.

Piotr bardzo tego potrzebował. Po tym, co się stało, nie mógł siebie znieść, nie mógł pogodzić się z własnym upadkiem, z klęską Mistrza. Wizja Zmartwychwstałego była formą kompensacji. „Wskutek dokonania śmiałego, choć nieświadomego skoku Piotr wkroczył do świata swoich życzeń. W rezultacie »zobaczył« Jezusa i doprowadził do tego, by również »inni« uczniowie go zobaczyli” (lok. 1814). Podobny pseudopsychodeliczny bełkot ma tłumaczyć nawrócenie Pawła. Otóż prześladowając Chrystusa i chrześcijan, miał on rzekomo odczuwać coraz większą siłę przyciągania chrześcijaństwa. Nienawiść i fascynacja przeplatały się nawzajem, aż wreszcie górę wzięła podświadomość ta druga: to głoszenie przez chrześcijan miłosierdzia pchnęło Pawła w ich ramiona, podświadome pragnienie uznania i docenienia przez ofiary zwyciężyło (lok. 1882).

Paweł nie potrafił zaakceptować oporu i dlatego sam uległ tym, których prześladował. Wszystkie te wyniki i wnioskowania wzięte są z niczego, nie mają żadnego oparcia w tekstach, nie można dla nich znaleźć ani jednej historycznej analogii. Ważne, że mają wykazać mechanizm samooszustwa: zarówno Piotr, jak i Paweł nie potrafili znieść sytuacji, w jakiej się znaleźli, i podświadomie pra-

gnęli ucieczki z niej. Wytworzyli zatem, każdy osobno, wizję zmartwychwstałego Chrystusa, dzięki czemu przezwyciężyli swój wewnętrzny kryzys.

PRZECIW LUDZKIEJ GODNOŚCI

Ta hipoteza musi być prawdziwa, bo przecież wiadomo, że Chrystus nie powstał z martwych i nie mógł wyjść z grobu. Podobnie nie mógł zasiąść na niebiańskim tronie i królować tam w otoczeniu aniołów, bo „nasza wiedza o wszechświecie nie dopuszcza takiego obrazu niebios”. Wniosek, jaki płynie z tych wszystkich rozważań, jest jednoznaczny: „Jeśli poważnie traktujemy naturę poznania historycznego i naszą własną ludzką godność, nie możemy już pozostać chrześcijanami. Ponieważ Jezus nie powstał z martwych, ci, którzy tym nie mniej nadal przypisują mu ten przestarzały tytuł zmartwychwstałego, oszukują samych siebie”. Nic dodać, nic ująć. Jedyne, co może zaskakiwać, to dlaczego pod cirosami tej krytyki, która, nie wiadomo dlaczego, chce uchodzić za rozumową, tak łatwo i tak często pada wiara chrześcijan? Jest tylko jedno wytłumaczenie: najwyraźniej już wcześniej była ona podkopana przez zwątpienie i poszukiwania kompromisowych formuł rozumienia zmartwychwstania. Osłabiona wiara nie wytrzymała razów ateistów i zapadła się w niebyt.

Jezus zniknął kompletnie: może On być co najwyżej projekcją uczuć i emocji uczniów. Wizja ateistów jest czymś przerażającym. Zgodnie z nią chrześcijaństwo staje się formą zorganizowanego samooszustwa, a historyczny Jezus ofiarą swoich niewiernych uczniów i pierwszego prześladowcy, który próbował nieudolnie tłumić swoje prawdziwe pragnienia, aż wzięły nad nim górę, co doprowadziło do dziejowej katastrofy, jaką było pojawienie się religii Chrystusa. Od początku zatem mamy do czynienia z ruchem oszustów i propagandystów. Być może jedyne, co ich usprawiedliwia, to fakt, że swoje kłamstwa szerzyli nieświadomie. Czy to jednak przemawia za tym, by tolerować chrześcijaństwo? Czy nie należałoby go całkiem wyrugować? Nowi ateści udzielają na te pytania jednoznacznej odpowiedzi. Dla chrześcijaństwa we współczesnym świecie miejsca być nie może.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wizja ateistów jest czymś przerażającym. Zgodnie z nią chrześcijaństwo staje się formą zorganizowanego samooszustwa

Tekst powstał na podstawie fragmentów książki „Kto fałszuje Jezusa? Odpowiedź na oskarżenia współczesnych ateistów”, która ukazała się nakładem krakowskiego wydawnictwa Esprit.



KRAJ



Z Józefem Orłem, filozofem,
byłym posłem, twórcą Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

Mamy pękający obóz władzy oraz zjednoczoną opozycję



KAROL GAC: W jakim miejscu znajduje się dziś Zjednoczona Prawica?

JÓZEF ORZEŁ: Kryzysowym.

Dlaczego?

Kiedy w 2015 r. obejmowała władzę, to Jarosław Kaczyński i inni politycy mówili, że wyznaczają sobie zadanie przekształcenia państwa w bardziej skuteczne, przyjazne i lepiej zorganizowane. Minęło pięć lat, a państwo jest, jakie było.

Niewiele wyszło z rekonstrukcji rządu. Zlikwidowano trzy resorty zamiast zapowiadanej połowy oraz (formalnie) bardzo potrzebne Ministerstwo Cyfryzacji, zamiast podnieść jego rangę. To jeden z najważniejszych resortów do zmiany państwa i społeczeństwa w nowoczesne. Modernizacja państwa to warunek jakichkolwiek trwałych zmian. Jeśli nie zabrano się za to w 2015 r., to teraz trudno mieć na to nadzieję. Reformy trzeba robić na samym początku sprawowania władzy, bo potem wchodzi się w tryby biurokratycznej mordęgi.

Dodatkowo w koalicji nieustannie zgrzyta.

Po wyborach w 2019 r. Porozumienie i Solidarna Polska znacznie zwiększyły stan posiadania w Sejmie, co wykorzystały do umacniania siebie kosztem PiS. Do tego dochodzi słaby sposób radzenia sobie z epidemią. Rozmawiamy tuż przed szczytem trzeciej fali. Jeśli pójdzie źle, to w ciągu kilku dni będzie 30 tys. zakażeń, a to oznacza – co widać po liczbie zajętych łóżek i respiratorów – że będzie zapaść służby zdrowia.

Następny minus to utrata wytrwałości rządzenia i myślenie o sobie, a nie o państwie. To typowe dla drugiej kadencji, ale na ogół ma to miejsce później, gdy politycy zaczynają się bać, że wyborów nie da się wygrać, i patrzą, w jaki sposób urządzić sobie życie. To także jest związane z budowaniem imperiów przez partię Gowina i Ziobry.

Pierwszy sygnał, to był wynik wyborów parlamentarnych. Wewnątrz PiS mówiło się głośno o tym, że utrata Senatu nie wynikała z siły opozycji, ale z tego, że kilku kandydatom nie chciało się pracować. Zresztą to samo wydarzyło się w Sejmie. I mamy tego efekty.

Czy Zjednoczona Prawica jest jeszcze sterowana? Jesienią do rządu wszedł Jarosław Kaczyński, co miało uspokoić emocje, a tymczasem widać, jak procesy erozji postępują.

PiS ma przywódcę, który z wieloma kryzysami dawał już sobie radę. Do tego jest wspierany przez premiera, administrację państwową i aparat partyjny, który nigdy nie kwestionował jego przywództwa

Procesy postępują, ale opozycja po raz pierwszy dostrzegła szansę na pokonanie PiS przed konstytucyjnym terminem wyborów. Wcześniej była nakierowana na jeden typ narracji – antypis: PiS jest zły, więc my jesteśmy dobrzy. Bez żadnego programu. Teraz też go nie ma, ale opozycja dostrzegła wyrwy w obozie władzy i zakłada tam miny, by rozwalić tę konstrukcję.

Na przykład?

To, co teraz się dzieje ze sprawą Daniela Obajtka, pokazuje, że opozycja postanowiła kontynuować tę sprawę do oporu. Wymyślają nowe środki walki i widać ich innowacyjność. Dariusz Joński i Michał Szczerba jeżdżą po kraju i przeprowadzają kontrole m.in. szpitali tymczasowych. Pierwszy raz widać polityków opozycji przy jakiejś pracy, i to konsekwentnej oraz długoterminowej. Wybory na prezydenta Rzeszowa pokazują, że mamy pękający obóz władzy oraz zjednoczoną opozycję. Jeżeli wspominałem o kryzysie, to proszę dodać jeszcze jeden element, którego wcześniej nie było – spadek PiS w sondażach poniżej 35 proc.

Widać wyraźnie, że obóz rządzący traci wewnętrzność. Atak na Obajtka jest tak naprawdę wymierzony w prezesa PiS.

Ta partia ma jednak przywódcę, który z wieloma kryzysami dawał już sobie radę. Do tego jest wspierany przez premiera, administrację państwową i aparat partyjny, który nigdy nie kwestionował jego przywództwa. Co więcej, obaj koalicjanci, którzy robią małe podkopy pod PiS, też nigdy go nie kwestionowali. Jarosław Kaczyński ma więc szansę, by odbudować sterowność.

Do tego wszystkiego dochodzą ostatnie działania PiS.

Jesteśmy w procesie kilku błędnych decyzji PiS z 2020 r.: próby przeprowadzenia wyborów prezydenckich w maju,

rekonstrukcji rządu, „piątki dla zwierząt” i sprawy aborcji w Trybunale Konstytucyjnym. Kłopoty są przykrywane kolejnymi, a to oznacza, że góra pod dywanem rośnie, a on sam może w końcu pęknąć. Część elektoratu PiS usiadła na kanapie i zastanawia się, co dalej. Ci ludzie są do odzyskania, dlatego PiS przygotowuje się do nowej ofensywy – „Nowego Ładu”.

To może być punkt zwrotny dla rządzących?

Przy takim kryzysie całociśowy program jest praktycznie nieistotny. Ważne są konkretne działania o takiej prostocie, jaka charakteryzowała „500+”. Dla ogółu ważne będą dwa czy trzy działania. Niezwykle istotne będzie podniesienie kwoty wolnej od podatku od emerytury i od płac, pomiędzy 20 a 30 tys. zł. To oznacza zwolnienie płac i emerytur z podatków do 2,5 tys. zł brutto miesięcznie, czyli niezwykle ważną podwyżkę, podobno dla ok. 60 proc. emerytów i ok. 40 proc. pracowników. Jeśli tak się stanie, to będzie to waga programu „500+”, który załatwił problem biedy wśród dzieci i najuboższych rodzin. Za to należy się PiS pomnik. Radykalne podniesienie kwoty wolnej od podatku to będzie ogromny sukces PiS, ale już w innej grupie – starszych i biedniejszych. Stanie się to jednak tylko pod jednym warunkiem.

Jakim?

Musi to być radykalna ulga i bez żadnych wyjątków. Wówczas PiS przywróci jedną ze swoich dużych grup elektoratu i zachęci inne, by na niego głosowały, czyli może liczyć na poważną zwwyżkę w sondażach, która doprowadzi go do wygranej w kolejnych wyborach. Oczywiście, jeśli wcześniej nie nastąpi jakaś nieprzewidziana katastrofa.

Pytanie tylko, jak to sfinansować?

Czyniąc tę ulgę jedynym istotnym kosztem „Nowego Ładu” i pamiętając o tym, że wszystkie większe kraje UE zadłużają się jeszcze bardziej.

A co z innymi obszarami lub grupami społecznymi? Niektóre propozycje mają być skierowane do młodych. Jak wiadomo, PiS ma duży problem w tej grupie elektoratu.

Nadmiar bodźców prowadzi do zobojętnienia. Zaprezentowano 10 obszarów. A wie pan, ile rzeczy leżących na stole jest w stanie zapamiętać przeciętny człowiek? Trzy, cztery. Trzeba pamiętać, że ludzie nie zajmują się tym tak dogłębnie, jak



■ wielbiciele prezentacji w PowerPointcie czy branżowe media.

Odzyskać młodych będzie szalenie trudno i na pewno nie poprzez prosty chwyt finansowy. Nie liczyłbym więc na nawracanie, ale na przywracanie elektoratu tradycyjnego. Nie da się pozyskać sojuszników spośród tych, którzy mentalnie przeszli na drugą stronę. Byłbym więc ostrożny z priorytetem dla młodych, chyba że będzie on konieczny do odbudowy państwa.

Nad programem pracował tandem Morawiecki-Kaczyński. Tymczasem przeciwnicy premiera w Zjednoczonej Prawicy wskazują, że zaczyna się on zużywać. Coraz częściej słychać też głosy, że powinna nastąpić zmiana na stanowisku szefa rządu. Zgadza się pan z takimi stwierdzeniami?

Absolutnie nie. Jakakolwiek próba zmiany premiera będzie szkodliwa dla kraju i dla przywództwa PiS. Jeśli widzimy parę Kaczyński-Morawiecki, to proszę mi pokazać inną, w której nowy premier będzie miał cechy obecnego szefa rządu. Myślę m.in. o pracowitości i ogromnej determinacji oraz sprawności. Morawiecki śpi po kilka godzin i nie widać po nim zmęczenia. Poza tym ma rozbudowane zagraniczne kontakty i zdolność do bycia kimś istotnym na Zachodzie. To, co najważniejsze, nie dzieje się na salach obrad, ale w kuluarach. I Mateusz Morawiecki to ma, w przeciwieństwie do innych. Wreszcie trzeba też świetnie współpracować z samym Jarosławem Kaczyńskim. Nie widzę tak lojalnych ludzi wobec prezesa PiS jak Mateusz Morawiecki.

Należy jednak widzieć różnicę między tym, co czasem prezes PiS mówi, a co robi. Podam przykład: Kaczyński współwymyślał radę doradców przy premierze, która składa się co najmniej z połowy „starego zakonu”, czyli polityków wywodzących się z Porozumienia Centrum. Po co? Po to, by zbliżyć aparat PiS do premiera. To pokazuje, jak prezes PiS praktycznie wspiera premiera.

Objawem kryzysu koalicji rządzącej jest atakowanie własnego premiera, szczególnie przez „ziobrystów”. Wysilek aparatu powinien się skupić na wspomaganie szefa rządu. Od dyskusji są gremia partyjne i ciarla doradcze. Ataki pod adresem premiera to jedno z działań najbardziej szkodzących Zjednoczonej Prawicy.

Polityki nie uprawia się jednak w próżni. Mija rok od ogłoszenia pandemii COVID-19. Jak wpłynęła ona na naszą polityczną rzeczywistość? Może

Jeśli zniknie płęć biologiczna i zostanie tylko ta genderowa, to nie będzie mowy o kobietach i mężczyznach, zniknie on i ona. To jest Orwell skrzyżowany z Huxleyem

jest tak, że powrotu do tego, co było, po prostu już nie ma?

Jesteśmy na wojnie z koronawirusem. Ale co to za sposób prowadzenia wojny, jeśli generalicja atakuje kierownictwo sztabu generalnego w czasie działań wojennych? To pokazuje, że obecna struktura władzy nie jest przygotowana do długotrwałej walki.

Czy przystosowujemy się do wojennego trybu życia? Niechętnie. Czy jeśli nam się uda, to wrócimy do starej normalności? Raczej zbudujemy nową, powojenną. Pytanie, co zmieni się w nas i w relacjach międzyludzkich. Na pewno powinno to być badane. Mamy dramatyczną sytuację w psychiatrii dziecięcej i psychologii. Dobrze byłoby, gdyby państwo i media zainicjowały dyskusję, jak może być po pandemii. Władza zapewne zlekceważy taką akcję, a później będzie zdziwiona, że po pandemii jeszcze trudniej będzie rządzić.

Zmieniając nieco temat. W grudniu 2019 r. w wywiadzie dla „Do Rzeczy” przestrzegał pan przed nadchodzącym z Zachodu „totalnym tsunami lewackiej rewolucji antykulturalnej, neokomunizmu”. Jego fala chyba przetacza się właśnie przez Polskę.

To prawda. Już wtedy zwracałem uwagę na jej niesłychane tempo. Laicyzacja społeczeństwa polskiego zajęła tylko ostatnie pięć-dziesięć lat. Ale przede wszystkim ta rewolucja opanowuje Zachód. U nas są to tylko odbite fale, ale my już sobie z nimi nie radzimy. Na razie nie widać murów, od których ta neokomunistyczna rewolucja miałaby się odbić.

Gdzieś pomiędzy Parlamentem Europejskim a Komisją Europejską pojawił się pomysł, by powołać euromedium do walki z mową nienawiści. To będzie ćwiczone, choć nie wiem, czy zrealizowane. PE wymyślił też sobie słownik wyrazów niezalecanych, w którym dwa są kluczowe – płęć biologiczna i ideologia gender. W normalnym języku płęć biologiczna to płęć po prostu, bo innej nie ma, i tak jest u nas. Jednak tam słowo „gender” oznacza płęć elastycznie zmienną pod wpływem

„kultury”. Jeśli zniknie płęć biologiczna, zostanie tylko ta genderowa, to nie będzie mowy o kobietach i mężczyznach, zniknie on i ona. To jest Orwell skrzyżowany z Huxleyem.

Co może tę falę powstrzymać?

Albo nic jej nie zatrzyma, przyjdą Chińczycy i zrobią z Unii Europejskiej obóz nowoczesnej pracy, albo władza Zachodu obudzi w sobie instynkt samozachowawczy i wróci do naturalnych sił kultury. To jest szansa. Gender niesłychanie osłabia społeczeństwo. Buduje w nim nieprawdziwe konflikty, brak zaufania, ale i brak wolności, co widać na przykładzie ograniczania języka. My musimy budować silne państwo, byśmy umieli się tej fali przeciwstawić, by być tak silnym, by zdobywać sojuszników w tej walce.

Tymczasem według badań młodzież skręca w lewo. Jak prawica powinna odpowiedzieć na to tsunami?

Jest różnica między władzą polityczną a Kościołem. Kościół ma się trzymać swoich wartości, Ewangelii. Co innego polityka. Ta musi się do świata, a przynajmniej swojego elektoratu, dostosowywać, ale zarazem prowadzić go. Władza musi czytać rzeczywistość, ponieważ polityka to zdolność robienia tego, co możliwe i służące społeczeństwu.

Co z tego wynika?

Inny kontakt władzy ze społeczeństwem: więcej równości, rozmowy, uwzględniania kompromisów, traktowania elektoratu jako ludzi rozsądnych. Władza musi więcej wiedzieć, a więc wspomagać niezależne ośrodki analityczne. Zadaniem władzy w wojnie kulturowej jest zdobywanie sojuszników, przewidywanie i zapobieganie temu, co zrobi drugą stronę, budowanie szerszych frontów. To wymaga zmiany polityki PiS.

Ten proces trzeba było zacząć pięć lat temu. Viktor Orbán jeszcze za komuny budował aktywne młodzieżowe organizacje, które po kilkudziesięciu latach dały mu większość konstytucyjną. Jego elastyczność nie komplikuje mu relacji z elektoratem, bo ten wie, że jeśli Orbán się cofa, to nie dlatego, że zdradza, ale dlatego, iż chwilowo jest słabszy i trzeba go wspierać. Należy budować długofalowe relacje ze społeczeństwem i innymi krajami. To oznacza dużo mocniejsze, sprawniejsze i bardziej elastyczne państwo.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wiele wskazuje, że zbliżająca się 11. rocznica tragedii w Smoleńsku będzie pierwszą, której więcej uwagi poświęci TVN niż TVP. Pierwszy raz bowiem w rocznicowych materiałach będzie można powiedzieć, że PiS wyjaśnia okoliczności katastrofy już dłużej niż PO, i rozliczać go, z łatwym do przewidzenia skutkiem, z oczekiwań, które rozbudzał, gdy jeszcze był w opozycji i w pierwszych latach po zdobyciu władzy.

Będzie też można odnotować – a nie ma wątpliwości, że media lewicowo-liberalne zrobią to z prawdziwą satysfakcją – że przeciągającym się w nieskończoność wyjaśnianiem przyczyn, okoliczności

władzy wymaga, aby – jak ujął to sam Jarosław Kaczyński – skróć PiS zaczął dla ludzi oznaczać „pieniądze i spokój”. Trudno jednocześnie obiecywać spokój i twierdzić, że dwóch prezydentów RP i prawie setka wybitnych obywateli zginęli wskutek zamachu, przeprowadzonego przez prezydenta Rosji, w spisku z obecnym dziś w sferach władzy UE byłym premierem RP i jego ministrami, a potem perfidnie zbudowano wokół tej zbrodni wielką znowę milczenia.

ŻONGLERKA DWUZNACZNOŚCIAMI

Pomysłem prezesa PiS na poradzenie sobie z tą sprzecznością był Antoni

wzbudzonych wcześniej w „żelaznym” elektoracie wokół domniemanego zamachu.

I trzeba przyznać, że w tej kwestii Macierewicz rzeczywiście wykazał się talentem. Przez wiele lat coraz bardziej drobiazgowego skupienia na poszukiwaniu miejsca wybuchów zakopał śledztwo głęboko w szczegółach kompletnie niezrozumiałych dla zwykłych ludzi, sprowadzając wyjaśnienie tragedii do kwestii, komu gotów jesteś uwierzyć: ekspertom Macierewicza, którzy pozostałych uważają za podstawionych zdrajców, czy tym, którzy za hochsztaplerów uważają ekspertów wyselekcjonowanych przez Macierewicza. Żonglował przy tym dwuznacznościami, w jednych okolicznościach i do jednych słuchaczy mówiąc o zamachu, kiedy indziej do innych tylko o „wybuchach” lub „rozpadzie samolotu w powietrzu”, a w jeszcze innych okolicznościach zasiewając jedynie wątpliwości. Dzięki temu był w stanie długo utrzymywać najbardziej emocjonalnie zaangażowanych w przeświadczeniu, że wyjaśnienie jest na wyciągnięcie ręki, że już właściwie wszystko wyjaśniono i w najbliższym czasie prawda, której od tylu lat się domyślali, zostanie wreszcie ogłoszona. Od pewnego czasu zresztą, jeśli jest o to pytany, Macierewicz z właściwą sobie pewnością stwierdza, że tak właśnie jest: wszystko już ze swoją komisją wyjaśnił i wszystko udowodnił. Tupolew rozpadł się w powietrzu wskutek wybuchów ładunków termobarycznych w skrzydłach. Gdzie dowody? W raporcie podkomisji smoleńskiej. Gdzie ten raport? Został ogłoszony.

Dlaczego w takim razie z raportem zawierającym dowody, że prezydent Kaczyński i cała delegacja zostali zamordowani przez Putina, nic się po jego ogłoszeniu nie dzieje? Nie trafia pod obrady rządu, nie jest przedstawiany w parlamencie, nie staje się podstawą jakichkolwiek poważnych działań? Logicznie można w tej groteskowej sytuacji udzielić tylko dwóch odpowiedzi. Pierwsza jest taka, że prawda o zbrodni jest przez PiS celowo tłumiona, tak jak tłumila ją partia oskarżanego o współsprawstwo Tuska. Nawet najbardziej zagorzali dotąd zwolennicy Macierewicza i jego teorii zamachowej nie mają jednak odwagi publicznie tego twierdzić, bo wiadomo, że dziś blokować prawdę mogłaby tylko jedna osoba – a jakże oskarżać o współspiskowanie z Putinem rodzzonego



Rafał A. Ziemkiewicz

Gdy Platformie Obywatelskiej została odebrana władza, oczekiwania rodzin i organizatorów smoleńskich „miesięcznic” zaczęły być dla PiS problemem

Wygrany Putin, butny Tusk

i przebiegu tragedii zirytwowane są już i rodziny ofiar, i ci, którzy, poświęcając się tej pracy, przez długie lata stanowili najwierniejszych zwolenników partii rządzącej. To ich zaangażowanie, poświęcany czas, często porzucenie na rzecz walki o prawdę o Smoleńsku osobistych aspiracji i planów pozwoliły PiS zbudować wokół Smoleńskarauch i emocje niezwykle sześć lat temu pomocne w delegitymizowaniu PO oraz pozbawianiu jej władzy.

Kiedy już władza została partii Tuska odebrana, oczekiwania rodzin i organizatorów smoleńskich „miesięcznic” zaczęły być dla PiS problemem. Szczególnie w chwili, gdy uznano, że utrzymanie

Macierewicz. Kiedy Kaczyński powierzał założycielowi KOR zajmowanie się z ramienia partii tragedią smoleńską, jego słowa, że Macierewicz jest człowiekiem zdolnym do wypełniania zadań dla innych niemożliwych, odczytywano jako hołd złożony uporowi i odwadze współpracownika – coś w rodzaju obietnicy, że tylko jeden Macierewicz odważy się odkryć prawdę i rzucić ją w twarz moznym tego świata, choćby nie wiedzieć, jak straszna miała się okazać. Dzisiaj wydaje się, że „niemożliwością”, którą w istocie miał prezes na myśli, było bezpieczne dla władzy PiS rozładowanie emocji,



■ brata zamordowanego przez Putina prezydenta-męczennika?

Druga logiczna odpowiedź też z trudem przechodzi przez gardło ludziom od lat zaangażowanym w sprawę: najwyraźniej raport, owoc 10 lat dociekań, mnóstwa wydanych pieniędzy, „eksperymentów śledczych”, ekspertyz zamawianych u różnych zachodnich instytucji itd., jest po prostu funta kłaków niewart i żadnych poważnych działań oprócz na nim nie można.

Mimo wszystko w końcu na którąś z tych dwóch odpowiedzi trzeba się będzie zdecydować. Obawa, by przed wyborami czy w okresie niepokojów społecznych nie zaszkodzić „obozowi patriotycznemu”, bardzo długo kazała się rozgoryczonym rodzinom i działaczom gryźć w język. Miarę przebrało dopiero zablokowanie w ostatniej chwili emisji w TVP filmu Ewy Stankiewicz. Podobno miał za tym stać właśnie Macierewicz; w istocie publicznie oskarżył ją o naruszenie praw autorskich do jakichś tam szczegółowych ekspertyz. Osobiście sądzę jednak, że decyzja zapadła wyżej niż na szczeblu prezesa TVP i że szło o coś znacznie poważniejszego niż te ekspertyzy. Rządzący po prostu przestraszyli się możliwych międzynarodowych reperkusji wyemitowania w polskiej państwowej telewizji filmu stawiającego sprawy tak bezkompromisowo, jak zwykła to robić Ewa Stankiewicz.

W każdym razie, wkrótce po wstrzymaniu filmu z publicznym atakiem na Macierewicza wystąpił w tygodniku „Sieci” Glenn Jørgensen, od lat aktywny uczestnik smoleńskiego ruchu, prywatnie mąż Ewy Stankiewicz (zresztą połączyło ich właśnie zaangażowanie w szukanie prawdy o tragedii). Zastrzegając, że wie, iż jego słowa ucieszą wrogów, ale dłużej już milczeć nie może, oskarżył Macierewicza o manipulowanie faktami i ekspertyzami, odsuwanie od sprawy ekspertów, którzy nie udowadniali apriorycznie narzuconych przez niego wniosków, mówiąc krótko, o rozliczne matactwa, a także nieudolność, których skutkiem jest zmarnowanie czasu, pieniędzy i zapału ludzi walczących o ujawnienie prawdy.

W obronie Macierewicza wystąpiła tradycyjnie życzliwa Macierewiczowi „Gazeta Polska”, w artykułach, podpartych zbiorowym listem Klubów „Gazety Polskiej”, zarzucając Jørgensenowi, że to on właśnie dezorganizował pracę komisji i w ogóle



szkodzi sprawie; Jørgensen odpowiedział, że argumenty jego przeciwników są zwykłymi kłamstwami, i spór stanął w punkcie „słowo przeciwko słowu”, bo materiały, których dotyczy, są utajnione.

Niemniej wystąpienie Jørgensena odniosło skutek – środowisko rodzin smoleńskich, dotąd gryzące się w język, zaczęło wyrzucać z siebie nagromadzone latami żale, które z lubością nagłośniła „Gazeta Wyborcza” – m.in. Marta Merta i Małgorzata Wassermann zaapelowały publicznie o „audyt” 11-letnich bezowocnych prac komisji Macierewicza, a także prokuratury.

Kontekst dla tych wydarzeń tworzy mało zauważone swego czasu, ale wyraźne odcięcie się od śledztwa smoleńskiego przez Jarosława Kaczyńskiego, który akcją 96 „miesięcznic smoleńskich”

uwieńczył stwierdzeniem – publicznie i w obecności Macierewicza, który nigdy się do tych słów nie odniósł – że „prawdy nie poznamy zapewne nigdy”.

POLSKI BEZTROSKI BAŁAGAN

Te słowa wydają się wytyczną dla działań prokuratury, które wydają się jeszcze bardziej kompromitujące niż zawiłane działania komisji Macierewicza. Prokuratura nie potrzebowała bowiem wraku ani rejestratorów, by zająć się sprawą podstawową: kto ponosi winę za organizację feralnego lotu, gigantyczny bałagan, łamanie wszelkich możliwych norm bezpieczeństwa i procedur. Prokuratura – już ta „PiS-owska” – uznała, że nikt, a w każdym razie, że dochodzić tego nie warto. Upór rodzin ofiar sprawił, że przed sądem stanął jednak, z oskarżenia



Dziewiąta rocznica katastrofy
smoleńskiej, Warszawa, Krakowskie
Przedmieście FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Jeśli dodamy skuteczne ukatrupienie przez partię rządzącą inicjatyw społecznych, wyrosłych na fali bólu po tragedii – stłumienie Ruchu im. Lecha Kaczyńskiego czy rozbitcie niezależnej od PiS i Macierewicza inicjatywy naukowców organizujących kolejne „Konferencje smoleńskie” – to wyłania się z tego obraz „skręcenia” sprawy Smoleńska przez PiS, nie mniej haniebnego niż to, co przed dekadą zarzucała partia Kaczyńskiego Platformie. Można to wyjaśnić tylko dwoma przyczynami. Po pierwsze, brakiem odwagi, by wycofać się z niemożliwych do udowodnienia teorii o zamachu, w które swego czasu tak wiele PiS politycznie zainwestował. Po drugie, obawą (lub wiedzą), że śledztwo obciążyłoby także ludzi związanych z obecnym obozem władzy i tym samym zaszkodziłoby budowanej przez Jarosława Kaczyńskiego, czy też dla Jarosława Kaczyńskiego, legendzie „poległego pod Smoleńskiem” brata.

To oczywiście nieoceniony prezent dla obozu liberalno-lewicowego. Mactwa PiS dają mu nadzieję na pogrzebanie głęboko w polskiej niepamięci oczywistych win wciąż ikonického dla nich Tuska i jego byłych ministrów. Mimo przypomnianej niedawno taśmy z nagraniem narady Tuska z udziałem Edmunda Klicha, ówczesnego szefa Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych, która przypomina o zachowaniach, za które w każdym innym kraju Tusk siedziałby dziś w więzieniu. Trzydzieści dni po tragedii premier i jego ludzie zachowują się jak dzieci we mgle, nic nie wiedzą, nic nie rozumieją i absolutnie nie chcą grzebania w ambarasującej katastrofie; Edmund Klich jako formalny polski przedstawiciel nie ma żadnego wsparcia państwa, a jedyne, co wydaje się dla Tuska ważne, to lęk, aby tragedia nie zmieniła nastrojów społecznych na korzyść PiS.

GOGUŚ U STERU

Dla znających sprawę to oczywiście nie nowego. W chwili próby u steru państwa polskiego stał miażdżący, nieodpowiedzialny goguś, który myślał tylko o dwóch rzeczach: żeby nie narazić się Putinowi, bo to, jak pokazał przykład Aleksandra Kwaśniewskiego, koniec marzeń o międzynarodowej karierze, i żeby nie zwiędli mu słupki popularności, gdyż to również udaremniałoby przeskok na wymarzoną posadkę w Unii. Stąd dwie strategiczne, brzemienne w skutki decyzje: oddać całe śledztwo Rosji i za

wszelką cenę zdeptać rodzącą się żałobę, trumny jak najszybciej zakopać, ofiary obciążyć winą i wraz z dobrym imieniem pozbawić współczucia, a ich rodziny oraz wszystkich żądających rzetelnego śledztwa opluć i propagandowo zgnoić. Tusk oczywiście nie rozumiał, co oznaczać będzie zignorowanie przez Polskę (na wspomnianej taśmie widać, że świadome) pierwotnej rosyjskiej propozycji wspólnej komisji śledczej. Sądził zapewne, że Rosjanie, jeśli da im całkowicie wolną rękę, będą się starali stworzyć pozory wyjaśnienia sprawy, które on będzie mógł demonstracyjnie przyjmować za dobrą monetę. Tymczasem w interesie Putina i Rosji było, skoro pojawiła się taka możliwość, właśnie to, co zrobiono: manifestacja siły, potraktowanie Polski

Taśma z nagraniem narady Tuska z udziałem Edmunda Klicha, ówczesnego szefa Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych, przypomina o zachowaniach, za które w każdym innym kraju Tusk siedziałby dziś w więzieniu

„z buta”, prowokacyjne zamiecenie śledztwa, zaoranie bez badań szczątków, zabranie wraku, prowokacyjne sprofanowanie zwłok ofiar. Wszystko to, co tworzyło wrażenie, że nawet prezydenta kraju członkowskiego NATO i UE Putin dopadnie i zabije, jak to sam zapowiadał, „nawet w kiblu”, i to tak, że nikt mu niczego za to nie zrobi ani niczego nie udowodni.

Podążając, dla krótkoterminowych politycznych zysków, za zamachowymi fantazmatami, zamiast skupienia się na rzeczywistych winach Tuska i jego ekipy, PiS w sumie wpisał się w tę grę. Dlatego Tusk może dziś, w poczuciu totalnej bezkarności, kwitować taśmę dowodzącą jego skandalicznego zachowania po tragedii jednym, pełnym buty tweetem o „przykrywaniu” rzekomej afery Obajtka. A we mgle, wciąż rozciągającej się w miejscu największej narodowej tragedii ostatnich lat, wciąż rozlega się wracający echem ze wszystkich stron chichot Putina.



FOT. ANDRZEJ BANAS/POLSKA PRZES/EAST NEWS

„Pistolety” prezesa

Lojalność. To jedna z tych cech, które prezes PiS Jarosław Kaczyński ceni u swoich współpracowników najbardziej. Gdy ktoś pozostaje wobec niego lojalny, wiadomo, że w polityce nie zginie. Nawet jeśli będzie popełniał błędy, a wizerunkowo bardziej szkodził partii, niż pomagał, to prezes i tak będzie go bronił.

Ta zasada dotyczy starych przyjaciół jeszcze z czasów Porozumienia Centrum, do których zalicza się Marek Suski. Dotyczy też tych, którzy w partii znaleźli się dużo później, ale których prezes lubi i ceni, np. Ryszarda Terleckiego. Suski i Terlecki to politycy zupełnie różni. Z innych światów, z inną polityczną historią, z innym doświadczeniem. Łączy ich to, że Jarosław Kaczyński darzy ich ogromnym zaufaniem i najczęściej za ich pośrednictwem przekazuje rzeczy, których sam wprost powiedzieć nie chce.

BEZ OWIJANIA

Kiedy kilka tygodni temu po wielotygodniowych sporach wewnątrz koalicji Solidarna Polska demonstracyjnie zagłosowała w Sejmie razem z opozycją przeciwko PiS, Marek Suski pierwszy ruszył do akcji. W porannej rozmowie RMF FM stwierdził: – Jeżeli tak będzie, że koledzy z Solidarnej Polski rozstaną się z popieraniem rządu, wtedy rząd rozstanie się z kolegami z Solidarnej Polski. Być może to spowodowuje, że będzie rząd mniejszościowy, a może nawet przedterminowe wybory – zasugerował. – Kiedyś ktoś powiedział, że jest takie stopniowanie: wróg, śmiertelny wróg i koalicjant – dodał złośliwie. Tego samego dnia do dziennikarzy w Sejmie



Kamila Baranowska

Gdzie prezes nie może, tam Marek Suskiego pośle. Albo Ryszarda Terleckiego. A najlepiej obu

wyszedł także szef klubu PiS Ryszard Terlecki. – Pokazali nam figę, przyjmujemy to do wiadomości, będziemy działać konsekwentnie – stwierdził. A dopytany, co konkretnie zrobią, odparł z rozbrajającą szczerością: „Damy po łapkach”. – Są granice cierpliwości – dodał jeszcze.

Kiedy Jarosław Kaczyński chce, by coś mocno wybrzmiało, by zostało powiedziane wprost i bez owijania w bawełnę, wtedy do mediów wychodzi któryś z tych dwóch polityków. A gdy jednego dnia wychodzą obaj, sytuacja jest już naprawdę poważna. – Taki język, prosty, ale dosadny i bezpośredni, to jest coś, co prezes w polityce bardzo lubi, bo uważa go za demonstrację siły – opowiada nam jeden z byłych już polityków PiS. – A wysyłając Suskiego czy Terleckiego, wie, że powiedzą, co trzeba i jak trzeba. To dwa pistolety, na które zawsze może liczyć. Wie, że jeśli je odpali, to się na pewno nie zatną – dodaje.

WIERNY JAK ZAKONNIK

– Po czym poznać Zakon PC? Na pytanie, kto powinien być premierem, zakonnik zawsze odpowie, że Jarosław – taką anegdotę można usłyszeć w PiS. I rzeczywiście, politycy kojarzeni z Zakonem PC sceptycznie podchodzili do kandydatury Beaty Szydło na premiera, a jeszcze bardziej sceptyczni byli, gdy po rekonstrukcji jej miejsce zajął

Mateusz Morawiecki, a nie prezes. Do tych ludzi, którzy uważają, że „tylko Jarosław”, zalicza się z pewnością Marek Suski. Ich polityczne drogi skrzyżowały się ponad 30 lat temu. – W 1990 r. zobaczyłem, jak ogłasza w telewizji powstanie Porozumienia Centrum. Nie zastanawiając się długo, wsiadłem w autobus do Warszawy i pojechałem się z nim spotkać. Po powrocie założyłem koło partii w Grójcu i tak to się zaczęło – wspominał w „Newsweeku”.

Wcześniej z polityką miał niewiele wspólnego. Ukończył Pomaturalne Studium Zawodowe Technik Teatralnych. Przez jakiś czas pracował w Teatrze Wielkim w Warszawie. W partii przyłgnie potem do niego ksywka Perukarz, choć tak naprawdę był technikiem charakterizatorem. Polityka nie zabiła w nim jednak duszy artysty. W wolnym czasie Suski chętnie maluje. – To są często portrety rodzinne, martwa natura, pejzaże, mniejsze obrazy alegoryczne, trochę kopii starych mistrzów. Lubię też rysować karykatury. Kiedyś przedstawiłem Niesiołowskiego jako trutnia i Tuska jako tarantulę – opowiadał portalowi NaTemat.pl.

CARYCA I USZY PREZESA

Suski trwał przy Kaczyńskich w najtrudniejszych momentach. Kiedy powstawał PiS i potrzebne były fundusze



na pierwszą kampanię wyborczą, wziął pożyczkę pod zastaw własnego domu. Takich rzeczy prezes nie zapomina. Suski posłem jest nieprzerwanie od 2001 r. Gdy w 2005 r. PiS doszedł do władzy, nie załapał się do rządu. Przełknął to, zadowolając się funkcjami w kilku sejmowych komisjach. Wtedy też został rzecznikiem partyjnej dyscypliny. Wewnątrzpartyjna anegdota mówi, że stanowisko zawdzięczał Ludwikowi Dornowi, który go... szczerze nie znosił (z wzajemnością zresztą). Dorn miał opowiadać posłom, że znając nadgorliwość Suskiego, będzie wszystkich za wszystko karał, co spowoduje, że koledzy zaczną pałać do niego niechęcią.

Suski z funkcji rzecznika dyscypliny zrezygnował po czterech latach w lipcu 2009 r., tłumacząc, że „jest zmęczony” i że „woli kochać ludzi, niż ich karać”. Pięć miesięcy później powrócił na stanowisko. – Prosił o to prezes, a jemu się nie odmawia – tłumaczył. Politycznie Suski rozkwitł w poprzedniej kadencji Sejmu, gdy został wiceszefem komisji ds. Amber Gold. Zasłynął głównie bon motami, zwłaszcza tym o „carycy”. Na jednym z posiedzeń komisji podczas przesłuchania sędziego Ryszarda Milewskiego Suski wypytywał, czy jest mu znana osoba o pseudonimie Caryca. Ten odpowiedział, że „jedyną carycą, którą zna, jest Katarzyna”. – Katarzyna? A może podać pan nazwisko? – brnął Suski, by usłyszeć w odpowiedzi: „Katarzyna Wielka”. – Co w tym śmiesznego? – odparł, gdy cała komisja wybuchła śmiechem. Za „carycę” otrzymał w 2016 r. nagrodę Srebrne Usta, przyznaną przez słuchaczy radiowej Trójki.

Kiedy premierem został Mateusz Morawiecki, Suski ku zaskoczeniu wszystkich został szefem jego gabinetu politycznego. Chociaż chwilę wcześniej był jednym z tych, którzy przekonywali Kaczyńskiego, że po odejściu Beaty Szydło sam powinien stanąć na czele rządu. W PiS krążą różne teorie na temat tego, dlaczego Suski pojawił się w KPRM. Najbardziej prawdopodobna jest ta, że został tam skierowany przez Kaczyńskiego, by być jego oczami i uszami. Inna mówi, że był to pomysł samego Morawieckiego, by na starcie zapunktować u prezesa i pokazać, że nie ma nic do ukrycia.

Jeden z polityków PiS opowiadał nam kiedyś, że w PiS występuje pewien typ, jak to ujął, postaci problematycznych. Bardzo zasłużonych i zbyt ważnych, by

pominąć ich w nominacjach, ale jednocześnie zbyt ryzykownych, by dać im odpowiedzialne, np. ministerialne, stanowiska. Szuka się więc im takich, gdzie za bardzo nie nabroją. Zaliczył do nich między innymi Suskiego. Po ubiegłorocznych wyborach Suski do KPRM już nie wrócił. Został wiceszefem klubu i przewodniczącym sejmowej komisji ds. energii i Skarbu Państwa, a także wiceszefem komisji kultury. Prezes widocznie miał poczucie, że to za mało. Od niedawna jest więc Suski także przewodniczącym Rady Programowej Polskiego Radia.

TYP PROFESORA

Ryszard Terlecki to ten sam typ „polityka problematycznego” co Suski. Chociaż z nieco innych powodów. W orbie PiS pojawił się w 2006 r., gdy wystartował z ramienia partii w wyborach na prezydenta Krakowa. Był już wtedy radnym, cenionym w Krakowie profesorem, historykiem, autorem głośnej pracy „Historia aparatu bezpieczeństwa w Polsce 1944–1990”, szefem krakowskiego oddziału IPN.

Wybory na prezydenta przegrał, ale rok później znalazł się już w Sejmie. W kolejnych latach wstąpił do partii i został członkiem komitetu politycznego PiS. Oraz zaufanym Kaczyńskiego, który lubi otaczać się ludźmi jego pokroju.

– Prezes stworzył wokół siebie całą grupę profesorską, z którą się spotyka i lubi rozmawiać, o historii, polityce, książkach. To taka odskocznia od codziennej politycznej młótki – opowiada jeden ze współpracowników prezesa. W partii od zawsze grupa profesorska budziła niechęć. Oprócz rozmów o książkach próbowała także doradzać i wpływać na polityczne decyzje prezesa. Najbardziej irytowało to tych, którzy realnie podejmowali decyzje, np. w kampaniach wyborczych. Dlatego Terlecki nigdy nie miał w PiS zbyt wielu przyjaciół. Dla wielu osób Terlecki to postać dość tajemnicza. Jak to bowiem możliwe, by z lekkoducha z przeszłością w ruchu hippisowskim stać się zatwardziałym konserwatystą? I to takim, że inni politycy PiS, często z dłuższym stażem, wychodzą przy nim na miękiszonów.

„Pies”, bo taki przydomek miał Terlecki w młodości, w młodszych czasach, nie wstydził się swojej przeszłości. Wiele razy opowiadał o niej w wywiadach. W jednym z nich wyjawiał, że przezwisko Pies wymyślił milicjant. – Kiedyś nas spisywał

możolnie takim ołówkiem kopiowym, który trzeba było najpierw poślinić. I on pluje na ten ołówek i pyta skonfundowany: „A jak to się pisze? Hip, hip...”. To mu podpowiedzieliśmy „hip-pies”. „A, pies!” – ucieszył się. No i tak już do mnie przyłgnęło – wspominał przed laty w „Dzienniku”. Jego dziewczyną była Kora Jackowska, późniejsza gwiazda zespołu Maanam, a on sam we wspomnieniach swoich kolegów z tamtych lat jawi się jako lider grupy krakowskich dzieci kwiatów. – Terlecki został „Psem”, bo się zhipisił, a żeby zostać hipisem, trzeba być oblodną straszny, czyli takim kloszardem – opowiadał w jednym z wywiadów Ryszard Legutko, jego szkolny kolega, dziś europoseł PiS, i też profesor.

Ciekawych wątków w biografii Ryszarda Terleckiego jest dużo więcej. W 2000 r., gdy pracował w IPN, natknął się na teczkę własnego, nieżyjącego już ojca, Olgierda, pisarza i historyka, redaktora „Życia Literackiego”. Okazało się, że przez 30 lat współpracował z SB. Terlecki ujawnił ten fakt, publikując tekst w „Rzeczpospolitej”. Tłumaczył, że wołał zrobić to sam, niż ryzykować, że zrobi to ktoś obcy. Sam Terlecki ma ładną kartę opozycyjną. Był zatrzymywany za protesty studenckie, współpracował z KOR, był w Solidarności, publikował w podziemnej prasie.

OSOBY STRASZNE

Od 2015 r. nieprzerwanie jest szefem klubu PiS, a także wicemarszałkiem Sejmu. Pomimo paru wpadek z głosowaniami Terlecki radzi sobie w ocenie prezesa nieźle i nic nie wskazuje na to, by chciano go zastępować kimś innym.

Chociaż opozycja, nawet ta mniej zacietrzewiona, ma oczywiście inne zdanie na ten temat. – Patrę na Terleckiego, na Suskiego, to są osoby straszne – mówił podczas kampanii parlamentarnej w 2019 r. Paweł Kukiz.

– Mniej bym się bał towarzyszy z końcówki komuny niż tych dwóch panów. Ja ich znam na co dzień i widzę, jak postępują: buta, arogancja, pycha, siła. Coś straszno! – grzmiał.

Coś, co Kukiz i wielu innych postrzega jako butę, arogancję, pychę i siłę, Jarosław Kaczyński postrzega raczej jako pewność siebie, brak kompleksów, konsekwencję i lojalność. I ceni je sobie bardzo. Czy to w wykonaniu Marka Suskiego czy Ryszarda Terleckiego. A najlepiej obu naraz.



Krzyż fałszywego oskarżenia



Posłanka Joanna Scheuring-Wielgus (z lewej) i radna Warszawy Agata Diduszko-Zyglewska już raz padły ofiarą oszusta podającego się za obrońcę ofiar seksualnych w Kościele. FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Ksiądz Rafał C. oskarża biskupa o szantaż, groźby i molestowanie, a jego sojusznikami stały się właśnie Joanna Scheuring-Wielgus, poseł Lewicy oraz radna Warszawy, związana także ze skrajnie lewicowym środowiskiem „Krytyki Politycznej” – Agata Diduszko-Zyglewska. Obie znane są już ze swojego zaangażowania w walkę z pedofilią w Kościele. Obie wcześniej wspierały autorytet Marka Lisińskiego z Fundacji „Nie lękajcie się”, który przedstawiał się jako obrońca ofiar seksualnych w Kościele, a okazał się oszustem. Działaczki te doprowadziły nawet do spotkania Lisińskiego z papieżem Franciszkiem, który w geście prośby o wybaczenie za doznane rzekomo przez Lisińskiego krzywdy ucałował go w dłoń.

W 2019 r. rzecznik prasowy prokuratury okręgowej Stanisław Bar informował media, że zarówno księdzu, jak i jego znajomemu postawiono zarzuty podszywania się pod biskupa, a także pod kanclerza



Tomasz Rowiński

Sprawa bp. Andrzeja Czai, w której na razie zarzuty postawiono oskarżającym go dwóm mężczyznom – suspendowanemu księdzu i jego tajemniczemu przyjacielowi – skłania do zwrócenia uwagi na coraz częstsze niebezpieczeństwo zniesławień duchownych

kurii diecezjalnej w Opolu oraz zarzut groźb karalnych. „W ocenie śledczych, poprzez wysyłanie fałszywych SMS-ów i e-maili podejrzani chcieli oczernić biskupa i jego współpracowników w oczach osób, u których Rafał C. szukał możliwości dalszego prowadzenia działalności duszpasterskiej” – czytamy w relacjach medialnych. Za stalking można dostać wyrok do trzech lat pozbawienia wolności. Podejrzani nie przyznali się do winy. Okazało się także, że wobec ks. Rafała i pana Rafała toczy się postępowanie karne

w sprawie zawłaszczenia majątku parafii, w której proboszczem był ks. Rafał C.

Z wydawaniem wyroków trzeba poczekać do zakończenia prac organów śledczych oraz sądów. Gdyby okazało się jednak, że po raz drugi Joanna Scheuring-Wielgus i Agata Diduszko-Zyglewska „padły ofiarą” oszustów, można by uznać, że praktycznie każde względnie uwiarygodnione oskarżenie wobec księży może znaleźć polityczne poparcie. Czy jednak ktoś pomyśli o bp. Czai jako o ofierze? Czy zrobią to ci wszyscy akty-

wiści i publicyści, którzy deklarują stanie po stronie ofiar? A może wytworzył się już mechanizm oskarżeń wobec księży pozostawiający bezkarnymi tych, którzy pomawiają duchownych? Może role, kto jest napastnikiem, a kto ofiarą, zostały już z góry rozpisane? Oby tak nie było.

WYMOGI WIARYGODNOŚCI

Jednak przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie Kościół rozwinął najskuteczniejszy, jak się zdaje, system tropienia seksualnych predatorów w koloratkach, pokazuje, że rzeczywistość nie jest czarno-biała. Konferencja Biskupów Katolickich Stanów Zjednoczonych na początku tego roku podała dane, z których wynika, że w okresie od 1 lipca 2018 r. do 30 czerwca 2019 r. odnotowano aż 1787 przypadków pozwów w sprawie molestowania, które nie spełniły wymogów wiarygodności. Z tego 1 proc. stanowiły sprawy obciążone fałszywymi zeznaniami, w 37 proc. przypadków czynów nie dało się udowodnić winy, a 16 proc. przypadków były to oskarżenia bezpodstawne, w których oskarżyciele nie potrafili dowieść, że do przestępstwa w ogóle doszło. 46 proc. przypadków jeszcze jest badanych.

Chociaż w tej statystyce mamy różne kategorie spraw i część z tych przypadków mogą stanowić sytuacje, w których przestępstwo miało miejsce, ale zabrakło przekonujących dowodów, to i tak liczba wątpliwych pozwów musi być uznana za znaczącą. Za każdą z nich stoi dramat konkretnego człowieka – kapłana, który w jednej chwili, jak można się spodziewać, stracił reputację, więź z parafianami czy choćby zwykłe zaufanie. Wiemy, jak to wygląda – tak mniej więcej jak w sprawie bp. Andrzeja Czai (choć zastrzegam, że z ostateczną oceną sytuacji trzeba się wstrzymać do czasu wyjaśnienia okoliczności przez odpowiednie organy). W sprawach księży mam do czynienia z pewnego rodzaju psychologicznym domniemaniem winy.

Ze słynnego, niezależnego, raportu Johna Jaya z College of Criminology z roku 2004 napisanego dla Episkopatu Stanów Zjednoczonych, który zlustrował 5681 spraw rozmaitych nadużyć seksualnych, wynikało, że 1,5 proc. przypadków stanowiły oskarżenia fałszywe, a aż 18 proc. było bezpodstawnych. To całkiem znaczny odsetek.

Najgłośniejszym przypadkiem fałszywego oskarżenia – choć związanym z innym obszarem geograficznym niż Sta-

ny Zjednoczone – był australijski proces kard. George'a Pella. Jeden z najbliższych współpracowników papieża Franciszka został bardzo zręcznie osaczony przez organy śledcze. Równocześnie szczegółowe analizy sprawy, które przeprowadzali w mediach także autorzy zupełnie z Kościołem niezwiązani oraz oczywiście jego adwokaci, potwierdzały – delikatnie mówiąc – naciąganie faktów przez oskarżenie. W rzeczywistości udowodniono nieprawdopodobieństwo czynów, o które Pell był oskarżany. Mimo to duchowny został skazany, spędził w więzieniu kilkanaście miesięcy i dopiero Sąd Najwyższy Australii rozstrzygnął sprawę tak, jak powinien. W czasie procesu wielu autorów, także chrześcijańskich, w żaden sposób nie podważało winy kardynała pomimo oczywistych wątpliwości. Nie chcieli bronić pedofila, spotykać się z oskarżeniami o moralny współudział. Jeszcze zanim pojawił się wyrok Sądu Najwyższego, nieraz o Pellu mówiono niemal jak o człowieku już złożonym do grobu przez jego własny domniemany upadek.

JAK TO WYGLĄDA W POLSCE?

No dobrze, czy nie jest tak, że takie sprawy dzieją się gdzieś na świecie, a w Polsce księża żyją – jak można usłyszeć nieraz – niczym pączki w maśle i korzystają ze swojej bezkarności w przypadku przestępstw? To oczywiście narracja tych, którym na rękę jest stereotypizacja wizerunku Kościoła i duchowieństwa katolickiego.

W 2009 r. ks. Adam Kuszaj został oskarżony przez ministranta o wykorzystywanie seksualne. Chłopak miał wtedy 16 lat. W 2011 r. doszło do skazania księdza na pół roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata. Księdzu zakazano pracy z nieletnimi, usunięto go ze stanu duchownego i opuścił parafię w Jaworniku, miejscowości przy granicy polsko-czeskiej, gdzie posługiwał. Zatrudnił się jako robotnik i ukrywał swoją przeszłość. Trwało to aż do roku 2016, gdy szczęśliwie pojawili się nowi świadkowie, którzy podważyli zeznania oskarżenia. Byli to znajomi ministranta, którzy zeznali, że już po wyroku dowiedzieli się od niego, iż oskarżenie ks. Kuszaja było zemstą za to, że przestał on wspierać finansowo rodzinę oskarżyciela. Sprawa została wznowiona i w efekcie ks. Adama Kuszaja uniewinniono. Mógł wrócić do pracy duszpasterskiej, ale stracił 10 lat życia. – Walczyłem przez 10 lat. To było

bolesne doświadczenie. Moją pierwszą reakcją było przebaczenie ministrantowi, który niesłusznie mnie oskarżył – mówił potem dziennikarzom ks. Kuszaj.

Dosadniej wyraził się irlandzki ksiądz Tim Hazelwood, który także został fałszywie oskarżony, ale ostatecznie uniknął wyroku (za to jego oskarżycielka skazano na cztery lata więzienia): „Wolałbym zostać zastrzelony, prosto w głowę, niż przechodzić przez to, przez co musiałem przejść od momentu postawienia mnie w stan oskarżenia. Ale ta sytuacja dała mi lepszy wgląd w to, co musiał przeżywać Jezus Chrystus, który przecież również został fałszywie oskarżony. A skoro jego radą było, żeby wybacząć choćby i 77 razy, więc i ja muszę w sobie odnaleźć to wybaczenie dla Paula Andersona. I wybaczam mu. Wybaczam mu z całego serca. Szczerze proszę, żeby wysoki sąd wziął to pod uwagę przy wydawaniu wyroku na niego”.

Znany jezuita Grzegorz Kramer SJ tak pisał na swoim blogu w lutym 2019 r.:

„Boję się dnia, w którym ktoś mnie oskarży o molestowanie. [...] Nie, nie jest tak, że uczciwy człowiek, który nikogo nie skrzywdził, nie powinien się bać. Lęk jest i trudno z jego istnieniem dyskutować. [...] Kiedy zbliżają się zajęcia z dziećmi, czy to w parafii, czy w szkołach, to naprawdę boli mnie brzuch, bo boję się, że ktoś może dopatrzeć się czegoś, czego nie ma. Boję się, że któryś z rodziców po opowieści dziecka tak zinterpretuje moje słowa, zachowanie, że jutro będzie na plebanii policja”.

Ksiądz Adam, ks. Marek, ks. Łukasz, ks. Zdzisław Witkowski, ofiara Marka Lisińskiego, ale także tacy jak ks. Kramer żyjący w obawie. To tylko początek coraz dłuższej listy księży, których dotknęły oskarżenia lub strach przed bezpodstawnymi oskarżeniami. Jeśli przyjrzeć się takim przypadkom poza Polską, to znane są sytuacje śmierci z powodu zawału serca czy stany załamania nerwowego związane z nieprawdziwymi oskarżeniami. Pomówienie o gwałt czy molestowanie nieletnich jest dla wielu duchownych najgorszym, co może ich spotkać. Warto o tym pamiętać i być ostrożnym w wydawaniu pospiesznych wyroków. Niestety, wobec panującego klimatu przyzwolenia na nienawiść do Kościoła księża są dziś celem łatwym do trafienia, a przypadki uniewinnienia czy oddalenia oskarżeń już zbyt mało mediów nie interesują. To bardzo wymowne.



AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Zamienił pan polski Sejm na „Ranczo Pielgrzyma” w Nigerii. Co ma pan dzisiaj na ranczu do zrobienia? Prace przy zwierzętach, przy uprawach?

JOHN GODSON: Nie wszystko na ranczu robię sam. Zatrudniam pracowników. Pewnie panią zaskoczę, ale mój typowy dzień zaczyna się o godz. 4 rano. Najpierw medytuję Pismo Święte i modlę się. Potem zajmuję się sprawami biurowymi. Mieszkam w stolicy Nigerii, Abudży, gdzie budujemy ośrodek szkolenia zawodowego i mamy nowy oddział rancza, w którym są kury, wylęgarnia. Podróż do innych oddziałów rancza zajmuje ok. ośmiu-dziewięciu godzin drogi. Jestem tam kilka razy w tygodniu – robię inspekcję, sprawdzam, co robią pracownicy, czy wszystko działa jak należy.

„Ranczo Pielgrzyma” to ponad 600 ha ziemi. To pana prywatna inwestycja?

Pomysł na stworzenie rancza w Nigerii pojawił się jeszcze wtedy, kiedy byłem posłem. Odwiedziłem Nigerię i rozmawiałem z gubernatorem o moich planach. Powstał pomysł przekazania ziemi pod taką działalność, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. Kiedy już chciałem zrezygnować, jeden z moich współpracowników powiedział mi, że gmina, z której pochodzi, ma dużo ziemi leżącej odłogi. Zgodziła się przekazać ją pod ranczo w zamian za udziały w zyskach. Dzięki temu udało się rozpocząć działalność rolniczą, stworzyć miejsca pracy, szkolić rolników zakładających własne gospodarstwa.

Od początku miał pan taki pomysł, by po latach spędzonych w Polsce wrócić do Nigerii?

Tego w ogóle nie było w planach. Zresztą do Polski też przyjechałem tylko na dwa lata, a zostałem 25. Nie będę ukrywał, że kiedy byłem posłem, jednym z głównych zarzutów moich oponentów było to, że ja siedzę w Polsce i jest mi dobrze, a w Afryce ludzie cierpią. Wróciłem do rodzinnego kraju w 2016 r. z myślą, że to będzie tylko kilka lat. Z jednej strony do powrotu skłoniły mnie kwestie osobiste. Chciałem m.in. spędzić trochę czasu ze starzejącymi się rodzicami. Z drugiej strony, jeszcze będąc w Polsce, myślałem o tym, by rozpocząć w Nigerii działalność rolniczą i edukacyjną. Teraz doszedłem do wniosku, że to nie wystarczy. Nigeryjczycy potrzebują większych zmian, zmian systemowych, i stąd moja decyzja, żeby zaangażować się w politykę



**Z Johnem Godsonem,
byłym posłem na Sejm RP,
kandydatem na prezydenta Nigerii i rolnikiem
rozmawia Agnieszka Niewińska**



FOT. JOHN ABRHAM GODSON/FACEBOOK



i wystartować w wyborach na prezydenta Nigerii.

Do prezydentury jeszcze wrócimy. Zostaniemy przez chwilę na ranczu. Na zdjęciach, które pan udostępnia w sieci, widać, że żywego inwentarza nie brakuje.

W tej chwili mamy kozy, krowy, kury wraz z wylęgarnią, o której już wspominałem. Mieliśmy również świnię, ale w tej chwili ich już nie mamy. To, jakie zwierzęta hodujemy, zależy od tego, co się dzieje na rynku.

w Polsce. W sezonie marnuje się nawet 60–70 proc. produktów, bo ludzie nie znają procedur przetwarzania żywności. Wynika to z tego, że w Europie przychodzi zima. Wiadomo, że będzie taki czas, w którym nie ma świeżych warzyw w ogrodzie, dlatego robi się słoiki. W Nigerii świeże warzywa są przez cały rok, więc nikt nie myśli o tym, żeby je przetwarzać. Chcemy ich tego nauczyć, żeby warzywa się po prostu nie marnowały. Kolejnym segmentem naszej działalności jest edukacja. Wyszkoliliśmy już ponad

ma ponad 200 mln mieszkańców. Zanim będziemy mogli eksportować, minie trochę czasu.

Czyli w Polsce nie kupimy orzeszków nerkowca od Johna Godsona?

Ode mnie nie, ale jeden z naszych partnerów produkuje i eksportuje orzeszki nerkowca. Pomagamy mu w eksporcie.

Wrócił pan nie tylko do Nigerii, lecz także do pierwszego wyuczonego zawodu, bo choć skończył pan w Polsce studia m.in. z komunikacji, zarządzania zasobami ludzkimi, MBA, zrobił doktorat, to najpierw został pan inżynierem rolnictwa.

Ale moja rozłąka z rolnictwem nie trwała 25 lat. W Polsce mam sady owocowe, które dawały mi możliwość pracy na roli. Byłem też nauczycielem rolnictwa w szkole średniej. Kocham rolnictwo i ogrodnictwo, kocham zwierzęta. Zawsze, kiedy tylko miałem możliwość uprawiać rośliny, to to robiłem.

Uczy pan rolnictwa, przetwórstwa, tworzy miejsca pracy, ale jest pan też filantropem. Co roku w Nigerii przybywa stypendystów Fundacji Johna Godsona.

Sam, jeszcze jako student, byłem beneficjentem programu stypendialnego i to mi bardzo pomogło. Będąc w Polsce, przekonałem się, że warto fundować stypendia. Obserwowaliśmy dzieci, które stypendia dostały. Były bardzo wdzięczne i potrafiły je dobrze wykorzystać. Zaczęłem więc pozyskiwać środki na stypendia. Czasami gotowałem afrykański obiad do wylicytowania, a uzyskaną kwotę przeznaczaliśmy na stypendia. Raz udało się sprzedać taki afrykański obiad za 5 tys. zł.

W Nigerii potrzeba stypendiów jest jeszcze większa niż w Polsce, więc podjąłem decyzję, że będę kontynuował działalność stypendialną. Założyłem John Godson Foundation, która funduje stypendia, ma też program mentoringu. Co roku wybieram 100 osób, które chcą zostać przedsiębiorcami rolniczymi. W tej chwili mamy pod opieką aż 300 takich osób. Szkolimy je, pomagamy w założeniu gospodarstwa. Sporo z nich odniosło sukces, jestem z nich dumny. Niektórych zaprosiłem do naszego zespołu – jako mentorów dla kolejnych początkujących przedsiębiorców rolnych. Tak rozumiemy społeczną odpowiedzialność biznesu.

Za pośrednictwem serwisu zrzutka.pl można wesprzeć prowadzoną przez pana budowę

Z pierwszą zagraniczną wizytą przyjechałbym do Polski

Widziałam, że napisał pan książkę o komercjalizacji hodowli ślimaka. Macie ślimaki? Podobno na te nigeryjskie nie brakuje klientów na świecie.

Zbudowaliśmy specjalną oranżerię dla ślimaków, ale na razie ich nie mamy. Za to współpracujemy z firmą, która zajmuje się produkcją ślimaka. Hodowla zwierzęca to jednak niejedyny segment naszej działalności. Na ranczu zajmujemy się też produkcją roślinną, przetwórstwem rolno-spożywczym. Tutaj mam taki słów z sosem pomidorowo-paprykowym zrobionym kilka tygodni temu. Naturalnie, bez konserwantów. Dla ludzi tutaj to jest nowość, bo nikt nie robi słoików, tak jak

tysiąc młodych rolników. Prowadzimy też działalność w dziedzinie produkcji nawozów, a w planach mam także rozwój turystyki i rekreacji. Wypoczynek w gospodarstwach agroturystycznych tak popularny w Polsce, w Nigerii jest nieznanym. Ranczo to wiele różnych aspektów działalności rolniczej.

Produkowaną żywność sprzedajecie w Nigerii czy eksportujecie?

Eksport mamy w planach, ale na razie sprzedajemy nasze produkty na rynku wewnętrznym. W Nigerii zapotrzebowanie na żywność jest ogromne. Kraj



ośrodka szkolenia zawodowego. Co będzie się w nim działo?

To ma być obiekt wielofunkcyjny. Chcemy, by znalazły się w nim sale szkoleniowe, w których będziemy kształcić przedsiębiorców rolnych, ale także aneks kuchenny, baza noclegowa. Będziemy mogli zakwaterować osoby biorące udział w szkoleniu, a także wykorzystać miejsca noclegowe, przyjmując gości, w tym także z Polski. Widzę w Nigerii ogromną potrzebę edukacji, która wielu ludziom da perspektywę na przyszłość. Stąd pomysł budowy centrum szkoleniowego. Będzie ono służyć także innym prowadzonym przeze mnie projektom w Nigerii. Potrzebujemy 100 tys. zł, żeby ukończyć pierwszą fazę projektu budowlanego.

W Nigerii publiczne manifestowanie swojej wiary nie jest niczym dziwnym. To raczej w Polsce trudniej jest mówić o wierze. Z wielu stron słyszałem, że wiara to sprawa prywatna, że nie wypada publicznie na ten temat mówić. To nieprawda

Do Nigerii wrócił pan po wielu latach. Odnalazł się pan?

Dla mnie miejsce nie jest tak istotne. Nieważne, czy jestem w Polsce, w Chinach, w Japonii czy w Nigerii. Najważniejsze jest dla mnie poczucie, że robię coś, co sprawia, że Bóg może być ze mnie zadowolony. Czas w Polsce był dla mnie szczególnie, bo ludzie są bardzo gościnni, serdeczni, choć – jak wszędzie – zdarzają się jacyś odszczepieńcy. Nigeria jest moim rodzinnym krajem i boli mnie wiele rzeczy, które tu widzę. Często ludzie dziwią mi się i pytają: „Dlaczego pan wrócił?”. Oni przecież robią wszystko, żeby z Nigerii wyjechać. Chciałbym to zmienić.

W swoich mediach społecznościowych nie tylko relacjonuje pan wydarzenia z życia na ranczo, lecz także ewangelizuje – zamieszcza cytaty z Biblii, pisze o modlitwie, dzieli świadectwami. Jak przyjmowane jest to w Nigerii, w której obok siebie żyją wyznawcy różnych religii?

Nie nazywam tego ewangelizacją. Żyję po prostu swoim życiem, dzielę się z ludźmi tym, co mnie dotyka i tyle. W Nigerii publiczne manifestowanie swojej wiary nie jest niczym dziwnym, bo w społeczeństwach afrykańskich religijność jest bardziej akceptowana

niż w społeczeństwach europejskich. To raczej w Polsce trudniej jest mówić o wierze. Z wielu stron słyszałem, że wiara to sprawa prywatna, że nie wypada publicznie na ten temat mówić. To nieprawda. Skoro osoba niewierząca manifestuje, jaki film ogląda, jakie piwo lubi, co ją rajcuje, to dlaczego ja miałbym nie dzielić się publicznie tym, co mnie rajcuje? Pismo Święte mnie rajcuje, doświadczenie, które mam, mnie rajcuje.

Na Wielkanoc przyjedzie pan do Polski, by spotkać się z rodziną?

Nie, zostaję w Nigerii. Córkę z rodzinami są za granicą, ale w Polsce mieszka dwóch moich synów. Czekam jednak na poprawę sytuacji w związku z epidemią COVID-19. W poprzednich latach do Polski przyjeżd-

żałem co dwa miesiące. Ostatni raz byłem jednak w lutym ubiegłego roku. To najdłuższy okres bez odwiedzin w Polsce.

Jak nigeryjczycy obchodzą Wielkanoc?

Boże Narodzenie jest bardziej świętowane aniżeli Wielkanoc. W Polsce Wielkanoc jest bardzo uroczysta, religijna. W Nigerii nie jest aż tak. Oczywiście obchodzimy Wielki Piątek, idziemy tego dnia do kościoła. Podobnie w Niedzielę Zmartwychwstania, ale nie jest tak jak w Boże Narodzenie, kiedy ludzie przyjeżdżają z odległych części Nigerii, żeby spędzić dwa-trzy tygodnie w swojej rodzinnej miejscowości.

Przywykliśmy oglądać pana w garniturze i pod krawatem, tymczasem w Nigerii nosi się pan zupełnie inaczej, kolorowo.

Noszę ubrania z tradycyjnych afrykańskich tkanin ankara. Tutaj jest bardzo gorąco, dziś temperatura na zewnątrz to 35 st. C, więc nie można założyć garnituru, bo byłoby w nim po prostu za gorąco. Ankara to bawełniana tkanina, bardzo lekka i przewiewna. Wiele osób nosi ubrania ankara nie tylko na co dzień, lecz także jako ubranie odświętne, zamiast garnituru.

Musi pana ciągnąć do polityki, skoro po powrocie do Nigerii też się pan w nią zaangażował.

Zawsze mówiłem, że nie jestem politykiem, tylko społecznikiem, który wykorzystuje politykę, aby służyć ludziom i zmieniać rzeczywistość na lepsze. Mam bardzo wrażliwe sumienie społeczne. Jeżeli widzę, że dzieje się źle, i jest w mojej mocy, żeby to zmienić, to staram się to zrobić. Moja przygoda z polityką zaczęła się na łódzkim osiedlu Olechów-Janów, na którym mieszkalem. Ludzie zobaczyli moje interwencje i zaproponowali, żebym ich reprezentował jako radny i zastępcą przewodniczącego rady osiedla. Potem znalazłem się w radzie miejskiej i w Sejmie. Teraz angażuję się w Nigerii. To wynika z mojego charakteru. Nie jestem obojętny na krzywdę i nieporządek, jakie widzę wokół siebie.

Wybory prezydenckie w Nigerii odbędą się w 2023 r. Musi pan jeszcze stoczyć bitwę o prezydencką nominację w swojej partii All Progressives Congress. Ale porywać się na prezydenturę Nigerii? To bardzo poważne wyzwanie...

Tak, ale zawsze mówię, że dla mnie nie ma nic niemożliwego. Traktuję to jako misję i wiem, że Bóg będzie mnie obdarzał mądrością, żeby należycie ją wykonać. Mam wizję dla Nigerii. Chciałbym, żeby była państwem wykształconym, produktywnym, premiującym technologię. Zależy mi na walce z korupcją, która niszczy kraj. Nigeria jest bogatym państwem, największym eksporterem ropy w Afryce, ale politycy wykorzystują to wszystko dla prywatnych celów. Chciałbym to zmienić, przywrócić Nigerię Nigeryjczykom i pokazać im, że można mieć nowoczesne państwo w Afryce. Takie, które ludzie chcą odwiedzać. W latach 70. wiele osób przyjeżdżało do Nigerii studiować, korzystać ze służby zdrowia, ale tak już nie jest. Wierzę jednak, że znów może tak być. Jako prezydent będę chciał stworzyć atrakcyjne warunki życia w Nigerii i będę zachęcał nigeryjską diasporę rozsianą po całym świecie do powrotu do kraju, do inwestowania tu, na miejscu. Liczę na owocną współpracę z partnerami międzynarodowymi, w tym oczywiście z Polską.

Gdzie w pierwszą zagraniczną podróż wybierze się prezydent Godson?

Do Polski.

To jeszcze podpowiedzmy służbom dyplomatycznym, jak powinny pana w Polsce powitać? Za czym pan tęskni w Nigerii?

Brakuje mi ryby po grecku i zupy grzybowej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZA KSIĄŻKA PAWŁA LISICKIEGO

ODBIERZ DODATKOWY RABAT
-5%*

PRZY ZAMÓWIENIU
PODAJ HASŁO:
DO RZECZY

~~49,90 zł~~
29,90 zł

**Samozwańczy, antykatolicycy
zbawcy świata zrobią wszystko,
by zniszczyć Kościół.
Jak się temu przeciwstawić?**

Liczne w ostatnim czasie ataki na Kościół zmuszają do zadania sobie pytania o to, co jest dla nas najważniejsze. Czy bez Kościoła Polska byłaby sobą? Czy bez katolicyzmu istniałaby Polska kultura? O tym, jak z naszej świadomości chce się usunąć Jezusa Chrystusa, opowiada red. Paweł Lisicki.

Nazywanie rzeczy po imieniu może nam przysporzyć zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Jeżeli jednak się kocha – to nie ma innego wyjścia. Myślę, że Paweł Lisicki kocha Kościół i nie chce oddać go bez walki. Ta książka jest tego dowodem.

Marek Miśko,
publicysta, działacz społeczny



Zamówienia telefoniczne: 12 264 37 09, 12 395 70 72
(poniedziałek–piątek 8:00–16:30).

Przez internet: www.esprit.com.pl. Zamówienie na kwotę 99 zł lub więcej – przesyłka gratis.

* Kod rabatowy jest ważny do 11 kwietnia 2021 r.



Michał Anioł Buonarroti (1475–1564) zwrócił na siebie uwagę Polaków już w drugiej połowie XVI w. i to w takim stopniu, że dwa jego arcydzieła zostały z admiracją przywołane w pewnej relacji z podróży, a wyraźne inspiracje innymi objawiły się w kilku dziełach malarskich. Autorem relacji jest Maciej Rywocki; w 1585 r. tak pisał o słynnej „Piecie” w watykańskiej bazylice św. Piotra: „Na-przeciwko statuy św. Piotra jest kaplica bardzo piękna i kosztowna. W tej kaplicy jest ołtarz z misternego kamienia: Panna Maryja Pana Krystusa trzyma”. Ani rzeźbionych, ani malowanych kopii tego wysublimowanego arcydzieła nikt z naszych przodków w czasach renesansu nie zamówił, ale za to malarskie kopie, czy raczej adaptacje dwóch innych wersji „Opłakiwania” Michała Anioła, obydwie z późnej fazy jego twórczości, dotarły do Polski i szczęśliwie przetrwały do naszych czasów. Znajdują się w kościołach w Pułtusku, Łowiczu i Bieczu.

„OPŁAKIWANIE” W KOŚCIOŁACH W PUŁTUSKU I ŁOWICZU

Pierwszy z tych obrazów, z 1559 r., znajduje się w kaplicy grobowej bp. Andrzeja Noskowskiego w Pułtusku, drugi, nie najwyższej klasy artystycznej, namalowano kilkanaście lat później dla kościoła św. Leonarda w Łowiczu. Obydwa są rozbudowanymi wersjami „Piety”, którą Michał Anioł wykonał w technice rysunku dla Vittorii Colonnny ok. 1540 r., w czasie tworzenia „Sądu Ostatecznego” w kaplicy Sykstyńskiej. Przyjaźń artysty z przedstawicielką słynnego rzymskiego rodu Colonnów trwała ponad 10 lat, do jej śmierci w 1547 r. Ascanio Condivi w jedynej autoryzowanej biografii Buonarrotiego napisał: „Na życzenie tej pani wykonał [Michał Anioł] Chrystusa nagiego, który po zdjęciu z krzyża tak opada swoim martwym ciałem, że osunąłby się do stóp swojej przenaświętszej Matki, gdyby nie był przez dwóch aniołków podtrzymywany za ramiona. Ona zaś, siedząc pod krzyżem z twarzą płaczącą i bolesną, wznosi oba ramiona ku niebu z tymi słowami, które na pniu krzyża wypisane czytać można: »Nie myśli się o tym, ile krwi kosztuje«. Podczas gdy we wspomnianym przez Condiviego dziele ukazane są tylko cztery postacie – Matka Boska, Chrystus i dwaj aniołowie – na obrazach z Pułtuszka i Łowicza widnieją jeszcze dwie święte niewiasty,



Giovanni Battista Lombardelli, „Zmartwychwstanie”, fresk na ścianie ponad kaplicą Falconich w Santa Maria ai Monti w Rzymie, ok. 1600 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Moc sztuki Michała Anioła



Jerzy Miziołek

W Polsce jest kilka wybitnych dzieł sztuki o tematyce Wielkiego Tygodnia pochodzących wprost z twórczości Michała Anioła. Zaświadczają, że już w XVI w. mecenas kultury w naszym kraju dostrzegli geniusz wielkiego Włocha i jak on przeżywali misterium wielkanocne

św. Jan i Józef z Arymatei. Na pierwszym planie dostrzegamy nadto narzędzia Męki Pańskiej i kwitnące rośliny – zapowiedź Zmartwychwstania – które są nieobecne w niemal purystycznym i cechującym się rygorystyczną symetrią rysunku Michała Anioła.

Niewykle oryginalna kompozycja włoskiego artysty z przemyślanym układem rąk Chrystusa i Matki Boskiej (wyrażającymi Jej udział w Odkupieniu) doczekała się w XVI w. wielu innych adaptacji i niemal wiernych kopii wykonywanych w rozmaitych technikach artystycznych. W niektórych z nich, jak m.in. na tablicy Marcella Venustiego w rzymskiej Galleria Borghese, występują, podobnie jak w obrazach pułtuskim i łowickim, narzędzia

Męki Pańskiej. Warto tu nadmienić, że jedna z takich XVI-wiecznych kopii, niestety przemalowana, znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie.

„OPŁAKIWANIE” W OŁTARZU GŁÓWNYM W BIECZU

Ogromny obraz w ołtarzu głównym fary w Bieczu jest malarską wersją nigdy nieukończonego „Opłakiwania”, powszechnie znanego jako florencka „Pieta” Michała Anioła. Rzeźba ta, pierwotnie przewidziana na grób artysty w kościele Santa Maria Maggiore w Rzymie, ale z czasem przewieziona do Florencji, cieszyła się ogromną popularnością, lecz nie w wersji rzeźbionej, a malowanej, co pozwalało na tworzenie rozbudowywa-



Malarz włoski, „Opłakiwanie”, obraz w kaplicy biskupa Noskowskiego w Pułtusk, 1559 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Malarz włoski tworzący w drugiej połowie XVI w., „Opłakiwanie” w ołtarzu głównym fary w Bieczu, olej na płótnie, ok. 1570 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

nych jej wersji. Warto tu przytoczyć opis tego arcydzieła pióra Karoliny Lanckorońskiej z jednego z niemal zupełnie zapomnianych artykułów tej wybitnej uczzonej i wielkiej patriotki: „Najważniejszą w tej grupie czteroosobowej postacią jest Chrystus, którego zwłoki stojący nad nim Nikodem podpira i zarazem składa na kolana matki. Maria, siedząc na kamieniu, przyjmuje zwłoki syna, a opadającą jego głowę niewymownie tragicznym ruchem podpira, przysuwając swą twarz do jego twarzy. Martwe nagie ciało Chrystusa jest przedstawione w silnym kontrastie. Głowa opada na prawo, a wspaniały o kłasicznej piękności tułów silnie się wygina na lewo, podczas gdy nogi znów załamują się w kolanach w kierunku przeciwnym. [...] Postać Nikodema w górze tworzy jakby szczyt trójkąta, a ręką prawą zdaje się podpirać ramię Chrystusowe, całą swą postacią i ruchem obejmuje on i matkę, i syna, i łączy się z nimi w nierozdzielalną całość. I Nikodem, i Maria są okryci grubymi, ciężkimi szatami, spod których form ich ciał nie widać, fakt ten jeszcze silniej podkreśla kontrast między tymi postaciami a wspieranymi liniami aktu Chrystusa. Wymienione trzy postacie tworzą grupę niesłychanie zwartą. Patrząc na nie, mamy dziś jeszcze wrażenie, że widziemy kształt bloku, który je niegdyś w sobie zamykał”.

W tym przejmującym, pełnym smutnego liryzmu dziele obecny

jest również sam rzeźbiarz; jego rysy rozpoznajemy niemal na pierwszy rzut oka w obliczu Nikodema. Pomimo tego szczególnego „zjednoczenia” ze swą grupą rzeźbiarską artysta pozostawił ją nieukończoną, co więcej – uszkodził w akcie rozpacz, o czym pisze Vasari i co możemy sami łatwo dostrzec. „Michał Anioł – pisze Vasari – odkuwał [w swej rzymskiej pracowni] niemal codziennie owo »Opłakiwanie« z czterema figurami. Połamał jednak rzeźbę z następujących względów: złom marmuru miał szczyrb, był twardy i przy pracy dawał iskry. A może i dlatego tak wysokie stawiał wymagania przed sobą, że nigdy nie był zadowolony z tego, co wykonał”.

O wielkiej popularności dzieła Michała Anioła świadczy znaczna liczba jego kopii; 15 z nich to obrazy. Zwykle, tak jak na płótnie w Bieczu i na współczesnym mu obrazie w rzymskim kościele Madonna dei Monti, widzimy w nich trzy dodatkowe postacie: św. Jana odzianego w czerwony płaszcz, skrywającego w geście rozpacz twarz w dłoniach, i dwie niewiasty; jedna z nich, klęcząca, z rozpuszczonymi włosami i prawą dłonią na sercu to zapewne Maria Magdalena. W porównaniu z rzeźbą obrazy mają zatem znacznie rozbudowaną kompozycję i tym samym potęgają emocje – na szczycie pozostaje Nikodem czy Józef z Arymatei, niemający już jednak rysów Michała Anioła. Scena rozgrywa się w pięknym, lesistym

pejzażu, u stóp częściowo tylko widocznego krzyża; pod nogami Chrystusa leżą narzędzia Męki Pańskiej.

ZMARTWYCHWSTANIE

Niniejsze uwagi o sile oddziaływania sztuki Michała Anioła zakończmy przywołaniem wykonanej pod jego wpływem sceny „Zmartwychwstania”. Znajduje się ona ponad wspomnianym obrazem „Opłakiwania” w rzymskim kościele Madonna dei Monti. Artysta ukazał potęgę boskiego światła wyrażoną złotym tłem i blaskiem smukłego ciała Zmartwychwstałego Chrystusa rozświetlającego mroki nocy i przerażonych żołnierzy. Jedyne w swoim rodzaju jest też oblicze Zbawiciela, a szczególnie oczy płonące nadprzyrodzonym światłem, co czyni to przedstawienie niezwykle nowatorskim i niejako zapowiada efekty stosowane przez El Greca. Bliższa analiza fresku nie pozostawia wątpliwości, że jego autor obficie czerpał ze sztuki Michała Anioła i jego naśladowców. Pozy większości przedstawionych przez niego żołnierzy – zarówno tych ukazanych od przodu, jak i odwróconych plecami do patrzącego – wzorowane są na pozach postaci widocznych w ostatnich dziełach malarzkiego włoskiego geniusza, w scenach „Nawrócenia się św. Pawła” i w „Ukrzyżowaniu św. Piotra” w Cappella Paolina na Watykanie.

Tak więc potęga sztuki Michała Anioła zdumiała nie tylko mieszkańców Itali, lecz także szybko dotarła do Polski i wpisała się w pogłębione przeżywanie misterium Wielkiego Tygodnia i Wielkanocy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Michał Anioł Buonarroti, tzw. Pieta florencka, ok. 1560 r., Museo dell'Opera del Duomo we Florencji FOT. DOMENA PUBLICZNA



W naszych niezwykłych czasach – obok pięćdziesięciu kilku płci ogłoszonych przez awangardę ludzkości LGBT – objawiła się rzadka dość rasa mężczyzn. Rasa ta wyrośnięta i rozwinięta zgodnie z wiekiem zachowała jednakowoż mentalność rozwydrzonego małolata, któremu wszystko wolno, a przede wszystkim z małą złośliwością atakować wolno mu sprawy dla innych ludzi święte. Wśród nich jest prominentny, sławiony, czczony i wielbiony (nazywany niekiedy najciekawszym dramaturgiem polskim) Paweł Demirski. Właśnie nakładem Starego Teatru, ostatniej przystani tego geniusza, ukazał się wybór jego dramatów (a w nim „Bitwa Warszawska 1920”, „nie-boska komedia. WSZYSTKO POWIEM BOGU!”, „Triumf woli”, „Rok z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej”, „Jeńczyzna”). Gdyby to było 20 lat temu, to nazwałabym je po prostu grafomanią i nawet by mi ręka nie drgnęła, aby o nich pisać. Ale czasy są inne. Trzeba oddać serwitut konwenansom, nie do końca wszakże. W końcu twórczość – prawda, że wczesną – analizując uczeni w piśmie w „Tekstach Drugich”, a niezawodna „Gazeta Wyborcza” piórem nieznanego mi recenzenta zapewniała, że dramaty P.D. nie tylko świetnie się ogląda, lecz także świetnie czyta. Co do oglądania – nic nie wiem. Ale czyta się? Na pewno nie świetnie, za to szybko, byle szybciej do końca. Taki zresztą brat bliźni Kuby Wojewódzkiego, wciskającego polski sztandar w psią kupę, krótki żywot dla nich przewidział. Są to produkty instant (jak kawa czy zupki z proszku) i przy każdym autor zamieszcza krótki spis niezbędnych składników.

ANI POLSKA, ANI HISTORIA, ANI PRAWDA

Recepis na „Bitwę Warszawską 1920” jest taki oto: Cyprian Kamil Norwid „Moja ojczyzna”, Julian Tuwim „Do prostego człowieka”, Michał Isakowski „Katuszka”, „Zachodzące słońce” (i niewymieniony przez autora Norwidowski fragment z „Popiołu i diamentu”). Bitwa Warszawska, ta, która ocalała Europę przed bolszewizmem, w optyce Demirskiego ma całkowicie odwrócone wektory: zdradca Dzierżyński recytuje patriotyczny wiersz Norwida, Piłsudski to uosobienie abulii, nieudacznictwa, ks. Skorupka (nawet jemu nie darowano!) odzywa się tekstem godnym Marty Lempart („Ja ostatniego

Sztandar w psiej kupie



Elżbieta Morawiec

Wybór dramatów Pawła Demirskiego to lektura, którą czyta się szybko – jak najszybciej, żeby tylko już skończyć

namaszczenia tam udzielałem, smród chłopak się zesrał, mnie pyta: »po co ja tu poszedłem, po co mnie ksiądz namawiał w klasie«). Po planie scenicznym snują się jeszcze różni reprezentanci tzw. ludu, z Polską Mamą na czele, generał Weygand. Produkt miał premierę w 2013 r., ale ostał się na scenie do 100. rocznicy bitwy. Kto siedział na widowni w tamtych latach? Ano m.in. mocno niedouczona młodzież (Czy słyszała o Bitwie War-

szawskiej, o Żeromskiego „Na plebanii w Wyszkowie”, o 100-tysięcznym ochotniczym zaciągu do armii – inteligencji, studentów, robotników, harcerzy? Można wątpić). Recenzenci jednak pławili się w zachwytach. Znany z awangardyzmu Łukasz Drewniak pisał np.: „Demirski i Strzępka zagęścili polski spór o kształt i sens niepodległości” („Dziennik Polski” 2014/1). Wtórował mu Marcin Kościelniak z „Tygodnika Powszechnego”:

FOT. FLIP RADWAŃSKI/FOTURIA



„Historia Demirskiego i Strzępki jest historią współtworzoną przez tych, którym na kartach wielkiej historii odebrano głos. [...] chodzi o to, aby złamać pieczęć wielkiej historii i przepisywać ją na własny rachunek” („TP” 2013/26). „Własny rachunek”? Toż to czysto bolszewicka, skłamana od A do Z wizja historyczna, o której jedyny sprawiedliwy Andrzej Horubała napisał, że to tragedia narodowej zdrady. Demirski nie uczył się bowiem od Żeromskiego, ale od prezydenta, pozał się Boże, historyka, Komorowskiego, który to po katastrofie smoleńskiej zamierzał pomnik sowieckim bajcom w Ossowie wystawić. Na szczęście na miejscu był lud pamiętający. Ktoś, jak cytowany wyżej recenzent, chce nam wmówić, że to „odbrazawianie” w Boyowskim stylu, a to po prostu ponura, tandetna bolszewicka indoktrynacja. Przyrządzona przez kogoś, kogo głównym zainteresowaniem jest sukces przez skandal i wynikające stąd beneficja. Ani Polska, ani historia, ani prawda.

WYTNII I WKLEJ

Kolejne „dzieło historyczne” Demirskiego – „nie-boska...” – weszło na scenę już w grudniu 2014 r., razem z „Triumfem woli”. Pierwsze na scenie Kameralnej, drugie na Dużej. A stało się, że zespół aktorski przy sporym wsparciu osób z zewnątrz nie dopuścił do przygotowywanego przez Frljcia spektaklu „Nie-boskiej”, który miał nie tylko Krasińskiego oskarżać o antysemityzm, lecz także Swinarskiego, wielką legendę Starego, przefasonować na antysemitę. Czego nie zdołał zrobić chorwacki hochsztapler, tego dokonał zdolny do wszystkiego Demirski. Twórcza metoda – „wytnij i wklej” – i tu, i zwłaszcza w „Triumfie woli” triumfowała. Czegóż w tej „nie-boskiej...” nie było. Z oryginalną uchwalała się scena rozmowy Hrabiego Henryka z Pankracym, towarzyszyło im stąd i owąd powycinane wiele. Wszystkiego wymieniać niepodobna, ale całkowicie zasadna była „Psychosis” Sarah Kane, a bezzasadne szlagiery muzyki pop, z Davidem Bowie na czele. Całość zamykały suplikacje. A na scenie „przepełnionemu hrabiemu” towarzyszyli Ojciec, Wincenty, żona, Orcio, liczne Dziewice, Przechrzyty oraz Rotschild. Założenie o antysemitości Krasińskiego i jego „Nie-boskiej” zostało utrzymane i potwierdzone. Tym razem u kolebki stał już nie „historyk” Komorowski, ale sama profesor Maria Janion,

uczona wytrwale ścigająca antysemityzm Krasińskiego od najmłodszych naukowych lat aż do wieku starczego, ale ścigająca go też wszędzie i u wszystkich.

Jakoś tym razem gwiazdom Starego Teatru nie przeszkadzał jadowity obskurantki, a nade wszystko koniunkturalny antypolonizm Demirskiego. Grały w przedstawieniu Anna Radwan, Dorota Pomykała i sama magnificencja z Akademii Sztuk Teatralnych, Dorota Segda. A pani rektor sześć lat potem zaszczyciła autora grą w czystej literackiej pornografii pt. „Jeńczyzna”. W tym ostatnim dziele nastąpiło tak straszliwe zabełkotanie materii, że nie warto się nad nim dłużej pochylać.

Demirski jest czujnym snobem i wie, co się nosi w tzw. postępowych środowiskach. Tak więc wprowadza hasłowo do „Jeńczyn” film Larsa von Triera („Prze-



PAWEŁ DEMIRSKI
„TEKSTY DLA
(STAREGO)
TEATRU”
WYDAWNICTWO
NARODOWEGO
STAREGO TEATRU
2021

łamując fale”), z którego śmiało można wykroić stosowny manifest dla naszych „seksualnie odmiennych”. Dialogi są wyrafinowane, np.: „Czy jesteśmy zeszczonymi pluszakami, których nikt nie chce ruchać?” albo: „Mam męża kretyna, który mnie nie rucha”. A skąd „Jeńczyzna”, słowo nieistniejące jako damski odpowiednik „jeńca”? Jest to ludzkie (kobiece) mięso – jak wołowina czy cielęcina, dbające wyłącznie o to, co wyżej. A że dzisiaj napisać tudzież poddać „naukawej” analizie wolno i trzeba wszystko, to spektakl określono jako „Odyseję erotyczną 2020”.

W czasach zamętu i manipulacji, w których żyjemy, niewielu szanuje wartość słowa. Tylko wielki poeta potrafi napisać: „Dobre życie musi zachować lojalność wobec czystych słów. Wtedy słowa ocalają” (Jan Polkowski, „Pandemia i inne plagi”). Dla Demirskiego język jest drugorzędny elementem dramatu – potrzebny tylko jako swoisty wypełniacz kwestii postaci i quasi-dialogu między nimi. Laboratoryjnym wręcz przykładem tego, jak funkcjonuje ta dramaturgia, jest „Triumf woli”. Skąd nawiązanie do propagandowego filmu Leni Riefenstahl

o zjeździe NSDAP? To jedna z podpór (drugą jest Szekspirowska „Burza”), wokół której jak liana na drzewie oplata się utwór Demirskiego. „Triumf woli” ma wszelkie cechy manifestu – oto ja, Paweł Demirski, twórca niczym nieskrępowany, przeciwstawiam się wszelkiemu porządkowi – najpierw temu hitlerowskiemu z filmu Riefenstahl, potem temu, któremu patronuje bóstwo partyjniactwa (czytaj: Jarosław Kaczyński w „Roku z życia...”). Oto ja, Demirski, konkuruję z wyspą czarów Szekspira, ja, Prospero wieku XXI. I sięga Prospero Demirski po Wikipedię, kreując orszak maga teatru, w którym są: Szekspir, Rachel Carlson (pionierka ekologii), Kathrin Switzer, samońska reprezentacja piłki nożnej, przemknie nawet fa’afafine’a (tak zwą trzecią płcią na Samoa), joga śmiechu, Songhoy Blues, Dasrath Manjhi, geje popierający strajk górników (angielskich) i paru innych.

Co łączy Switzer, biegaczkę, która w 1967 r. uczestnicząc w maratonie, została zdyskwalifikowana (maraton zastrzeżony był wtedy dla mężczyzn), z Dashrathem Manjhi, Hindusem, który przez 22 lata kopał tunel przez górę w rodzinnej wiosce, aby skrócić drogę do miasta, i z samońską reprezentacją piłki nożnej, której drużyna Australii wbiła 31 goli? Tym spoiwem jest dziwność – by nie powiedzieć dziwactwo – przygód z losem. I tak to Szekspirowska wyspa „czarów tajemniczych” przeobraża się w jakiś gabinet osobliwości naszych czasów.

I taki właśnie – cyrkowo podrzędny – jest strawestowany „Triumf woli” pana P.D., bożyszczka „nowej krytyki”, lwa pierwszych scen w Polsce. Jego nadzwyczajny talent marketingowy sięgnął już po Warszawę i Teatr Polski, gdzie nasz bohater w dobie beczeszczczenia kościołów kazał na scenie spłonać jakiejś kościelnej budowli. Jak rasowy propagandysta doskonale wiedzący, co jest w danym momencie na fali.

Wyrośnięty chłopiec w wieku późnośrodkim, sprawnie posługujący się komputerem oraz innymi gadżetami Big Tech. Żaden tam człowiek lewicowych czy jakichkolwiek przekonań. Przeciwnie, człowiek zupełnie bez przekonań, mały szarlatan, z uchem czujnie nastawionym na to, co „bierze”, co jest na fali. Mały szarlatan, który pozornie tylko pali kościoły na scenie, mały szarlatan i cyniczny podżegacz do niszczenia wszelkiej kultury.



Filmy, które nie powstały



Dyzma na ekranach zagościł najpierw w interpretacji Adolfa Dymy, a potem zagrał go Roman Wilhelm (na zdjęciu) FOT. INPLUS/EAST NEWS



Tomasz Zbigniew Zapert

W oko kamery wpadła niejedna polska książka. Rezultaty były rozmaite

Pierwszą próbę przeniesienia na ekran opus magnum Tadeusza Dołęgi-Mostowicza pt. „Kariera Nikodema Dyzy” uniemożliwił lęk przed sanacyjną władzą. Eugeniusz Bodo, planujący u schyłku lat 30. ową adaptację z sobą w roli tytułowej, a także reżysera oraz producenta, przestraszył się, że cenzura dostrzegając polityczny wydźwięk filmu, albo zablokuje rozpowszechnianie, albo dokona tak dalekich ingerencji, że nie da się go oglądać. A to oznaczałoby bankructwo. Dyżma zagościł więc w kadrze dopiero w PRL. Najpierw w karykaturalnej interpretacji Adolfa Dymy, a potem w kongenialnej – Romana Wilhelme.

Na jesień roku 1939 zapowiadało premierę adaptacji filmowej „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej, autorstwa tandemu reżyserskiego Wanda Jakubowska i Karol Szołowski, wykorzystujących autentyczne plenery powieściowe. Wiodące postaci odtwarzali: Elżbieta Barszczewska, Jerzy Pichelski, Mieczysława Ćwiklińska, Stanisława Wysocka i Bogusław Samborski. Z końcem sierpnia film ukończono. Zorganizowano nawet pokaz zamknięty dla kiniarzy i recenzentów, którzy zjednoczyli się w pozytywnych opiniach. Niestety, 1 września wyrzucił do góry nogami również przewidywany repertuar polskich kin. Wprawdzie Niemcy pozwolili dokończyć realizację kilku naszych filmów, a następnie umożliwili ich dystrybucję, lecz hołdującego polskości „Nad Niemnem” dotyczyć to nie mogło. Osoby odpowiedzialne za staranne ukrycie pudełek zawierających trzy jego kopie wojny nie przeżyły. Poszukiwania okazały się bezowocne. Za to pół wieku później Zbigniew Kuźmiński nakręcił wersję wierną literackiemu oryginałowi.

Kilkakrotnie usiłował dostać się na ekran Franciszek Kłós. W 1945 r., nakładem prywatnego wydawcy Eugeniusza Kuthana, ukazała się pierwsza powojenna książka Stanisława Rembeka – „Wyrok na Franciszka Kłosa”. W zbeletryzowanej formie nawiązywała do autentycznych zdarzeń z okupacyjnego życia Grodziska Mazowieckiego i okolic. Tytułowy bohater, wysługujący się hitlerowcom granatowy policjant, został zastrzelony z wyroku Polskiej Podziemnej, autora zaś interesowały głównie motywy kierujące ludzi na drogę współpracy z wrogiem. Entuzjastyczne omówienie powieści zamieścił na łamach „Tygodnika Powszechnego” Stefan Kisielewski, chwalił ją również Kornel Makuszyński i Aleksander Bocheński. W roku 1963 utwór zainspirował Stanisława Lenartowicza. „Parokrotnie spotykałem się z prozaikiem, pracującym nad scenariuszem. Gdy był gotowy, rozpatrywała go – jak to było wtedy w zwyczaju – komisja »fachowców«. Zdania były podzielone. Aleksander Ścibor-Rylski, Jerzy Stefan Stawiński i Jerzy Pomianowski dopatrzy-



li się oryginalnego spojrzenia na okupacyjną codzienność polskiej prowincji i celnego ukazania, w jaki sposób pod wpływem zła łamią się ludzkie charaktery. Natomiast Jerzy Toeplitz, jego bratanek Krzysztof Teodor, Jan Alfred Szczepański i szef Komitetu Kinematografii Tadeusz Zaorski uważali, że ten wizerunek wojennej rzeczywistości jest wypaczony. Padło nawet zdanie o wodzie na młyn zachodnoniemieckich rewizjonistów, co de facto oznaczało skazanie projektu na niebyt – wspominał reżyser, który miał już wstępnie przygotowaną obsadę aktorsko-realizatorską. Rola tytułowa – Bogumił Kobiela, ponadto: Irena Karel, Stanisław Jasiukiewicz, Zygmunt Kęstowicz, Henryk Bąk, Bogusz Bilewski, Leszek Herdegen, Mieczysław Pawlikowski, Bernard Ładysz... A o ścieżkę dźwiękową miał zadbać Henryk Czyż.

W 1982 r. do sfilmowania tejże powieści przymierzali się – niezależnie od siebie – Edward Żebrowski i Grzegorz Królikiewicz. Kolaboracja w okresie stanu wojennego kojarzyła się jednak zbyt aktualnie, więc cenzor powiedział stop na samą wieść o tych próbach. Dopiero w III RP, za sprawą Andrzeja Wajdy, książkę sformatowano na spektakl telewizyjny. Efekt, przez grzeczność, przemilczę.

PRZEPROWADZKA GEOGRAFICZNA

Premiera dramatu sensacyjnego zatytułowanego „Przemytnicy” miała miejsce w roku 1985. Scenarzyści Jan Purzycki i Włodzimierz Olszewski wykorzystali w niej epizody „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy”, bestsellera literatury międzywojennej. Niestety, w napisach zabrakło o tym informacji. Zapewne z uwagi na personalia jego autora, Sergiusza Piaseckiego, figurującego na czołowej pozycji cenzorskiej listy proskrypcyjnej. Obraz okazał się kląpą. Wysiłki aktorów tej miary co Janusz Gajos, Bożena Dykiel czy Henryk Bista poszły na marne.

U progu transformacji ustrojowej z tymże utworem usiłował zmierzyć się Janusz Majewski. Bezskutecznie. Po pierwsze, zabrakło funduszy na pokrycie niebagatelnych kosztów batalistyki, dekoracji czy kostiumów niezbędnych dla zapewnienia wierności filmowym realiom. Po drugie, nastały czasy, kiedy również w kinematografii wybraliśmy wówczas przeszłość – dowodem fala

krytyki, jaka zalała „Szwadron” na kanwie prozy Rembeka w reżyserii Juliusza Machulskiego.

W tym samym okresie Andrzej Kostenko zainteresował się powieścią Waldemara Łysiaka „Szachista”. Wkrótce parafovano stosowne umowy wstępne z producentami francuskimi i brytyjskimi, negocjowano kontrakt z Niemcami, chęć udziału w przedsięwzięciu i jego współfinansowaniu deklarowały Telewizja Polska oraz Komitet Kinematografii. Pierwszy klaps miał paść jesienią 1993 r. Scenariusz – „Szach cesarzowi!” – firmował Kostenko wraz z Gilles’em Adriennem oraz Gerardem McDonalodem. Projekt pozostał na papierze. Może to i dobrze, zważywszy na anons Kostenki, zawarty we wniosku o dotację pieniężną, definiujący dzieło jako... komedię akcji (!), co czytelników powieściowego pierwowzoru bez wątpienia zbulwersowało. Reżyser in spe wyjaśniał: „„Szach cesarzowi!” adresowany jest do szerokiej widowni. [...] Mam zamiar połączyć styl filmu sensacyjnego, przygodowego z widowiskiem historycznym, kładąc duży nacisk na realizm szczegółów w warstwie wizualnej oraz faktograficznej. Dodając do tej mieszanki (w dialogach i sytuacjach) współczesne elementy komedio-we, chciałbym dać widzowi odprężenie i zabawę z jednoczesną przyjemnością płynącą z obserwacji malowniczości epoki napoleońskiej”.

Powyższe założenie deformowało książkę, odzierając ją z akcentów politycznych. Nadto usunięto niektóre postacie, inne poddano znaczącemu retuszowi, zaś miejsce wyrachowanej intrygi szpiegowskiej, pełnej psychologicznych niuansów, zastąpiły tricky made in Hollywood – w myśl zasady „zabili go i uciekli”.

Dajmy na to powieściowy Benjamin Bathurst to młody arystokrata, krewny jednego z polityków brytyjskich dowodzących operacją porwania Napoleona, do którego miało dojść w Gostyniu, przy okazji partii królewskiej gry toczonej przez cesarza Francuzów z protoplastą robota. W scenopisie Bathursta złuzował starszy od niego oficer marynarki, skazany na karę śmierci za odmowę wykonania absurdalnego rozkazu w trakcie bitwy. Włoska tancerka Julia przeistoczyła się w gardzącą Małym Kapralem francuską arystokratkę, szpiegującą na rzecz Albionu. W męskim wcieleniu – tu scenarzyści wykazali się profetyzmem –

doszłusowała do wędrownych kuglarzy, napataczając się przy okazji na owego marynarza. Dalej trup miał słać się gęsto, pościgi goniły pojedynki, a absurdy podległy multiplikacji, wiodąc – rzecz jasna – do ckiego epilogu. Wielce wątpliwe, czy przedsięwzięcie uratowałyby kandydujący do roli głównej Timothy Dalton, szukający nowych wyzwań aktorskich po krótkotrwałym pożyciu z agentem 007, Jamesem Bondem.

PONURY CIEŃ „ZŁEGO”

Fiaskiem zakończyły się podchody filmowców do „Złego” Leopolda Tyrmanda. Jako pierwszy o transferze tej powieści na taśmę filmową pomyślał, jeszcze u schyłku Polski Ludowej, Krzysztof Gradowski. W roli pogromcy półświatka Warszawy lat 50. zeszłego stulecia widział Edwarda Żentare.

Henryk Dasko, polski emigrant zamieszkały w Kanadzie, entuzjasta twórczości Tyrmanda, pośredniczył w zakupie od wdowy po pisarzu praw do adaptacji filmowej – za 5 tys. dol. Scenariusz z przyszłym reżyserem tkali Michał Komar i Ryszard Marek Groński. Budżet zamykał się kwotą 10 mln zł. Stolicę z czasów bierutowszczyzny miało imitować czeskie miasto Most, którego znaczna część zabudowy legła w gruzach na skutek szkód górniczych. Kres inicjatywie przyniosła decyzja o zmniejszeniu – o połowę! – dotacji.

Ekranizacja „Złego” odżyła kilkanaście lat później. Najpierw przy kamerze miał czuwać Xawery Żuławski, lecz na skutek braku akceptacji scenariusza przez zarządzającego prawami autorskimi Matthew Tyrmanda, syna pisarza, przedsięwzięcie nie doszło do skutku. Potem mówiło się o reżyserii Łukasza Palkowskiego, a ostatnio – Mariusza Paleja.

W poczekalni tkwi projekt adaptacji filmowej reportażu historycznego Cezarego Chlebowskiego „Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie” w reżyserii Konrada Łęckiego. Powodem – brak pieniędzy, co mocno dziwi, skoro znajduje się państwowa kasa na dziełka niemające nic wspólnego z krzewieniem patriotyzmu. Skądinąd tę książkę, sprzedawaną w PRL spod lady, zamierzał filmować przed 40 laty Ryszard Filipski. Pragnął także wcielić się w jej bohatera – cichociemnego, mjr. Jana Piwnika ps. Ponury. Po 13 grudnia 1981 r. pomysł stracił jednak szanse na urzeczywistnienie.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Requiem dla pokolenia



★★★★★
REŻ. ANTHONY RUSSO, JOE RUSSO
„CHERRY: NIEWINNOŚĆ UTRACONA” („CHERRY”)
USA 2021

wyst. Tom Holland,
 Ciara Bravo

Nowý film braci Russo (ostatnio speców od superprodukcji z logo Marvela) to ekranizacja literackiej sensacji ostatnich lat w USA, powieści „Świeżak” Nico Walkera (rekomendowałem ją kilka miesięcy temu w „Do Rzeczy” 46/2020). Historia częściowo autobiograficzna: Walker zaciągnął się do armii, trafił jako medyk do Iraku, wrócił dotknięty ciężkim stresem pourazowym, wpadł w narkotyki, a potem zaczął napadać na banki. Skazano go na 11 lat więzienia. Za zachętą dziennikarza, który napisał o nim artykuł, w więzieniu Walker zaczął pisać. Okazało się, że ma talent, a za prawa do ekranizacji

jego pierwszej powieści zapłacono milion dolarów.

Filmowego Walkera gra Tom Holland i jest to kreacja godna uwagi. Niepewny siebie chłopak znany z roli Spider-Mana próbuje pokazać, że jest prawdziwym aktorem, i wychodzi mu jeszcze lepiej niż w niedawnym „Diable wcielonym” Antonia Camposa. A robota jest trudna, bo główny bohater filmu „Cherry” to taki trochę człowiek bez właściwości. Najpierw nastolatek, który nie wie za bardzo, co chciałby robić w życiu, potem żołnierz próbujący zrozumieć wojnę stającą się jednak żywioł nie do pojęcia, potem ofiara własnych demonów, aż wreszcie zżerany nałogiem wrak człowieka, który cudem tylko nie

kończy w grobie. Niesie więc Holland na barkach cały film. Równie dobrze wypada partnerująca mu Ciara Bravo (najpierw ukochana, potem żona, a na końcu partnerka w ćpaniu).

„Cherry” ma wady. Zbyt często bracia Russo idą w techniczną gładkość kosztem emocjonalnej głębi. Są sceny przegadane, zbyt dosłowne. Brakuje zmian rytmu, tempa, brakuje odrobiny szaleństwa, może czarnego humoru równoważącego patos – bywa jednostajnie. Film jest nieco za długi i nie służy mu dopisane na siłę zakończenie (inne niż w książce i inne niż w prawdziwym życiu Nico Walkera). A jednak nie da się go zlekceważyć, bo pokazuje kawałek prawdy o kłopotach współczesnej Ameryki i o zagubieniu młodego pokolenia. Każda generacja ma takie „Łowcę jeleni”, „Full Metal Jacket” czy „Requiem dla snu”, na jakie zasługuje. Braciom Russo brakuje wściekłości, przenikliwości i talentu twórców wspomnianych klasyków, ale idąc ich śladami, próbują, na ile potrafią. I warto tę próbę zauważyć. ©©



NOWE SERIALE: „FERAJNA Z BAKER STREET”

Czytelnicy opowiadań o Sherlocku Holmesie znają ich jako „partyzantów z Baker Street” – grupę dzieciaków z ulic Londynu tworzących siatkę informatorów słynnego detektywa. W serialu są to już nastolatki wpłątane, wraz z Holmesem i Watsonem, w dochodzenia związane ze zjawiskami nadnaturalnymi. Twórcą opowieści jest Tom

Bidwell, scenarzysta znany przede wszystkim z serialowej adaptacji „Wodnikowego węgla” (także dla Netflix). W „Ferajnie...” mózgiem operacji przeciw zjawiskom nie z tej ziemi czyni doktora Watsona. Holmes jedynie spija śmietankę. ©© **Piotr Gociek**
 • sezon 1 „Ferajna z Baker Street” („Irregulars”)

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• reż. Joe Carnahan
 „Poziom mistrza” („Boss Level”),
 Stany Zjednoczone 2021





Rejs pod wiatr

cda
PREMIUM

Nic dziwnego, że z Holendrami nie nadajemy na tych samych falach. Nasze drogi rozeszły się już w połowie XVII w., gdy Rzeczpospolita pogrążyła się w kryzysie, a Zjednoczone Prowincje stały się mocarstwem. Państwo polskie było teoretyczne, oni mieli sprawny rząd i mogli grać na nosie Hiszpanom, Francuzom i Anglikom.

Kupiecka republika, uchodząca za enklawę wolności i religijnej tolerancji, stała się europejskim monarchom ością w gardle. Żeby dobrać się do Niderlandów, musieli jednak najpierw pokonać flotę dowodzoną przez Michiela de Ruytera, wilka morskiego o podwójnym podbródku. Biografia admirała godna jest serialu, ale Holendrzy poprzestali na filmie o jego

walce w obronie zagrożonej ojczyzny. No cóż, na historyczne superprodukcje stać tylko najbogatszych, bitew z udziałem olśniewających żaglowców nie sprzedają w osiedlowym sklepie komputerowym, a nadmiar patosu i słów motion odstrasza młodzież.



★★★★★

REŻ. ROEL REINÉ
„ADMIRAŁ”
(„MICHEL DE RUYTER”)
HOLANDIA 2015

wyst. Frank
Lammers, Barry
Atsma, Sanne
Langelaar

De Ruyter po zejściu na ląd ma problemy z utrzymaniem kursu, bo polityczne wiatry są bardziej zdradliwe niż morskie. Próbuje go przeciągnąć na swoją stronę oranżysty, wielki pensjonariusz Jan de Witt zaprasza na kolację. Admirał, człek pocziwy i rodzinny, najchętniej zostałby w domu. W rezultacie aktorskie zwycięstwo odnosi Charles Dance, grający cynicznego i rozpustnego króla Anglii. ©©

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „IT TAKES TWO”

Josef Fares, założyciel studia Hazelight i główny projektant „It Takes Two” obiecał tysiąc dolarów każdemu, kogo znudzi jego najnowsze dzieło. Nawet gdyby nie był to tylko chwyt marketingowy, to i tak nie mógłbym z czystym sumieniem zgłosić się po tę sumkę. Nie wzbogaciłaby się też

moja żona, która twierdzi, że grać nie znosi, a z żalem odkładała pada. „ITT” to co-op dla dwóch osób (split screen lub on-line). Jako zamienieni w lalki małżeństwo w głębokim kryzysie próbujemy wrócić do rzeczywistego świata, a zmuszeni do współdziałania przypominamy sobie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZŁO NIE ŚPI

HBO
GO



★★★★★

REŻ. ZACK SNYDER
„LIGA SPRAWIEDLIWOŚCI ZACKA SNYDERA”
(„JACK SNYDER'S JUSTICE LEAGUE”)
USA 2021

wyst. Ben Affleck, Gal Gadot, Ezra Miller, Jason Momoa

Zack Snyder nie jest pierwszym, który odkrył, że dużo ważniejsze od zawartości jest opakowanie, lecz rozmachu można mu pozazdrościć.

Wyprowadził z mroku armię zombiaków (patrz: „Świt żywych trupów”), sprofanował legendę Termopil (patrz: „300”), pod sztandarem DC Comics współtworzył mitologię nadludzi, słabo przystającą do naszej mało bohaterskiej epoki. Nie zważając na kpiny krytyki, wychował sobie rzeszę wiernych fanów. I to do nich adresowana jest prawie czterogodzinna wersja „Ligi sprawiedliwości” w formacie 4:3, zgodnym ponoć z „wizją artystyczną” Snydera. Reżyser uporządkował zwichrowaną narrację i rozbudował (a może raczej przywrócił) wątki poboczne. Wyciął niewiele, choć aż się prosiło, by odciążyć Wonder Woman, posyłając reakcyjnych terrorystów na śmietnik historii. Efekty specjalne nadal rażą sztucznością, zadęcie wygrywa z poczuciem humoru. Manierysty rzadko zostają klasykami.

POSZŁA DO PIEKŁA

ipla



★★★★★

REŻ. PAWEŁ KOMOROWSKI
„BRYLANTY PANI ZUZY”
POLSKA 1971

wyst. Ryszard Filipiński, Edmund Fetting, Halina Golanek

Polskie tajne służby w filmach prezentują się kiepsko. Wzrok błędny, mowa plugawa, intencje nieodgadnione. Drzewiej inaczej bywało. Agent z nakręconych 50 lat temu „Brylantów pani Zuzy” jest dobrze wychowany i elegancki. Nic dziwnego, że dziewczyny strzelają za nim oczami, a Mira Kubasińska śpiewa: „Poszłabym za tobą do samego piekła”. Nawet przestępcy mówią do agenta „proszę pana”. Scenariusz na początku też trzyma poziom. Po akcji z sobowtórem spodziewamy się czegoś w stylu Bonda, lecz gdy akcja z Kairu przenosi się nad Bałtyk, film – tak jak większość kryminałów z czasów PRL – dryfuje w stronę mimowolnej komedii. Przypomina odrzut z importu, sprzedawany za bony w peweksach. Kinomani mają sentyment do „Brylantów” z powodu biustu Haliny Golanek, jednak trudno zaprzeczyć, że aktorsko najlepsza jest zapięta pod szyję Ryszarda Hanina. ©©

recenzuje Wiesław Chełmiński

★★★★★

o pryncypiach. Podane z humorem proste lekcje, np. o tym, żeby nie wyrzucać od razu, ale próbować naprawy. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** Platformówka 3D
• **Platforma:** PC, XONE, XSX, PS4, PSS
• **Producent, dystrybutor:** Hazelight, Electronic Arts



MOJA PÓŁKA

Budujcie arkę przed potopem

KRZYSZTOF
MAŚŁONEK

*Stoiśmy tutaj, u stóp katedry.
Tutaj będziemy czekały.
Alboż to strach nas tu przywiódł?
Alboż pewność, że jesteśmy bezpieczne,
Wiodła nas do katedry? [...] Co za nieszczenie,
Którego dotąd nie znamy?
Ani co grozi,
Ani bezpiecznie jest w katedrze.
Jakiś przecucie sprawy,
Której mamy być naocznyimi świadkami,
wiodła nas*

Do katedry. Musimy dać świadectwo.

To na te słowa Thomasa S. Eliota wypowiedziane przez chór kobiet w jego dramacie „Mord w katedrze” czekały tłumy zebrane w marcu 1982 r. w katedrze św. Jana w Warszawie, gdzie Jerzy Jarocki po raz pierwszy przedstawił tę sztukę z aktorami Teatru Dramatycznego, w tym z niezapomnianym Gustawem Holoubkiem. Te słowa dawały w trzecim miesiącu stanu wojennego nadzieję, przypominały, czym jest obowiązek, czym wolność i niezależność. W obecnych czasach atakowano katedrę poznańską, najważniejszą świątynię najstarszej polskiej diecezji. Wśród atakujących nie brakowało studentów, ba, także naukowców, a przynajmniej za takich się mających.

Przez wieki sojusz katedr i uniwersytetów budował cywilizację europejską. To wspaniałe świątynie nie wzniecały zachwyt i pokorę wszystkich, którzy się w nich modlili; to profesorowie wzbudzały swą wiedzą szacunek i respekt. To niestety przeszłość – konstatuje prof. Grzegorz Kucharczyk w wydanej właśnie książce „Katedra i uniwersytet”. Dzisiaj płonie jeden z wielkich symboli chrześcijaństwa – paryska katedra Notre Dame, tak jak w czasie rewolucji francuskiej, a potem w trakcie pierwszej wojny światowej sławna „Katedra Aniołów” w Reims, której renowacja zakończyła się dopiero w 1996 r., przed przybyciem w jej progi Jana Pawła II na obchody 1500-lecia



FOT. LESZEK SOSNOWSKI/INSTYTUT WISNIAŃSKI DLA WYK

chrztu Chlodwiga. Tak, trudno wręcz uwierzyć, że to Francja była „pierwszą córką Kościoła”, kolejne „wojny kulturowe” laicyzowały bowiem ten kraj w przyspieszonym tempie. W końcu wieża Eiffla nie była niczym innym jak tylko świecką odpowiedzią na tyle razy ośmieszoną bazylikę Sacré-Cœur. No to mają paryżanie w środku miasta kupę żelastwa – jako znak cywilizacyjnego „postępu”.

Profesor Kucharczyk przytacza np. Yosefa Ben-Johannana, którego zdaniem Arystoteles „ukradł” swoją filozofię z Biblioteki Aleksandryjskiej (czytaj: afrykańskiej, Egipt bowiem leży w Afryce, czemu trudno zaprzeczyć), a że świetna ta księżnica powstała ćwierć wieku po jego śmierci, to nieważne. „Daty wcale nie są takie pewne” – głosi współczesny mędrzec, skądinąd żydowskiego pochodzenia, a jemu podobni dowodzą, że Sokrates był Murzynem, a Bill Clinton pierwszym czarnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Wydaje się, że względnie normalny człowiek po wysłuchaniu podobnych bzdur popuka się w czoło. Ale co począć z bezwzględnie nienormalnymi? W końcu kto nie wierzy w Boga, ten uwierzy we wszystko. I będzie upajał się rewolucją, udając, że nie widzi spustoszeń fizycznych i moralnych, jakie ze sobą niesie, a może naprawdę ich nie dostrze-

gając. Zresztą miał rację cytowany w „Katedrze i uniwersytecie” Joseph de Maistre: „W rewolucji najgorsze nie było to, co zniszczyła, ale to, co stworzyła”.

Rozmaici popaprańcy pod hasłami neomarksistowskimi usiłują wzniecić płomień kolejnej rewolucji, a jakby mimochodem nad Bosforem dawną bazylikę Justyniana Wielkiego przejęli imamowie i po niemal stuleciu, gdy pełniła jedynie funkcję muzealną, w zeszłym roku stała się meczetem. Papież Franciszek jakoś się tym specjalnie nie przejął, chociaż podpisał deklarację z Abu Zabi z 2018 r., a całkiem niedawno spotkał się w Iraku z ajatollahem Sistanim. Bardzo pięknie, że Ojciec Święty reaguje w ten sposób na islamofobię, ale znacznie ważniejsze dla Europy i dla naszej wiary byłoby wsparcie prawosławnych chrześcijan w ich protestach przeciw decyzji podjętej przez tureckiego prezydenta Erdoğan’a.

„Odwołując się do nauczania Benedykta XVI – powiada prof. Kucharczyk – można powiedzieć, że cywilizacja, która wyrosła przy okazji głoszenia ludziom Królestwa Bożego przez Kościół, była cywilizacją »szczęśliwych syntez«. Jej szczególną cechą była umiejętność łączenia wiary i rozumu, prawdy i wolności, dobra i piękna. Te szczęśliwe połączenia można opisać jeszcze krócej, odwołując się do dwóch słów: »katedra« i »uniwersytet«. Co z tego zostało? Jest źle, ale może nie beznadziejnie. »Są jeszcze ci – kończy Grzegorz Kucharczyk swą ciekawą i napisaną z prawdziwą pasją książkę – którzy omodlają płonące katedry, i ci, którzy żywym murem otaczają te, które są zagrożone atakiem »małpiarstwa« i »głupstwa« [za listem Zygmunta Krasińskiego do Bronisława Trentowskiego – przyp. K.M.]. Są więc oznaki nadziei. Jednak nadziei nie należy mylić z optymizmem”.

Niestety. ©©



★★★★★
**GRZEGORZ
KUCHARCZYK**
**„KATEDRA
I UNIWERSYTET.
O KRYZYSIE
I NADZIEI
CHRZEŚCIJAŃSKIEJ
CYWILIZACJI”**
BIAŁY KRUK,
KRAKÓW 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Literey wolności

Alfabet nieoczywisty, alfabet czasem trochę prowokacyjny, alfabet bezcenny, stworzony przez tych, którzy sami w tamtą historię byli zanurzeni. Alfabet, którego hasła traktują nie o działaczach (choć są najważniejsze nazwiska) i nie o datach (choć są wydarzenia bydgoskie), bardziej o zjawiskach, znaczeniach, klimacie. Rzekłbym – subiektywny przewodnik po PRL czasów NSZZ „Solidarność”.

I tak Piotr Semka zastanawia się między innymi nad terminami „nawiedzeni”, „karnawał Solidarności” czy „ładni ludzie, normalny język”. Wojciech Tomczyk objaśnia, czym się różniła piosenka prawdziwa od piosenki fałszywej, co to był filmowy „półkownik” i jak monumentalnym idiotyzmem był termin „demokracja socjalistyczna”. Andrzej Horubała pisząc o Niezależnej Oficynie Wydawniczej wspomina, jak w podziemnej drukarni sam przycinał sobie egzemplarz nielegalnego wydania książki Jarosława Marka Rymkiewicza, podziwiał prymasa Wyszyńskiego, a hasło „prymas Glomp” ma wielką ochotę zatytułować „Rozczarowanie”.

Wśród autorów są także Barbara Fedyszak-Radziejowska, Barbara Sułek-Kowalska, Jan Pietrzak, Mateusz Wyrwich, Paweł Janowski, całość

uzupełniona jest przez barwne grafiki z cyklu „Droga ku wolności” (rysunki: Krzysztof Brynecki, tekst: Mateusz Kosiński). Łączą się tu obserwacje naukowe z prywatnymi notatkami, łączy się lekcja historii z próbą interpretacji po latach. Całość zredagował Krzysztof Nowak, a wydał Instytut Dziedzictwa Solidarności. „Chciałoby się więcej” – myślałem po zamknięciu tomu, bo świetny to sposób na politykę historyczną w formie gawędy o tym, co ważne i warte przypomnienia.

W wielkich wydawnictwach królują prace zawodowych historyków, czasem bardziej, czasem mniej przystępne, tymczasem gdybym miał spośród nich wybierać lektury dla dzisiejszych licealistów, to obróciłbym się na pięcie i wskazał jednak „Alfabet Solidarności”, owoc pasji, nostalgii, miłości. Dowiedzą się z niej, co to były marsze głodowe i do czego służyła matryca białkowa, odkryją, że

teraźniejsi antykle rykałowie jeździli po kraju w ramach Tygodni Kultury Chrześcijańskiej, poznają, coż to był „element antysocjalistyczny” i jak wyglądała francuska edycja płyty zespołu Kryzys. I zastanowią na pewno nad tym – a zastanowienie to pierwszy krok do zrozumienia – dlaczego tak często powracają w tych hasłach postać i słowa Jana Pawła II. ©©



★★★★★
AUTORZY RÓŻNI
„ALFABET
SOLIDARNOŚCI”
INSTYTUT
DZIEDZICTWA
SOLIDARNOŚCI
2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Arcymistrz opowiadając o swej słynnej rozgrywce szachowej z komputerem Deep Blue, zastanawia się też nad przyszłością sztucznej inteligencji. Jest przy tym optymistą – uważa, że ludzkiej kreatywności nic nie może zastąpić.



GARRI KASPAROW
„OSTATNI
BASTION
UMYSŁU”
INSIGNIS

Najśłynniejsza biografia legendy piłki była też najbardziej zwalczana przez jej bohatera. Burns jak nikt inny opisał grzechy i grzeszki boskiego Diego, ale granic nie przekroczył, kłamstw i plotek nie drukował. Wydanie rozszerzone.



JIMMY BURNS
„MARADONA.
RĘKA BOGA”
ALBATROS

Zgrabna fantasy young adult polskiej debutantki. Książka wydana pierwotnie dwa lata temu przez maleńkie wydawnictwo, dostrzeżona została przez poważną oficynę i wznowiona. Początek trylogii „Dzieci Starych Bogów”.



AGNIESZKA MIELA
„ŚMIECH
DIABŁA”
ZYSK I S-KA

Najnowszy tom cenionej śląskiej poetki i reporterki. „Błogosławiona za swoją poezję, która mnie wzrusza i cieszy swoim polskim językiem, tak bardzo polska i niebojąca się dobrych uczuć” – pisał o jej wierszach Czesław Miłosz. **poleca Piotr Gociek**



BARBARA GRUSKA-ZYCH
„MÓJ
CUKIERECZEK”
WYDAWNICTWO
URSINES

KOMIKS TYGODNIA:

„DROGA MIECZA”

Wspaniałe połączenie opowieści samurajskiej z fantasy wymyślone przez francuskiego pisarza Thomasa Daya, którego powieść „La Voie du Sabre” (2002) jest podstawą komiksu duetu Mariolle/Ferniani. W świecie Daya japońscy daimyō (feudalni panowie) rywalizują o niezwykłą truciznę, która wydobywana jest z grzbietów morskich potworów. Ta sama substancja służy do przedłu-



MATHIEU
MAROLLE,
FEDERICO FERNIANI
„DROGA MIECZA.
POPIOŁY
DZIECIŃSTWA”
WYDAWNICTWO
LOST IN TIME

żania życia i może zamieniać ludzi w smoki. Wydarzenia oglądamy oczami młodzińca oddanego przez Tokugawę na wychowanie słynnemu wojownikowi – Musashiemu Miyamoto. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. OLAS/MUSIC/YOUTUBE.PL

Między Polską a Portugalią

Ola Jas poznała muzyka i wokalistę João de Sousa, Portugalczyka od lat mieszkającego w Polsce, na jego koncercie i od tego momentu chciała z nim nagrać płytę. Po kilku miesiącach wysłała mu próbkę swojej twórczości. – João zaproponował, żebyśmy się spotkali, i tak narodził się pomysł wspólnej płyty – wspomina Ola. Pierwszym wspólnym projektem polsko-portugalskiego duetu

była pięcioutworowa epka, której João był producentem. Na tym udanym debiucie współpraca się nie zakończyła. Materiał był uzupełniany i w ubiegłym roku było go na tyle dużo, by wydać płytę długogrającą.

Wokalistka, skrzypaczka, tekściarka i autorka muzyki Ola Jas jest autorką tekstów (wszystkie po polsku) i muzyki debiutanckiej płyty „Jasna”. Wszystkie utwory

Ola pisze po polsku, choć na płycie usłyszymy też język portugalski. W tym duecie ona nie ma kłopotów ze śpiewaniem po portugalsku, on doskonale radzi sobie z językiem polskim. João ponownie odpowiada za produkcję i gościnnie śpiewa. Akustyczny, melancholijny pop z elementami jazzu i muzyki latynoskiej, inspirowany folkie i world music, podany w akompania-

mencie skrzypiec, altówki, wiolonczeli, kontrabas, trąbki i perkusji, a także gitar i klawiszy. – Ja chciałam, żeby wszystko było portugalskie, a João wręcz odbierał mi tę portugalskość i stopował mnie – mówi Ola. – Ja chciałem, żeby to było świeże także w Portugalii, żeby to było takie polskie – mówi João, dodając, że tak naprawdę chodziło im o to, by płyta nie była bardziej polska czy bardziej portugalska, ale by była po prostu dobra.

„Jasna” to solowy debiut Oli, która ze swoim pierwszym folkowo-jazzowym zespołem Poleńka była finalistką konkursów Nowa Tradycja i Mikołajki Folkowe. João de Sousa to wokalista, gitarzysta i kompozytor. Do Polski, która – jak mówi – „jest jego przeznaczeniem”, przyjechał w 2006 r. Na koncercie ma m.in. trzy autorskie albumy z zespołem Fado Polaco. ©© **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Jak ojciec z córką

Osobisty prezent córki wokalistki dla ojca saksofonisty z okazji jego 70. urodzin. „Kiedy obok mnie jest Tata – towarzyszy mi poczucie bezpieczeństwa. W domu i na scenie. Dlatego lubię z nim grać!” – tłumaczy Dorota.

Henryk Miśkiewicz nagrał pierwszą płytę z zespołem Jazz Carriers w 1973 r. Potem grał ze wszystkimi, poczynając od Łucji Prus, a kończąc na Annie Marii Jopek. Dorota od lat uznawana jest przez krytyków „Jazz Forum” za najlepszą polską wokalistkę.

Poza jednym wszystkim utwory na płycie napisał senior rodu. Dwa z nich powstały we współpracy z synem Michałem, który gra na płycie na perkusji. Są to w większości skomponowane przez pana

Henryka dawno temu utwory instrumentalne, do których powstały teraz teksty.

To bardzo piękna, nastrojowa płyta. Dorota już w otwierającej album piosence „Nasze sennie sprawy” olśniewa nas swym szeptośpiewem. Piękną partię fortepianu zagrana przez Piotra Orzechowskiego wspaniale puentuje żarliwy saksofon pana Henryka. Singlowa „Czy nasza miłość” wprowadza nieco wigoru. Głównym rozgrywającym jest saksofon, po którego wibrującym solo „wchodzi” samba-chórek. Zachwycające jest, jak ta muzyczna rodzina doskonale współgra ze sobą.

„Nasza miłość” jest pomysłem Doroty, ale radość z powstawania tej płyty była wspólna – podsumowuje pan Henryk. ©©



★★★★★

DOROTA MIŚKIEWICZ I HENRYK MIŚKIEWICZ „NASZA MIŁOŚĆ” AGORA

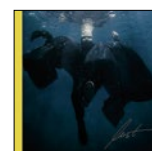


★★★★★

JAKOB BRO „UMA ELMA” ECM

Utwór „To Stanko” jest magicznym

hołdem duńskiego gitarzysty złożonym Tomaszowi Stańce. Liryczną trąbkę Norwega Henriksena oplatają koronkowe akordy lidera. Oszczędna gra Hiszpana Rossy’ego często używającego szczoteczki potęguje nastrojowy zadumy. Piękne, czyste harmonie.



★★★★★

SKINNY „LUST” E-MUZYKA

Skinny znany z muzyki filmowej

(m.in. „Galeriani”) na drugim albumie nie ukrywa fascynacji Depeche Mode, Placebo i Trentem Reznorem. Monotonny angielski wokal rozjaśnia w dwóch piosenkach Kasia Stankiewicz. Jako bonusy dostajemy zdekonstruowane hity R.E.M. i Tany Tikaram. ©©



„Burza” w TR Warszawa FOT. MONIKA STOLARSKA/TR WARSZAWA

Post-apo-spaghetti-spektakl Grzegorza Jarzyny

Po wyjściu z postapokaliptycznego tasiemca aż trudno uwierzyć we własną pamięć, przechowującą podziw dla Jarzyny – mistrza reżyserii. Do dziś mam wspomnienie po „Magnetyzmie serc” czy „Uroczystości” oglądanych z wielkim przejęciem w sali przy ul. Marszałkowskiej, schodzącej w dół, w tajemnicę mrocznego i olśniewającego doświadczenia. A dziś: sala ATM Studio i kasa jakby pięć razy większa, i – nuda, dłużyzny, dziury zapchane pakułami, watowane multimediami, a mistrz Jarzyna zamienił się w coś na kształt młodszego brata Krzysztofa Garbaczewskiego. Gadają o niczym, ogromne projekcje na trzech ścianach studia telewizyjnego. Smutek znakomitego kadrowania: pod presją wizualności wszystko musi wyglądać świetnie, tak żeby dobrze się filmowało, dobrze się montowało w trailerze.

„Burza”, być może najlepszy dramat Szekspira, została podmieniona, zastąpiona jakimś idiotycznym volapükim. Przepisana przez Weronikę Murek, obficie obłana wulgaryzmami, zmieniła się w powódź pseudomądrości, gdzie co chwilę pojawiają się sentencje typu: „Założył sobie moją twarz na siebie”, „Rośliny nie



Grzegorz
Kondrasiuk

W najnowszej premierze TR, „2020: Burza”, udało się zmieścić właściwie wszystko, cały postępowy katechizm. Natomiast Szekspir zaplątał się do scenariusza i tytułu zupełnie przypadkowo

potrzebują tyle gadać”, a największa głębia wieje z monologu o tym, że „starzy ludzie nie mają nam nic do powiedzenia”. Życie wewnętrzne postaci Szekspirowskich i napięcia dramatu zostały unieważnione, co ma symbolizować jakże wymowna scena zarżnięcia Prospera. Zastąpił je zlepek aktualnych tematów, stąd nie ma sensu interpretacja całościowa fabuły, rozpadającej się na poszczególne sceny. Chodzi przecież o nadchodzący kataklizm, no i o politykę.

W tym teatrze aktorzy nie mają szans, bo są poprowadzeni w stylu: „dziwnie mówimy, dziwnie chodzimy, dziwnie się ruszamy”. Bronią się w zróżnicowany sposób: kabareciarstwem (Mateusz Górski, Monika Frajczyk, Sara Celler-Jezińska), resztkami psychologizmu (Agnieszka Podsiadlik, Natalia Kalita), chwalebą oszczędnością środków (Jerzy Łotocki), fizycznością (Tomasz Tyndyk). No i błazą,

jedną wielką błazą (Sebastian Pawlak, Justyna Wasilewska): „Jestem zblazowany jak barman w Barze Studio... Gram akurat... A zresztą nieważne...”

Grzegorz Jarzyna w roku 1997 okrzyknięty został przez zaprzyjaźnioną krytykę cudownym dzieckiem polskiego teatru i stąd dziś powszechnie wiadomo, że ramię w ramię z Krzysztofem Warlikowskim dokonał niemal przewrotu kopernikańskiego. Wtedy przy okazji parę kopniaków otrzymał Jerzy Grzegorzewski, stary, odchodzący awangardowy mistrz. A w roku 2021 dawne cudowne dziecko (obecnie dyrektor artystyczny TR Warszawa) znalazło się niebezpiecznie blisko tej pozycji: młodzi wyprzedzają je i detronizują, korzystając w dodatku – o ironio! – z tych samych reżyserskich zabawek. Wszystko w rytmie wiecznego powrotu, choć coraz szybciej i głupiej. Język teatralny zużywa się szybko, a ten ultrano-

woczesny język zestarzał się jeszcze gorzej niż język tamtej awangardy. Te wielkie projekcje, obowiązkowe jarzeniówki, kubiki, białe sterylne przesterzenie z zagubionymi w nich aktorami w odjazdowych kostiumach. Bohaterowie pogubieni, brutalni i obowiązkowo ironiczni, szamoczą się z bliźnimi, ze sobą, ze światem. Świat pokazany przez filtr medialny, opowiedziany w stylistyce pop, z nawiązaniem do aktualnie modnych seriali, a najlepiej – gier... To, co w końcówce lat 90. miało siłę, było kultowe i rzeczywiście odmieniło polski teatr – niezależnie od oceny, na dobre czy złe – dziś jest swoją znużoną, zblazowaną karykaturą. Taka jest dynamika rewolucji. Niedługo to TR wyznaczał trendy, pokazywał, o czym ma mówić i myśleć Warszawa (i polski teatr), dziś próbuje gonić rzeczywistość, nadążać za tematami, spełniać powinności obowiązkowego aktywizmu i rewolucyjnego zapału za miejskie dotacje.

Jednak Jarzyna robi lewej stronie niedźwiedzią przysługę, skutecznie ją kompromituje. Jak na sztukę o globalnym ociepleniu jest to spektakl przeładowany brudną energią elektryczną w stopniu nadzwyczajnym. Jaki jest jego ślad węglowy? – chciałoby się zapytać po finale, kiedy nareszcie nadchodzi kataklizm (uwaga, spoiler!) i bohaterowie ucieśnienie przebrani w kostiumy z plastikowych śmieci teatralnie duszą się w teatralnym dymie. No, ale sytuację ratuje obowiązkowa błyskawica namalowana na twarzy Natalii Kality wygłaszającej gniewny monolog o patriarchacie i o nic już nie trzeba pytać. ©

TR Warszawa, „2020: Burza”, reżyseria: Grzegorz Jarzyna, scenariusz: Grzegorz Jarzyna, Weronika Murek (w scenariuszu cytowane są m.in. fragmenty „Burzy” Williama Szekspira).



Jan Fiedorczuk

Ostatni rok obnażył naiwność zwolenników federalizacji Europy oraz dowiódł, że suwerenne państwo narodowe pozostaje nieodzownym elementem naszego życia. W czasach chaosu jest ono dla większości ludzi jedynym pewnym punktem odniesienia



FOT. ADRIAN STOK

Musimy się upewnić, że Amerykanie otrzymają szczepionki jako pierwsi – zadeklarował kilkanaście dni temu prezydent USA Joe Biden. Innymi słowy: „America first”. Slogan Donalda Trumpa zostaje wdrożony w życie przez jego liberalnego, postępowego następcę. Nie trzeba jednak zaglądać za ocean, by dostrzec zmiany, które zaszły w mentalności obywateli Zachodu. Oto w obliczu porażki unijnego programu szczepień same Niemcy otwarcie lekceważą Komisję Europejską i nie oglądając się na wcześniejsze ustalenia ani zobowiązania, zamawiają z Chin dziesiątki milionów szczepionek. – Europejska jedność raz jest, raz jej nie ma, funkcjonuje wtedy, gdy jest wygodnie – podsumował działania Berlina prof. Ryszard Legutko, współprzewodniczący Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

Niemcy jednak nie są jedynym narodem, który wziął sprawy w swoje ręce. Podobnie postąpili choćby Węgrzy, decydując się na zakup rosyjskiej szczepionki i nie przejmując się szczególnie ocenami Europejskiej Agencji Leków. Preparatu poza Unią szukają także Czechy czy Słowacja. Również część regionów północnych Włoch ogłosiła chęć wyłamania się z „europejskiej jedności”, a przecież i polskie

Nieodzowność państwa narodowego

władze niedawno sugerowały, że będą się starać pozyskać dla Polski szczepionki spoza unijnego systemu.

Aby unaocznić szczepionkowy kryzys w Unii Europejskiej, nie trzeba jej porównywać z USA, Izraelem czy choćby Chile, które pod względem tempa szczepień bije ostatnio rekordy. Wystarczy ją zestawić z sąsiadującą Wielką Brytanią. Tą Wielką Brytanią, która po brexicie miała popaść w permanentny kryzys gospodarczo-polityczny. Okazuje się jednak, że Zjednoczone Królestwo radzi sobie nad wyraz dobrze, zostawiając państwa Europy daleko w tyle.

Unia nie tylko nie wytrzymuje porównania z suwerennymi państwami, lecz także sama jest rozrywana od wewnątrz przez narastające egoizmy poszczególnych konstytuujących ją podmiotów. Nie

może zatem szczególnie dziwić, że WHO (organizacja wszak stricte kosmopolityczna) zaczęła głosić „katastrofalną porażkę moralną” i zarzucać kolejnym państwom „szczepionkowy nacjonalizm”. Every man for himself. Czy jednak ta zasada nie obowiązywała nawet przed wybuchem pandemii? Kilka tygodni temu w „Do Rzeczy” Łukasz Zboralski opisywał na przykładzie firmy Smart Kid SA, jak w UE wykańcza się niewygodną konkurencję. A przecież to jeden przypadek z wielu. Unia zawsze była areną walk, sporów i układów. Koronawirus jedynie zdarł zasłonę i ukazał, że król jest nagi.

WSPÓLNOTA TEORETYCZNA

Wbrew postępowej narracji o niewystarczalności suwerennych państw oraz



przemijalności narodów jako takich, gdy wybiła godzina prawdy, same społeczeństwa Europy w sposób naturalny skierowały się w stronę swych rządów narodowych. W pierwszym, tym najbardziej spontanicznym, odruchu, gdy rok temu świat został sparaliżowany, nikt nie szukał pomocy w Brukseli, nikt nie łomotał do drzwi Ursuli von der Leyen ani nie czekał na rezolucje europarlamentu. Wprost przeciwnie – zasada subsydiarności, na której ponoć oparto Unię, obróciła się w perzynę. Idea pomocniczości osadzała się na tym, że Unia ma reagować w sprawie tych sporów, które mogą przerosnąć pojedyncze państwa. UE tymczasem interweniuje w sprawach drugorzędnych, a w obliczu globalnego kryzysu pozostała bezsilna. Gdy w końcu unijne młyny zaczęły mielić, program szczepionkowy nie zdał egzaminu, a dla samych brukselskich elit priorytetem okazała się budowa chybotałowej idei Stanów Zjednoczonych Europy (do czego na lipcowym i grudniowym szczycie rękę przyłożył niestety również polski rząd). Dawne stwierdzenie Andrzeja Dudy, że Unia jest wymagowaną wspólnotą, zostało wówczas potwierdzone w całej rozciągłości.

Symbolem dezintegracji idei europejskiej pozostanie apel wicenaczelnego włoskiego dziennika „La Repubblica” Gianluca Di Feo, który na początku marca ubiegłego roku, u samego zarania pandemii, alarmował w otwartym liście, że „Unia nawala”, a Włochy zostały całkiem same. „Unia okazuje się odległą od problemów obywateli – unika podjęcia interwencji. Zabrakło i solidarności, i koordynacji. Smutna lekcja, której nie zapomnimy” – pisał Di Feo.

Unia stała się wspólnotą teoretyczną, służącą do drenowania mniejszych graczy i szerzenia abstrakcyjnych idei pokroju LGBT przy jednoczesnym całkowitym odebraniu od problemów szarego człowieka. Tak zwany deficyt demokracji, tak dołącznie opisany w naukach politycznych, stał się jasny dla większości społeczeństw Europy. Nawet wiceszef „La Repubblica” musiał go dostrzec. Ostatecznie okazało się, że to państwo narodowe jest jedynym rodzajem wspólnoty politycznej, do której ludzie czują realną przynależność, oraz jedynym, które może zagwarantować w czasie chaosu choćby namiastkę porządku.

Pandemia koronawirusa unaoczniała nie tylko przywiązanie społeczeństw do suwerennych państw. To nie tylko „nacjonalizm szczepionkowy”, przed którym przestrzegała WHO, czy

powrót Europy podzielonej granicami. Ostatni rok dowiódł, czy może raczej po prostu obnażył to, że kapitał ma narodowość. Zanim szacowne gremia unijne zdecydowały, co robić, suwerenne państwa ogłosiły powrót interwencjonizmu, wprowadzając wiele obostrzeń oraz własne tarcze antykryzysowe. Otwarte pozostaje pytanie, czy lek w postaci globalnego lockdownu ostatecznie nie okaże się gorszy od choroby, jednak istotny jest sam triumf idei sprawczości w polityce. Gdy nadeszła potrzeba przebudowy struktury społeczno-gospodarczej unijnych społeczeństw, jedynie suwerenne państwa narodowe okazały się zdolne do podjęcia tego wyzwania.

KAPITAŁ MA NARODOWOŚĆ

Narzucone restrykcje spowodowały jednak gwałtowną zapaść gospodarek, co – rzecz jasna – musiało przełożyć się na wartość europejskich firm, którym zaczęło grozić wykupienie przez zagranicznych inwestorów. Włochy jednak ponad pół roku temu wprowadziły prawo weta, które pozwala ograniczyć wiele zagranicznych inwestycji, rząd Hiszpanii już w marcu zeszłego roku wprowadzał pierwsze rozwiązania chroniące rodzime firmy i pozwalające kontrolować ewentualne próby ich przejęcia. Niedawno głośno było choćby o sprzeciwie francuskiego rządu w sprawie przejęcia sieci Carrefour przez Kanadyjczyków. Także Niemcy bronią swoich przedsiębiorstw, czego ostatni przykład widzieliśmy ledwie kilka tygodni temu, gdy rząd federalny uniemożliwił chińskiej spółce zbrojeniowej przejęcie firmy IMST. Z kolei Joe Biden promuje protekcyjnistyczny program „Kupuj amerykańskie”, który ma ochraniać rodzimych producentów. Nowa ustawa pomocowa opiewa na 2 bln dol., a prezydent USA zapowiedział, że to dopiero początek wsparcia dla amerykańskiego biznesu.

Jednocześnie zaczęła nasilać się konkurencja pomiędzy przedsiębiorcami z poszczególnych państw. „Dziennik Gazeta Prawna” opisywał niedawno, że w branży transportowej wśród państw zachodniej Europy, zamieszczać ogłoszenia dotyczące zatrudnienia pracownika, wprost się zaznacza, że nie może pochodzić on z nowych krajów UE. – Zaczęło się od firm niemieckich [...]. Tydzień później dołączyli do nich francuscy spedytory, a potem holenderscy – mó-

wił w rozmowie z „DGP” Romuald Szymt, prezes Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Przewoźników Drogowych. To tylko przykład, gdyż powrót gospodarczego protekcyjizmu to szerszy trend, który był już obecny przed pandemią, a koronawirus jedynie zaostriżył pewne tendencje.

POTRZEBA PAŃSTWA

Cały świat stał się na powrót zamknięty i podzielony granicami, a idea postpolityki zaczęła się jawić jako naiwne marzenie. W czasie kryzysu nikt nie czuł się Europejczykiem ani obywatelem świata; Zachód stał się pełen Włochów, Niemców, Amerykanów itd. Sprawa nie sprowadza się oczywiście do interwencjonizmu gospodarczego, tylko do idei sprawczości i suwerenności.

Państwo narodowe jawiące się siłom postępu jako symbol zacofania w rzeczywistości jest ideą na wskroś nowoczesną. To właśnie ono „wykorzenionym” masom (jak to pisał Maurice Barrès) gwarantowało stabilność oraz poczucie tożsamości, to wraz z nim nadeszła epoka profesjonalnej administracji dźwigającej na swych barkach losy wspólnoty, centralizmu, powszechnej edukacji czy państwowej opieki zdrowotnej. Nic dziwnego, że w czasach, gdy ład ponowoczesny rozsypał się z hukiem, społeczeństwa Zachodu w spontaniczny sposób zwróciły się do tej – stricte nowoczesnej – idei, która jest gwarantem bezpieczeństwa.

I być może to właśnie tłumaczy popularność Prawa i Sprawiedliwości. Biorąc pod uwagę chaotyczność działań rządzących, ich nieraz dewastujący wpływ na polską gospodarkę, należałoby się spodziewać gwałtownej utraty zaufania. Tymczasem wszelkie sondaże pokazują, że PiS pozostaje niekwestionowanym liderem polskiej sceny. Jest tak nie dlatego, że partia Kaczyńskiego posiada jakieś wyjątkowe atuty, tylko dlatego, że opozycja mentalnie cały czas tkwi w erze postpolityki, gdzieś między Leszkiem Balcerowiczem a Bronisławem Geremekiem. Dodatkowo KO w ostatnich latach zrobiła wszystko, by kojarzyć się nie z państwem narodowym, tylko pa-neuropejską Unią, gdzie – przynajmniej na papierze – nie ma równych i równiejszych, a wszyscy żyją w harmonii, krzując tolerancję i szacunek. Tylko ten świat rozleciał się jak domek z kart. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek istniał.



Donoso, Krasiński zza Pirenejów



Marek Jurek

Donoso miał odwagę wychodzić poza zastane formuły ideowe i proponować nowe rekomendacje dla nowego wieku

Jean Madiran w „Rewolucji kopernikańskiej w Kościele” zwrócił uwagę na asymetrię, z jaką wydana w 1986 r. przez Kongregację Nauki Wiary „Instrukcja o chrześcijańskiej wolności i wyzwoleniu” potraktowała zwolenników tzw. teologii wyzwolenia i jej politycznych przeciwników, odwołujących się w walce z komunizmem do zasady bezpieczeństwa narodowego. Madiran wyrażał więc tyleż zdziwienie, co ubolewanie, że dokument – zajmujący się „pozytywną krytyką” teologii wyzwolenia, zachęcający do formułowania jej zgodnych z ortodoksją „chrześcijańskich zasad” – nie zajmuje podobnego stanowiska wobec, także popularnej w Ameryce Łacińskiej, doktryny bezpieczeństwa narodowego. Dziwił się, dlaczego równoległe do potępienia nadużyć wojskowych dyktatur nie ma tam ich pozytywnej krytyki wraz z propozycją formułowania (a jeszcze lepiej przypomnienia) zasad „chrześcijańskiej teologii bezpieczeństwa narodowego”.

Materialnie Madiran miał rację, choć z drugiej strony w ogłoszonej pięć lat później encyklice „Centesimus annus” Jana Pawła II możemy znaleźć wskazówkę, która powinna być stać się istotnym odniesieniem dla teologii, której odnowę postulował autor „Dwóch demokracji”. Święty Jan Paweł II pisał bowiem, że rządy bezpieczeństwa narodowego, chcąc „ustrzec społeczności przed komunizmem” zwiększają siłę państwa, ale jednocześnie „narażają się na poważne ryzyko zniszczenia tej wolności i tych wartości osoby ludzkiej, w imię których należy [komunizmowi] się przeciwstawiać”. Jak widać, pierwszym sugerowanym kryterium ich oceny jest proporcjonalność i adekwatność siły używanej przez państwo – do charakteru zagrożenia i bronionego dobra. O tej proporcjonalności pisał zresztą 70 lat wcześniej św. Pius X w „Notre charge apostolique”, iż „skoro w społeczeństwie

FOT. DOMENA PUBLICZNA



zdarzają się istoty zepsute (a zawsze takie pojawiać się będą), im groźniejszy jest ich egoizm – tym silniejsza powinna być władza”.

CHRZEŚCIJAŃSKI NEOREAKCJONIZM

O ile założenia takiej teologii można znaleźć już u św. Augustyna, o tyle w porewolucyjnym świecie dobrym dla niej punktem wyjścia są pisma jednego z najoryginalniejszych myślicieli europejskiego romantyzmu i kontrrewolucji zarazem, Juana Donoso Cortésa, markiza de Valdegamas (1809–1853). Jak Tocqueville, zajmując się polityką, nie tylko reagował na bieżące wydarzenia, ale przede wszystkim starał się zrozumieć i wskazać ich dalekosiężne konsekwencje. Jego refleksja była oryginalna w wielu wymiarach, choćby przez to, że w przeciwieństwie do starszych kontrrewolucjonistów, takich jak Chateaubriand, Donoso nie był legitymistą. W hiszpańskim sporze dynastycznym między zwolennikami królowej Izabeli a legitymistami Don Carlosa stanął po stronie Porządku, nie Tradycji. Chociaż jednak wybrał

„porządek”, był – podobnie jak Chateaubriand – romantykiem (co z kolei stanowi kontrast z młodszym o dwa pokolenia Maurrasem, absolutnie przekonanym klasycystą).

Stanowisko Donoso Cortésa można określić jako neoreakcjonizm. Zaczynał bowiem jako katolicki liberał, ale wycofał się z tych pozycji pod wpływem rewolucji lutowej we Francji, a przede wszystkim antypapieskiej rewolucji w Rzymie i prądów ideowych uruchomionych przez wstrząsy rewolucyjne. Za pięknoduchowską fasadą rewolucji rozpoznał bowiem – podobnie jak kilkanaście lat wcześniej Krasiński, a później Dostojewski – ateizm i zaczyn komunizmu. Rok 1848 to przecież moment publikacji „Manifestu komunistycznego” Marksa i Engelsa.

Dla Donoso, w duchu najlepszej hiszpańskiej tradycji, najważniejszym składnikiem i istotą dobra wspólnego, ważniejszą od wszystkich instytucji, była religia, wierność katolicka. Dlatego uważał, że w obronie tego, co najwznioślejsze i najbardziej duchowe, konieczna jest chroniąca siła. Rewolucji, demaskującej słabość starego porządku, może niekiedy

przeciwwstawić się już tylko dyktatura. Nie w dowolnym momencie, ale gdy wolność upada, bo „gdyby chodziło o wybór między wolnością a dyktaturą – mówił w Kortezach krótko przed śmiercią – to głosowałabym za wolnością, jak wszyscy”. Rekomendował czasową koncentrację władzy, choć nie miał do takiego rozwiązania żadnych osobistych skłonności. „Narodziłem się – kontynuował w tej samej mowie – po to, by dyktatorów rozumieć, nie po to, by ich naśladować. Dwie rzeczy są dla mnie niemożliwe: potępienie dyktatorskich rządów i sprawowanie ich. [...] Tylko w ten sposób, gdy moje dni zostaną policzone, gdy złożą mnie w grobie, zejdę z tego świata bez wyrzutów sumienia, że pozostawiłem barbarzyńsko atakowane społeczeństwo bezbronne i jednocześnie bez gorzkiego i nieznośnego bólu z powodu uczynienia krzywdy drugiemu człowiekowi”.

Uważał, że narodom podmywanym i zagrożonym rewolucją pozostają jedynie „Kościół i wojsko”. Kościół sam w sobie reprezentuje niezniszczalne prawdy, a obie instytucje jako „jedynie przechowują w całości pojęcia nienaruszalności władzy, świętości obowiązku, boskości ofiary”.

REKLAMA

67 lat
historii filmu
2536 wydań

**Największa baza
dorobku polskiej
kultury filmowej**

Filmopedia ★
FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ



■ i boskości dobroczynności, dlatego też oba są wyrazem europejskiej cywilizacji”.

PREKURSOR XX W.

„Esej o katolicyzmie, liberalizmie i socjalizmie, rozważanych w ich fundamentalnych zasadach”, ostatnia wielka praca Donoso Cortésa, miał wpływ na opracowanie sylabusu przez bł. Piusa IX. Jednak właściwe spełnienie idei autora znaleźć możemy u Piusa XI. To ten papież stwierdził wyraźnie, że sam Chrystus zainicjował cywilizację chrześcijańską. W „Ubi arcano Dei” głosił, że demokracja – choć ma wiele zalet – łatwo degeneruje się w rządy partyjne, dzieli społeczeństwo i z trudem broni go przed bezprawną przemocą. W „Divini Redemptoris” wyrażał nadzieję, że do walki z komunizmem staną obok chrześcijan „także ci wszyscy, stanowiący zresztą ogromną większość ludzkości, którzy wciąż wierzą w Boga i oddają Mu cześć”. I taka też była polityka Piusa XI.

Na czym bowiem polegał „zwrot rattiański” – nie tyle względem wojennego pontyfikatu Benedykta XV, ile przedwojennego św. Piusa X? Święty Pius X udzielał często poparcia działaniom opozycyjnym wobec rządów – cenił Action Française i jej kontestację antykatolickiej Trzeciej Republiki, popierał strajki szkolne w Wielkopolsce, rekomendował bojkot instytucji politycznych jako protest przeciw supremacji sabaudzkich Włoch nad państwem. W tej ostatniej sprawie kontynuował politykę bł. Piusa IX, w innych – ją rozwinął.

Pius XI, który wstępował na tron papieski w czasach, gdy eksport rewolucji bolszewickiej był w pełnym rozmachu, bardziej był skłonny cenić konkretną skuteczność rządów w walce z rewolucją. Stąd jego uznanie dla marszałka Piłsudskiego (abp Ratti, jako ówczesny nuncjusz apostolski, w Warszawie przeżył Cud na Wiśle); stąd też rezerwa wobec prawicowej opozycji w Polsce, podobnie jak wobec Action Française, którą potępił (co stanowi pewną analogię do odrzucenia przez Donoso Cortésa karlistowskiego legitymizmu jako monarchizmu „rewolucyjnego” i demokratycznego); tu wreszcie jest źródło paktów laterańskich zawartych przez Piusa XI z Włochami, przywrócenia formalnej suwerenności państwu, ale zamknięcia też historii dawnego Państwa Kościelnego.

Te asocjacje dotyczą podjęcia politycznych i cywilizacyjnych idei Donoso Cortésa. Jednak u głębszych źródeł jego refleksji odkryć możemy zaskakujące zbieżności z myślą norwidowsko-wojtyliańską. To

niewątpliwie efekt jego młodzieńczego romantyzmu i refleks nadziei katolicko-liberalnych. Ze św. Janem Pawłem II łączy go chęć odebrania rewolucji zasad „wolności-równości-braterstwa” („trzech dogmatów, które nie mają swego początku w Republice, lecz na Kalwarii”), a także głęboka tęsknota za autorytetem dobrowolnie uznanym, gdyż im większy postęp moralny – tym mniej potrzebna władza. (Trzeba bowiem pamiętać, że autorytarne rekomendacje Donoso formułował jako remedium właściwe dla chorej cywilizacji). Po norwidowsku brzmi jego definicja solidarności, kluczowej kategorii jego myśli – jako wspólnej odpowiedzialności. W tym nurcie mieści się też pochwała historyczności, urzeczywistniającej wielkość człowieczeństwa. „Dzięki solidarności – pisał Donoso Cortés – człowiek, wyniesiony do większej godności i wyższych sfer, przestaje być atomem w przestrzeni i minutą w czasie, i żyje przed swoim życiem i po nim, wydłużając się, dokąd wydłuża się czas, i rozszerzając, dokąd rozszerza się przestrzeń”.

JUTRO I POJUTRZE

Donoso miał odwagę wychodzić poza zastane formuły ideowe i proponować nowe rekomendacje dla nowego wieku. Jednak epoka, którą zapowiadał, przyszła i potem minęła. Jean-Marie Le Pen powiedział kiedyś mojemu przyjacielowi, że w czasie algierskiego dramatu przekonał się, że to nie są już czasy, gdy prawica może liczyć na interwencję armii w obronie interesów narodu czy choćby naruszanych przez demokrację rządów prawa. To wtedy zaczął rodzić się jego „narodowy populizm”, który z czasem okazał się fenomenem uniwersalnym, którego ostatnim, najpełniejszym może wyrazem była prezydentura Donalda Trumpa. W tej nowej fazie prawicy już nie monarchia czy historyczne elity, nie wpływ konserwatywnej inteligencji czy interwencja wojska, ale prosty odruch ludowy, z pogranicza prawa naturalnego i liberalizmu, okazać się ma ostatnią instancją odwoławczą dobra wspólnego narodu.

Jest jednak w myśli Donoso Cortésa wymiar całkowicie wykraczający poza wiek XX, który zapowiadał i który minął, wymiar, który bez przesady można



JUAN DONOSO CORTÉS

**„O KATOLICYZMIE,
LIBERALIZMIE
I SOCJALIZMIE”
OŚRODEK MYŚLI
POLITYCZNEJ
2018**

określić jako profetyczny. Donoso ponad sto lat przed wstrząsami lat 60. dostrzegł, że rewolucja w ostatecznych konsekwencjach zniszczy nie tylko społeczeństwo, lecz także cały porządek moralny, że dojdzie do czegoś więcej niż banalne, chwilowe rewolucyjne rozpasanie. Założenie bowiem naturalnej dobroci ludzkiej natury doprowadzi do „ogłoszenia świętymi i boskimi także namiętności [...], założenie świętości i boskości namiętności wiedzie [...] do

potępienia cnoty, której zadaniem jest zabronić im dostępu, uniemożliwić wybuch, powstrzymać impet. [...] Dlatego też ostatecznym celem socjalizmu jest stworzenie nowego klimatu społecznego, w którym swobodna gra namiętności znacznie niszczy krępujące instytucje polityczne, religijne, społeczne”.

Pisząc zaś o zagrożeniach wolności, jako jeden z pierwszych rozpoznał zasadniczą cechę nadciągającej nowoczesności, widmo totalitaryzmu. Przestrzegał, że związek między rozwojem technologii a omnipotencją państwa – i to nie tylko uzurpowaną, lecz także postulowaną „dla dobra ludzi” – przygotował „drogi dla tyrańskich gigantów, kolosalnego, uniwersalnego”. Przepowiadał też, że podżycie resentymentem negacja ofiary i poświęcenia jako koniecznych fundamentów ludzkiej wspólnoty sprawi paradoksalnie, że „w godzinie, w której wszyscy wezmą te złudzenia za prawdę, wówczas krew wytryśnie nawet z twardych skał, a ziemia zamieni się w piekło. Na tym ciemnym padole człowiek nie może aspirować do niemożliwego szczęścia, nie tracąc odrobiny szczęścia, którą posiada”.

Odpowiedzialność kazała mu szukać ratunku nawet wbrew sobie. Znał jednak granice polityki i możliwości rachować realnie. Nie obiecywał, że kiedyś jakiś Pankracy, umierając u szczytu potęgi, na pewno zakrzyknie: „Galilae, vicisti!”. Był jednak absolutnie pewien, że tylko przychodzący z Galilei Boski Król może przynieść ratunek narodom ginącej Europy. Nie przeceniając dróg i środków praktycznych, wskazywał je, jak umiał. A miał przede wszystkim odwagę, by pośród najprecyzyjniejszych analiz politycznych i społecznych przypominać, że wszystko jest w rękach Boga.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Psia służba

To jedno z najwybitniejszych dzieł literatury łagrowej. W swojej wstrząsającej książce Geоргий Влaдимов ukazał sowiecki łagier oczami... psa wartowniczego. Tytułowego Wiernego Rusłana. Rusłan jest dziewięcioletnim owczarkiem, który przez całe życie pilnuje zeków.

Jest karny, posłuszny. Perfekcyjnie wytresowany. Polecenia pana – strażnika obozowego – wypełnia natychmiast i bez cienia wątpliwości. Wierzy w Służbę i Sprawę. Pilnuje, aby więźniowie szli w równej kolumnie na wyręb, tropi i ściga uciekinierów, potrafi bezbłędnie wyłuskać z tłumy zeków winowajcę.

Pan jest z niego dumny. Nagradza go i stawia za wzór innym psom wartowniczym. Rusłan jest idealny. Rusłan jest szczęśliwy. Nagle jednak uporządkowany świat owczarka z dnia na dzień wali się w gruzy. Nadchodzi rok 1956 i łagier, w którym służy Rusłan, zostaje zamknięty. Nie ma już Służby i nie ma już Sprawy. Pies zostaje przepędzony.

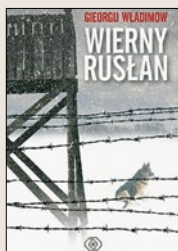
Rusłan nie pojmuje, co się stało. Nagle nie ma strażników obozowych, drutów i zeków. On zaś musi sobie radzić na wolności, znaleźć sobie nowego, cywilnego pana. Ale przecież Rusłan nie potrafi robić niczego innego oprócz pilnowania ludzi! To cały sens jego życia. Tak został wytresowany.

W efekcie Rusłan – i inne łagrowe psy – udają się do najbliższej osady, gdzie wracają do swoich rutynowych zajęć. Same organizują przechodniów, czekają na peronie dworca na pociąg, aby formować pasażerów w kolumny marszowe...

Napisana w latach 60. powieść Władimowa to oczywiście metafora całego ZSRS. Wierny Rusłan tak naprawdę jest wiernym Iwanem. Funkcjonariuszem NKWD, strażnikiem, partyjniakiem. Człowiekiem wytresowanym do służenia Partii i gnębienia bliźnich. Co zrobić z takim człowiekiem, gdy już nie jest potrzebny?

„Nasza biedna Ziemia – pisze Władimow – porżnięta i poszczerbiona przedziałami, przegrodami, granicami i zakazami wirowała w lodowatym bezkresie, pędząc wprost na wystawione ostrza gwiezdnych płomieni. I na każdziutkiej piędzi jej powierzchni ktoś, kogoś pilnował. Wszędzie jedni więźniowie przy pomocy drugih strzeegli trzecich i siebie samych przed zbyt dużym i śmiertelnie niebezpiecznym haustem wolności. I wieczny wartownik, Rusłan, posłuszny temu prawu – najważniejszemu po prawie ciężenia – stał na posterunku”.

Wybitna proza. Perła rosyjskiej literatury. ©©



★★★★★

GEORGIJ
WŁADIMOW
„WIERNY
RUSŁAN”
REBIS



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Na Uniwersytecie w Wilnie

Założycielem uczelni był Stefan Batory, który zreformował istniejące dotychczas kolegium jezuickie, tworząc szkołę o nazwie Academia et Universitas Vilmensis Societatis Jesu (1 kwietnia 1579 r.). Placówkę zrównano w prawach z Akademią Krakowską, a jej pierwszym rektorem został słynny kaznodzieja, Piotr Skarga.

Za najlepszy okres w dziejach uczelni uchodzi początek XIX w., kiedy działała pod nazwą Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego. Była to największa szkoła wyższa w granicach Rosji i placówka na europejskim poziomie, gdzie wykładali: Wawrzyniec Gucewicz, Jan i Jędrzej Śniadeccy, Hieronim Stroynowski, Joachim Lelewel i Michał Oczapowski. Natomiast do jej najbar dziej znanych studentów należeli: Adam Mickiewicz, Tomasz Zan, Ignacy Domeyko, Juliusz Słowacki i Józef Ignacy Kraszewski.

W ramach represji po powstaniu listopadowym uczelnia została zamknięta i dopiero po odzyskaniu niepodległości pojawił się projekt jej reaktywacji. Uniwersytet Stefana Batorego na dobre zaczął funkcjonować jednak dopiero po „buncie” Żeligowskiego, chociaż przez pewien czas cierpiał na poważne kłopoty kadrowe. Była to bowiem placówka organizowana od podstaw w kraju, który dopiero się odrodził. Na

domiar złego brakowało także pomieszczeń nie tylko na sale wykładowe i laboratoria, lecz także na mieszkania dla wykładowców oraz na akademiki dla studentów. Powoli jednak przezwyciężano problemy, a uniwersytet stał się modny wśród młodych naukowców, gdyż oferowano niespotykane gdzie indziej tempo kariery zawodowej. Niebawem zresztą uczelnia doczekała się własnych wychowanków na profesorskich stanowiskach, a sławnych nazwisk nie brakowało również wśród jej absolwentów. Ale jak to zwykle bywa, na USB zdarzali się również „wieczni studenci”, a jednym z nich był student polonistyki Władysław Gasiulis. Za nic „nie chciał się rozstać z batorówką” i nie przeszkadzał mu fakt, że „jego rówieśnicy byli już lekarzami, adwokatami, asystentami na różnych wydziałach”. Ostatecznie ukończył uniwersytet po 11 latach, ale nigdy nie pracował w zawodzie. Tradycja długiej nauki uniwersyteckiej przetrwała niemal do dzisiaj, czego dowodem może być przypadek niżej podpisanego, który wprowadzie studiował tylko dziewięć lat, ale także pozostał wierny jednej uczelni i jednemu wydziałowi (historia na Uniwersytecie Warszawskim). Pewną różnicą jest jednak fakt, że autor niniejszego felietonu po długiej przerwie powrócił jednak do wyuczonego na UW zawodu... ©©



Piotr Zychowicz

Dzienniki Iwana Majskiego odślaniają kulisy bezwzględnej gry między Wielką Brytanią a Stalinem. Jej ofiarą padła Polska

Na czym polegała polityka Wielkiej Brytanii wobec Europy Wschodniej podczas drugiej wojny światowej? Wbrew pozorom odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Polityka ta polegała na szukaniu w tej części kontynentu jak najsilniejszego sojusznika do walki przeciwko Niemcom.

Wypływało to z doświadczenia pierwszej wojny światowej, gdy Niemcy zostały wzięte w potężne kleszcze. Na zachodzie przez Anglię i Francję. Na wschodzie – przez Imperium Rosyjskie.

Wojna na dwa fronty wykończyła Napoleona, wykończyła Wilhelma II i Brytyjczycy liczyli na to, że wykończy również Hitlera. Utworzenie potężnego frontu wschodniego miało zaangażować jak największą liczbę dywizji Wehrmachtu. A co za tym idzie – zaoszczędzić tak cennej krwi angielskich żołnierzy.

Dlatego właśnie Wielka Brytania wolała mieć za sojusznika Związek Sowiecki, a nie Polskę. I zawsze gotowa była złożyć interes Rzeczypospolitej na ołtarzu porozumienia ze Związkiem Sowieckim. Wynikało to ze zwykłego pragmatyzmu i zdrowego rozsądku. Polska była słaba. Związek Sowiecki – silny. A Wielka Brytania zawsze kieruje się w polityce interesem. Nigdy sentymentem.

Kulisy rozgrywki w trójkącie Warszawa-Londyn-Moskwa odślaniają dzienniki Iwana Majskiego, ambasadora Związku Sowieckiego w Londynie w latach 1932–1943. To jedno z najciekawszych i najważniejszych źródeł historycznych wydanych w ostatnich latach.

Majski sam miał związki z Polską. Urodził się jako Jan Lachowiecki, w rodzinie żydowskiego lekarza z Polski. Do ojczyzny przodków nie zachował jednak sentymentu, nie mówiąc już o sympatii. Bezwzględna politykę Moskwę zmierzającą do ujarznienia i sowietyzacji Polski realizował bez skrupułów.

Iwan Majski budzi niechęć jako bolszewik i wierny wykonawca woli Stalina. Jego dyplomatyczna zręczność

nie podlega jednak dyskusji. W Londynie udało mu się owinąć sobie wokół palca polityków (nie tylko lewicowych), przedsiębiorców, dziennikarzy, intelektualistów. W efekcie miał doskonały wgląd w kuchnię brytyjskiej polityki.

„Anglii znów zagłada w oczy widmo mocarstwa walczącego o hegemonię na kontynencie – pisał 25 marca 1939 r. – Król Hiszpanii Filip II, Ludwik XIV, Napoleon I, kajzer! Anglia toczyła zacięte i wyniszczające wojny przeciw »hegemonom« w przeszłości. Satysfakcjonowało ją tylko ich całkowite unicestwienie. Te same odczucia i nastroje wywołuje dziś nazwisko Hitlera. Oczywiście, gdyby Hitler ruszył na wschód, stanowcze kroki przeciw Niemcom można byłoby odłożyć”.

Tak, Majski miał rację. Wielka Brytania w 1939 r. zdecydowała się stawić czoło Hitlerowi nie dlatego, że chciała ratować biedną Polskę. Wśród brytyjskich mężów stanu podjęta została decyzja, że należy powstrzymać wzrastającą potęgę Niemiec. Brytyjczycy tradycyjnie stoją bowiem na straży równowagi sił na kontynencie. Gdyby Niemcom udało się osiągnąć pozycję hegemonu Europy, byłaby to katastrofa dla interesów imperium.

Iwan Majski w swoich dziennikach ujawnia sensacyjną wiadomość. Otóż 31 marca 1939 r. Brytyjczycy skonsultowali z nim treść gwarancji udzielonej Polsce!

Aby zatrzymać Hitlera, Wielka Brytania przystąpiła do montowania antyniemieckiej koalicji. I próbowała wciągnąć w nią rozmaite państwa Europy Wschodniej. Optymalnym scenariuszem było bowiem oczywiście to, żeby ekspansja Niemiec najpierw skierowała się na wschód, a nie na zachód Europy. Dałoby to Anglii czas niezbędny na przygotowanie się do wojny.

GWARANCJE DLA POLSKI

Wymarzonym sojusznikiem od samego początku był Związek Sowiecki. Problem jednak w tym, że Stalin odrzucał brytyjsko-francuskie awanse. 10 marca 1939 r. w trakcie słynnego

Spisek



„przemówienia kasztanowego” wyraźnie dał do zrozumienia, że nie zamierza brać na siebie pierwszego uderzenia Wehrmachtu. Zapowiedział, że nie pozwoli, aby ZSRS „został wciągnięty do konfliktu przez podżegaczy wojennych, którzy



przeciw Polsce



Podpisanie układu polsko-radzieckiego o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych w Londynie. Od lewej: premier i Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski, szef brytyjskiego MSZ Anthony Eden, premier Winston Churchill, ambasador ZSRS w Wielkiej Brytanii Iwan Majski FOT. NAC

przywykli do tego, by inni wyciągali za nich kasztany z ognia”.

Wobec niechęci Związku Sowieckiego do angażowania się przeciwko Niemcom Londyn musiał zadowolić się tym, co było. Czyli Rzeczpospolitą. Podobnie jak

wcześniej Francuzi, Brytyjczycy uznali, że Polska – z braku laku – odegra rolę „Rosji zastępczej”.

31 marca 1939 r. premier Neville Chamberlain w Izbie Gmin ogłosił, że Wielka Brytania udziela Polsce gwarancji

niepodległości. Kilka dni później do Londynu przyjechał Józef Beck i podpisał z Anglikami gwarancje dwustronne.

Był to punkt zwrotny. Układ ten – jak wiadomo – wywołał furję Hitlera i zmusił go do zmiany planów. Niemiecki



dyktator do tej pory planował w pierwszej kolejności zaatakować Zachód. Teraz zaś postanowił w pierwszej kolejności zaatakować Polskę.

Iwan Majski w swoich dziennikach ujawnia sensacyjną wiadomość. Otóż Brytyjczycy skonsultowali z nim treść gwarancji udzielonej Polsce! 31 marca 1939 r. o godz. 12.45 Majski został zaproszony na spotkanie z ministrem spraw zagranicznych lordem Halifaxem, który dał mu do przeczytania treść „gwarancyjnego” przemówienia Chamberlaina.

Halifax z niepokojem zapytał Majskiego, co o nim sądzi. Czy nie ma nic przeciwko gwarancjom? Jak widać, Wielka Brytania nie chciała palić mostów w relacjach ze Związkiem Sowieckim. Nadal liczyła bowiem, że Stalin da się przekonać i jednak przystąpi do koalicji. W tym celu kolejne brytyjsko-francuskie delegacje w 1939 r. jeździły do Moskwy, by kusić sowieckiego dyktatora.

W swoich wspomnieniach Majski relacjonuje następującą rozmowę Lloyd George’a z premierem Chamberlainem:

„Chamberlain powiedział, że według dostępnych rządowi informacji Hitler nigdy nie zaryzykuje wojny na dwa fronty.

– A gdzie jest ten pański drugi front?
– Polska.

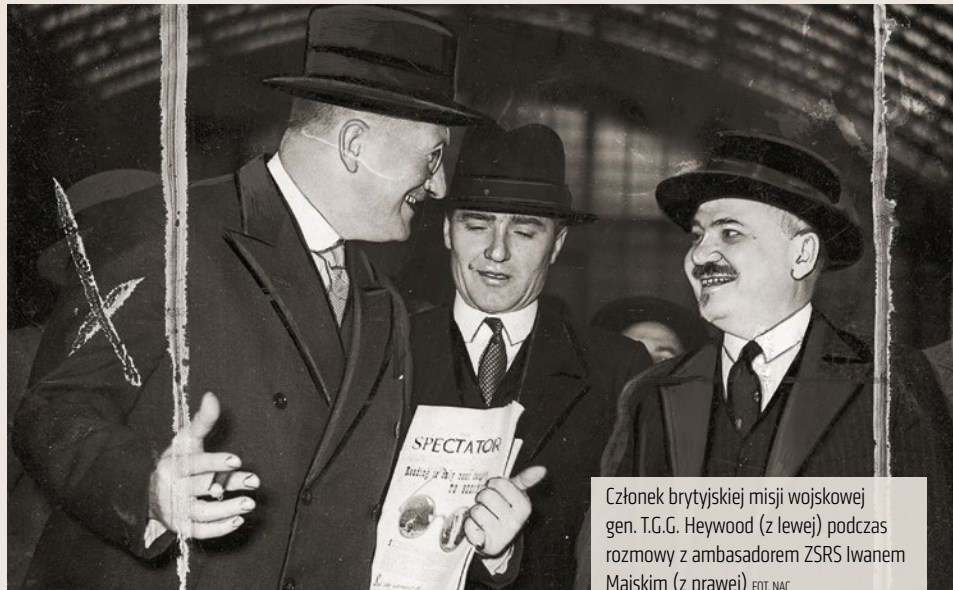
Lloyd George ryknął śmiechem i zaczął kpić z ministra:

– Polska! Kraj o słabej gospodarce, rozdarty wewnętrznym konfliktem, kraj, który nie ma ani lotnictwa, ani porządnie wyposażonego wojska. I to jest pański drugi front! Nonsens! Nie będzie drugiego frontu bez ZSRS”.

Podobnego zdania był Churchill i wielu innych konserwatystów. W duchu rację Lloydowi George’owi przyznawał zapewne również Chamberlain. Szkopuł w tym, że Stalin na tym etapie wybierał ofertę Hitlera, który mógł mu zaoferować znacznie więcej. Zawarcie układu sojuszniczego z Wielką Brytanią oznaczało dla Sowietów pewną wojnę z Niemcami. Zawarcie układu sojuszniczego z Hitlerem dawało gwarancję łatwych zdobyczy terytorialnych w Europie Wschodniej.

Poza tym Stalin wcale nie chciał powstrzymać Hitlera przed wojną. Wprost przeciwnie, dążył do tego, żeby mocarstwa Europy zwały się w śmiertelnych, wyczerpujących zmaganiach, które – zgodnie z doktryną Lenina – miały otworzyć drogę do powszechnej rewolucji.

W swoich dziennikach Majski obłudnie zrzuca winę za to, że w 1939 r. nie



Członek brytyjskiej misji wojskowej gen. T.G.G. Heywood (z lewej) podczas rozmowy z ambasadorem ZSRS Iwanem Majskim (z prawej) FOT. NAC

Majski obłudnie zrzuca winę za to, że w 1939 r. nie doszło do zawiązania koalicji Londyn–Moskwa, na Polaków i Rumunów

doszło do zawiązania koalicji Londyn–Moskwa, na Polaków i Rumunów. Oba te państwa – i słusznie! – nie chciały się bowiem zgodzić na wysunięty przez Sowietów postulat przepuszczenia Armii Czerwonej przez swoje terytorium. Rozumiały bowiem, że oznaczałoby to utratę niepodległości i sowietyzację.

Wbrew sowieckiej propagandzie zastrzeżenia Polski i Rumunii nie odegrały jednak zasadniczej roli. Gdyby Stalin naprawdę chciał w 1939 r. zawiązać się z Wielką Brytanią i Francją, polskie i rumuńskie protesty oczywiście na nic by się nie zdały. Gdy bowiem do stołu siadały mocarstwa, ze zdaniem państw małych i średnich nikt się nie liczy.

Majski w swoich dziennikach przewidywał natomiast bezbłędnie, że zachodnie gwarancje są warte mniej niż papier, na którym je spisano. „Co bowiem w rzeczywistości może Anglia (albo Anglia razem z Francją) zrobić dla Polski i Rumunii w przypadku ataku niemieckiego? – pytał. – Bardzo mało. Zanim brytyjska blokada poważnie zagrozi Niemcom, Polska i Rumunia przestaną istnieć”.

Tak też się stało. W 1939 r. Hitler rozbił Polskę w koalicji ze Związkiem Sowieckim. A Wielka Brytania i Francja nie przysły jej z pomocą. Rzeczpospolita konała w tragicznym osamotnieniu. Natychmiast

po jej upadku Brytyjczycy ze zdwojoną energią przystąpili zaś do kolejnych zabiegów zmierzających do wciągnięcia Związku Sowieckiego do koalicji przeciwko Hitlerowi.

Przechodząc przy tym do porządku dziennego nad faktem, że Związek Sowiecki dokonał aktu agresji i zagarnął połowę terytorium Polski – jakkolwiek by było – brytyjskiego sojusznika. O wypowiedzeniu wojny Stalinowi oczywiście nie było mowy. Już 6 października Majski został zaproszony na rozmowę przez Churchilla, piastującego wówczas stanowisko pierwszego lorda admiralicji.

„Punktem wyjścia – relacjonował Majski słowa Churchilla – jest dla niego to, że interesy Wielkiej Brytanii i ZSRS nigdzie nie są ze sobą sprzeczne. Nie ma powodu, dla którego nasze stosunki miałyby być złe albo niesatysfakcjonujące. Nie powinniśmy zanadto brać sobie do serca krytyki i oburzenia, z którymi spotkały się w Wielkiej Brytanii sowiecko-niemiecki pakt o nie-agresji i posunięcia rządu sowieckiego, które po nim nastąpiły. To efekt zaskoczenia. Pierwszy szok jednak już minął, ludzie zaczynają widzieć rzeczywistość we właściwszej perspektywie”.

Churchill oferował Sowietom intensyfikację współpracy gospodarczej. Niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że Anglia zaakceptuje sowieckie nabytki terytorialne, byleby tylko Stalin zerwał sojusz z Hitlerem. Dziesięć dni później mniej więcej to samo Majski usłyszał od lorda Halifaxa i innego urzędnika Foreign Office – Raba Butlera.

„Rząd brytyjski – mówił ten ostatni – nie rozważa odbudowy Polski w jej wcześniejszych granicach. Wszystko, do czego dąży, to Polska etnograficzna



(przypominająca Księstwo Warszawskie z czasów Napoleona) objęta gwarancjami ZSRS, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Francji. Nikt w Wielkiej Brytanii nie myśli o przywróceniu Polsce zachodniej Ukrainy i [zachodniej] Białorusi”.

Tak, to nie pomyłka. Słowa te padły 17 października 1939 r. Łuny pożarów jeszcze unosiły się nad zdruzgotaną Polską – która została pchnięta do wojny brytyjskimi „gwarancjami” – a Anglicy już oddawali Sowietom połowę jej terytorium. Cztery lata przed konferencją w Teheranie, pięć lat przed konferencją w Jałcie. Zaiste, cudownego mieliśmy sojusznika!

Jak wynika z zapisków Majskiego, 22 listopada 1939 r. lord Halifax odrzucił polski wniosek, aby rząd Jego Królewskiej Mości umieścić wśród celów wojennych odbudowę Polski w przedwojennych granicach. Angielski minister zrobił za to polskim politykom długi wykład, w którym przekonywał ich o... „zaletach linii Curzona”.

„Rząd brytyjski oczywiście nie jest zadowolony z tego, co się stało w Polsce – mówił Halifax Majskiemu 27 listopada 1939 r. – ale nie chciałby zbyt długo zatrzymywać się nad tą sprawą. Chciałby raczej jak najszybciej poprawić swoje relacje z ZSRS. Prosi, bym wszystko to wyjaśnił mojemu rządowi”.

Słyszac takie słowa, Majski nie krył satysfakcji, obliżywał się jak tłusty kocur na widok myszy. W podobnym nastroju musiał być towarzysz Stalin, gdy na Kremlu czytał przesyłane mu z londyńskiej placówki raporty. Wydawało się, że Związek Sowiecki jest w sytuacji idealnej. Obie strony europejskiego konfliktu zabiegały o jego względy. I obie sporo mu oferowały.

CUDOWNY ROK 1941

W maju 1940 r. premierem został Churchill, który jak czołg parł do sojuszu z Sowietami. Do Moskwy wysłany został nowy ambasador, lewicowy polityk Stafford Cripps. Oficjalnie złożył on Kremlowi propozycję. Sojusz przeciw Niemcom w zamian za uznanie wszystkich nabytków terytorialnych Stalina w Europie Wschodniej.

Brytyjczycy byli coraz bardziej zdesperowani. Po spektakularnym pobiciu Francji przez Niemców Wielka Bryta-

nia pozostała „samotna na placu boju”. W oczu angielskich przywódców zajaśniała przerażająca wizja ofensywy powietrznej Luftwaffe i wielkiej inwazji Wehrmachtu na Wyspy.

W tej sytuacji wkroczenie Sowietów do wojny przeciwko Niemcom byłoby dla Albionu prawdziwym zbawieniem. Trudno więc się dziwić, że gotowi byli Stalinowi dać wszystko. Świadczyć może o tym sondażowa rozmowa, którą z Majskim 10 lipca 1940 r. przeprowadził Halifax.

„Czy uważamy za pożądane przywrócenie Polski jako niepodległego państwa? – relacjonował jego słowa sowiecki dyplomata. – Halifax zacytował opinię Bohemana (wiceministra spraw zagranicznych Szwecji), który jakiś czas temu powiedział mu, że jego zdaniem lepiej byłoby dla pokoju europejskiego, gdyby Związek Sowiecki graniczył z Niemcami, niż żeby przedzielało je państwo buforowe. Taki bufor stanowiłby [słowo nieczytelne] w europejskiej polityce”.

Można się domyślić, że owym „słowem nieczytelnym” było słowo „anomalia”. Z perspektywy Wielkiej Brytanii sytuacja, w której Niemcy i Sowiety ze sobą graniczą, jest bowiem idealna. Sąsiedztwo takie musi bowiem prowadzić do tarć i zadrażnień, które z czasem mogą doprowadzić do wojny.

Tak też się stało. 22 czerwca 1941 r. rozpoczęła się operacja „Barbarossa”. W Wielkiej Brytanii oczywiście strzeliły korki od szampana. Była to najwspanialsza wiadomość tej wojny. Wreszcie do Anglii uśmiechnęło się szczęście, wreszcie w Europie Wschodniej powstał front wschodni z prawdziwego zdarzenia!

12 lipca 1941 r. Wielka Brytania podpisała układ sojuszniczy ze Związkiem Sowieckim. Do Londynu zjechała bolszewicka misja wojskowa. Dla Polski były to oczywiście wydarzenia katastrofalne. Zwycięstwo koalicji anglo-sowieckiej nad Niemcami dla Rzeczypospolitej mogło bowiem oznaczać tylko jedno. Finis Poloniae.

W momencie załamania się Niemiec ziemie polskie zostałyby bowiem zalane przez triumfującą Armię Czerwoną. A Wielka Brytania nie miałaby żadnego interesu ani możliwości, żeby powstrzymać Stalina przed ujarzmieniem Rzeczypospolitej. Jak wiadomo – tak właśnie się stało.

Niestety, ograniczona ilość miejsca nie pozwala poruszyć wszystkich pasjonujących polskich wątków, które znalazły się w „Dziennikach Majskiego”. Bardzo ciekawy jest opis kulis negocjowania i podpisania paktu Sikorski-Majski 30 lipca 1941 r. Paktu, który de facto sankcjonował utratę połowy terytorium Rzeczypospolitej na rzecz ZSRS.

„Sikorski zwrócił się do mnie po francusku – pisał Majski. – Bardzo się cieszył, że podpisujemy układ. Dawno doszedł do wniosku, że Polska nie może bez końca lawirować między sąsiadami ze wschodu i zachodu. Musi wybrać: albo z Niemcami przeciw Rosji, albo z Rosją przeciw Niemcom. Sikorski zawsze uważał, że Polska powinna iść z Rosją przeciw Niemcom”.

Nieszczęsny, naiwny gen. Sikorski! Nie rozumiał, biedaczysko, że właśnie przesądza się los Rzeczypospolitej. Że Polska wcale nie będzie „szła z Rosją”, ale została wydana przez Anglię na pastwę sowieckiego krokodyla.

Polskiego czytelnika bardzo zainteresują ciekawe rozważania Majskiego na temat polskiego charakteru narodowego. Wyjątkowo haniebne są natomiast te fragmenty „Dzienników”, które odnoszą się do odkrycia grobów polskich oficerów w Katyniu.

Autor opracowania „Dzienników” – izraelski profesor Gabriel Gorodetsky – uległ urokowi Majskiego, wyraźnie widać, że polubił tę postać. Ja w trakcie czytania książki miałem zupełnie inne odczucia. Wiele działań i opinii Majskiego uważam za odstręczające. Jedną historią jednak wyjątkowo mnie zszokowała.

Otóż Majski miał żonę, Agniję, starą wojującą bolszewiczkę. Pewnego dnia ambasadorska para została zaproszona do pałacu Buckingham, na przyjęcie wydane przez rodzinę królewską. Tam, wśród tłumu arystokratów, znalazła się pewna Rosjanka, która w starych, przedrewolucyjnych czasach była damą dworu cesarzowej Aleksandry Fiodorowny, żony ostatniego cara Mikołaja II.

Aleksandra Fiodorowna została w 1918 r. wraz z mężem i pięciorgiem dzieci, zamordowana bestialsko przez bolszewickich oprawców. Owa dama dworu podczas przyjęcia w pałacu Buckingham miała na piersiach medalion z wizerunkiem cesarzowej. Zobaczywszy go, Agnija Majska podeszła do kobiety i... napluła na wizerunek zamordowanej. Oto najlepsza ilustracja bolszewizmu.



GABRIEL
GORODETSKY
„DZIENNIKI
MAJSKIEGO”
BELLONA



W średniowieczu uformowały się fundamenty dzisiejszego zachodniego świata. O ile bowiem świetność rycerstwa przeminęła, o tyle pod jego boki żyli ludzie z pokolenia na pokolenie budujący kapitalizm. Mowa tu o mieszkańcach miast. W metropoliach rozwijał się nowoczesny system bankowy, wymieniano informacje, organizowano wyprawy kupieckie i tworzone spółki handlowe finansujące wyprawy do dalekich krain. Kolebka wolnorynkowego zglobalizowanego współczesnego świata znajdowała się w murach średniowiecznego Paryża, Londynu, miast włoskich i niemieckich. Obywatele krajów cywilizacji zachodniej są spadkobiercami i dłużnikami nie zakutych w zbroje rycerzy, lecz pochylonych w swych kantorach nad księgami rachunkowymi kupców. Gdyby nie samorządne miasta tamtej epoki, prawdopodobnie po dziś dzień tkilibyśmy w feudalizmie.

Musimy jednak wystrzegać się idealizacji mieszczańskiego świata. Miasta były wszak ciasne, brudne, narażone na pożary. W cieniu kamienic i kupieckich składów przemycali się zaś szukający łatwego łupu przestępcy.

GILDIE RZEZIMIESZKÓW

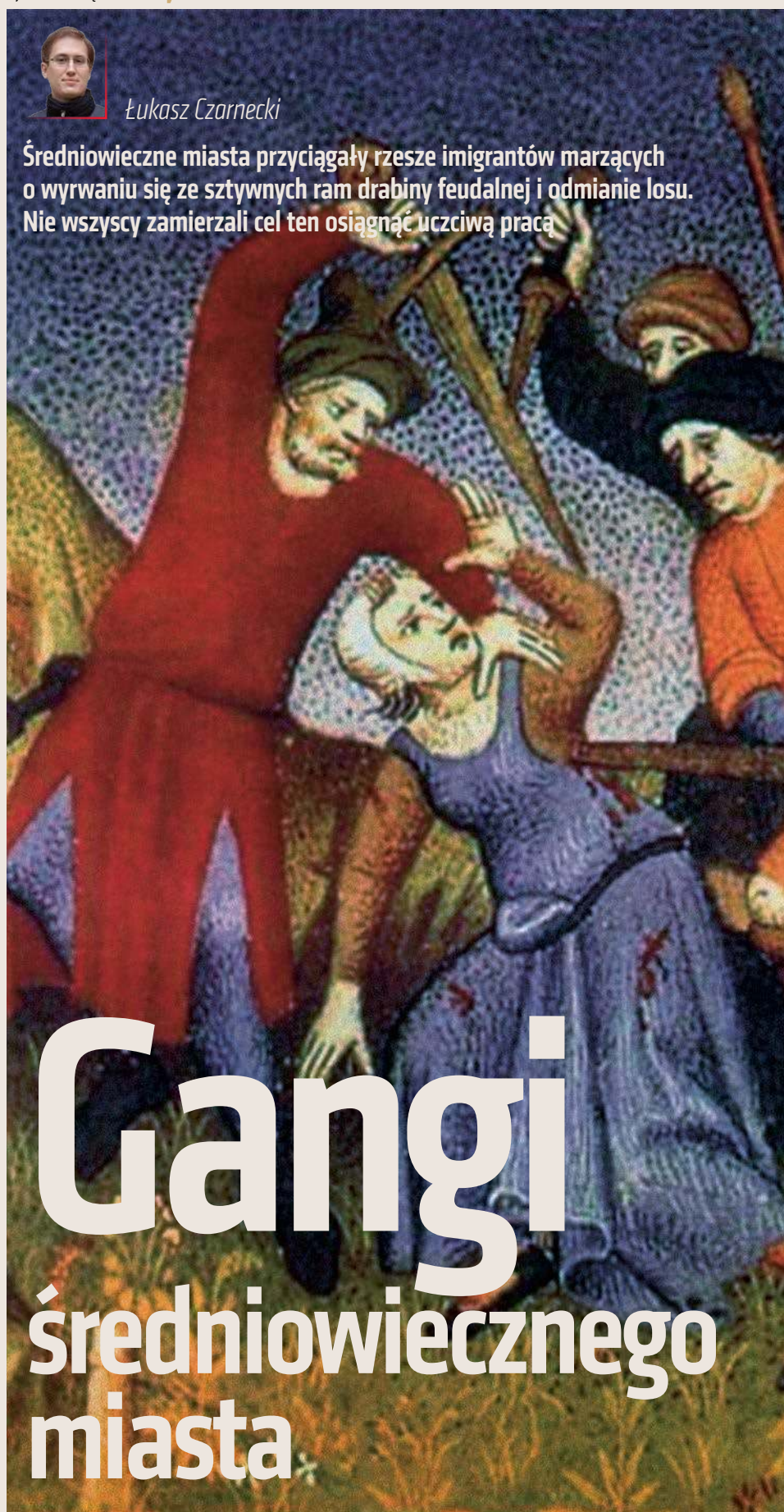
Amerykański pisarz Mario Puzo stwierdził kiedyś, że pierwszą w dziejach mafię stanowili renesansowy papież Aleksander VI i jego dzieci. Wykreowany przez autora „Ojca chrzestnego” obraz jest chwytliwy, lecz rozmija się z prawdą. Na długo przed tym, nim Rodrigo Borgia wstąpił na tron papieski, w miastach średniowiecznej Europy działały doskonale zorganizowane przestępcze cechy, które śmiało uznać możemy uznać za organizacje mafijne. Na czele każdej z nich stał starszy, zwany też mistrzem złodziejskim, czyli „ojciec chrzestny”, któremu członkowie bractwa winni byli bezwzględne posłuszeństwo i oddawali procent ze swych łupów.

W skład gildii obwiesiów wchodziło przestępcy o różnych specjalnościach. Na zgromadzeniach cechowych spotkać można było zarówno złodziei, jak i żebraków, paserów czy prostytutki. Przynależność do bractwa była obowiązkowa, każdy, kto zaczynał w danym mieście przestępczą karierę, prędzej czy później otrzymywał wiadomość od konfraterni, która uświadamiała młodemu adeptowi, że ma do wyboru: dobrowolnie dołączyć do jej szeregów albo czekać na nieszczęśliwy wypadek, który niewątpliwie wkrótce mu się



Łukasz Czarnecki

Średniowieczne miasta przyciągały rzesze imigrantów marzących o wyrwaniu się ze sztywnych ram drabiny feudalnej i odmianie losu. Nie wszyscy zamierzali cel ten osiągnąć uczciwą pracą



Gangi średniowiecznego miasta



Rabusie zabijają
przechodnia,
ilustracja z XV w.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

przydarzy. Jako że zakapiory z szeregów średniowiecznej mafii postrach budziły samym wyglądem (normą było noszenie na twarzy piętna wypalonego w ramach kary za popełnione przestępstwo lub brak uciętego z tej samej racji nosa bądź ucha), przeważająca większość pocztujących złodziejasków wołała czym prędzej zameldować się w siedzibie cechu i uzupełnić odpowiednie dokumenty. Bo choć trudno w to uwierzyć, istniały nawet (przynajmniej w hiszpańskiej Sewilli) księgi cechowe! A co z tymi, którzy okazywali się chojrakami i nie dawali się zastraszyć? W Paryżu wyławiano ich z Sekwany.

W średniowiecznej mafii, podobnie jak w legalnych cechach, istniała ścisła hierarchia. Adept złodziejskiego rzemiosła najpierw musiał odbyć nowicjat, w trakcie którego usługiwał starszym członkom bractwa i pod okiem mistrzów zgłębiał tajniki fachu. W tym czasie obowiązywały go różne ograniczenia – np. w Sewilli aplikanci nie mogli pić czystego wina i musieli rozcieńczać napitek wodą. Podobnie jak w gildii skupiającej np. jubilerów, gdy terminowanie dobiegało końca, czeladnik w ramach egzaminu końcowego musiał przygotować tzw. majstersztyk. Tyle że w tym przypadku nie chodziło o wykonanie np. naszyjnika, a o jego kradzież. Były zresztą różnego rodzaju dzieła mistrzowskie – czasem egzaminowany złodziej miał niepostrzeżenie opróżnić jakiś kuferek, innym razem niezauważenie odciąć sakiewkę od pasa. Po zdaniu ostatniego testu uczeń stawał się pełnoprawnym członkiem półświatka. Ten zaś dawał bez liku możliwości wyboru ścieżki kariery.

GRUNT TO SPECJALIZACJA

Członkowie średniowiecznych miejskich gangów ściśle przestrzegali podziału ról. W szeregach gildii było miejsce dla wszelakich specjalistów. Ekipy na poszczególne skoki starsi cechu formowali, dobierając ich członków z puli ekspertów posiadających umiejętności przydatne w planowanej akcji. Dlatego dawny bandzior, by skutecznie działać w swoim zawodzie, nie musiał być człowiekiem renesansu, do zarobienia na chleb, piwo oraz dziewczki wszeteczne wystarczała mu biegłość w jednej tylko dziedzinie. Było ich zaś bez liku. Historycy badający dzieje paryskiej konfraterni doliczyli się aż 110!

Oto kilka przykładów rzezimieszków grasujących w stolicy Francji, wymienionych w kolejności alfabetycznej.

Na pierwszy ogień weźmy tzw. apostołów. Wbrew nazwie nie zajmowali się oni głoszeniem słowa bożego, lecz byli przodkami kasiarzy. Wyposażeni w wytrychy bez trudu otwierali zamki wrót wiodących do celu szajki. Osobliwy przydomek wziął się od wykorzystywanych przez nich narzędzi, które dowcipnie przyrównywali do kluczy od bram niebieskich dzierzonych przez św. Piotra.

Powszechną grozę budzili cyganie. Nie mówimy jednak o mniejszości etnicznej (dlatego pisani są małą literą), lecz bezwzględnych kidnaperach specjalizujących się w porywaniu dzieci, które następnie okaleczali i zmuszali do żebractwa. Smutny los ofiary takich zbrodniarzy przedstawił Viktor Hugo w powieści „Człowiek śmiechu”.

Dochodzimy do litery „d” i tu napotykamy dewotów. Ci, zgodnie ze swą nazwą, grasowali po kościołach, gdzie udając rozmodlonych pielgrzymów, buszowali w poszukiwaniu kryjówek. Gdy taką udało im się znaleźć, chowali się w niej i czekali do zmroku, by bez przeszkód obrobić opustoszałą świątynię.

Mianem kotów cieszyli się obdarzeni drygiem do akrobacji nocni włamywacze, którzy po dachach, przez okno lub inną trudno dostępną drogą dostawali się do wnętrza upatrzonego domu, po czym niezauważeni wynosili z niego swój łup.

Oczywiście dobry skok wymagał odpowiedniej logistyki. Tę zapewniali majordomowie i szerszenie. Ci pierwsi byli przestępczymi menedżerami. Zajmowali się zaopatrzeniem szykującej skok bandy w potrzebny sprzęt, przygotowaniem zawczasu bezpiecznej kryjówki i znalezieniem pasera chętnego do zakupu trefnego towaru. Drudzy z kolei rekrutowali się spośród żebraków i emerytów złodziejskiego fachu. Przemierzali ulice jako szpiedry, przeprowadzając rekonesans.

BANDYCKI TAJNY JĘZYK

Sprawne działanie bandyckiego cechu wymagało ścisłego przestrzegania zasad konspiracji. Problem polegał na tym, że część przestępczych projektów opracowywano w powszechnie dostępnych karczmach. Co prawda pozbawiony złudzeń anonimowy poeta pisał o nich, że: „[...] to siedlisko wszelkiej zbrodni / Gdzie siedzą łotry, stryczka godni”, ale zwykli uczniwi obywatele też do nich zaglądali, by lyknać po ciężkim dniu piwa, zagrać partyjkę w kości lub posłuchać ploteczek. Kto zaś mógł zaręczyć, że przy tej ostatniej



■ czynności nie wpadnie im w ucho coś podejrzanego, o czym doniosą straże miejskiej? W odpowiedzi na takie dylematy przestępcy działający w poszczególnych krajach tworzyli własne tajemne języki.

Sztucznie stworzona mowa półświatka nie była wynalazkiem średniowiecznej Europy. Jak to często z różnymi nowinkami wówczas było, najprawdopodobniej przybyła do nas z Bliskiego Wschodu.

W świecie arabskim istniała już we wczesnym średniowieczu mowa żebraków, ale chyba nie była zbyt tajna, skoro dość szybko w obiegu pojawiły się jej słowniki. Tylko istnieniu takowych ksiąg można przypisać fakt, że w pewnym momencie wiersze w żebrackim żargonie zaczęły układać muzułmańscy intelektualisci, którzy na korepetycje do bagdadzkich i kairskich slumsów raczej nie chadzali.

Europejcy obwiesie ściślej przestrzegali zasad konspiracji niż ich arabscy koledzy, w związku z czym używane przez nich sekretne języki nigdy nie zostały całkowicie rozszyfrowane. Tylko od czasu do czasu zasłona tajemnicy lekko się uchylała, a wówczas ludzie spoza półświatka (głównie zaś ci, którzy go zwalczali) poznawali garść słów.

Nad Wisłą również w użyciu był sekretny złodziejski język znany jako mowa wełtarska. Odkryto go dopiero w roku 1574, czyli już w czasach nowożytnych. Pytanie brzmi, czy w interesującym nas okresie, czyli w średniowieczu, owa mowa była używana przez członków złodziejskich cechów terroryzujących miasta Korony? Języki nie powstają z dnia na dzień, możemy więc przyjąć, że tak właśnie było. Dlatego przytoczymy poniżej kilka zwrotów.

I tak, gdy dwóch obwiesiów umawiało się na „drzimkę”, to wcale nie chodziło im o wspólną sjęstę, lecz planowali nocny skok. Podobnie, jeśli w trakcie rozmowy padała wzmianka o ich wspólnym koledze „drzemcarzu”, mowa była nie o śpiącym do późna leniuchu, lecz o specjalistcie od kradzieży po zmroku. Gdy już nasze hipotetyczne rzezimieszki poczyniły wstępne ustalenia, można było przejść do dalszych szczegółów. I tak, dla powodzenia planowanego napadu potrzebne były odpowiednie narzędzia. Z całą pewnością niezbędny był „ptaszek” (lina z hakiem) i „odkiwadło” (wytrych), bo wiadomo było, że trzeba będzie pokonać niejednego „węzeł” (klódkę). Warto było też postawić na czatach jakiegoś „kumana” (koleżkę). Włamawszy się do budynku, należało „dźwignąć” (ukraść) jak najwięcej „kół”

Mowa półświatka nie była wynalazkiem Europy, najprawdopodobniej przybyła do nas z Bliskiego Wschodu

(talarów), a jeśli się poszczęściło, to i „zapłonców” (czerwonych złotych), po czym prędzej „wystawiać” (uciekać) do meliny w wiadomej „kierzycie” (karczmie). Ukrywając łup, można było iść się zabawić i odwiedzić „dwórkę” (burdelmame) i jej dziewczyny. Tylko wszystko to robić należało ostrożnie, bo jakby straż miejska złapała, to smutny koniec na „wieji” (szubienicy) gwarantowany!

GALERIA (NIE)SŁAWY

Przyjrzymy się teraz średniowiecznym rzezimieszkom w akcji. Weźmy pod lupę kradzież będącą nie tyle skokiem stulecia, ile skokiem epoki. Przy wyczynie żyjącego na przełomie XIII i XIV w. Anglika Ryszarda z Pudlicott nawet cała kariera legendarnego Szpicbródki wydaje się dziecięcą igraszką. Rzezony Ryszard opróżnił bowiem... londyński skarbiec króla Edwarda I, wynosząc z niego równowartość rocznego dochodu korony! Żeby było jeszcze zabawniej, zniknięcie z opactwa westminsterskiego tych pieniędzy i kosztowności, gdzie je przechowywano, przeszło zupełnie niezauważone. Średniowieczny kasiarz przez nikogo nieniepokoiony przez blisko pięć miesięcy wykuwał dziurę w murach opactwa, po czym po prostu wszedł przez zrobiony otwór do środka i zapakował do worka to, co leżało najbliżej, i zaniósł do siebie. Potem zaś wrócił. I znowu wrócił. I jeszcze raz.

Spustoszenie skarbcza wyszło na jaw dopiero wtedy, gdy po Londynie zaczęły krążyć drogocenne kamienie i inne precjoza, mające rzekomo znajdować się pod kluczem w opactwie. Wszystkie lampki alarmowe rozjarzyły się władzy na czerwono w momencie, gdy grupa mnichów opłacała... figle w burdelu (spuśmiony zasłonę milczenia na moralny stan braciszczków) królewskimi klejnotami. Zaczęło się śledztwo, w trakcie którego na jaw wyszła tożsamość sprawcy. Nie wierząc w to, że działał solo, wzięto go na tortury, on jednak siedł w zaparte i nikogo nie wydał, choć biorąc pod

uwagę fakt, że w mieszkach wspomnianych już zakonników nagle znalazło się złoto ze skarbcza, za pewnik przyjąć możemy, że za napadem stała szajka, w której skład oprócz kasiarza weszli też i oni. Jeśli tak było, to ci ostatni uniknęli kary, lecz średniowiecznego Szpicbródkę wysłano na szafot.

A jak wyglądała sytuacja w Polsce? Czy i na naszej ziemi grasowały szajki równie zuchwałe jak ta, która prawdopodobnie stała za skokiem na skarbiec króla Anglii?

– O miejskich szajkach źródła wypowiadają się nader skąpo. Może po prostu nasi przestępcy byli dobrze zorganizowani i nie dawali się tak łatwo złapać? – zastanawia się historyk Karol Ossowski, autor książki „Jak przetrwać w przestępczym Krakowie”. – Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja na obszarach niechronionych przez grube miejskie mury. Na średniowiecznych drogach i traktach grasowały liczne zastępy złodziei, raubritterów czy rozbójników. Co ciekawe, najbardziej znaną bandą rozbójniczą średniowiecznej Polski dowodziła kobieta, Katarzyna Wlekyne. Jej bazę wypadową stanowił zamek Barwałd pod Wadowicami. Stamtąd, wraz ze swoją bandą, wyruszała grabić liczne grody i wsie. Przy czym najbardziej lubowała się w napadach na kupieckie karawany. Ponoć podróźni przemierzający tamtejsze strony stale powtarzali między sobą, niczym mantrę, słowa: „Wlekyne nadchodzi”. Może liczyli, że zadziałają one niczym zaklęcie i uchronią ich przed łupieżczą kobietą? Obawy kupców potęgowała zapewne również postura rozbójnicza. Ponoć była tak silna, że nosiła zbroję, własnoręcznie naciągała łuk czy kuszę, w czym nie przeszkadzała jej nawet ciąża. Co znamienne, Katarzyna ostatecznie wyładowała na stosie nie za swoje rozboje, lecz za posługiwanie się sfalszowanymi monetami.

Jak widać, średniowiecze nie było epoką wolną od zorganizowanej przestępczości. I trzeba przyznać, że ówczesne mafie były chyba nawet lepiej zorganizowane niż dzisiejsze kartele narkotyków z Kolumbii czy chińskie triady. Istnienie tych ostatnich liczy się w dziesięcioleciach, podczas gdy cechy złodziejskie Paryża i innych miast dawnej Europy funkcjonowały o wiele, wiele dłużej, a większość z nich kontynuowała swą działalność także w epoce nowożytnej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Cata-Mackiewicz był, jak wiadomo, wielkim kobieciarzem, erotomanem, „pornografem” – jak go nazywano. Fotografował, i to z talentem, rozneglizowane panie. Ze swoją żoną, Wandą Krahelską, z którą miał dwie córki, nigdy jako konserwatysta się nie rozwiódł, choć opuścił ją już we wrześniu 1939 r., udając się na emigrację ze swoją ówczesną kochanką, Jadwigą Dziewulską. W Londynie, gdzie osiadł, miał kolejne kochanki, przyjaciółki, przygody, a ich liczbę redukował wyłącznie ze względów oszczędnościowych. Nie ukrywał też, że korzystał z usług prostytutek, mimo że te angielskie uważał za jeszcze gorsze od angielskiej kuchni. W swoich listach, wydanych właśnie w tomie „Odsłony Cata”, zwłaszcza w tych do najbliższego przyjaciela – Michała K. Pawlikowskiego, opisywał, ze smaczными szczegółami, swoje bujne życie erotyczne – którą ostatnio „chędożył” (m.in. narzeczoną Hłaski), którą „tylko macał”, podawał liczbę swoich „sztosów” i „sztosików”.

Ale był też przez wiele lat, do końca swego życia, nieprzytomnie, wariacko wręcz, nieszczęśliwie i platonicznie zakochany w 24 lata od niego młodszej Polce, również emigrantce, rozwódce, hrabiance Renacie Ostrowskiej. Pięknej, inteligentnej, z klasą. Razem ze swoją siostrą Beatą, zwaną Bibi, prowadziła w Chelsea bar, gdzie się poznali. Spotykała się z nim, pozwalała adorować, ale nic więcej. Nie chciała, choć rozpaczał i liczył na zmiany, zostać ani jego kochanką, ani żoną i to nawet wtedy, gdy był premierem emigracyjnego rządu na obczyźnie, a polski Londyn tytułował ją „panią premierową”. To jej dedykował napisane już po powrocie do Polski „Zielone oczy”, bo takie właśnie miała. Ze względu na posagową sylwetkę bogini nazywał ją Nike, „cierpieniem darzącą, przepotęzną, umiłowaną”. Ciągłe go jednak odrzucała, „dawała mu szkołę”, a nie lubił być masochistą. Chęć zakończenia upokarzającego go związku była więc jedną z przyczyn powrotu „zajadłego antybolszewika” do socjalistycznej Polski, w czerwcu 1956 r.

W „Odsłonach Cata” są jego listy do wielu osób, m.in. porzuconej żony, brak natomiast do tej najważniejszej, często wspominaanej – do Renaty. Może nadrobią to choć trochę trzy z nich, które odnalazłam w bogatych materiałach Cata w archiwum IPN, dowodzących że był również totalnie inwigilowany.

Będę Ci służył jak wierny pies



Joanna Siedlecka

Nieznane i niepublikowane dotąd listy Stanisława Cata-Mackiewicza do jego wielkiej miłości – hrabianki Renaty Ostrowskiej

Nie wiadomo nawet, czy SB tylko je fotografowała i wysłała dalej, czy też Renata ich nie otrzymała. Pokazują Cata, jakiego dotąd nie znaliśmy – po przyjeździe do Polski jeszcze bardziej za ukochaną stęsknionego, błagającego ją o przyjazd. I choć powitano go rzeczywiście owacyjne, fetowano, mocno swą nową sytuację koloryzował, puszył się, aby ją skusić i namówić. Jeździł też w tym celu do Paryża, gdzie się z nią spotykał, do Londynu nie dostawał już wizy.

„UCHODZĘ ZA DZIWAKA, KTÓRY BRONI SIĘ PRZED PIENIĘDZMI”

20.06.1956 r. „[...] Pobyt mój tu przypomina cielęcy zachwyt dla królowej angielskiej, jak tu była. Ludzie zatrzymują mnie na ulicy, urządzają owacje. Bóg wie co. Nadziei ich spełnić nie mogę, wyjazd mój oznacza raczej kapitulację przed rzeczywistością,

a oni twierdzą, że ze mną im raźniej. Sądzę, że gra tu uczucie podświadome, że mój przyjazd jest świadectwem, że epoka terroru należy do przeszłości. [...] Warszawa jest całkiem zachwycająca. Odbudowana jest pięknie. Restauracje i lokale są przepięknie urządzone – wszystko, co ma związek ze sztuką, jest wspaniałe. Jestem tu literalnie rozrywany. Kurtuazja bez granic. Wszyscy, poza czynnikami oficjalnymi, mówią: panie premierze. [...] Mnóstwo pań jest niesłychanie dla mnie łaskawych. Kupuję Citroëna i mam mieć mieszkanie na Starym Mieście, wprost cudowne pod względem artystycznej całości. Kupuję trochę antyków, żeby je umeblować. Pieniądek wszyscy mi wypychają, ale sam ograniczyłem swe dochody do honorariów za trzy książki. Nie przyjmuję pieniędzy za udzielane wywiady, w ogóle uchodzę za dziwaka, który broni się przed pieniędzmi.



■ [...] Od ósmej rano do czwartej w nocy mnie witają, bankietują, całują nieznajome damy. Dawne różne znajome także nadsyłają hurtownie listy – niestety, nie poznają ich, takie są brzydkie. Jutro mam rozmowę sam na sam z cudowną, prześliczną Basią (córką), której powiem, że będę mieszkał sam. Ale ta decyzja nie jest związana z Twoją osobą – po prostu nie mógłbym już mieszkać z Żoną. [...] Biorę Cię Nike za twoje biedne, chore łokcie, widzę Twą twarz zmęczoną i nerwową, twarz bogini greckiej, nigdzie niewidzianą, przecudną, drogą, twarz bogini, posągu z żywymi, najpiękniejszymi oczami”.

30.06.1956 r. „[...] Nie ma żadnych strachów, żebym zbiedniał, a materialnie zarabiam dużo. Honoraria literackie są tu ogromne, bo nakłady książek są fantastycznie duże, a ja jestem przez wszystkich poszukiwany. Mieszkałabyś osobno z Bubulińską (siostrą Beatą), a ja bym Ci służył jak wierny pies”.

„BĄDŹ DOBRA I ROZUMNA, WYŚŁUCHAJ MNIE, PRZYJEDŹ”

20.06.1956 r. „[...] NIKE, na Twój travel document dadzą Ci natychmiast wizę. Może byś tu przyjechała aeroplanem na tydzień, a obwiozłbym Cię po Polsce moim citroenem. Czas przestać się bać, że Ci zrobię coś, czego sobie nie życzysz. Wytrzymuję tu nie lada próbę nowych i przyjemnych wrażeń – nie zapominając, tęskniąc, myśląc. Mogłabyś tu przyjechać tak, aby nikt o tym w Londynie nie wiedział. Po powrocie zgubisz travel document i weźmiesz nowy, na którym śladu tej wizy nie będzie. Ja oczywiście przyślę Ci bilet lotniczy powrotny. Tutaj kupisz sobie piękne rzeczy – są śliczne samodziłały, mnóstwo rzeczy bardzo gustownych. Wspaniała kuchnia, wspaniałe wino, zwłaszcza węgierskie. Nike. Przez tydzień tutejszego pobytu może byś się zastanowiła, czy nie wrócić do kraju. To tak obrzydliwie prowadzić bar. Gdybyś przez PKO przeprowadziła tu swoje pieniądze, to będziesz tu milionerką, możesz robić, co chcesz albo nic nie robić. Przyjedź, zobacz, sprawdź. NIKE. Jak telefonowałem do Ciebie z Ameryki, odpowiadał mi głos znudzony, dlatego boję się telefonować i boję się sytuacji beznadziejnej. Może bym się uleczył, gdyby nie to, że Ty płakałaś wtedy przez telefon. Powtarzam sobie: ona po prostu była pijana, choć mówiła, że nie. Jak się mój los zmienił, może i Ty się zmienisz do mnie”.



Stanisław Cat-Mackiewicz witany przez rodzinę po powrocie z emigracji; Okęcie, 1956 r. FOT. CAF/PAP

24.06.1956 r. „[...] Obiecuję Ci, jak tu przyjedziesz, w najmniejszym stopniu nie nastawać na Twoją cnotę, której tak bronisz przede mną. Daję Ci słowo honoru, któremu możesz wierzyć, że nawet nie będę Cię próbował pocałować, jeśli oczywiście sama mnie nie upoważnisz. Daję Ci najpoważniejsze słowo honoru, a ty wiesz, że m o ż n a m i w i e r y ć. [...] Tu pobędziesz, ile zechcesz. [...] Zamieszkaż w Bristolu, bardzo wygodnie z pokojem z łazienką. NIKE. Marzenie moje, ukochanie moje najserdeczniejsze, biedactwo moje schorowane – przyjedź tu na kilka dni. Jeśli Ci się będzie podobało, to wrócisz,

zabierzesz Bibi i ewentualnie Zulę i przyjedziesz tu na stałe. Z Twoimi pieniędzmi będziesz tu pędziła życie bogatej arystokratki. Możesz zresztą pieniądze zostawić Bibi, ja Ci zapewnię życie spokojne i wygodne, niezależnie od tego, czy będziesz chciała mnie widywać, czy nie, czy wyjdiesz za mnie za męża, czy nie. NIKE, bądź dobra i rozumna, wysłuchaj mnie, przyjedź. [...] Ręce Twe i biedne chore łokcie całuję najserdeczniej”.

„ODWOJUJĘ DLA CIEBIE KAWAŁEK KORCZEWA”

Ojcem Renaty był hrabia Krystyn Ostrowski herbu Rawicz, przed wojną



właściciel pałacyku w Warszawie, pałacu w Korczewie nad Bugiem, zwanego perłą Podlasia, majątku liczącego 20 tys. ha. Był jednym z członków ekipy eskortującej za granicę polskie złoto, a w Londynie – członkiem emigracyjnych władz. Renata tęskniła bardzo za rodzinną posiadłością. Cat kusił ją więc też argumentem najsilniejszym – odzyskaniem dla niej ukochanego Korczewa, powrotem do dawnego życia

20.06.1956 r. „[...] Na Stalowej jeszcze nie byłem, ale Twój pałac jest pięknie odbudowany. Książę Janusz (Radziwiłł) powiedział mi, że to drugi dom od Kano-nicznej na prawo. W ciągu tych czterech

dni byłem dwa razy zapraszany przez księcia”.

24.06.1956 r. „[...] Chcę, abyś zobaczyła tutejsze życie, pożyła życiem przedwojennej arystokratki, pojechała na polowanie na jelenie, zwiedziła cudowną Warszawę, dziś piękną jak Florencja, dziś miasto sztuki, zobaczyła restauracje, wspaniałe teatry, kabarety, zobaczyła też życie zupełnie fantastyczne, o którym mieliśmy na emigracji tak fałszywe pojęcie”.

30.06.1956 r. „[...] Pojutrze zostałem zaproszony na polowanie na kaczki przez ambasadora francuskiego, który tu dzierżawi teren myśliwski. Widzisz,

jakim jestem snobem. Ale nie pojedę na to polowanie, bo pojedę do Twego Korczewa, przysłę Ci fotografie stamtąd bez jednego słowa listu. Tak bardzo głęboko cenię Twoje przywiązanie do rodzinnego majątku i rodzinnej ziemi i tak jestem dumny z tego, że ze mną o Korczewie rozmawiałaś. [...] Tak, kocham swoją miłość do Ciebie. Kocham także Twego pieska. Nie tylko kocham Twoją macierzyńską do niego serdeczność, ale kocham go bezpośrednio. Tak mi było miło, że wspomniałaś o jego zdrowiu. Gdybyś tu przyjechała, to po roku odwojowałbym dla Ciebie kawałek Korczewa, który najwięcej kochasz. Gdybyś tu przyjechała, byłabyś z powrotem hrabianką, tkwiłabyś z powrotem w towarzystwie arystokratycznym, które jak najbardziej istnieje i jest bardzo miłe. Jeździ na polowania, że aż miło. Byłem już na kilku. Wiem, miałaś rację, że odrzuciłaś moją ofertę wejścia do SZ [?] za czasów mego premierostwa. Ale gdybyś tu przyjechała na kilka dni, przekonałabyś się, że to, co piszę, jest bardzo poważne. [...] Nawet nie marzę, abyś wyszła za mnie za męża. Czy można, czy rozumnie jest odrzucać i ponieważ taką miłość i to takiego człowieka jak ja. Nike, Renato – bądź dobra, jak do Ciebie zadzwonię. Nie podpisuję się, bo i tak wiesz, kto pisze. Pani Kossak (Zofia) także tu przyjeżdża”.

Oprócz trzech listów SB zarekwirowała też telefonogram Cata do „hrabiny Ostrowskiej” w Londynie z 4.08.1956 r.: „Nike, nie bądź taka zła i bezlitosna”.

HRABIANKI POTRAFIĄ

Zakochał się w kobiecie niezwykłej i dzielnej. 23 lata po jego śmierci, w 1989 r., po blisko pół wieku emigracji, Renata i jej siostra Bibi wróciły natychmiast do wolnej już Polski. Odzyskały rodzinny majątek – pałac w Korczewie, a raczej jego ruiny i 15 ha z dawnych 20 tys. ha. Oszczędności całego życia oczywiście nie wystarczyły, więc choć miały już swoje lata (Renata blisko 70, Bibi o 10 mniej), zakasały rękawy, zakupiły stado rasowych krów, założyły zlewnię mleka i jako pierwsze w Polsce sprzedawały je w kartonach. Powołały fundację, zdobyły unijne oraz mazowieckie fundusze i powoli, przez kilka lat odrestaurowały pałac i park, które są znów perłą Podlasia. Renata odeszła w roku 2000 i dziś na Korczewie gospodarują tylko hrabianka Bibi – Beata Ostrowska-Harris – oraz jej dzieci i wnuki. ©©

Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Pieczyński

Kreml kreuje się na światowego obrońcę tradycyjnych wartości. Słusznie i szczerze. Są to jednak zupełnie inne tradycje i inne wartości niż te, które wyznaje polski czy zachodni konserwatysta

Dziś w wielu krajach rewidowane są normy moralne, zatarciu ulegają tradycje narodowe oraz różnice między narodami i kulturami. Od społeczeństwa wymaga się dziś nie tylko zdrowej akceptacji prawa każdego do wolności sumienia, poglądów politycznych i życia osobistego, lecz także obowiązkowego uznania równowartości dobra i zła – taką diagnozę postawił Władimir Putin podczas przemówienia przed połączonymi izbami parlamentu rosyjskiego w grudniu 2013 r. Włodarz Kremla zauważył wówczas: „Coraz więcej ludzi na świecie popiera nasze stanowisko w sprawie ochrony tradycyjnych wartości, które przez tysiąclecia stanowiły duchową, moralną podstawę cywilizacji, każdego narodu”. Wśród wartości tych wymienił tradycyjny model rodziny oraz prawdziwą pełnię życia ludzkiego, na które składa się nie tylko strona materialna, lecz także wymiar duchowy, religijny.

Przemówienie to, wygłoszone w przededniu rewolucji Euromajdanu na Ukrainie, komentowane było jako pierwszy tak wyrazisty manifest Putinowskiego konserwatyizmu. Kilka miesięcy później, w odpowiedzi na zwycięstwo prozachodnich sił w Kijowie, armia rosyjska zajęła Krym, a były (przynajmniej formalnie) oficer FSB Igor Girkin rozpętał prorosyjską rebelię w Donbasie. Interwencja na Ukrainie przyniosła Putinowi najwyższe dotychczas poparcie społeczne. Kremlowska oraz prokremlowska propaganda nadała rosyjskiej agresji wymiar antyfaszystowski, antyzachodni, antyliberalny i konserwatywny. Ten kierunek ideowy celnie oddał tekst utworu hip-hopowego, nagranego przez separatystów z Ługańska: „Nam wasze NATO wowsje nie nada i my nie żelajem dietjam giej-parada” („Wcale nie potrzebujemy waszego NATO i nie życzymy sobie, aby nasze dzieci oglądały parady gejowskie”). Putinowska Rosja jest



Władimir Putin oraz patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl
FOT. YURI KOCHETKOV/EPA/PAP

W co wierzy Moskwa



konserwatywna nie tylko na zewnątrz, na użytek wewnętrzny, lecz także wewnątrz. Tyle że jest to konserwatyzm o zupełnie innym charakterze niż ten polski czy szerzej – zachodni.

ABORCYJNE IMPERIUM

Jedno się zgadza – stosunek do homoseksualizmu. Tutaj rosyjscy konserwatyści przypominają polskich (niekoniecznie akurat zachodnich, którzy coraz chętniej dają się przemalować na tęczowo). Słowo „piedieras” (pedał, dosłownie: pederasta) jest tam powszechnie stosowaną, społecznie akceptowaną i wciąż prawnie dozwoloną obelgą. Specyficzny, rosyjski kult tradycyjnej męskości (nieprzypadkowo Putin przed kamerami, zamiast zalewać się łzami, pozuje w trakcie polowań, na hokejowym lodowisku czy podczas treninów judo) powoduje, że jest to wyzisko bardzo krzywdzące. Przy czym, co istotne, tak określa się również „człowieka o niskiej kondycji moralnej”. W 1998 r. 68 proc. Rosjan było przeciwnych małżeństwom jednopłciowym. Dwie dekady później ten wskaźnik wzrósł do 83 proc. Od 2013 r. działania promujące „nietradycyjne związki seksualne wśród nieletnich” karane są w Rosji grzywną. Podobne rozwiązania prawne, zakazujące „propagandy homoseksualizmu”, wprowadzane były już wcześniej (od 2006 r.) na poziomie władz poszczególnych podmiotów federacji.

Nad Wisłą jednym z najważniejszych wyznaczników prawicowości jest postawa ideowa wobec aborcji. Deklaracja poparcia dla pełnej ochrony życia poczętego jest w zasadzie gwarancją otrzymania „certyfikatu konserwatysty”, ze wszystkimi tego pozytywnymi i negatywnymi konsekwencjami. Dlatego też polscy komentatorzy, próbując podważyć tezę o szczerości aspiracji Moskwy do odgrywania roli „Trzeciego Rzymu”, zazwyczaj wskazują na niedopuszczalny z chrześcijańskiego punktu widzenia stosunek państwa i społeczeństwa rosyjskiego do kwestii przerywania ciąży. W Rosji aborcja jest nie tylko legalna, lecz także finansowana z budżetu państwa. Do 12. tygodnia ciąży może być przerywana na żądanie kobiety. Do 22. tygodnia dopuszczalna jest aborcja z przyczyn społecznych, przez które ustawodawca rozumie ciążę z gwałtu, decyzję o pozbawieniu lub ograniczeniu praw rodzicielskich, przebywanie kobiety w miejscach pozbawienia wolności, inwalidztwo I-II grupy u męża lub śmierć męża podczas ciąży. Aż do narodzin dziecko

może zostać zabite z powodów zdrowotnych. Rosyjskie prawo aborcyjne jest jednym z najbardziej liberalnych na świecie. Co roku w tym kraju wykonuje się średnio ponad pół miliona aborcji. Rosja jest, obok Chin, jednym ze światowych liderów w tej niechlubnej statystyce.

Nietrudno prześledzić kulturowo-polityczne źródła tego trendu. Pierwszym państwem, które zalegalizowało aborcję, była właśnie Rosja, tyle że... Rosja sowiecka, w 1920 r., a więc w czasach, gdy bolszewizm miał jeszcze liberalny, zdecydowanie antytradycyjny charakter. W 1936 r., za czasów „czerwonego konserwatysty” Stalina, aborcji znów zakazano (czyniąc wyjątek jedynie dla przyczyn medycznych), tłumacząc tę decyzję względami demograficznymi, by w latach 50. ponownie ją zalegalizować. Liczba zabiegów rosła. W zateizowanym, zlaicyzowanym społeczeństwie sowieckim aborcja stała się niemal nieodłącznym elementem stylu życia, niewzbudzającym praktycznie żadnych kontrowersji ani moralnej refleksji. Trend zmienił się pod koniec lat 80. W postsowieckiej Rosji liczba dokonywanych aborcji zaczęła spadać. W 2010 r. odnotowano ponad 1 mln 186 tys. zabiegów. W 2018 r. – już „tylko” 661 tys. W ciągu 18 lat liczba ta spadła trzykrotnie. Eksperci wśród przyczyn wymieniają jednak przede wszystkim upowszechnienie antykoncepcji czy zmniejszenie liczby kobiet w wieku rozrodczym.

Tak czy inaczej, państwo podjęło walkę z tym procederem. Na razie nieśmiało, czemu jednak trudno się dziwić – dziesięciolecie komunizmu zrobiły swoje, społeczna akceptacja dla „przerwania ciąży” jest niezwykle głęboko zakorzeniona w rosyjskiej świadomości. W 2013 r. zakazano reklamowania aborcji. W latach 2016–2018 w wielu obwodach wprowadzono czasowy zakaz usuwania ciąży. Ogólnorosyjski ruch społeczny „Za życiem” w ciągu czterech lat zebrał milion podpisów pod inicjatywą całkowitego zakazu aborcji – w skali Rosji niewiele. Organizacja na swojej stronie internetowej chwali się aprobatą ze strony samego Putina, wyrażoną jednak w bardzo charakterystyczny, ostrożny sposób: „To, co robicie w temacie wsparcia dla kobiet, które podejmują decyzję, czy zachować dziecko czy nie, jest absolutnie właściwe”. Władca Kremla w tej wypowiedzi zaznaczył, że jest gotów zrobić wszystko, aby ruch wesprzeć, ale tylko w tej konkretnej sferze działalności. Obywatelski projekt zakazu aborcji już cztery lata temu poparł oficjalnie patriarcha Cyryl, głowa rosyj-

skiej Cerkwi prawosławnej, ale również czeczeński dyktator Ramzan Kadyrow czy przywódca rosyjskich muzułmanów mufti Tałgat Tadzuddin. Zresztą islam w Rosji nomen omen tradycyjnie już staje po stronie wartości konserwatywnych. Muzułmańscy i prawosławni fundamentalści niekonięcznie wchodzą sobie w drogę – dziś mają w końcu wspólnego wroga, „zgniły Zachód”.

ZŁAMANY DUCH CERKWI

Kolejnym argumentem przeciwko tezie o konserwatywnym charakterze społeczeństwa rosyjskiego jest statystyka rozwodowa. Według danych za 2018 r. na 100 zawartych małżeństw przypadało aż 63,7 rozstań. Dla porównania, w tym samym roku w Polsce stosunek ślubów do rozwodów wyniósł 100 do 33. Tutaj jednak należy wziąć pod uwagę konkretne różnice kulturowe. Zarówno polski Kościół, jak i rosyjska Cerkiew jednoznacznie występowały w obronie życia poczętego. Winą za powszechność i akceptowalność aborcji w Rosji należy zatem obarczyć komunizm, który w Polsce – co oczywiste – miał o wiele łagodniejszy charakter niż w ZSRS, miał też znacząco mniej czasu na przeprowadzenie duchowej rewolucji. Natomiast różnica w podejściu do rozwodów jest dostrzegalna już na poziomie wiary.

O ile w Kościele katolickim można małżeństwo, teoretycznie nierozwalne, jedynie unieważnić, o tyle w Cerkwi prawosławnej dopuszczalny jest rozwód, postrzegany jako „druga szansa”, „mniejsze zło”, wynikające z wyrozumiałości dla ludzkiej słabości. Rosyjska Cerkiew rozszerzyła katalog przyczyn, dla których taki rozwód jest możliwy: oprócz zdrady (dla której można znaleźć ewangeliczne uzasadnienie) są to m.in.: odejście małżonka od prawosławia, długa nieobecność małżonka niedającego znaku życia, trąd, syfilis, AIDS, medycznie zaświadczony chroniczny alkoholizm lub narkomania czy dokonanie aborcji przez żonę bez zgody męża.

Inna sprawa, że akurat w tym przypadku komunizm nie wywarł negatywnego wpływu. Pod koniec lat 50. w ZSRS na 100 małżeństw przypadały jedynie cztery rozwody. Dwa lata przed rozpadem Związku Sowieckiego współczynnik wynosił 42 proc. W 2002 r., a więc na samym początku rządów Putina, jeszcze przed zdecydowanym „konserwatywnym zwrotem”, Rosjanie pobili niechlubny rekord 84 rozwodów na 100 małżeństw. Od tamtej pory statystyka jest coraz



■ bardziej optymistyczna, trudno jednak wychwycić stałą tendencję. Spadek liczby rozwodów związany jest bowiem także ze spadkiem liczby zarejestrowanych oficjalnie związków.

Bardziej liberalny niż w Kościele katolickim stosunek Cerkwi do kwestii nierozdzielności małżeństwa mówi wiele, ale wszystkiego nie wyjaśnia. Za prawosławnych uważa siebie według kolejnych badań średnio ok. 80 proc. obywateli Federacji Rosyjskiej. Podobny odsetek dotyczy etnicznych Rosjan. Podobnie jak w Polsce narodowość łączy się z wyznaniem. Tyle że procent aktywnych wiernych, uczestniczących regularnie w nabożeństwie, to w najlepszym przypadku zaledwie kilka procent. A jednak już od czasów Jelcyna władze postsowieckiej Rosji stawiają na sojusz tronu z ołtarzem. Obecny patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl wyznaje prawosławną zasadę „symfonii”, czyli harmonijnej współpracy Cerkwi z władzą. Władza jest uosobieniem współczesnej Rosji. Dumny z dziadka, który ponad 30 lat spędził w łagrach za walkę z komunistyczną agenturą w Cerkwi, sam za czasów sowieckich zrobił w kontrolowanej przez władze Cerkwi karierę, współpracował z KGB, dziś przyjaźni się z Putinem i chwali Stalina za „odrodzenie i modernizację kraju”, uznając jednocześnie zbrodniczy charakter jego rządów. Komuniści skutecznie złamali ducha Cerkwi, która jest dziś karykaturą samej siebie sprzed rewolucji. Wciąż jednak stanowi skuteczne narzędzie władzy i towar eksportowy – w polityce zagranicznej, zarówno wobec prawosławnych, wschodniosłowiańskich sąsiadów, jak i wobec zachodnioeuropejskiej prawicy, poręcznym narzędziem propagandowym jest idea „Moskwy – Trzeciego Rzymu”.

Kreml wykorzystuje prawosławne wartości instrumentalnie, są one jednak nieodłączną częścią rosyjskiej tożsamości jako takiej. I to niezależnie od stosunku wiernych do Cerkwi. Warto pamiętać, że dwaj wielcy konserwatyści, wybitni pisarze chrześcijańscy, nieprzejednani wrogowie idei rewolucyjnych, nie mieli najlepszych relacji z instytucją Cerkwi. Tołstoj został z niej wykluczony, a Dostojewski sympatyzował raczej z prawosławiem ludowym niż instytucjonalnym.

ECHA MYŚLI DOSTOJEWSKIEGO

Ludowość to słowo klucz dla zrozumienia specyfiki rosyjskiego konserwatyzmu. Rosjanie są narodem chłopskim bynajmniej nie z powodu przelania „błękitnej

Komuniści skutecznie złamali ducha Cerkwi, która jest dziś karykaturą samej siebie sprzed rewolucji. Wciąż jednak stanowi skuteczne narzędzie władzy

krwi” przez bolszewików. Ideologię caratu najpełniej wyraził hrabia (tak, hrabia!) Siergiej Uwarow w triadzie „prawosławie – samodzielnictwie – ludowość”. Wychowani na doktrynach zachodniej lewicy rewolucjoniści przez dziesięciolecia bezskutecznie zachęcali konserwatywnych, oddanych władzy i Cerkwi chłopów do podniesienia ręki na „świętą Rus”.

We współczesnej rosyjskiej proputinowskiej publicystyce wyraźnie brzmi echa myśli Dostojewskiego. Pisarz utyskiwał na nie wolnicze kopiowanie wzorców zachodnich przez petersburskie i moskiewskie elity. Zapewne zgodziłby się z opinią Putina, że „Rosja to nie kraj – to cywilizacja”. Za największego wroga Rosji uważał Zachód. Główną oś sporu kreślił między rosyjskim „duchem” a zachodnią „materią”. Katolicy, skażeni racjonalizmem, indywidualizmem i humanizmem, zamiast wierzyć w Boga, uwierzyli w człowieka, zastępując Królestwo Niebieskie Chrystusa królestwem ziemskim papieża, podbój na ziemi stawiając ponad transcendencją. Nic dziwnego, twierdzi Dostojewski, że właśnie na katolicko-protestanckim (oba wyznania potępia w podobnym stopniu) Zachodzie narodził się ateizm. Produktami zachodniego świata są również socjalizm i liberalizm, które Dostojewski odrzuca w równej mierze z tego samego powodu – bo zajmują się materialną stroną życia. Ideał to dla niego patriarchalna wspólnota prawosławnych chłopów, którzy tworzą kolektyw (jedność – prawosławne pojęcie „soborowości”) nie z przyczyn ekonomicznych, ale duchowych – w imię odrzucenia „złego” indywidualizmu i „Chrystusowego” otwarcia się na siebie wzajemnie. Chrystus obdarzył człowieka wolną wolą, ale po to, by w jej ramach człowiek dobrowolnie zrezygnował ze swojego „ja” i zjednoczył się z innymi.

Oczywiste dla zachodniego konserwatyzmu kategorie wolności jednostki czy wolności gospodarczej na gruncie rosyjskim są niezrozumiałe nie tylko dla komunistów, lecz także dla konserwatystów. Bolszewicki totalitaryzm padł

na podatną glebę, przygotowaną przez XIX-wiecznych prawosławnych fundamentalistów. Nawet w kwestii prymatu ducha nad materią można znaleźć podobieństwa – stalinowski „kult jednostki” był przecież swego rodzaju świecką religią. Z tej perspektywy nie powinien dziwić tzw. sojusz czerwono-brunatny w postsowieckiej Rosji. U schyłku ZSRS komuniści i wielkoruscy (czy też wszechrosyjscy) szowiniści połączyli siły, by zapobiec upadkowi wielkiego imperium. Nie był to jedynie taktyczny sojusz, a jego korzenie wynikały nie tylko ze wspólnego dla obu środowisk sentymentu do geopolitycznych sukcesów Stalina. Skrajnej prawicy ze skrajną lewicą nie dzieli kwestie ekonomiczne czy społeczne – jedni i drudzy stawiają na „lud”, wspólnotowość, antyindywidualizm, jedni i drudzy nienawidzą Zachodu. A zapatrzeni w Zachód oligarchowie to tylko kolejne pokolenie „elity bogaczy”, w równym stopniu odrzucanej przez lud, co i przez cara (białego, czerwonego, Putina...) – wcześniej podobną rolę pełnili „starzy bolszewicy” (za Stalina), socjaliści i liberałowie (przed rewolucją), bojarzy (jeszcze wcześniej). Przedsiębiorczość i prywatna inicjatywa zawsze były w Rosji podejrzane... Zawsze, czyli z punktu widzenia rosyjskiego konserwatysty były to wartości antytradycyjne.

Kreml bez wątplenia wykorzystuje konserwatyzm do walki z Zachodem. Bo też właśnie zachodnie wzorce, zachodnie ideały – od katolicyzmu do lewackiego neomarksizmu – są dla rosyjskich tradycjonalistów negatywnym punktem odniesienia, zarówno w polityce zagranicznej, jak i wewnętrznej. Moskwa kusi europejską prawicę. Polscy tradycjoniści są na to odporni nie tylko z uwagi na historyczne doświadczenia. Szlachecki, indywidualistyczny, wolnościowy konserwatyzm Polaków jest zwyczajnie nie do pogodzenia z chłopskim, wspólnotowym i autorytarnym konserwatyzmem Rosjan. Moskwa nie jest i nie będzie dla nas „Trzecim Rzymem”, bo wierzymy, że wciąż stoi „Pierwszy Rzym”, a „Drugiego” (Bizancjum) nigdy nie uznaliśmy. Mamy własny „młot na liberałów”, nie potrzebujemy „sierpa” od wschodniego sąsiada. Rosja chce „zgnieść, lewicowo-liberalny Zachód” zastąpić „czerwono-brunatnym Wschodem”, poświęconym przez prawosławnego patriarchę, Polacy zaś – „chrześcijańskim, konserwatywno-liberalnym Zachodem”.



Jak więc, jego zdaniem, będzie wyglądała Grecja za 100 lat? Mitsotakis jest optymistą: będzie krajem silnym i liczącym się, również gospodarczo, a przy tym pod każdym względem wiarygodnym. Kryzys przeminął, a sposób, w jaki Grecja radzi sobie z pandemią, bardzo poprawił jej opinię – bo radzi sobie lepiej niż kraje o wiele bogatsze i lepiej zorganizowane. Taką wizję przedstawił premier podczas spotkania z członkami Greckiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych.

Grecja, po 400 latach niewoli, wyzwoliła się spod rządów osmańskich w 1830 r., gdy antytureckie powstanie zakończyło się zwycięstwem. Za dzień niepodległości uznano jednak nie koniec powstania, lecz jego początek, gdy proklamowano suwerenność – 25 marca 1821 r. Gdyby nie koronawirus, uroczystości rocznicowe z pewnością miałyby większy rozmach. Pandemia narzuciła jednak skromność. Zaproszono jedynie przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Francji i Rosji – państw, które wsparły Greków w walce z Turkami (plus prezydenta Cypru, co oczywiste wobec więzów łączących Grecję i Cypr). Z tej trójki przyjechał tylko książę Karol z małżonką Kamillą. Władimir Putin i Emmanuel Macron się uchylił.

Prawdziwym gwoździem programu miało być sprowadzenie z Londynu tzw. marmurów Elgina – fragmentów fryzu z Partenonu, które od ponad 200 lat znajdują się w British Museum (lord Elgin, który wywiózł je do Anglii, był na początku XIX w. posłem brytyjskim w imperium osmańskim). O ich zwrot od lat zabiegają wszyscy kolejni greccy przywódcy – a wszyscy brytyjczycy zgodnie odmawiają. Tak też postąpił Boris Johnson. Premier Mitsotakis liczył na to, że w roku jubileuszu uda się przynajmniej marmury wypożyczyć, ale i tu się zawiódł. Brytyjczycy potraktowali Grecję gorzej niż Rosję, której parę lat temu wypożyczyli część fryzu na wystawę w Ermitażu.

TRZY WIELKIE RODY

Ciekawe, czy snując refleksje o przyszłości Grecji, premier choć przez chwilę się zastanawiał, jakie miejsce będzie w niej zajmować jego rodzina. Mitsotakisowie bowiem to jedna z trzech wielkich greckich dynastii politycznych. Na niwie publicznej są obecni od ponad 100 lat i nie ma przeszkód, by było tak przez kolejnych 100, zwłaszcza że w politykę

wchodzi kolejne pokolenie rodu. Trzy dynastie – poza Mitsotakisami rodziny Karamanlisów i Papandreu – od dziesięcioleci na przemian rządzą Grecją, czasem tylko dopuszczając do władzy ludzi spoza swego grona.

Kyriakos Mitsotakis politykę ma więc we krwi. „Urodził się, by zostać premierem”, jak bez śladu ironii zauważył jeden z greckich komentatorów, gdy w lipcu 2019 r. Nowa Demokracja – konserwatywna partia, którą Mitsotakis kieruje – wygrała wybory, a on sam stanął na czele rządu. Został premierem – czwartym w rodzinie.

prawosławnego. Nie lubił garniturów, krawatów w ogóle nie nosił. Tymczasem Mitsotakis na uroczystości zaprzysiężenia wystąpił, jak przystało na przedstawiciela elity, w garniturze i krawacie. I, jak każe tradycja, ucałował dłoń abp. Hieronima, prymasa greckiego Kościoła.

MAŻ STANU I ETNARCHA

Kyriakos wychował się w rodzinie, która od bardzo dawna stanowi ścisłą czołówkę greckiego świata politycznego. Na początku lat 90. premierem był jego ojciec Konstantinos. Dora Bakojanni, starsza siostra Kyriakosa, była ministrem spraw

Polityka we krwi



Teresa Stylińska

Pandemia koronawirusa nie skłania do wybiegania myślą w przyszłość, ale okoliczności czasem dyktują wyjątki. Taka szczególna okoliczność sprawiła, że Kyriakos Mitsotakis, premier Grecji, pozwolił sobie na zerknięcie w przyszłość, bo – jak zauważył – „dwusetna rocznica powstania Grecji to dobra okazja do snucia refleksji historycznych”

Powrót Mitsotakisów potraktowano jak przełom, powrót do zamierzonych czasów sprzed kryzysu, któremu – zdaniem wielu – winne były właśnie rozpanoszone dynastie. To rodziło pewne obawy, choć nowy premier obiecywał wyprowadzenie kraju na spokojne pokryzysowe wody. Zapowiadał też walkę z korupcją i nepotyzmem, czego przejawem była obietnica – jak dotąd dotrzymana – że do swego rządu nie powoła żadnego z krewnych.

Za to uwagę od razu zwrócił powrót do dawnego stylu. Poprzedni premier Aleksis Tsipras, zdeklarowany ateista, był pierwszym, który odmówił składania przysięgi na ręce zwierzchnika Kościoła

zagranicznych, a przedtem burmistrzem Aten. Mąż Dory, Pawlos, zabity w zamachu dokonanym przez terrorystów z Organizacji Rewolucyjnej 17 Listopada, zasiadał w parlamencie. Kostas Bakojannis, siostrzeniec Kyriakosa, idzie w ślady matki: od blisko dwóch lat rządzi stolicą.

Tym, co wyróżnia Mitsotakisów na tle innych rodów, są ich rodzinne więzy z Eleferiossem Wenizelosem, uważanym za największego męża stanu w historii Grecji. Wenizelos kierował rządem aż osiem razy, w trudnym czasie wojen bałkańskich i pierwszej wojny światowej, a także starał o powiększenie terytorium kraju – owocnych, bo przyłączono Macedonię i Trację. ■



■ Premierem był także jego syn Sofokles. Konstantinos Mitsotakis, ojciec Kyriakosa, był wnukiem siostry Wenizelosa, Katigo. Obie rodziny pochodzą z Krety, z miasta Chania, i współpracowały ze sobą już za czasów osmańskich. Mało kto ma takie koneksje.

Dwie pozostałe dynastie też mają się czym pochwalić. Ród Karamanlisów opromienia wybitna postać Konstantinosa, który po rządach pułkowników śmiało i zdecydowanie przeprowadził Grecję od dyktatury do demokracji. Zasługi Karamanlisa są nie do przecenienia i nie przypadkiem do dziś nazywany bywa „etnarchą” – przywódcą narodu.

Konstantinos Karamanlis tworzył nową Grecję od podstaw, działając szybko, sprawnie i skutecznie, do tego w niepewnej sytuacji, gdy nie wiadomo było, jak wielki opór mogą stawiać niedobitki reżimu. W krótkim czasie powstały nowe partie (on sam założył Nową Demokrację), zreorganizowano system rządów, zniesiono monarchię i rozpoczęto starania o przyjęcie do EWG. Karamanlis został premierem (w sumie, poczynając od 1955 r., był nim cztery razy), a zwieńczeniem jego kariery było objęcie urzędu prezydenta. Był konsekwentny w potępieniu junty. Jej przywódców skazano na śmierć i choć Karamanlis zmienił wyroki na dożywocie, to nigdy nie zgodził się, by pułkownicy wyszli na wolność.

Kolejny premier z rodu Karamanlisów to Kostas, bratanek Konstantinosa – nieudolny szef rządu (2004–2009) i zupełne przeciwieństwo stryja. Zarzuca mu się wiele: od przyzwolenia na korupcję i nepotyzm do manipulowania danymi gospodarczymi, co – jak się okazało – wiodło prosto do kryzysu. Inny bratanek, również Kostas, syn drugiego brata etnarchy, zasiada w obecnym rządzie jako minister infrastruktury.

DZIADEK, OJCIEC I SYN

Wreszcie rodzina Papandreu – socjaliści, w przeciwieństwie do konserwatywnych Karamanlisów i konserwatywno-liberalnych Mitsotakisów. Jednak nie tylko to ich wyróżnia. Tylko w rodzinie Papandreu premierami byli dziadek, ojciec i syn: Jeorjos (trzy razy), Andreas (również trzy razy) i znowu Jeorjos (jeden raz).

Starszy Jeorjos (jeszcze nie socjalista, ale centrysta), który zajmował się polityką przez ponad pół wieku, to poniekąd instytucja. Otwierał i zamykał epokę – był pierwszym premierem po zakończeniu



Trzy dynastie: Mitsotakisów, Karamanlisów i Papandreu (na zdjęciu) od dziesięcioleci na przemian rządzą Grecją, czasem tylko dopuszczając do władzy ludzi spoza swego grona FOT. AGIP/RUE DES ARCHIVES/FORUM

drugiej wojny (wcześniejszy rząd Sofoklesa Wenizelosa istniał zaledwie 12 dni) i ostatnim naprawdę urzędującym przed przewrotem pułkowników. Jego działalność przypadła w dodatku na czas aż nadto bogaty w wydarzenia: obie wojny światowe, wojnę z Turcją i wojnę domową, przedwojenną dyktaturę generałów, okupację włoską i niemiecką oraz nieustanne konflikty między kolejnymi królami i kolejnymi rządami.

Andreas, założyciel PASOK, Ogólnogreckiego Ruchu Socjalistycznego, to z kolei najbardziej kontrowersyjna postać greckiej polityki. W 1981 r. został pierwszym lewicowym premierem i przystąpił do realizowania socjalizmu w praktyce. Składały się na to m.in. reformy socjalne, kontakty z ZSRS i światem komunizmu oraz niechęć do USA. Wielkie wydatki jego kolejnych rządów zapoczątkowały zadłużanie się państwa



młodszy Jeorjos. Gdy zostawał premierem, kryzys dopiero nabierał rozpędu. Opanowanie go okazało się zadaniem niewykonalnym i po dwóch latach Jeorjos Papandreu ustąpił z urzędu.

ZAWÓD ZAMKNIĘTY

Od zakończenia wojny, która – poza Kretą – dobiegła w Grecji końca w 1944 r., trzy wielkie rody wydały siedmiu premierów. Pozornie niewielu – gdyby nie to, że łącznie sprawowali oni rządy przez ponad połowę z 77 minionych lat. Świat greckiej polityki jest więc wybitnie dynastyczny – nie tylko dlatego jednak, że dominują w nim Karamanlisowie, Mitsotakisowie i Papandreu.

Członkowie trzech dynastii nie wyczerpują długiej listy polityków, którzy swe zajęcie odziedziczyli po ojcach, wujach czy dziadkach. I nie tylko samo zajęcie – lecz także często okręgi wyborcze. Dziwne? Dla niejednego greckiego polityka jest to wręcz oczywiste. Zupełnie kuriozalny, ale i znamieny jest przypadek deputowanego ND, Joannisa Tragakisa, wiceprzewodniczącego izby w poprzedniej kadencji, który bez ogródek oznajmił, że chciałby odejść z polityki, a swój mandat przekazać synowi. Nie udało się, bo sprzeciwił się temu Kyriakos Mitsotakis, już wówczas lider ND.

Bywało oczywiście i tak, że nowe pokolenia wchodziły w politykę dlatego, że wśród niej dorastały, i trudno tu doszukać się nepotyzmu. Teodoros Pangalos, członek PASOK i eksminister spraw zagranicznych, to wnuk przedwojennego dyktatora, ale działalność obu dzieli przepaść i wiele lat. To także przypadek rodziny Rallisów, w której podobnie jak wśród Papandreu funkcję premiera sprawowali przedstawiciele kolejnych pokoleń. Ostatni z rodu, zmarły w 2006 r. Jeorjos, był bardzo ceniony za kompetencje i skromność. Jest to jednak rozdział zamknięty, bo po jego śmierci w parlamencie nie ma już żadnego Rallisa.

Lista deputowanych budzi jednak wiele skojarzeń. Zawsze jest na niej dużo dobrze znanych nazwisk, choć imiona się zmieniają. Trudno wątpić, że rodzinne koneksje nadal mają znaczący wpływ na skład greckiego parlamentu.

Znane nazwisko ułatwia karierę, ale nie tylko o to chodzi. Równie ważne jest poczucie lojalności – i tym kierują się wyborcy. Czy nie dlatego region Achaja na Peloponezie, skąd wywodzi się rodzina Papandreu, jest ostoją lewicy, a Kastoria na północy, gdzie urodził się Konstantinos

Karamanlis, to twierdza prawicy? A czemu w PASOK wahano się, czy pozbawić Jeorjosa Papandreu przywództwa? Jak możemy to zrobić synowi Andreasa? – zastanawiali się członkowie partii.

Ateński dziennik „Kathimerini” tłumaczy to tak: dokonania wielkich przywódców Grecy bezwiednie przenoszą na członków ich rodzin, na wyrost obdarzając ich zaufaniem. Dlatego ich wybierają. Ten mechanizm jednak, jak się wydaje, działa również wobec wcale niemałego grona polityków z niższej półki. Dlatego w Grecji zawód polityka stał się zawodem zamkniętym.

PROSTO Z DOMU

Czy gdzie indziej uprawianie polityki także bywa zajęciem rodzinnym? W powszechnym odczuciu tak, ale raczej w egzotycznych, często niedemokratycznych krajach, gdzie ojciec polityk zapewnia władzę dzieciom i wnukom. Tak dzieje się w Syrii (Asadowie), Libanie (Dżemajelowie, Karami), Kenii (Kenyatta), Pakistanie (Bhutto), Indiach (potomkowie Jawaharlala Nehru), by poprzestać na najbardziej znanych przykładach.

Dynastii politycznych nie brakuje też w świecie zachodnim. Weźmy choćby USA (Kennedy, Bushowie), Kanadę (Trudeau) i Japonię (Tanaka, Fukuda, Nakasone). Nie inaczej jest w Europie. Giscard, Debré i Le Pen we Francji, Bildt w Szwecji, Weizsäcker w Niemczech czy Kiprianu na Cyprze – to nazwiska obecne w życiu publicznym przez kolejne pokolenia. W ławach parlamentarnych zasiadali Philippe de Gaulle, syn generała, a także paru potomków Winstona Churchilla. Politykami w drugim pokoleniu jest też dwoje eurokratów: Ursula von der Leyen, córka Ernsta Albrechta, ekspremiera Dolnej Saksonii, i Charles Michel, syn Louisa Michela, niegdyś ministra spraw zagranicznych Belgii.

Autorzy badań nad znaczeniem powiązań rodzinnych w polityce, opublikowanych przez pismo „Historical Social Research”, dostrzegają w tym jednak pewne plusy. Członkowie rodzin politycznych bywają, ich zdaniem, bardziej obeznani z polityką, a znane nazwisko może się na przykład przekładać na łatwość nawiązywania kontaktów. Zresztą liczby mówią same za siebie. W skali świata rodzinne zaplecze polityczne miało 12 proc. spośród ponad tysiąca prezydentów i premierów z lat 2000–2017. Demokratyczna Europa – z 13 proc. – była na czele. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

i w połączeniu z rozrostem administracji i sektora publicznego stanowiły pierwszy krok ku późniejszemu kryzysowi. Andreas odznaczał się przy tym charyzmą, jak nikt inny umiał porywać tłumy i budził mocne uczucia – uwielbienia lub nienawiści. Wybaczano mu nawet skandale i romanse, które innemu politykowi nie uszłyby na sucho.

Z dziedzictwem ojca – choć nie tylko jego – musiał się po latach zmierzyć



PATRZENIE NA KSIĘŻYC W ROSJI ZAKAZANE

Czy można popatrzeć na Księżyc? Gdy się mieszka w Rosji, nie zawsze. Federalna Służba Bezpieczeństwa sprzeciwiła się pozwoleniu na organizację akcji obserwowania Księżycy w mieście Ust'-Kut na Syberii. Miało być to jedno z 13 miast, w których staną po dwa teleskopy służące ludziom do obserwowania Księżycy w ramach projektu organizowanego przez planetarium w Irkucku i Irkuckie Regionalne Towarzystwo Astronomiczne. Po interwencji FSB władze miejscowości pozwolenie na akcję wycofały. Według Radia Swoboda obawiano się „agitacji politycznej”. FSB oficjalnie zaprzeczyło, by miało związek z odwołaniem akcji.

FOT. ADRIAN STOCK

PANI PREMIER SIĘ WYGADAŁA

Premier Norwegii Erna Solberg przyznała w wywiadzie, że podczas pandemii wzięła udział w spotkaniu rodzinnym, podczas którego zgromadziło się więcej osób, niż zgodnie z prawem mogło. Sprawę bada teraz policja. Premier zastrzegła, że jeśli postępowanie dowiedzie, iż należy się jej za to grzywna, to nie będzie wymigiwała się od zapłacenia kary.

JAK NIEMCY KUPOWALI MASECZKI

Niemieccy politycy tak zaopatrzyli społeczeństwo w maseczki FFP2, że ze stanowiska zrezygnował były minister sprawiedliwości z Bawarii – Alfred Sauter z CSU. Prokuratura zarzuciła mu, że przyjmował łapówki w zamian za pomoc w załatwianiu zamówień na maseczki ochronne. Polityk zaprzecza. Nieco wcześniej „Der Spiegel” ujawnił, że partner ministra zdrowia Jensa Spahna – Daniel Funke – jest lobbystą i prowadzi biuro firmy Burda. I właśnie od tej firmy

resort zakupił maseczki. Zamówienie było bezpośrednie, czyli bez przetargu.

CUKIERKOWA AKCJA POLICJI

Francuscy policjanci z Saint-Ouen pochwalili się na Twitterze, że w domu 20-letniego pasera znaleźli 25 kg różowego proszku i tabletki. Uznali, że to ecstasy. Wartość towaru oszacowali na ponad milion euro. Jak potem napisał „Le Parisien”, w laboratorium okazało się, że owe tabletki okazały się truskawkowymi cukierkami. A proszek – zmielonymi cukierkami.

STRIPTIZ W SĄDZIE

Właściciele nowojorskich klubów ze striptizem nie mogą już zdzierzyć tego, że restauratorzy mogą otwierać swoje przybytki, a oni pozostają w zamknięciu. W związku z tym wystąpili na drogę sądową przeciw gubernatorowi Andrew Cuomo. Pozwoli stan, gdyż uważają za sprzeczne z konstytucją to, że jedynie ich branża ma pozostawać unieruchomiona podczas pandemii. Ich zdaniem decyzja Cuomo narusza pierwszą i czternastą poprawkę do amerykańskiej konstytucji. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Powiało zimną wojną

Ekipa prezydenta Bidena w mocny sposób rozwiązała nadzieje władz w Moskwie i w Pekinie na reset w stosunkach z Waszyngtonem. Na Kremlu zapanowało oburzenie po wywiadzie Joe Bidena, w którym nowy prezydent na pytanie: „Czy prezydent Rosji jest mordercą?” odpowiedział szczerze: „Tak”. Moskwa od razu ściągnęła „na konsultacje” swego ambasadora z USA. A rosyjscy politycy narzekali, że tak ostre określenia nie padały nawet w najgorętszych chwilach zimnej wojny.

Ostro było też na chińsko-amerykańskim szczycie w Anchorage na

Alasce. Waszyngton oskarżył Pekin o prowadzenie działań, które zagrażają globalnemu łaadowi, i dał jasno do zrozumienia, że ani myśli o zmianie bezkompromisowej polityki wobec Chin zapoczątkowanej przez Donalda Trumpa. Z kolei chińska dyplomacja zarzuciła Ameryce wszelkie grzechy: od rasizmu do neoimperializmu. Stosunki między USA a Chinami są więc najgorsze od upadku Związku Sowieckiego.

Gdy więc w poniedziałek szef MSZ Rosji Siergiej Ławrow przybył do Chin, publicznie wezwał władze obu państw do odejścia od dolara, przejścia do płatności w walutach narodowych i stopniowej rezy-

gnacji z korzystania z zachodnich systemów płatniczych. Takie działania mają ułatwić Rosji i Chinom łagodzenie konsekwencji zachodnich sankcji za łamanie praw człowieka. Rosja, a zwłaszcza Chiny coraz głośniejsz deklaruja, że nikt – włączając w to Amerykę – nie ma już prawa rozmawiać z nimi z pozycji siły.

Świat może więc dużymi krokami zmierzać w kierunku nowej zimnej wojny. Czy demokracja oraz prawa człowieka i tym razem zwyciężą? Nie wiadomo. Forsując na siłę tęczę ideologię, cenzurę oraz kulturę unieważnienia, Ameryka sama pozbawiła się argumentów w rozmowach z autokratami. ©©

TYGODNIK LIŚCICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~299 zł~~

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

S. KOPER

„NIEZNANE LOSY AUTORÓW
LEKTUR SZKOLNYCH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

192,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 107 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 8056c630a1



Z Romanem Kluską,
przedsiębiorcą, twórcą
i byłym prezesem
spółki Optimus SA
rozmawia
Łukasz Warzecha



Stopniowa utrata wolności

ŁUKASZ WARZECHA: Jak zmieniła się rzeczywistość po roku trwania epidemii?

ROMAN KLUSKA: Zbliżyliśmy się niestety do systemu gospodarczo-społecznego, który znam ze swojej młodości: realnego socjalizmu.

Jakie konkretnie elementy obecnej rzeczywistości przypominają panu PRL?

Jest tego dużo, bo inaczej nie odważyłbym się sięgać po takie porównanie. Spójrzmy choćby na media społecznościowe w czasie wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych: cenzura znana mi z czasów PRL. Zamieszki związane z zabiciem George'a Floyda – i nagle po wyborach temat przynajmniej z mediów znika. Takich pozornie niezrozumiałych sytuacji, tworzonych przez cenzurę, media i służby, w PRL było wiele. Drugi wątek to dążenie władzy właściwie na całym świecie do

maksymalnego podporządkowania sobie społeczeństw i zapewnienia sobie ich uległości, uzasadniane twierdzeniem, że to wszystko dla dobra ludzi – dokładnie tak, jak było w socjalizmie. Wówczas też władza twierdziła, że w trosce o obywatela zadba, zabezpieczy, zlikwiduje zagrożenia. To jest PRL-owski język. W ramach tej demagogii, powtarzanej na całym świecie, wmawia się obywatelom, że dla ich własnej korzyści potrzeba coraz większych ograniczeń, wyrzeczeń i poświęceń. Wszystko to prowadzi do stopniowej utraty wolności.

Ta sytuacja jest często opisywana jako gotowanie żaby – powolutku, aby żaba nie wyskoczyła z garnka. Ale z drugiej strony te ograniczenia są przez wielu obywateli Zachodu witane obojętnie albo wręcz z entuzjazmem, a ci, którzy przed nimi ostrzegają, dostają łatkę wariatów. Może z tym się po prostu nie da walczyć? Może to jest to, czego chcą ludzie?

To nie jest tylko cecha społeczeństw Zachodu, ale człowieka w ogóle. Jeżeli mówię, że mu się zagwarantuje bezpieczeństwo, równe dla wszystkich minimum, że będzie mógł mało pracować, a żyć względnie dobrze, to ludziom się to podoba. Dzisiaj, kiedy zrównania jeszcze nie ma, tylko się o nim na razie opowiada, każdy sobie wyobraża, że to będzie zrównanie w górę: będę niewiele pracował, a miał tyle, ile ci, którzy dzisiaj pracują ciężko. Tylko że ja to doskonale znam z realnego socjalizmu. Pracowałem w dużym państwowym przedsiębiorstwie, gdzie po paru latach zająłem stanowisko zastępcy dyrektora do spraw ekonomicznych. Najbardziej bulwersowało właśnie równanie – zawsze w dół. Jeżeli w brygadzie, której członkowie byli wynagradzani identycznie, był jeden leń, to zaczęli się do niego dostosowywać, pracowali gorzej, mniej, wynagrodzenie całej grupy spadało, bo była to praca na akord,



a w rezultacie wynagrodzenia dążyły do najniższego poziomu. Skutki można było obserwować na każdym kroku, poczynając od jakości zapalek, gdy w pudełku żadna nie chciała się zapalić, a skończywszy na jakości mieszkań z krzywymi ścianami.

Jednak po upadku komuny udało się nam z tego wyrwać?

Tak, w latach 90. Mieliśmy wówczas bardzo wydajny system kapitalistyczny. Wtedy poprzez ciężką pracę Polaków udało nam się wydobyć z realnego socjalizmu i podnieść poziom życia. Za sprawą tamtego czasu wielu już zapomniało, do czego prowadzą te wygodne, piękne socjalistyczne hasła równości oraz sytuacja, gdy rząd bierze odpowiedzialność za wszystko. Pamiętajmy, że rząd nic nie ma. Rząd sam niczego nie wyprodukuje. Rząd musi najpierw zabrać, żeby potem komuś dać. A ponieważ to zabieranie i system redystrybucji są przeważnie bardzo drogie, więc odbiera się dużo, a daje się niewiele.

To samo mówiła Margaret Thatcher w swoim słynnym wystąpieniu w Blackpool w 1983 r.: nie ma takiej rzeczy jak pieniądze publiczne, są tylko pieniądze podatników.

Zgadza się. A popatrzmy jeszcze, kto płaci realnie te podatki. Spójrzmy, jak dzisiaj w Polsce opodatkowana jest praca – a w ten sposób większość społeczeństwa płaci haracz na rząd: to grubo ponad 50 proc. Opodatkowanie zysku to 20 proc., możliwość optymalizacji i wiele ulg. A jeśli cokolwiek potem chcemy kupić, to wchodzi VAT, przeważnie 23 proc., a firma VAT-u realnie nie płaci. Ile zatem realnie zostaje nam w kieszeni po tym, jak daliśmy się złapać na opowieść o tym, że państwo nam coś daje?

Jednak państwo musi z czegoś finansować swoje zadania.

Tak, ale powinno się zajmować tylko tym, co naprawdę niezbędne. Im więcej państwo robi za nas, tym niższy mamy poziom życia. Tym większe koszty redystrybucji i marnotrawstwo.

Tyle że sam pan mówi, że socjaliści wykorzystują sprytnie naturalne ludzkie nadzieje. Człowiek po prostu taki jest.

Tak – socjaliści mają zapewnione żniwa dopłaty, dopóki znów nie doprowadzą do powstania pełnego systemu realnego socjalizmu, wskutek czego znów poziom życia ludzi radykalnie nie spadnie, oraz dopóki nie zabierze się ludziom tego, co

najpiękniejsze w człowieczeństwie: godności i wolności. Wtedy ludzie się obudzą. Ale nowoczesne technologie śledzenia i inwigilacji sprawiają, że ten system będzie nieporównywalnie gorszy od tego, który znam z młodości. Wtedy dało się jeszcze na różne sposoby władzy wywijać, nawet dawało się z niej zakpić. Dzisiaj, gdy mamy rozbudowane systemy rozpoznawania twarzy, ewidencji przemieszczania, mówi się o likwidacji gotówki – to będzie nie-ludzki, morderczy system. I nie będzie za bardzo jak się z niego wyrwać – przecież za każdym razem będziemy słyszeć, że w ramach demokracji się na to zgodziliśmy.

Pandemia chyba sama w sobie nie wywołała tych zjawisk?

Jedynie je przyspieszyła. Tym większy jest mój podziw dla Rolanda Baadera (1940–2012, niemieckiego publicysty i pisarza, ucznia Fryderyka von Hayeka), który już kilkanaście lat temu przewidywał transformację ustroju kapitalistycznego w stronę realnego socjalizmu. W książce „Koniec pieniądza papierowego” napisał, że władza wymyśli jakiś kataklizm, żeby dokonać radykalnego przyspieszenia tych procesów. Spekulował, że może to być groźba wybuchu wojny, ale też epidemia. Pisał, że może to być zagrożenie prawdziwe albo wymaginowane – ważne, by osiągnąć efekt zniewolenia.

Ktoś mógłby powiedzieć: skoro wolność i wolny rynek nie umiemy się teraz obronić, to trudno – niech się skończą.

Ależ obecny system nie ma nic wspólnego z kapitalizmem! Brak w nim najważniejszych mechanizmów samoregulacji, zostały wymontowane i zastąpione decyzją państwa. Te kluczowe, nieobecne elementy to emisja pieniądza i wysokość stóp procentowych. Sposób, w jaki obecnie te sprawy są uregulowane, jest żywcem wzięty z socjalizmu. Wtedy władza w ramach planu wieloletniego wyznaczała sobie, ile wyemituje pieniądza oraz jakie będą stopy procentowe. Teraz również są to decyzje polityczne, a więc system sam z siebie nie dąży do stanu optymalnego. Ten proces został przyspieszony niekompetencją rządów, w tym niestety niekompetencją rządu polskiego, który między innymi poprzez rozbudowę biurokracji przyspiesza eliminację klasy średniej, a tym samym eliminację wolności.

Klasa średnia ma pana zdaniem tak wielkie znaczenie?

Ma znaczenie fundamentalne. Jej istnienie to warunek zachowania wolności, ale też odpowiedniego poziomu godności oraz kultury społeczeństwa.

Jaka jest w takim razie sytuacja klasy średniej w dzisiejszej Polsce?

Polska klasa średnia zaczęła się tworzyć w latach 90., rozwijała się jeszcze na początku lat 2000, natomiast dzisiaj jest schyłkowa. I to jest tendencja ogólnosiwiatowa. Proszę spojrzeć na sytuację w Stanach Zjednoczonych – państwie, które w latach 90. było moim ideałem. Spotykałem się wówczas z ludźmi kierującymi najważniejszymi firmami technologicznymi, bo w ich oczach byłem uosobieniem mitu o człowieku, który nie miał nic i własną pracą osiągnął bardzo wiele. Ja ten amerykański mit podziwiałem, ale on w tamtym czasie działał także w Polsce. I to się skończyło. Z powodu biurokracji koszty wejścia do wielu branż są tak wysokie, że w wielu dziedzinach nowe firmy nie mogą powstawać lub się rozwijać. I to zabija klasę średnią.

Za to mamy konsolidację firm, co ma być niezbędnym warunkiem rozwoju.

Konsolidacja mają niby służyć postępowi, tymczasem wielkie firmy mają łatwy dostęp do ogromnego kapitału, który wcale nie służy rozwojowi, ale wykupywaniu i tym samym neutralizowaniu konkurencji. Skoro w ten sposób eliminuje się średnie firmy, to nikt gigantom nie depcze po piętach i nie zmusza ich do wytężonych prac nad rozwojem. Z dwoma czy trzema konkurentami, którzy są w identycznej sytuacji, bez problemu można się zaś dogadać. Dzieje się to kosztem pracowników. Kiedy prowadziłem Optimusa, rozumiałem, że zadowolenie pracownika jest kluczowe. O pracownika szef powinien dbać nawet bardziej niż o siebie. Dzisiaj natomiast pracownik jest w zasadzie dodatkiem do systemu. I to samo dotyczy obywatela, bo on i tak musi kupić produkty jednego lub drugiego giganta. Konkurencji tu już w zasadzie nie ma.

Można tu dodać jeszcze jeden niepokojący wątek: wielu analityków twierdzi, że następstwem pandemii będzie wzmocnienie dominacji wielkich korporacji – także w Polsce. Że małe i średnie firmy nie wytrzymają lockdownów, a ich miejsce zajmą właśnie wielkie korporacje.



■ Epidemia stawia tylko kropkę nad „i”, natomiast ten proces trwa od wielu lat. Podam drobny przykład, jakimi drobnymi działaniami można eliminować małych i średnich, tak żeby zostali tylko najwięksi, którym też najłatwiej będzie się dogadać z rządem. Jest u nas zwyczajem, że na weekend zabija się jagniątko, zaprasza się znajomych, czasem pracowników firmy, wspólnie się to jagnię piecze i mile razem spędza czas. Właśnie dzisiaj poprosiłem swojego dyrektora zarządzającego, żeby podsumował mi, ile podatków i opłat trzeba uiścić, żeby takie jagniątko na weekend przygotować. Włosy stanęły mi na głowie, i to przy bardzo oszczędnych szacunkach. Na przykład za przyjazd weterynarza, który zatwierdzi jagnię do spożycia, policzyłem tylko 25 zł. Bardzo trudno znaleźć weterynarza, który przyjedzie za takie pieniądze. Do tego muszę wpłacić 5 zł do powiatowego lekarza weterynarii, koszt kolczyka na ucho dla owcy to znowu 5 zł. Kolejny koszt to 108 zł podatku (opłaty) od wnętrzności jagnięcia. W sumie wszystkich kosztów wyszło mi 143 zł, ale to tylko dlatego, że mam własny zakład dopuszczony do tzw. uboju gospodarczego. Gdybym takiego zakładu nie miał, musiałbym wynająć specjalistyczny samochód, którym jagnię pojechałoby do rzeźni, co oczywiście by kosztowało. W rzeźni zwierzę by mi zabito – znów koszt – a potem mięso musiałbym przewieźć z powrotem innym samochodem, też specjalnym. Kolejne pieniądze. Czystego mięsa na jagniątku jest ok. 5 kg. Same podatki w przeliczeniu na kilogram mięsa wyniosły 30 zł. A wielki ma skalę!

I jeszcze jedna historia. Jakies sześć lat temu hodowcy z południa Polski dostali zaproszenie na obiad od pani ambasador Nowej Zelandii. Przyjechali również nowozelandzcy hodowcy owiec, którzy chcieli nam zaproponować biznes. Zauważyli oni, że Polska kupuje w ich kraju dużo jagnięciny. To ich zdziwiło, bo przecież transport tego mięsa był kosztowny. Doszli więc do wniosku, że widocznie w Polsce nie za bardzo hodowcy owiec sobie radzą, zatem oni zaoferują nam know-how i wejdą z nami w spółkę, żeby nie trzeba było jagnięciny dowozić z drugiego końca świata. Kiedy przedstawili swoją propozycję, Polacy zaczęli im opowiadać, co u nas trzeba zrobić, żeby zacząć hodować owce. Najpierw trzeba zgłosić

taki plan do odpowiedniej agencji, otrzymać numer stada, zakupić kolczyki dla każdej owcy, wprowadzić księgę stada, dokonywać zgłoszenia każdego urodzenia i zgonu – dawniej było to sześć stron do wypełnienia, ale dzięki informatyzacji teraz są cztery. No i oczywiście opowiedzieliśmy o tym, jakie podatki i opłaty odprowadza się przy każdej możliwej operacji. Nowozelandczycy zmarkotnieli i już więcej nie pytali, dlaczego wolimy jagnięcinę sprowadzać, niż sami hodować owce. Wyjaśnili tylko, że u nich weterynarz czy administracja są po to, żeby im pomagać, a nie przeszkadzać. A kiedyś Polska słynęła z jagnięciny.

Skoro przy tym jesteśmy – jakie były pana odczucia, kiedy usłyszał pan o pomysłe „piątki dla zwierząt”?

Jakbym dostał w głowę pałąk bejsbolową. Proszę sobie wyobrazić rolników i przedsiębiorców, którzy się zadłużyli, zbudowali hodowle i zakłady w zgodzie z unijnym prawem, wzięli kredyty – i nagle rząd sobie wymyślił, że zlikwiduje im te hodowle i firmy praktycznie z dnia na dzień. Kredyty oddawać, produkować nie możecie, zdychajcie z głodu wy i rodziny. Zwierzę ważniejsze od człowieka, i to oczywiście wcale nie dla dobra zwierząt. Przecież u nas one miały dobre warunki, ale jeżeli tu zakażemy hodowli, to ona się po prostu przeniesie gdzie indziej, gdzie warunki będą dużo gorsze. To samo dotyczy hodowli bydła i drobiu na ubój rytualny. A w dodatku, bez policyjnego nakazu, jakieś prozwierzęce bojówki mają wchodzić do mojego domu i mnie kontrolować. Przecież to jest poniewieranie obywatelom!

Pan to uważa za samoistny epizod czy część procesów, o których rozmawialiśmy?

Oczywiście, że jest to część procesu. Jan Paweł II, genialny umysł, w książce „Pamięć i tożsamość” pisze: „Obserwuję proces zniewalania człowieka przez prawo; jeśli prawo będzie tworzone bez żadnych ograniczeń, to władza stanie się jakimś nowym bogiem i niedługo pod mianem demokracji objawi się kolejny system totalitarny”. To samo, tylko innymi słowami, pisał Baader.

Jak pan ocenia postępowanie przedsiębiorców, którzy zaczęli się buntować przeciwko lockdownowym restrykcjom?

Patrzę na to przede wszystkim jako na akt rozpacz. Rozumiem ich sytuację, bo przecież sam też odczuwam skutki zakazów. Nigdy nie byłem w stanie zaspokoić popytu na owcze sery. W tej chwili mam wiele tysięcy sztuk serów w magazynie. Rozwalono mi sieć sprzedaży. Produkcję udało mi się uchronić. Czyli prawie nic nie sprzedaję, ale mam płacić horrendalne podatki. Ja akurat mam szczęście, bo na razie mogę czerpać ze swojego majątku, ale jestem wyjątkiem. Co mają zrobić inni, w dodatku od lat uciemiężeni absurdalną biurokracją? Według niektórych ekspertów na zaspokojenie jej zachcianek małe firmy poświęcają aż 50 proc. czasu. Kiedy one padną i na ich miejsce wejdą wielkie korporacje, ani klient, ani pracownik nie będą mieli nic do powiedzenia.

A jednak wielu całkiem młodych ludzi wydaje się zafascynowanych nadchodzącymi ich zmianami – wielkim resetem, który pandemią ma przyspieszyć.

Dreszcz mnie przechodzi, kiedy słucham tych młodych ludzi zachwyconych czasami, które mają nadejść. Mało pracować, wszystko mieć podane – będzie wspaniale. A tymczasem nie rozumieją, że to jest prawdziwe piekło. Piekło realnego socjalizmu.

Echa wielkiego resetu słychać też w zapowiedziach polskiego nowego ładu.

Alęż ja to wszystko znam! Ja to przeżyłem. Pamiętam epokę Gierka, pamiętam jego zapowiedzi, czego to my nie zrobimy – za puste wydrukowane pieniądze. A później, jako zastępcę dyrektora wielkiego zakładu, było mnie stać miesięcznie na 10 słoików dżemu. Dzisiaj mogę powiedzieć krótko: wielkimi krokami zbliża się era „Gierek bis”.

Widzi pan jakąś nadzieję? Bo brzmi to wszystko bardzo fatalistycznie.

Nadzieja jest w naszej tożsamości – kulturze, tradycji, historii – bo one nam dają godność. Stworzenie nowego człowieka musi oznaczać odebranie mu tej godności i zasad moralnych opartych na chrześcijaństwie – na przykład po to, żeby kradzieży nie nazywać kradzieżą, a zabijania – zabijaniem. Zatem dopóki mamy swoje wartości, historię, kulturę i godność, dopóty je chrońmy, bo alternatywą jest nowy człowiek – uległa, wyprana z tożsamości pacynka, zniewolona do służby na rzecz wielkich tego świata.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Kon-sty-tuc-ja?

To, o czym poniżej, to tylko polityka czy jednak aż konstytucja?

„W przypadku polskiej Konstytucji należy zauważyć, że kwestia zaciągania długu publicznego i jego maksymalnej wysokości jest materią uregulowaną na poziomie samej Konstytucji (art. 216 ust. 5). Uwpólnotowienie długu (czyli jego podział na wszystkie kraje UE), które zakłada decyzja o zasobach własnych UE, jest więc działaniem, które godzi w konstytucyjne zasady ustalania długu publicznego Rzeczypospolitej Polskiej” – na taki, ciekawy i chyba wcześniej przez nikogo publicznie niedostrzeżony aspekt towarzyszący powstawaniu Funduszu Odbudowy UE zwrócił uwagę Marcin Romanowski, wiceminister sprawiedliwości i zarazem polityk Solidarnej Polski (a to w tym przypadku ważne), od samego początku sceptycznie nastawionej do Funduszu Odbudowy UE w ostatecznie przeforsowanym kształcie.

Warto bowiem przypomnieć, że unijny Fundusz Odbudowy – odbudowy gospodarek po obostrzeniach narzuconych przez rządy w związku ze specyficznym sposobem walki z COVID-19 – ma pochodzić z nowego typu zasobów własnych UE. W części mają się one brąć z unijnych podatków (węglowy, cyfrowy, od plastiku, od transakcji finansowych), co jest istotną nowością w stosunku do obecnego stanu rzeczy, w drugiej zaś części, co jest nowością nie mniejszą – z pożyczek zaciągniętych przez UE, a gwarantowanych

przez państwa członkowskie Unii.

Takie rozwiązanie z jednej strony pociąga za sobą oczywiste przyspieszenie faktycznych procesów na rzecz federalizacji UE, a z drugiej – powiększa zobowiązania pożyczkowe tych państw członkowskich UE, które przystąpią do tego mechanizmu – powiększa o nowy rodzaj takich zobowiązań – właśnie wynikający z gwarantowania – wspólnie z innymi państwami członkowskimi – długu UE.

Czy zatem słusznie wice-minister Romanowski wzywa w związku z powyższym do skorzystania podczas ratyfikacji dokumentu o udziale Polski w Funduszu Odbudowy UE przez polski parlament ze ścieżki opisanej w art. 90 polskiej konstytucji? Ścieżki tzw. ratyfikacji wielkiej, wymagającej albo przyjęcia tego dokumentu większością dwóch trzecich głosów zarówno w Sejmie, jak i w Senacie – i to w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów i senatorów, albo w wyniku ogólnokrajowego referendum. Jego zdaniem, taką bowiem drogę konstytucja przewiduje „w przypadku przekazania organizacji międzynarodowej lub organowi międzynarodowemu kompetencji organów władzy państwowej w niektórych sprawach”, a „z takim właśnie przekazaniem kompetencji – nazywając rzecz po imieniu – utraceniem części suwerenności mamy do czynienia w przypadku uwpólnotowienia długu”.

Prawda to czy fałsz? Polityka tylko czy aż konstytucja? ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nigdy się nie przyznawaj

Nie ma chyba rzeczy trudniejszej dla polityka niż przepraszenie.

Wielu z nich przyznanie się do błędu uważa za niedopuszczalne – za samoupokorzenie, za którym natychmiast pójść utrata pozycji w sondażach i później klęska wyborcza. W Polsce zresztą to nawet trochę prawda, bo deficyt zaufania w klasie politycznej jest tak potężny, że zamiast uszanować tego typu gest, zostałyby on przez oponentów zapewne potraktowany jako zaproszenie do nawałanki.

**Nawet jeśli
ustępstwo Merkel
było wymuszone
tymi trzema
okolicznościami,
to i tak robi wrażenie**

A jednak szef rządu przeprosił. Zapowiedanego lockdownu nie będzie, choć będą restrykcje. Nie tak jednak całkowite i surowe, jakich się spodziewano. Mało tego, że szef rządu przeprosił, to jeszcze poprosił obywateli o wybaczenie i wziął na siebie całą winę za błędną decyzję.

Z tym że nie stało się to w Polsce, ale w Niemczech. To kanclerz Merkel przyznała się do błędu i zrezygnowała z praktycznie całkowitego zamknięcia kraju na czas

Świąt Wielkanocnych, które miało objąć nawet stacje benzynowe. Nikt chyba spośród czytających ten tekst nawet przez moment nie pomyślał, że przepraszać mógł polski premier. Wszak on błędów nie popełnia nigdy.

Inna sprawa, że ten nawet w Niemczech rzadki gest – raczej chwalony przez tamtejsze media – nie jest skutkiem jakiejś wewnętrznej przemiany pani kanclerz. Wziął się z trzech czynników. Po pierwsze – krytyki ze strony premierów landów. Po drugie – z coraz większego niezadowolenia opinii publicznej, która bynajmniej nie przyjmuje kolejnych restrykcji bezkrytycznie i dała o tym znać, fundując CDU zimny prysznic w niedawnych wyborach w Badenii-Wirtembergii i Nadrenii-Palatynacie. Po trzecie – z powodu roku wyborczego. Wybory w dwóch landach to wstęp do wyścigu z finalem we wrześniu, a jak wiadomo, nic tak skutecznie nie zwalcza epidemii jak zbliżające się wybory. Czego i my doświadczyliśmy w ubiegłym roku.

Nawet jednak jeśli ustępstwo Merkel było wymuszone tymi trzema powiązanimi ze sobą okolicznościami, to i tak robi wrażenie. A już szczególnie w zestawieniu ze sposobem, w jaki z wirusem wojuje polski rząd, co rusz popełniający koszmarnie i ewidentne błędy, ale stojący twarzą na stanowisku, wyrażonym niegdyś przez bohatera „Młodych wilków”, granego przez Jarosława Jakimowicza: nigdy się nie przyznawaj. ©



Jeśli ktoś miałby nad Wisłą uosabiać polską wersję amerykańskiego mitu „od pucybuta do milionera”, to właśnie Rafał Brzoska. Przeglądając się wielkim polskim biznesom, trudno bowiem znaleźć ten, który zaczynał się bez pierwszego miliona darowanego przez ojca czy możliwości dostarczenia samochodów policji bez przetargu. Czterdziestotrzyletni Brzoska naprawdę zaczynał od zera. Chociaż można wyczytać w prasie, że jako nastolatek dostał od rodziców 200 tys. zł, by móc nimi obracać na giełdzie.

– Nie, to było zupełnie inaczej – opowiada „Do Rzeczy” Rafał Brzoska. – Moi rodzice w ramach prywatyzacji dostali pakiety pracownicze akcji spółki Rafako. W 1993 r. niewiele osób wiedziało, z czym to się je: giełda, akcje, kursy. Będąc jeszcze licealistą, doradzałem więc im, co robić. Niestety, moja rekomendacja brzmiała stale: trzymać! Bo akcje rosły. Przyszedł jednak wielki krach na giełdzie i już akcji się nie dało sprzedać. Kurs pikował... Zostało dużo mniej, niż było. Powiedziałem rodzicom, że to odrobuję. Kilka lat to trwało, ale odrobiłem.

PORAŻKA NA STARCIE I APETYT NA LISTY

Jeszcze na studiach otworzył z kolegą firmę projektującą strony WWW. Zakończyło się plajtą. Wtedy zainteresowała go branża ulotkowa. Kolega z akademika miał brata pracującego w takiej firmie. Donosił, że co tydzień kupują samochody dostawcze, zatrudniają ludzi. Brzoska drapał się po głowie i nie dowierzał, że można zrobić dobry interes na czymś tak prostym. Postanowił spróbować. Zadziałało proste ogłoszenie w gazecie: „Kolportaż ulotek za 5 gr”. Pojawiło się pierwsze zlecenie. Po około roku działalności ich firma ulotkowa była już w każdym mieście wojewódzkim w Polsce.

Brzosce nie wystarczyło bycie jednym z dużych. Chciał więcej. Proponował konkurentom utworzenie wspólnej firmy. Nie zgodzili się. – Byli zadufani, uznali, że o biznesie nie będzie mówił im jakiś dwudziestoparoletni młokos – wspomina Rafał Brzoska. – Powiedziałem: „Dobrze, skoro nie chcecie, to ja was zmuszę do współpracy”. I się udało. W 2005 r. właściwie nie mieliśmy już konkurentów. Wtedy połączyliśmy się z firmą Fibra-Hallo. Mój dzisiejszy wspólnik Krzysztof Kołpa, który wówczas ją prowadził, uwierzył w moją wizję zrobienia czegoś większego. Tak powstał też plan na InPost.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Król paczkomatów



Łukasz Zboralski

Zaczynał od roznoszenia ulotek, dziś chce kupić francuską firmę za miliardy złotych. Rafał Brzoska, prezes InPostu, marzy o stworzeniu pierwszego polskiego narodowego czempiona niebędącego państwową spółką



Brzoska i Kołpa snuli plan wkroczenia na rynek zmonopolizowany przez Poczta Polska. Okazja miała nadarzyć się w 2009 r., gdy państwowy monopol miał się zakończyć. Jednak polski rząd wynegocjował wówczas z Komisją Europejską kilkuletnie przesunięcie uwolnienia rynku usług w dostarczaniu przesyłek o wadze do 50 g. Brzoska stanął pod ścianą. – Niezależnie od tego, jaki to jest rząd, zawsze czymś przedsiębiorców zaskoczy – śmieje się prezes InPostu. – Wówczas to akurat był rząd Donalda Tuska. Zresztą Komisja Europejska też nas zaskoczyła swoją zgodą. I nie tylko nas. Takich podmiotów w różnych krajach było bardzo wiele. My jako jedyni przetrwaliśmy ten okres i pomogliśmy uwolnić rynek.

Nie udało by się bez pomysłu obciążania listów. Na początku nie były to zresztą dobrze zapamiętane blaszki przy kopertach. Pierwsze były... woreczki z piaskiem. – Początkowym rozwiązaniem była koperta kartonowa o wadze 50 g, do której można było włożyć list. To było jednak rozwiązanie dla klientów indywidualnych, nie dla masowych – wspomina Rafał Brzoska. – Patrzyłem wtedy na tabele gęstości materiałów i wyszło mi, że najtańszy będzie piasek. Pierwsze 100 tys. listów Telekomunikacji Polskiej dostarczane było z przyklejonymi do koperty woreczkami z piasku.

Niestety, klejenie woreczków w centrum drukującym TP SA okazało się zbyt kłopotliwe. – Kolejnym materiałem, znacznie droższym, był metal – mówi Brzoska. – Jedna z firm wymyśliła dla nas koncept przyklejanej do koperty blaszki. I tak zostaliśmy jednym z największych klientów huty stali w Częstochowie.

Brzoska wciskał się tam, gdzie mógł wyprzeć monopolistę. W przetargu na dwuletnią obsługę przesyłek sądów i prokuratur złożył ofertę o kilkadziesiąt milionów tańszą niż Poczta Polska i wygrał. Odwołania od przetargu ciągnęły się jednak tak długo, że na start usługi został tydzień. Dlatego na początku firma miała kłopoty. Do InPostu przyłgnęła czarna łątka, mimo że po dwóch miesiącach reklamacji z sądów było już mniej niż za poprzedniego operatora.

Brzoska stanął do kolejnego przetargu na przesyłki – obsługiwanego przez rządowe Centrum Usług Wspólnych. Znowy wygrał. Jednak mimo 14 wyroków sądowych nakazujących podpisanie kontraktu administracja umowy z nim nie zawarła. Brzoska sprzedał wtedy spółkę z zatrud-

nionymi w niej pracownikami. Twierdzi, że miał zapewnienie od nabywcy, iż ludzie będą dalej pracować. Skończyło się inaczej. Spółkę sprzedano jeszcze innej spółce. Ludzie zostali bez wypłat. Brzoskę wzięto na cel w mediach. Dzisiaj twierdzi, że gdyby wiedział, iż tak się stanie, po prostu ogłosiłby upadłość firmy. Ostatecznie zachował się honorowo. Wziął kredyt pod zastaw nieruchomości i spłacił wszystkie zobowiązania tamtej firmy – zarówno wobec pracowników, jak i wszystkie zaległości wobec ZUS, urzędu skarbowego itp. Kosztowało go to, z prywatnej kieszeni, blisko 15 mln zł. – Zwróciłem też Skarbowi Państwa środki, jakie wypłacił poprzez Fundusz Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Żaden inny przedsiębiorca w Polsce przez 30 lat czegoś takiego nie zrobił – zauważa Brzoska. Gdy władze postanowiły chronić Poczta, wycofał się z działalności na rynku listów.

PACZKOMATOWY ŻŁOTY STRZAŁ

Postawił na coś innego. I znow – tak jak od czasów ulotek – nie wymyślał koła. Paczkomaty już istniały (choć nazwę opatentował już sam Brzoska). Miała je Deutsche Bundespost, ale wykorzystywała je jako zwykłe skrytki pocztowe. Brzoska kupił licencje na niektóre rozwiązania od Niemców. Przyznaje dziś, że nie miał żadnych szczegółowych analiz. Miał przekonanie. Wiedział, że jeśli chce wejść jako konkurent w biznesie paczkowym, to musi robić to taniej i lepiej. A taniej mogło być tylko wtedy, gdy klient sam odbierze paczkę. Zachęcić ludzi do tego mogło tylko ciekawe rozwiązanie. Nie od razu było widać, że się nie pomylił. Po zainwestowaniu 100 mln zł w pierwsze paczkomaty przez kilka miesięcy firma zarabiała 2 tys. zł miesięcznie.

Po odcięciu od rządowych przetargów dla przedsiębiorstwa obracającego już setkami milionów złotych nastał trudny czas. Zakończył się on szybkim (bo po dwóch latach od debiutu) zejściem z giełdy w 2017 r. Potrzeba było inwestora. Amerykański fundusz inwestycyjny Advent kupił większość firmy. Brzoska pozostał szefem, ale ma już tylko 13 proc. udziałów.

W 2019 r. firma – po restrukturyzacji – zaczęła łapać oddech. Jeszcze tego samego roku liczba paczkomatów nad Wisłą przerosła liczbę placówek pocztowych.

Biznesowy podmuch w skrzydła nadszedł nieoczekiwanie – pandemia, która opanowała glob w ubiegłym roku,

wyniosła zapotrzebowanie na przesyłki na niebotyczny poziom. Dziś InPost ma już 11 tys. paczkomatów w kraju i zapowiada w tym roku stawianie 100 nowych urządzeń tygodniowo.

REKIN DOBRODUSZNY

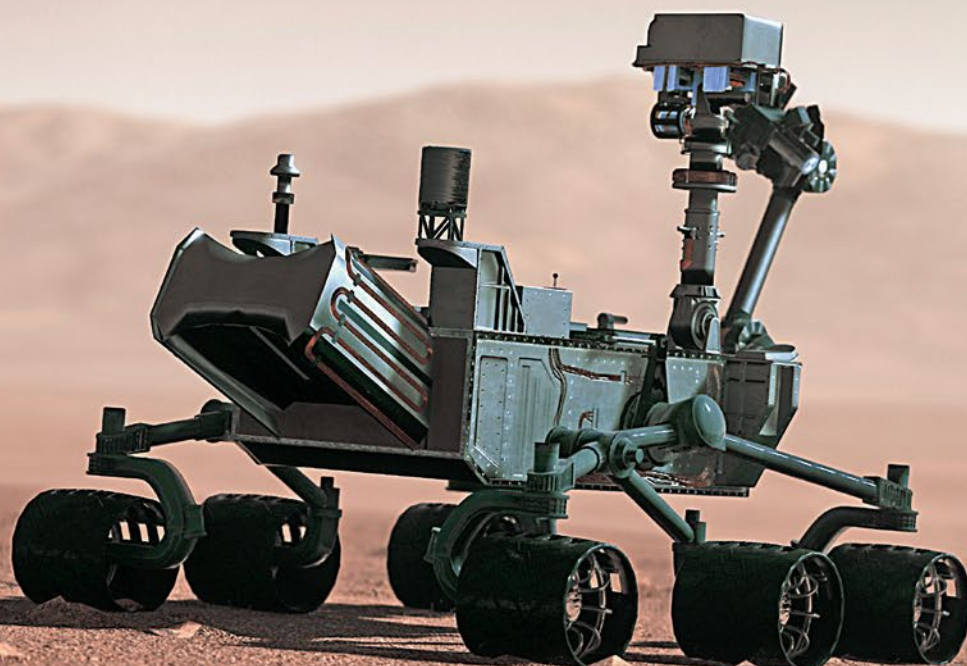
Przed laty Brzoska w prasie przedstawiany jako rekin biznesu opowiadał m.in., że chce pracować z ludźmi w pełni zaangażowanymi. Takimi, którzy odbiorą telefon nawet w nocy. – To jedno zdanie wyjęte z kontekstu pokutuje do teraz – komentuje wywiad sprzed lat szef InPostu. – Tymczasem u nas w firmie, jeśli chodzi o bezpośrednio mi podlegających m.in. menedżerów czy kierowników regionalnych, to nawet nie wiem, kiedy oni biorą urlopy. Nie wymagam od nich zgłaszania. Każdy ma pełne prawo dysponować czasem tak, jak chce. Work-life balance jest bardzo ważny – podkreśla. Dodaje, że poziom satysfakcji pracowników w InPoście sięga dziś 17 punktów procentowych ponad średnią kraju i do najlepiej ocenianych pracodawców, zatrudniających 10 tys. osób, tej firmie brakuje już tylko 5 punktów procentowych.

Prywatnie od dawna interesuje się lotnictwem, lubi sporty ekstremalne. Mało kto wie, że jeden z listy najbogatszych Polaków jest też honorowym konsulem Łotwy. Ponieważ... czasem nie umie odmawiać. I gdy poprosił go o to ambasador Łotwy – a firma jest znana w państwach bałtyckich – po prostu się zgodził. A prosi go wciąż o coś naprawdę wielu. Ostatnio szpital COVID-owy w Warszawie poprosił o mikrofalówkę i lodówkę. – Są już tam dwie mikrofalówki i dwie lodówki, podłączone, działają – opowiada Brzoska. – Saram się pomagać, choć, oczywiście, nie jestem w stanie pomóc wszystkim.

Po ogłoszeniu chęci zakupu francuskiej firmy Mondial Relay (za 2,6 mld zł) Brzoska zamieścił na portalu LinkedIn wyliczankę swojej drogi biznesowej, z której wynika, że po osiągnięciu każdego z celów miał już wyznaczony następny. Jaki więc jest następny?

– Chciałbym stworzyć pierwszą polską firmę, która będzie odzwierciedlała „polskie marzenie”, „polski sen”. Taką, jaką dla Finów była kiedyś Nokia – odpowiada „Do Rzeczy”. – Moją ambicją jest, żeby był paczkomat w Hiszpanii, we Włoszech, w Belgii, Wielkiej Brytanii, a może jeszcze na nowych rynkach, żeby każdy mówił: To jest idea, którą kocham, i to przyszłość z Polski!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADAM STOK

Zarobić na Marsa



Jacek Przybylski

– Pierwszy człowiek postawi stopę na Czerwonej Planecie już za pięć i pół roku – przekonuje Elon Musk. Część ekspertów ocenia, że plany szefa SpaceX są zbyt optymistyczne. Za to turystyczne podróże na orbitę Ziemi mają ruszyć już w tym roku

Swoje marzenie o kolonizacji Marsa ekscentryczny miliarder Elon Musk chce zrealizować dzięki fortunie wartą ponad 200 mld dol. Biznesmen należący do ścisłej czołówki najbogatszych Ziemiaków deklaruje, że sprawę podboju Czerwonej Planety traktuje niezwykle poważnie. Sprzedał już wiele swoich ziemskich rezydencji – w tym posiadłość w prestiżowej dzielnicy Los Angeles – a uzyskane w ten sposób dochody zamierza przeznaczyć na przyspieszenie misji podboju Marsa.

Elon Musk mocno wierzy bowiem w to, że jeszcze za naszego życia ludzie staną się gatunkiem międzyplanetarnym. Nie chodzi tylko o loty między różnymi planetami, ale o ich zasiedlanie.

– Mars może się stać samowystarczalną cywilizacją – zapewnia Elon Musk, przewidując, że za 20 lat na Marsie powstaną pierwsze miasta. Miliarder zapowiedział, że zamierza budować 100 statków kosmicznych rocznie. Gigantyczna kosmiczna flota miałaby zostać umieszczona na orbicie Księżyca, dzięki czemu co 26 miesięcy – przy korzystnym dla lotu układzie orbit obu planet – na Marsa wylatywałoby w ciągu 30 dni po tysiąc statków kosmicznych. Realizacja tego planu miałaby pozwolić na transportowanie na Czerwoną Planetę ok. 100 tys. ton materiałów potrzebnych do budowy samowystarczalnej osady.

SpaceX bierze już udział w projekcie amerykańskiej agencji kosmicznej, polegającym na budowie stałego punktu przesiadkowego na orbicie ziemskiego Księżyca. Lunar Gateway ma początkowo służyć astronautom jako miejsce przygotowań do wypadów na powierzchnię Księżyca, a także odpoczynku przed podróżą na Ziemię. W przyszłości punkt przesiadkowy

w pobliżu Księżyca – odległego od Ziemi o ok. 384 tys. km – może być wykorzystywany w wyprawach na Marsa. I chociaż NASA jest mniej optymistyczna niż Musk, to według Jima Bridenstine’a, administratora amerykańskiej agencji kosmicznej, pierwszy człowiek może postawić stopę na Marsie w pierwszej połowie lat 30. obecnego wieku.

MARSJAN WIECEJ NIŻ MALTANCZYKÓW

Pozaziemskie osiedla – idealne do przetrwania ludzkości na wypadek, gdyby w Ziemię uderzył potężny meteoroid lub cywilizacja na Błękitnej Planecie przestała istnieć w wyniku trzeciej wojny światowej – miałyby być na tyle rozwinięte, aby przetrwać nawet wówczas, gdyby z jakiegokolwiek powodu na Marsa przestały docierać statki z kolejnymi dostawami z Ziemi. Według Muska do 2050 r. na Czerwonej Planecie mogłoby mieszkać już milion Ziemiaków, dzięki czemu populacja Marsa dwukrotnie przewyższałaby liczbę mieszkańców Malty.

Jak przekonuje Elon Musk, program służący lotom na Marsa będzie się sam finansował, zostaną bowiem na niego przeznaczone wpływy z turystycznych lotów na orbitę Ziemi oraz z komercyjnych transportów wykonywanych pomiędzy ziemskimi miastami. Już w tym roku SpaceX chce wysłać na ziemską orbitę kosmicznych turystów, w tym 37-letniego miliardera Jareda Isaacmana. Ma to być pierwszy całkowicie komercyjny lot, w ramach którego w kosmos polecą na pokładzie prywatnego statku osoby, z których żadna nie jest profesjonalnym astronautą. Wstępna data startu misji Inspiration4 na pokładzie rakiety Falcon 9 Block 5 została ustalona na 21 października 2021 r.

Poza tym wysokie koszty kosmicznej podróży marsjańscy osadnicy mieliby spłacać firmie SpaceX, np. rozbudowując bazę na Czerwonej Planecie, co zdaniem krytyków miliardera niosłoby za sobą ryzyko „kosmicznego niewolnictwa”.

Jeszcze dekadę temu zapowiedzi rychłej kolonizacji Marsa nikt rozsądny nie brałby na poważnie. W ciągu ostatnich lat nastąpił jednak znaczący rozwój technologii kosmicznych wspieranych przez prywatne firmy, które chcą zarabiać na podboju kosmosu. Już w 2019 r. silnik rakietowy Raport opracowany przez należącą do Muska spółkę SpaceX osiągnął

moc, dzięki której statki kosmiczne będą mogły osiągać wystarczającą prędkość, by móc przenosić ludzi na Czerwoną Planetę.

SpaceX wybudował na razie ok. 100 rakiet Falcon. 24 marca 2021 r. z Cape Canaveral na Florydzie wystartowała rakietą Falcon 9, która wyniosła na orbitę kolejne 60 satelitów konstelacji Starlink. Podobne misje z powodzeniem odbywają się już na tyle regularnie, że nie budzą wielkiego zainteresowania mediów. SpaceX zarabia też na realizacjach misji dla amerykańskiej armii (tylko jeden kontrakt zawarty z firmą Muska 9 marca 2021 r. wart jest 159,7 mln dol.). Trwają też zaawansowane prace nad o wiele bardziej ładownym załogowym statkiem kosmicznym Starship, na którego pokładzie znaleźć się ma nawet 100 pasażerów. Przed konstruktorem wciąż jednak jeszcze sporo pracy. 4 marca prototyp Starship SN10 z sukcesem wystartował z platformy SpaceX w Teksasie i odbył udany lot testowy na wysokości 10 km – niestety kilka minut po lądowaniu doszło do eksplozji, która zniszczyła pojazd.

Według Muska do 2050 r. na Czerwonej Planecie mogłoby mieszkać już milion Ziemiaków

Sam Elon Musk zaznacza, że aby mógł osiągnąć swój ambitny cel kolonizacji innych planet, potrzeba jeszcze wielu przełomowych technologicznych skoków. Problemów do rozwiązania jest mnóstwo. Nadal nie wiadomo, jak zadbać o zdrowie kolonizatorów podczas trwającego wiele miesięcy lotu, a także jak zapewnić im wystarczającą ilość pożywienia oraz paliwa już po dotarciu na Marsa.

Wyzwaniem byłaby też międzyplanetarna komunikacja. Nawet w okresach, gdy dwie planety są najbliżej siebie, telekonferencje w czasie rzeczywistym byłyby raczej niemożliwe. Przy komunikowaniu się z łazikami wysłanie sygnału z prędkością światła z Ziemi na Marsa i odwrotnie – za pośrednictwem satelitów – zajmuje bowiem ok. trzech minut. Międzyplanetarną komunikację znacząco usprawni technologia kosmiczno-laserowa. Jak zauważyła



Należąca do Blue Origin rakiet New Shepard jeszcze w tym roku ma wynieść w kosmos pierwszych turystów. FOT. BLUE ORIGIN



21 października 2021 r. rakiet Falcon 9 Block 5 ma wynieść w kosmos pierwszą grupę turystów. FOT. NASA

■ NASA, przesłanie na Ziemię mapy Marsa nie będzie zajmować już dziewięciu lat, lecz zaledwie dziewięć tygodni, ale i tak szans na wideocząty z rodziną mi na Ziemi raczej długo nie będzie.

Elon Musk nie ma też złudzeń, że sam doprowadzi do kolonizacji innej planety. „Naszym celem jest dowieszenie cię tam i upewnienie się, że podstawowa infrastruktura do produkcji paliwa i przetrwania jest na miejscu. Dobrą analogią jest to, że staramy się zbudować odpowiednik kolei transkontynentalnej. Ogromna część przemysłu będzie musiała zostać zbudowana na Marsie przez inne firmy oraz miliony osób” – zapowiadał w 2017 r.

TURYSTYKA KOSMICZNA

W ciągu kilku lat w kosmicznym wyścigu Elonowi Muskowi wyrosło kilku bardzo poważnych konkurentów. Do galaktycznego pojedynku stanął m.in. inny ambitny miliarder, twórca Amazona Jeff Bezos oraz Sir Richard Branson – miliarder i twórca Virgin Group, w tym Virgin Galactic i Virgin Orbit. W styczniu rakietą zbudowaną przez tę ostatnią firmę wyniosła na orbitę zestaw minisatelitów. W tym roku ma się zaś wreszcie ziścić obietnica rozpoczęcia przez Virgin Galactic komercyjnych lotów z kosmicznymi turystami. Jako

pierwszy na pokładzie chce znaleźć się sam Richard Branson. Pozostali za przyjemność oglądania Ziemi z kosmosu muszą zapłacić 250 tys. dol. Podróż ma trwać dwie, trzy godziny, ale na wysokości ponad 100 km nad powierzchnią rodzimej planety turyści będą zaledwie od czterech do pięciu minut – to powinno wystarczyć, aby doświadczyć uczucia nieważkości i choć przez kilka chwil podziwiać krągłości Ziemi.

Zanim miliarder będzie podziwiał z orbity Błękitną Planetę, kosmicznych

potencjalnych gości, a na jednym z sześciu miejsc zasiadł manekin Skywalker. Koszt biletów na turystyczny szybki tour do kosmosu – z kilkuminutowym stanem nieważkości – i z powrotem nie został jeszcze oficjalnie podany, ale szacowany jest na 200–250 tys. dol. od osoby. Na potrzeby przyszłych misji rozwijana jest już rakiet wielokrotnego użytku New Glenn, która od konkurencyjnego Falcona 9 jest sporo większa zarówno pod względem wysokości, jak i średnicy. Pierwszy orbitalny test rakiety New Glenn planowany jest na IV kwartał przyszłego roku.

Z punktu widzenia inwestora ważna jest informacja, że tylko Virgin Galactic jest notowana na giełdzie, każdy może więc zostać udziałowcem tego kosmicznego biznesu. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy inwestycja ta dawała niemal tyle emocji, co lot w kosmos – cena jednej akcji wzrosła bowiem z 16 dol. do 59 dol., po czym nagle spadła do okolic 30 dol.

Zanim zainwestujemy w kosmiczny interes choćby marne tysiąc dolarów, trzeba jednak pamiętać, że jeśli SpaceX uda się szybko dopracować raketę Starship, to może zdominować rynek kosmicznej turystyki. Ponieważ na jej pokładzie może znaleźć się sto osób, spółka Muska może obniżyć ceny biletów do 50 tys. lub nawet 20 tys. dol., co będzie oznaczało, że część nowożeńców zamiast na Malediwy będzie mogła wybrać się na orbitę. Już w 2023 r. w katalogu kosmicznych wakacji znaleźć ma się też tygodniowa podróż w okolicy Księżyca i z powrotem.

KOSMICZNA GORĄCZKA

Wartość całego globalnego rynku technologii kosmicznych jeszcze w 2016 r. szacowano na 330–350 mld dol., a w roku 2019 już na ok. 423 mld dol. Według analityków branża magiczną barierę biliona dolarów powinna przebić najpóźniej w roku 2040. W grę wchodzi oczywiście nie tylko orbitalne loty. Szybki rozwój technologii kosmicznych to wielka szansa dla polskich naukowców i polskich przedsiębiorców. Wielu biznesmenów znad Wisły już zajęło swoją niszę i sprawnie konkuruje z najlepszymi z całego świata. To już jednak temat na zupełnie inny artykuł.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**Turystyczne loty w kosmos
mają ruszyć już w tym roku.
Koszt biletu wynosi
ok. 200–250 tys. dol.**

turystów chce zabrać na pokład Jeff Bezos. 14 stycznia 2021 r. należąca do Blue Origin rakiet New Shepard dokonała udanego startu, osiągnęła wysokość ponad 100 km – oficjalnie znajdując się w kosmosie – po czym bezpiecznie wylądowała. Ten lot był szczególnie, gdyż testowano kapsułę ze specjalnymi udogodnieniami dla

Gospodarczy Czempioni Polski

Najprężniejsze, najstawniejsze, najbardziej innowacyjne polskie firmy



PARTNER GŁÓWNY

PARTNERZY





Pandemia nie powstrzymała polskich spółek



Sposób, w jaki nasza gospodarka poradziła sobie z pandemią koronawirusa, pokazuje jednoznacznie: Polska może być europejskim czempionem. Aby nadal prężnie się rozwijać, potrzebuje jednak prężnych i innowacyjnych firm, które działają na dużą skalę, inwestują w innowacyjność, a podatki płacą nad Wisłą

Największe polskie przedsiębiorstwa wykazały dużą odporność na koronawirusowy szok. W niezwykle trudnym roku 2020 Polska doświadczyła recesji wynoszącej „jedynie” 2,7 proc., choć w strefie euro PKB spadło średnio o 6,8 proc., a gospodarki takich



Obecną kondycję naszego kraju dobrze oceniają zachodni analitycy. W zeszłym tygodniu Fitch utrzymał rating Polski na poziomie A-, zauważając w komunikacie, że Polska prowadzi zdrową politykę monetarną oraz makroekonomiczną. W lutym nasz kraj został również dobrze oceniony przez ekspertów Międzynarodowego Funduszu Walutowego, którzy uznali za właściwą politykę luzowania pieniężnego prowadzoną przez Narodowy Bank Polski – pomogła ona bowiem w zmniejszeniu negatywnego wpływu pandemii COVID-19 na gospodarkę i krajowy system bankowy. Analitycy MFW spodziewają się więc wyraźnego ożywienia w polskiej gospodarce.

I chociaż według najnowszych prognoz ogłoszonych w marcu przez wiceministra rozwoju, pracy i technologii dr. hab. Roberta Tomanka utrzymująca się pandemia COVID-19 i związane z nią restrykcje spowodują, że w I kwartale obecnego roku Polska nadal pogrążona będzie w recesji (minister szacuje spadek PKB na ok. 1,5 proc.), to w całym 2021 r. wzrost PKB Polski ma wynieść aż 4 proc. Podobnego zdania co analitycy Ministerstwa Rozwoju są ekonomiści Banku Pekao S.A., którzy w najnowszym marcowym raporcie podtrzymali prognozę wzrostu polskiego PKB w 2021 r. dokładnie o 4 proc. Ze względu na coraz większe ryzyko dłuższego utrzymania wymuszonych przez wzrost liczby zakażeń i obciążenia systemu ochrony zdrowia pandemicznych obostrzeń, które podcinają skrzydła zarówno polskiej gospodarce, jak i wielu naszym gospodarczym partnerom, z nieco mniejszym optymizmem na przyszłą sytuację gospodarczą patrzą ekonomiści BOŚ Banku. Pod koniec marca obniżyli oni prognozę wzrostu PKB dla Polski w obecnym roku z 4 proc. do 3,7 proc. Tempa wzrostu poniżej 4 proc. spodziewają się również eksperci z Citi Handlowego. Nieprzewidywalność związana z kolejnymi wariantami koronawirusa sprawia, że tegoroczny wzrost PKB zapewne będzie się kształtował w granicach 3,5–4 proc.

Eksperci Komisji Europejskiej prognozują z kolei wzrost produktu krajowego brutto Polski na poziomie 3,1 proc. Nawet gdyby sprawdził się scenariusz z obniżoną prognozą wzrostu, i tak Polska kolejny raz znalazłaby się w gronie najlepszych państw w Unii Europejskiej. Według prognoz KE Polska ma

krajów jak Hiszpania czy Grecja skurczyły się odpowiednio o 11 proc. i o 10 proc.

W styczniu 2021 r. pierwszy raz w historii Eurostat ogłosił zaś, że Polska może pochwalić się najniższą w całej Unii Europejskiej stopą bezrobocia, wynoszącą w kryzysowych czasach jedynie

3,1 proc. Dla porównania: średnia wśród wszystkich 27 krajów Unii Europejskiej wynosiła 7,3 proc., a w gronie państw ze strefy euro aż 8,1 proc. Warto podkreślić, że w styczniu 2020 r. stopa bezrobocia w Polsce wynosiła niemal 20 proc. i była jedną z najwyższych w Europie.



■ szansę być jednym z zaledwie czterech państw UE – obok Irlandii, Luksemburga oraz Litwy – którego realny PKB na koniec 2021 r. nie będzie niższy, niż był w roku 2019. Jest to możliwe dzięki mocnym fundamentom polskiej gospodarki, odpowiedniej dywersyfikacji, zapobiegliwości instytucji kształtujących politykę monetarną i fiskalną, a także szybkim i skutecznym rozwiązaniom wprowadzanym przez menedżerów największych firm, w których często znaczący udział ma Skarb Państwa.

WIELKIE WSPARCIE OD CZEMPIONÓW

Ekonomiści od lat toczą spory o to, czy państwo powinno posiadać udziały w największych krajowych firmach, czy powinny być one całkowicie sprywatyzowane. Wydaje się jednak, że doświadczenie wielu zachodnich państw, podobnie jak Polski, pokazuje, iż zwłaszcza w kryzysowych czasach spółki z państwowym udziałem odgrywają ogromną rolę w zapewnieniu rozwoju kraju, zagwarantowaniu bezpieczeństwa energetycznego oraz ochrony miejsc pracy. Po wybuchu pandemii to m.in. dzięki temu, że spółki Skarbu Państwa są jednym z największych pracodawców w Polsce, w naszym kraju nie doszło do skokowego wzrostu bezrobocia.

„Aż 11 z 15 największych pracodawców w kraju to firmy państwowe, zatrudniające łącznie ponad 400 tys. osób. Zapewniając stabilne zatrudnienie, częściowo amortyzując negatywne skutki recesji dla rynku pracy” – zwrócili uwagę autorzy raportu Banku Pekao S.A. o roli spółek Skarbu Państwa w dobie kryzysu COVID-19, podkreślając, że „obecność kapitału krajowego w sektorze bankowym zapewnia ciągłość finansowania polskiej gospodarki”.

Spoglądając na akcjonariaty największych spółek nad Wisłą i w krajach Europy Zachodniej, można być spokojnym o los naszego wolnego rynku – z raportu opracowanego przez analityków banku Pekao S.A. w Polsce udział państwa w gospodarce jest bowiem wciąż niższy niż w takich krajach jak Norwegia, Finlandia, Francja, Włochy czy Szwecja. Silna obecność państwa w strategicznych sektorach jest bowiem zjawiskiem powszechnym nie tylko w gospodarkach rozwijających się, lecz także w krajach wysokorozwiniętych.

Kim są tytułowi czempioni polskiej gospodarki? To firmy, które bezdysku-

syjnie można uznać za chlubę krajowej ekonomii. Spółki, które działają na wielką skalę, które bez wahania inwestują w rozwój innowacyjności, które skrupulatnie odprowadzają do państwowego budżetu sówite dywidendy lub dzielą się z Polakami zyskiem, wpłacając do wspólnej kasy wysokie podatki. W zdecydowanej większości są to firmy z tak strategicznych sektorów jak energetyka i gazownictwo, górnictwo i wydobywanie, usługi finansowe czy transport i logistyka.

Potężne państwowe spółki stanowią również przeciwwagę dla zagranicznych

Najwięksi z narodowych czempionów mają nie tylko duży udział w krajowym rynku, lecz także śmiało wchodzą na obce rynki

korporacji, są także jednym z motorów rozwoju rynku kapitałowego, stanowiąc o sile głównego rynku Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, mają także decydujący wpływ na wartości takich indeksów jak WIG20, WIG Paliwa czy WIG Banki.

Nie należy również zapominać o ogromnych kwotach, które do budżetu państwa płyną z tytułu dywidend wypłacanych przez największe spółki swoim akcjonariuszom. Bywały lata, w których notowane na giełdzie spółki kontrolowane przez rząd dokładały do budżetu łącznie po 5–6 mld zł. W przedpandemicznym roku 2019 narodowi czempioni zasilili budżet państwa łączną kwotą aż 2,9 mld zł. A przecież to niejedyny wpływ z największych spółek Skarbu Państwa. Ponieważ pozostali akcjonariusze tych spółek od swoich dywidend muszą odprowadzić 19-procentowy podatek, w sumie kwota, którą został zasilony budżet, wzrosła do mniej więcej 3,8 mld zł.

A przecież poza dywidendami narodowi czempioni płacą w kraju również podatki, unikając narzędzi optymalizacyjnych stosowanych przez niektóre prywatne korporacje w celu uniknięcia wysokich danin. Wśród 10 największych płatników CIT za 2019 r. aż siedmiu było spółkami kontrolowanymi przez państwo. Najwięcej do budżetu wpłaciły

banki: grupa podatkowa banku PKO BP odprowadziła aż 1,375 mld zł, a grupa Banku Pekao (746 mln zł). Polski gigant przemysłu naftowego PKN Orlen oddał do wspólnej kasy z tytułu podatku CIT – 737 mln zł, KGHM Polska Miedź – 672 mln zł, PZU oraz PGE po mniej więcej pół miliarda złotych.

W 2020 r. z powodu pandemii koronawirusa kontrolowane przez rząd spółki nie wypłacały już co prawda tak wysokich dywidend akcjonariuszom, ale i tak ruszyły z wartą setki milionów pomocą dla państwa, pomagając publicznym szpitalom, dofinansowując zakup sprzętu medycznego czy wspierając produkcję środków dezynfekcyjnych w okresie, w którym był to na rynku towar wyjątkowo deficytowy. W zeszłym roku, podobnie jak w latach poprzednich, spółki Skarbu Państwa angażowały się również w wiele inicjatyw społecznych, wspierających działania patriotyczne, sportowe oraz dofinansowując wiele lokalnych projektów. Jednocześnie z różnych raportów wynika, że narodowi czempioni osiągają bardzo dobre wyniki, a rentowność wielu z nich jest porównywalna ze średnią dużych koncernów zagranicznych.

PALIWOWY ORZEŁ

Najwięksi i najprężniejsi z naszych narodowych czempionów mają nie tylko duży udział w krajowym rynku, lecz także śmiało i bez kompleksów budują pozycję Polski poza granicami. Najprężniej działające największe polskie spółki są też często największymi promotorami technologicznych innowacji. Jest to szczególnie ważne, jeśli Polska ma dzięki nowej rewolucji przemysłowej wyjść na pozycję nie tylko regionalnego lidera, lecz także europejskiego.

Zdaniem ekonomistów w gronie przedsiębiorstw, które można już śmiało określać mianem narodowych czempionów, jest już kilkadziesiąt spółek. Bez wątpienia jedną z czołowych firm, które można zaliczyć do tego prestiżowego grona, jest Polski Koncern Naftowy Orlen. Jedną z największych firm przemysłu naftowego w Europie Środkowo-Wschodniej i liczący się w regionie nowoczesny gracz na rynku paliw i energetyki może pochwalić się wysokimi lokatami w najróżniejszych rankingach, publikowanych zarówno przez polskie media, jak i te międzynarodowe. W 2020 r. polski orzeł z branży naftowo-



-energetycznej jako jedyna firma z naszego kraju znalazł się w prestiżowym rankingu 500 największych przedsiębiorstw świata, publikowanym od 68 lat przez magazyn „Fortune”. O randze tego rankingu świadczyć może to, że ujęte w nim firmy z 32 państw zatrudniają na całym świecie niemal 70 mln osób i w 2019 r. wygenerowały 33,3 bln dol. przychodów i aż 2,1 bln dol. zysków. W tym prestiżowym zestawieniu – w którym nawet taki globalny gigant jak Amazon znalazł się za Walmartem, Sinopec Group czy State Grid dopiero na dziewiątym miejscu, a Facebook musiał zadowolić się 144. miejscem – PKN Orlen z przychodami na poziomie aż 28,9 mld dol. zajął 438. pozycję.

To ważne wyróżnienie, ponieważ koncern działa na prawdziwie międzynarodową skalę. PKN Orlen dysponuje własną bazą zasobów ropy i gazu w Polsce oraz Kanadzie. Oferta polskiej spółki jest dostępna w ponad stu krajach świata na sześciu kontynentach. Koncern ma również najrozleglejszą w Europie Środkowo-Wschodniej sieć niemal 3 tys. stacji paliw, które zlokalizowane są nie tylko w Polsce, lecz także w innych krajach regionu. PKN Orlen śmiało walczy na przykład o miano kluczowego gracza na niemieckim rynku detalicznym. W każdym z niemieckich landów dostępne są stacje sieci STAR (w sumie jest ich niemal 600), a jednocześnie w ramach rebrandingu sieci na zagranicznych rynkach spółka uruchamia kolejne stacje pod marką ORLEN. W zeszłym tygodniu w Hamburgu ruszyła już druga taka stacja, po obiekcie w Berlinie.

W 2020 r. Grupa ORLEN podwoiła również liczbę stacji paliw na Słowacji, zwiększając do 20 liczbę stacji działających pod marką Benzina ORLEN. W 2021 r. zgodnie z założeniami strategii rozwoju Grupy ORLEN do 2030 r., na Słowacji pojawiają się kolejne takie obiekty polskiego koncernu. W sumie do 2030 r. w regionie Europy Środkowo-Wschodniej pod polską marką ORLEN ma działać co najmniej 3,5 tys. stacji. Udział stacji zagranicznych w całej sieci ma zaś wzrosnąć z 37 do 45 proc. Polska spółka ostatnio znacząco zwiększyła również swoje inwestycje na Litwie, na której od początku wszystkie stacje funkcjonują pod marką ORLEN.

Paliwowy koncern wdraża również innowacyjne rozwiązania, które przyspieszają obsługę klientów. Są wśród nich stacje ORLEN Drive, które pozwa-

Czołowe polskie firmy paliwowe są regularnie uwzględniane w prestiżowym rankingu Platts Top 250 Global Energy Company. W 2020 r. na liście 250 firm energetycznych z całego świata PKN Orlen zajął 51. miejsce. Wysoko sklasyfikowano też Grupę LOTOS SA

lają kierowcom i pasażerom skorzystać z możliwości zakupu produktów gastronomicznych (np. kawy czy hot doga) i za tankowania samochodu bez konieczności opuszczania pojazdu.

Popularnością wśród klientów cieszy się również usługa ORLEN Pay, która pozwala zapłacić za tankowanie od razu po odłożeniu nalewaka i błyskawicznie otrzymać fakturę na podany wcześniej adres e-mail. Koncern rozwija również sieć ORLEN Charge, w ramach której właściciele pojazdów elektrycznych mogą łatwo doładować akumulatory.

Dwie polskie spółki – PKN Orlen oraz Lotos – znalazły się także w prestiżowym rankingu stu wiodących firm energetycznych na świecie. Zestawienie „2017 Thomson Reuters Top 100 Energy Leaders” przygotowała w roku 2017 międzynarodowa agencja informacyjna Thomson Reuters, której analitycy najprężniejsze firmy energetyczne wyłonili, oceniając 1,5 tys. koncernów z całego świata, wybierając najlepsze spółki pod kątem sytuacji finansowej, innowacyjności, działań zgodnych z prawem, reputacji czy odpowiedzialności społecznej. Płocki koncern znalazł się wówczas również w gronie 25 czołowych przedsiębiorstw z sektora naftowo-gazowego.

Czołowe polskie firmy paliwowe są też regularnie uwzględniane w rankingu Platts Top 250 Global Energy Company. W 2020 r. na liście 250 firm energetycznych z całego świata PKN Orlen zajął 51. miejsce. We wspomnianym rankingu wysoko sklasyfikowano również Grupę LOTOS SA, która zajęła 185. pozycję wśród największych globalnych graczy.

W 2020 r. PKN Orlen już po raz 11. został również zakwalifikowany do RESPECT Index, a więc do renomowanego indeksu giełdowego, który skupia odpowiedzialne społecznie spółki notowane na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie. Płocki koncern dużo uwagi poświęca również kwestiom innowacji i inwestycji w działalność badawczo-rozwojową. PKN Orlen stworzył niedawno stworzone za ok. 185 mln zł

Centrum Badawczo-Rozwojowe w Płocku. Grupa kapitałowa ma również do dyspozycji Centrum Badawczo-Rozwojowe w Gdańsku oraz Orlen Laboratorium w Warszawie, a także ośrodki badawcze poza granicami Polski.

Efektom prowadzonych badań ma być nie tylko dalsza cyfryzacja czy wykorzystanie sztucznej inteligencji do działalności grupy, lecz także m.in. podniesienie efektywności produkcji i dystrybucji, ograniczenie śladu środowiskowego oraz opracowanie nowych technologii i uzyskanie dla nich patentów, które ułatwią stworzenie potężnego multienergetycznego koncernu, jakim Orlen chce się stać już w niedalekiej przyszłości. Obecnie cała grupa (włącznie z firmami zagranicznymi) ma już ponad 50 patentów w mocy, 900 zarejestrowanych i zgłoszonych znaków towarowych, 30 wzorów użytkowych oraz 80 wzorów przemysłowych. Płocka grupa – jak na początku marca poinformowała „Rzeczpospolita” – do końca obecnej dekady planuje zainwestować w inwestycje w innowacje oraz badania i rozwój ok. 3 mld zł. Realizacja takiej strategii ma m.in. ograniczyć konieczność zakupu nowych technologii czy licencji od zewnętrznych dostawców oraz umożliwić testowanie nowych rozwiązań przed wprowadzeniem ich na instalacje.

Do grona czempionów narodowych od lat zalicza się także Grupa Lotos. Spółka wdraża nowatorskie metody służące podniesieniu efektywności pracy rafinerii, prowadzi prace badawcze, których celem jest konstrukcja tańszych i trwalszych dróg z wykorzystaniem asfaltów wysokomodyfikowanych, a także rozwija produkty dla kierowców, dzięki czemu kierowcy korzystający z bezgotówkowych kart LOTOS Biznes mogą już np. korzystać z automatycznych płatności na autostradzie A1, bez konieczności zatrzymywania się na bramkach. Spółka paliwowa LOTOS Oil może się też pochwalić rewelacyjnymi wynikami finansowymi – dzięki działaniom podjętym w 2020 r. odnotowała



ona 17-procentowy wzrost sprzedaży i aż 86-procentowy wzrost wyniku netto względem roku 2019.

Prawdziwie globalny czempion w tej branży może jednak powstać już wkrótce, jeśli do skutku dojdzie zapowiadana na ten rok fuzja Lotosu z PKN Orlen. Zdaniem ekspertów połączenie Orlenu z Lotosem (a w przyszłości także z PGNiG) ułatwi również transformację energetyczną Polski i zwiększy bezpieczeństwo energetyczne kraju.

POLSKI GIGANT GAZOWY

Bez wątpienia do grona narodowych czempionów należą KGHM Polska Miedź oraz Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo (PGNiG). Ta ostatnia spółka cieszy się opinią jednej z najbardziej innowacyjnych firm w Polsce, regularnie poszukuje nowych technologicznych rozwiązań i wspiera rozwój innowatorów, których pomysły mogą odmienić oblicze energetyki nie tylko w Polsce, lecz także na świecie. Innowacje stanowią bowiem jeden z głównych filarów – obok zrównoważonego rozwoju – strategii rozwoju PGNiG w najbliższych latach. Chodzi m.in. o nowoczesne podejście do tradycyjnych zasobów, dzięki któremu polski gigant gazowy ma szansę stać się jednym z liderów transformacji energetycznej.

O jakie innowacje chodzi? W lutym 2021 r. spółka PGNiG ogłosiła na przykład, że zamierza sięgnąć po przemysłowy Internet rzeczy, aby unikać strat energii. Spółka zdecydowała się przetestować system, który umożliwia bilansowanie w czasie rzeczywistym energii elektrycznej pochodzącej z rozproszonych instalacji wytwórczych. Rozwiązanie zaprojektowane przez rzeszowski start-up TruBlu ma pozwolić na zdalne zbieranie danych z liczników i zarządzanie rozproszonymi urządzeniami pobierającymi energię elektryczną.

Bez wątpienia do grona polskich czempionów zaliczyć trzeba też spółki energetyczne, takie jak Tauron, PGE Polska Grupa Energetyczna, Energa czy Enea, które doskonale wiedzą, że muszą dostosować się do wymogów nowej gospodarki. Dla przykładu Tauron uruchomił w tym roku w Jaworznie najnowszy blok węglowy w Polsce, w którym wytwarzane w procesie spalania popioły lotne, żużle i gips są w całości traktowane jako produkty uboczne i wprowadzane na rynek jako cenny su-

Bez wątpienia do grona polskich czempionów zaliczyć trzeba również takie spółki jak PGNiG czy Tauron

rowiec możliwy do wykorzystania przez różnego typu zakłady przemysłowe.

W ramach strategii Zielonego Zwrótu inwestuje w rozwój farm wiatrowych m.in. w województwach kujawsko-pomorskim, mazowieckim i wielkopolskim – ich produkcja wzrosła w zeszłym roku aż o 40 proc. w porównaniu z rokiem 2019, osiągając poziom 970 GWh. W związku z dynamicznym rozwojem rynku pojazdów elektrycznych Tauron rozwija również w południowej Polsce sieć stacji ładowania dla samochodów typowo elektrycznych oraz hybrydowych. Spółka konsekwentnie rozszerza również ofertę paneli fotowoltaicznych, rok po roku odnotowując kolejne rekordy liczby przyłączanych do sieci mikroinstalacji prosumenckich. Spółka wprowadza również do oferty komercyjnej usługi, które dotychczas nie kojarzyły się z działalnością firm energetycznych, np. oferuje szybki Internet dla biznesu, a także promuje systemy inteligentnego zarządzania typu smart home, które podnoszą efektywność ogrzewania i oświetlenia domu.

Swoje plany rozwojowe realizują także największe polskie banki, choć ze względu na specyfikę sektorów bankowych w różnych krajach trudno jest jakiegokolwiek marce w krótkim czasie wejść do grona globalnych graczy. PKO Bank Polski ma już jednak swoje oddziały obsługujące korporacje w Niemczech, Czechach, na Słowacji, a obecnie szykuje się do otwarcia oddziału korporacyjnego w stolicy Rumunii – Bukareszcie. A to przecież jeszcze nie koniec planowanego przez bankierów rozwoju na zagranicznych rynkach. Dzięki ekspansji polskiego banku, który podąża śladami swoich klientów, o wiele łatwiej jest też funkcjonować rodzimym firmom m.in. z branż: spożywczej, meblarskiej, odzieżowej, obuwniczej, informatycznej i budowlanej, które z roku na rok coraz śmielej walczą o coraz większy udział w rynku w kolejnych europejskich krajach.

Okres pandemii do przyspieszenia transformacji wykorzystuje również Bank Pekao, który w zeszłym roku

zintensyfikował działania zorientowane na poprawę efektywności kosztowej oraz inwestycje w cyfryzację usług. Bank z zębem w logo wdrożył m.in. nowy serwis transakcyjny Pekao24, dzięki czemu liczba klientów aktywnie korzystających z bankowości mobilnej Pekao przekroczyła na koniec 2020 r. 2 mln osób, a co druga pożyczka gotówkowa została sprzedana zdalnie. Pekao umożliwił również możliwość prostego i bezpiecznego podpisywania umów oraz aneksów w bankowości korporacyjnej.

PROMOCJA GOSPODARKI

Autorzy najnowszego raportu „Czempioni narodowi. Jakich potrzebuje Polska” – publikowanego cyklicznie przez „Politykę Insight” – do grona czempionów narodowych zaliczyli: PKN Orlen, KGHM, Asseco Poland, Boryszew, Grupę Lotos, PGNiG i Polpharmę, Jastrzębską Spółkę Węglową, Comarch, Ciech oraz Stalprodukt. Z kolei do czempionów lokalnych – czyli do grona dużych firm, które są istotne na rynku krajowym – autorzy powyższego raportu zaliczyli takie firmy jak: PKP PLK, PKP Cargo, Enea, Energa, PLL LOT czy Toruńskie Zakłady Materiałów Opatrunkowych. W sumie w gronie pierwszych 50 firm uznanych za czempionów 24 jest pod kontrolą rządu, a 26 pod prywatnym zarządem.

Kryzys związany z wybuchem pandemii koronawirusa jednoznacznie pokazał, jak ważną rolę odgrywają największe polskie spółki. Nie tylko zapewniają bezpieczeństwo wielu sektorom gospodarki. Wiele z nich wykazuje również ponadprzeciętną aktywność inwestycyjną, bardzo chętnie angażuje się w procesy innowacyjne, a także służy jako platforma do generowania szybszego wzrostu gospodarczego.

Państwo powinno więc udzielać pomocy w procesie przekształcania najbardziej prężnych polskich spółek z czempionów narodowych w czempionów na globalną skalę. W dużej mierze to bowiem od tempa ich rozwoju zależy to, czy Polska będzie liderem w Europie Środkowo-Wschodniej, w krajach Grupy Wyszehradzkiej, w całej Unii Europejskiej, czy wejdzie do grona czołowych globalnych gospodarek. Taka inwestycja to również świetny sposób na promocję kraju – trudno bowiem o lepszą reklamę danego państwa niż poprzez pokazanie innowacyjnej, dobrze rozwiniętej gospodarki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PERN



Dotrzymujemy słowa:

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polski



Po ograniczeniu przez Rząd RP szarej strefy w obrocie paliwami, PERN zapewnił nowe pojemności na paliwa, oferując klientom i partnerom wartość dodaną w postaci zmodernizowanych baz paliw, dbając o czas obsługi i wygodę podmiotów odbierających paliwa z baz magazynowych firmy.



PERN skutecznie buduje system bezpieczeństwa w zakresie ropy naftowej i paliw.



Na przestrzeni lat 2016–2020 PERN zrealizował ambitny program inwestycyjny, który wyniósł niemal 1.6 mld zł, czyli o około 0.5 mld zł więcej niż w latach 2011–2015. Zysk netto spółki wzrósł w tym czasie aż o 41 proc.



U wybrzeży Bałtyku spółka zbudowała infrastrukturę umożliwiającą skuteczną dywersyfikację dostaw ropy naftowej do Polski.





Zielony Zwrot bliżej ludzi

Wiatr, woda, słońce napędzają transformację energetyczną w Polsce. Ten proces może przebiegać szybciej dzięki nowoczesnej sieci dystrybucyjnej, bo potężnym inwestycjom w farmy wiatrowe czy fotowoltaiczne towarzyszy oddolna rewolucja energetyczna, którą przeprowadzają klienci na dachach swoich domów

W całym 2020 r. Tauron przyłączył do sieci blisko 100 tys. mikroinstalacji o łącznej mocy 658 MW. Do tej pory śląski

koncern przyłączył już ponad 145 tys. takich instalacji. Wzmoczone zainteresowanie „elektrownią” na dachu własnego domu to duże wyzwanie dla firm

energetycznych. Aby im sprostać, należy sporo inwestować w sieci dystrybucyjne, Tauron może pochwalić się najnowocześniejszą siecią dystrybucyjną w kraju.

– Trzeba brać pod uwagę, w jaki sposób odnawialne, ale i niestabilne źródła energii wpływają na pracę sieci elektroenergetycznej. Rosnąca liczba rozproszonych źródeł powoduje dwukierunkowe przepływy energii, co wpływa na zarządzanie i eksploatację sieci – mówi Jerzy Topolski, wiceprezes Tauron Polska Energia. Odwrócenie przepływów w sieci dystrybucyjnej, a więc wprowadzanie do sieci energii zamiast jej pobierania, może skutkować przeciążeniami, problemami napięciowymi czy brakiem możliwości wyprowadzenia mocy z części mikroinstalacji.

Ekspertcy uważają, że wyjściem z tej sytuacji jest połączenie rozwoju mikroinstalacji z rozwojem małych magazynów energii. Już teraz śląski koncern pracuje nad koncepcją domowych urządzeń, które pozwolą prosumentom na magazynowanie wyprodukowanego



w nadmiarze prądu. Do budowy prototypowych magazynów koncern wykorzysta wyeksploatowane baterie z autobusów elektrycznych. Chociaż z biegiem czasu akumulatory nie są już wystarczające do zasilania pojazdów, to mogą jeszcze przez wiele lat pracować jako stacjonarne magazyny energii. Dzięki temu zamiast do utylizacji trafią do ponownego użytku, a to oznacza podwójną korzyść dla środowiska.

Dodatkowym wyzwaniem związanym z mikroinstalacjami jest brak regulacji rynku fotowoltaicznego. Oznacza, to że wiele małych firm instalujących panele nie posiada pełnej wiedzy technicznej oraz doświadczenia energetycznego. To może przekładać się na późniejsze kłopoty techniczne z instalacją lub brak profesjonalnego serwisu. Kompleksową usługę w tym zakresie świadczą doświadczeni gracze na rynku energetycznym, w tym Tauron.

FOTOWOLTAIKA Z BEZPŁATNYM KREDYTEM

Firma posiada również wyróżniającą się na rynku ofertę zakupu fotowoltaiki. Chodzi o ofertę bezpłatnego kredytu. W 2020 r. ponad 40 proc. gospodarstw domowych, które kupiły fotowoltaikę od Taurona, skorzystało z takiej formy finansowania tego przedsięwzięcia.

– Liczba klientów kupujących w Tauronie fotowoltaikę w ubiegłym roku wzrosła natomiast sześciokrotnie. To potwierdza, że oferta zakupu paneli fotowoltaicznych wraz z kredytem na ten cel jest istotnym argumentem na rzecz zakupu mikroinstalacji. Grupa zapewnia też bezpłatne doradztwo technologiczne oraz gwarancję na elementy instalacji fotowoltaicznej – mówi Łukasz Zimnoch, rzecznik prasowy Taurona.

Dotychczas kredytową formę zakupu paneli fotowoltaicznych Tauron oferował klientom indywidualnym, teraz podobny mechanizm przygotowano również dla zainteresowanych fotowoltaiką gospodarstw rolnych. Będą one mogły otrzymać niskooprocentowane kredyty ratalne udzielane przez bank, z którym współpracuje w tym zakresie Tauron.

INNOWACYJNE FINANSOWANIE ZIEŁONEJ ENERGETYKI

Transformacja energetyczna wymaga potężnych nakładów, co skłania firmy energetyczne do odważnego sięgania po nowoczesne instrumenty, jakie stwarza

dzisiejszy rynek finansowy. Pod koniec zeszłego roku Tauron zdecydował się na emisję obligacji zrównoważonego rozwoju o wartości 1 mld zł. Pozyskane w ten sposób środki mają zostać przeznaczone na transformację energetyczną Grupy. Co istotne, katowicki koncern jako pierwszy w Polsce zdecydował się na tzw. emisję takich właśnie obligacji.

– Warunki emisji niniejszych obligacji zawierają innowacyjną formułę obligującą Tauron do spełnienia określonych zobowiązań w zakresie redukcji emisyjności i wzrostu udziału OZE w wytwarzaniu energii. To pokazuje, że nasza strategia to nie tylko zapisy, lecz także przede wszystkim realne działania, które prowadzą do wyznaczonych celów – mówi Marek Wadowski, p.o. prezes Tauron Polska Energia.

Zobowiązania te zostały sprecyzowane wprowadzeniem wskaźników zrównoważonego rozwoju do warunków emisji obligacji: wskaźnik redukcji emisji CO₂ (średniorocznie o 2 proc.) oraz wskaźnik zwiększenia mocy w OZE (średniorocznie o 8 proc.). Środki finansowe z emisji zostaną przekazane przede wszystkim na projekty wiatrowe, fotowoltaiczne oraz inwestycje przyłączeniowe.

ZIELONY ZWROT

Tauron, jako pierwsza polska firma energetyczna, ogłosił Zielony Zwrot, czyli rozpisany na dekadę precyzyjny plan zielonej transformacji z podaniem horyzontu czasowego, konkretnych wielkości inwestycji w OZE oraz ograniczenia emisji CO₂. Do 2030 r. firma chce zwiększyć do ponad 65 proc. udział odnawialnych źródeł energii w miksie wytwórczym, przy równoczesnym ograniczeniu emisji CO₂ o połowę.

Obecnie koncern dysponuje dwięcioma farmami wiatrowymi, które w ubiegłym roku wyprodukowały energię elektryczną, zaspokajającą potrzeby 400 tys. gospodarstw domowych. A to dopiero początek, w grudniu ubiegłego roku firma ogłosiła bowiem rozpoczęcie budowy kolejnej elektrowni wiatrowej – tym razem w województwie łódzkim. Co istotne, Tauron zbuduje w tym miejscu farmę wiatrową od zera. Prąd z elektrowni popłynie do gniazdek w połowie 2022 r.

Do końca 2025 r. Tauron będzie miał zainstalowane w turbinach wiatrowych na lądzie 1100 MW.

Energia z wiatraków cieszy się dużym powodzeniem wśród firm, które korzystają z ofert dających gwarancję korzystania z energii w 100 proc. wytworzonej w odnawialnych źródłach. W ubiegłym roku Tauron podwoił sprzedaż „zielonego prądu”, a energię z wiatraków zakontraktował min. LOTTE Wedel czy Panasonic Energy Poland.

SŁONECZNE MEGAWATY Z DAWNYCH ELEKTROWNI

Oprócz energetyki wiatrowej koncern dynamicznie pracuje też nad rozwojem fotowoltaiki. W 2025 r. Tauron chce mieć 300 MW mocy zainstalowanej w panelach PV. Już w grudniu zeszłego roku w Jaworznie, na terenie dawnej elektrowni węglowej, zakończyła się budowa pierwszej farmy powstającej w ramach programu Tauron PV. Farma ta została zbudowana przez konsorcjum spółek należących do Grupy, które wygrało przetarg na realizację tego przedsięwzięcia.

Docelowo program obejmuje kilka lokalizacji, m.in. Mysłowice i Stalową Wolę. W ramach tego projektu panele są stawiane na terenach zrekultywowanych lub wymagających rekultywacji wskutek długotrwałej działalności przemysłowej – są to głównie tereny po byłych elektrowniach lub składowiskach odpadów paleniskowych. Łącznie farmy te mają osiągnąć 100–150 MWp. Żeby zobrazować skalę inwestycji, warto operować liczbami – w samym tylko Jaworznie stanęło ponad 12 tys. paneli fotowoltaicznych.

KIERUNEK BAŁTYK

To jednak nie koniec inwestycji w odnawialne źródła energii. W styczniu Tauron wraz z PGE i Eneą podpisał list intencyjny w sprawie współpracy przy przyszłych projektach morskich farm wiatrowych. Przyjmuje się, że tylko w polskiej części Morza Bałtyckiego możliwe jest ułożenie wiatraków o łącznej mocy nawet 20 GW. Tak duże moce wytwórcze będą stanowić bezpieczny rezerwuariat dla stabilności systemu elektroenergetycznego w kraju. Motywacją do podjęcia współpracy jest uzyskanie efektu synergii przy podejmowaniu wspólnych inwestycji w obszarze offshore. Co istotne, Bałtyk jest jednym z najlepszych akwenów pod względem wietrzności, dodatkowo jego niezbyt duża głębokość optymalizuje koszty związane z usypywaniem sztucznych wysp i posadowieniem na nich turbin.



Błękitny mistrz dodaje gazu

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

Grupa Kapitałowa Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo to lider na rynku gazu ziemnego w Polsce, który od samego początku aktywnie uczestniczy w transformacji energetycznej kraju

Mimo niesprzyjającej w ostatnim roku sytuacji makroekonomicznej Grupa Kapitałowa Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo radzi sobie wyjątkowo dobrze, o czym świadczą rekordowe wśród polskich spółek wyniki finansowe.

W 2020 r. zysk EBITDA wyniósł ponad 13 mld zł i był o 136 proc. większy niż rok wcześniej (5,5 mld zł). Największy wkład w wynik finansowy PGNiG miał segment Obrót i Magazynowanie, który odpowiadał za 74 proc. EBITDA Grupy. Udział segmentu Dystrybucji wyniósł

17 proc., Poszukiwanie i Wydobywanie – 7 proc., a Wytwarzania – 7 proc.

– Epidemia koronawirusa ma wpływ na wszystkie segmenty naszej działalności, co znalazło odzwierciedlenie m.in. w przychodach Grupy. Jednak istotne obniżenie kosztów pozyskania paliwa gazowego pozwoliło wypracować rekordowe wśród polskich spółek wyniki EBIT i EBITDA – mówił Paweł Majewski, prezes zarządu PGNiG SA. Jak dodał, kluczowe znaczenie dla wyników finansowych GK PGNiG w kolejnych kwartałach ma zmiana formuły cenowej w kontrakcie jamalskim, a nie zwrot nadpłaty za dostawy gazu zrealizowane w ramach tego kontraktu w poprzednich latach.

– Wygrana w arbitrażu zdecydowanie poprawiła warunki prowadzenia naszej działalności handlowej poprzez większe powiązanie kosztu zakupu gazu ze Wschodu z rynkowymi notowaniami tego paliwa w Europie. To nie pieniądze zwrócone przez Gazprom stanowią o sile naszej Grupy Kapitałowej – uzupełnił Paweł Majewski.



Przypomnijmy: ostateczne rozstrzygnięcie sporu między PGNiG a Gazpromem w postępowaniu arbitrażowym nastąpiło 30 marca 2020 r., kiedy Trybunał w Sztokholmie wydał wyrok końcowy zmieniający formułę cenową zakupu gazu. Skutkiem tego orzeczenia była m.in. poprawa warunków prowadzenia działalności handlowej przez PGNiG oraz zwrot przez Gazprom nadpłaty w wysokości około 1,5 mld dolarów amerykańskich za wcześniej rozliczone dostawy.

BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE NADRZĘDNYM CELEM

Stabilna sytuacja finansowa Grupy pozwala na wspieranie grup i sektorów dotkniętych skutkami pandemii COVID-19. Dotychczas na ten cel spółka przeznaczyła pomoc rzeczową i finansową o wartości ponad 26 mln zł. Wśród wydatków znalazły się np. darowizny w łącznej wysokości ponad 12,5 mln zł na rzecz wielu szpitali i ośrodków zdrowia, przekazane przez Fundację PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza. Od marca ub.r. spółka udzieliła też wsparcia finansowego i materialnego ośrodkom pomocy społecznej, hospicjom i organizacjom kombatanckim. PGNiG uczestniczyło też w organizacji zdalnego nauczania oraz w obsłudze infolinii prowadzonych przez Narodowy Fundusz Zdrowia i Polski Związek Głuchych.

Nadrzędnym celem spółki pozostaje jednak krajowe bezpieczeństwo energetyczne, na co składa się gwarancja stabilnych dostaw energii do polskich domów i firm. To szczególnie istotne w sytuacji, gdy zużycie gazu w Polsce – odgrywającego rolę paliwa przejściowego w transformacji energetycznej – znacząco rośnie. W drugiej połowie stycznia br. padł rekord dobowego zużycia gazu ziemnego, który wyniósł ok. 81 mln m sześć. (911 GWh) tego paliwa.

– PGNiG jako lider polskiego rynku gazu jest bardzo dobrze przygotowane do zmieniającego się zapotrzebowania kontrahentów na błękitne paliwo. Dzięki zapasom gazu utworzonym przez spółkę w podziemnych magazynach w Polsce i za granicą, jak również dzięki rozwijanej wciąż dywersyfikacji dostaw oraz rezerwacji mocy w gazociągach krajowych i transgranicznych, możemy elastycznie reagować na zmieniające się potrzeby klientów – mówi Paweł Majewski.

Zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego dla Polski i klientów PGNiG jest najwyższym priorytetem spółki, dlatego tak ważne jest kontynuowanie działań

dywersyfikacyjnych oraz dalsze inwestycje w rozwój infrastruktury magazynowej w Polsce, co umożliwi skuteczne bilansowanie zapotrzebowania na gaz oraz dynamiczne reagowanie na nietypowe sytuacje. Jak to zdywersyfikowanie wygląda w praktyce? Obecnie potrzeby PGNiG pokrywane są dostawami gazu ziemnego pochodzącego z wydobycia krajowego, z importu realizowanego z kierunków: wschodniego (Rosja), zachodniego (Niemcy) i południowego (Czechy), dostawami LNG m.in. z USA i Kataru, a także z zapasów z podziemnych magazynów gazu w Polsce i na Ukrainie.

CORAZ WIĘCEJ LNG

Dzięki zagranicznym kontraktom z roku na rok zwiększa się import LNG, które stanowi już ponad 25 proc. gazu ziemnego sprowadzanego przez PGNiG do Polski.

– W minionym roku przekroczyliśmy liczbę stu ładunków LNG sprowadzonych do Polski. W samym roku 2020 odebraliśmy aż 35 dostaw, o cztery więcej niż rok wcześniej. Oprócz kierunku amerykańskiego, katarskiego i norweskiego pojawiły się nowe – kupiliśmy LNG pochodzące z Trynidadu i Tobago oraz Nigerii – informuje Paweł Majewski.

Coraz większy udział importu z kierunków zachodniego i południowego sprawia, że maleje udział gazu rosyjskiego w łącznym imporcie, który dziś utrzymuje się na poziomie ok. 60 proc. (w 2015 r. stanowił on prawie 90 proc.). A od 2022 r. w strukturze importu PGNiG pojawi się kierunek północny związany z importem gazu ziemnego z Norwegii poprzez Baltic Pipe. W kolejnych latach wyraźnie wzrastać ma import LNG w związku z rozbudową terminalu w Świnoujściu oraz dostawami skroplonego gazu ziemnego od amerykańskich producentów. Po rozpoczęciu dostaw z wszystkich kontraktów długoterminowych na zakup LNG z USA PGNiG będzie corocznie dysponowało portfelem ok. 9,3 mld m sześć. gazu. Dodatkowo w dalszym ciągu będą realizowane dostawy LNG z Kataru.

GK PGNiG kontynuuje również prace w obszarze poszukiwań i wydobycia – zarówno za granicą, jak i w kraju, gdzie utrzymanie eksploatacji złóż węglowodorów stanowi jeden z celów strategicznych spółki. Poza Norwegią, gdzie PGNiG posiada 36 koncesji i zamierza rozwijać tam swoją działalność, od ponad 20 lat spółka jest obecna w Pakistanie. Stale też

inwestuje w krajowe wydobycie – w 2019 r. PGNiG na poszukiwanie i wydobycie błękitnego paliwa poszło aż 831 mln zł. Badania prowadzone są głównie na obszarze Podkarpacia i Niżu Polskiego.

Wszystkie powyższe działania mają oczywiście na celu w pierwszej kolejności zaspokojenie rosnących potrzeb na gaz ziemny. Przy okazji jednak – jak potwierdził opracowany niedawno przez PGNiG raport „Wspólne korzyści, wspólny rozwój” – mają również istotny wpływ na kondycję finansową samorządów i rozwój lokalny. Opłaty i podatki, które PGNiG płaci gminom z tytułu eksploatacji ropy i gazu, pobudzają bowiem lokalną aktywność gospodarczą i społeczność. Dzięki temu dochody podatkowe samorządów, w których spółka prowadzi działalność wydobywczą, są aż o 9 proc. wyższe niż w innych gminach.

ZIELONA TRANSFORMACJA

Zabezpieczanie bieżących potrzeb polskich konsumentów jest bardzo ważne, aby jednak utrzymać tempo rozwoju, spółka musi już dziś myśleć o przyszłości i inwestować w rozwój zielonych technologii do pozyskiwania energii z nowych, czystych gazów – biometanu i wodoru. Dlatego w maju 2020 r. ogłosiła badawczy program wodorowy PGNiG: „Wodór – Czyste Paliwo dla Przyszłości (Hydrogen – Clean Fuel for the Future)”. Tworzy go kilka projektów, w najbliższych latach na prace badawcze związane z nowym programem PGNiG planuje wydać ponad 40 mln zł.

Koncern rozpoczął już badania nad możliwością magazynowania i transportu wodoru przy wykorzystaniu sieci gazu ziemnego. W ramach projektu o nazwie InGrid – Power to Gas w oddziale spółki w Odolanowie powstaje instalacja, w której w 2022 r. ma się rozpocząć produkcja „zielonego wodoru” oraz badanie możliwości przesyłu w mieszance z gazem ziemnym. W planach są także działania zmierzające do zbudowania rynku biometanu w Polsce. W tym celu 12 stycznia br. Towarowa Giełda Energii oraz Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo podpisały porozumienie o współpracy, która pozwoli przygotować nowoczesne rozwiązania wspierające utworzenie i rozwój tego rynku.

PGNiG zamierza także budować segment OZE, m.in. przejmując gotowe projekty oraz rozwijając własne kompetencje deweloperskie.





Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie zajęła pierwsze miejsce wśród europejskich giełd pod względem dynamiki wzrostu obrotów akcjami w 2020 r. Obroty sesyjne na Głównym Rynku GPW wzrosły w 2020 r. o ponad 50 proc., a handel akcjami na rynku NewConnect zwiększył się przeszło dziewięciokrotnie

Pomimo wybuchu pandemii koronawirusa rok 2020 był dla warszawskiej giełdy okresem dynamicznego rozwoju. GPW stała się liderem w Europie pod względem wzrostu obrotów na rynku, który wyniósł 56,1 proc. w ujęciu rok do roku. Drugi w zestawieniu rynek Nasdaq krajów nordyckich i bałtyckich wzrósł o 37,7 proc., a trzeci – Deutsche Börse – o 34,8 proc. Dla porównania: w pełnym wyzwaniu pandemicznym roku obroty na węgierskiej Budapest Stock Exchange wzrosły o 20 proc., na czeskim Prague Stock Exchange o 11,3 proc., a giełd na Cyprze czy na Malcie odnotowały spadek obrotów w wysokości odpowiednio

nym Rynku akcji GPW (w porównaniu z 2019 r. to wzrost aż o 13 punktów procentowych). To również najlepszy wynik od 2009 r. Zarówno powrót dawnych graczy, jak i napływ nowych krajowych inwestorów indywidualnych wyraźnie widać również w statystykach Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych, zgodnie z którymi na koniec zeszłego roku zarejestrowanych było już 1 329 509 rachunków maklerskich, aż o 84 234 więcej niż pod koniec roku 2019.

Na Głównym Rynku nadal prym wiodli inwestorzy zagraniczni, którzy odpowiadali za 56 proc. obrotów (spadek o 7 p.p. rok do roku). Udział inwestorów

zagranicznych wzrósł o 5 p.p. rok do roku do 23 proc. Udział inwestorów zagranicznych i indywidualnych na rynku produktów strukturyzowanych wyniósł odpowiednio: 49 proc. i 50 proc.

REKORDOWE PRZYCHODY, WYSOKI ZYSK

W ubiegłym roku Grupa Kapitałowa GPW wypracowała rekordowe przychody ze sprzedaży w wysokości aż 403,8 mln zł. Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie pochwaliła się także rekordowym zyskiem EBITDA – wyniósł on aż 224,6 mln zł, czyli był wyższy aż o 31,4 mln zł niż w roku 2019. – Mieliliśmy rekordowe przychody, rekordowy wynik EBITDA w historii Giełdy, a także jeden z najwyższych poziomów zysku netto, który przekroczył 151 mln zł – podkreślił Piotr Borowski, członek zarządu Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie.

W minionym roku spółka wypłaciła swoim akcjonariuszom ponad 100 mln

GPW liderem w Europie

o 36,2 proc. oraz 34,5 proc. W październiku 2020 r. warszawska giełda była też najbardziej płynną giełdą w całej Unii Europejskiej, a na koniec grudnia ubiegłego roku pod względem obrotowości portfela GPW zajmowała drugie miejsce w UE.

ROŚNIE ROLA DROBNYCH INWESTORÓW

Wartość obrotów sesyjnych na Głównym Rynku wzrosła w ubiegłym roku do 297,3 mld zł, czyli aż o 55,3 proc. w porównaniu z rokiem 2019, na rynku NewConnect wzrosła do poziomu 14,7 mld zł (wzrost w porównaniu z rokiem 2019 aż o 925,3 proc), a wartość handlu produktami strukturyzowanymi w całym zeszłym roku wzrosła w porównaniu z 2019 r. o 111,8 proc. do poziomu 2,8 mld zł.

Wart podkreślenia jest również dynamicznie rosnący udział w obrotach krajowych inwestorów indywidualnych, którzy w roku 2020 odpowiadali już za jedną czwartą obrotów na Głównym

instytucjonalnych wyniósł 19 proc. (w porównaniu z 2019 r. zmniejszył się o 6 p.p.). W drugim półroczu ubiegłego roku wśród krajowych instytucji na pierwszym miejscu znaleźli się animatorzy (udział na poziomie 31 proc.), na drugim TFI (27 proc.), na trzecim OFE i firmy (po 12 proc.).

Krajowi inwestorzy indywidualni niemal zupełnie zdominowali też obroty na rynku NewConnect. Ich udział w obrotach w 2020 r. wyniósł aż 92 proc. (po wzroście o 6 p.p. rok do roku). Udział inwestorów instytucjonalnych zmalał do 4 proc. (spadek o 7 p.p. rok do roku). Udział inwestorów zagranicznych wzrósł zaś w stosunku do 2019 r. o 1 p.p. do 4 proc.

Inwestorzy indywidualni odgrywali również największą rolę w handlu na rynku kontraktów terminowych. Ich udział w obrotach wyniósł 41 proc. (o 6 punktów procentowych mniej niż w roku 2019). Udział inwestorów instytucjonalnych wzrósł o 1 p.p. rok do roku i wyniósł 36 proc., a inwestorów

złotych dywidendy. W okresie pandemii warszawska giełda nie zapomniła również o potrzebujących. Spółka przeznaczyła także niemal 1,7 mln zł na wyposażenie placówek medycznych w sprzęt potrzebny do walki z pandemią. GPW obniżyła także opłaty za notowanie akcji dla emitentów, którzy najbardziej odczuli negatywne skutki pandemii koronawirusa. Bonifikaty przyznano w sumie 150 spółkom, a łączna kwota obniżek opłat rocznych za notowanie akcji w roku 2021 wyniosła ponad 1,06 mln zł.

DEBIUT WSZECH CZASÓW

Prowadzone przez Grupę Kapitałową GPW rynki od lat są największymi w Europie Środkowej i Wschodniej. – W ubiegłym roku zadebiutowało siedem spółek na Głównym Rynku Giełdy Papierów Wartościowych, w tym mieliśmy debiut wszech czasów, czyli spółki Allegro. Natomiast na rynku NewConnect zadebiutowało 14 spółek. Wartość debiutów wyniosła 9,6 mld zł – podsumował



■ Piotr Borowski. I dodał, że spółki giełdowe wyemitowały również dodatkowe akcje w ramach tzw. emisji wtórnych o wartości prawie 2 mld zł.

W czwartym kwartale 2020 r. warszawska Giełda Papierów Wartościowych zajęła drugie miejsce w Europie pod względem wartości przeprowadzonych pierwotnych ofert publicznych. Według autorów raportu PwC „IPO Watch Europe” debiut Allegro (o wartości 2,3 mld dol.) był dziewiątym największym debiutem na świecie.

Autorzy raportu PwC zauważyli, że debiut Allegro stanowił również pozytywny sygnał dla kolejnych emitentów przygotowujących się do giełdowego debiutu, zwłaszcza z branży technologii, gier wideo, biotechnologicznych oraz e-commerce.

Emocje towarzyszące ofercie publicznej spółki Allegro sprawiły, że inwestorzy przypomnieli sobie o ofertach z rynku pierwotnego, które w ciągu ostatnich lat dały najwięcej zarobić. W 2017 r. zadebiutowały np. akcje spółki Dino, która dała zarobić nie tylko w dniu debiutu, lecz także po kilku latach przyniosła akcjonariuszom krociowe zyski.

DŁUGA LISTA CHĘTNYCH NA IPO

Bardzo udany debiut na początku 2021 r. zaliczyły walory spółki Answer.com, już czwartej notowanej na warszawskim parkiecie platformy e-commerce. W pierwotnej publicznej ofercie Answer.com inwestorzy nabyli zarówno akcje nowe, jak i dotychczasowe, sprzedane przez fundusz z grupy MCI. W sumie wydali ponad 80 mln zł, a spółka pozyskała ok. 45 mln zł na rozwój. W dniu debiutu notowania akcji wystartowały niemal 20 proc. wyżej niż w publicznej ofercie pierwotnej, po czym kontynuowały marsz na północ.

Trzeba oczywiście pamiętać, że każda inwestycja na giełdzie jest obciążona ryzykiem utraty części lub nawet całości zainwestowanego kapitału. Chętnych do zapisu na akcje debiutantów jednak nie brakuje. Szybko wydłuża się również lista spółek, które zapowiedziały chęć debiutu na warszawskim parkiecie. Plany wejścia na Giełdę Papierów Wartościowych w Warszawie zapowiedzieli m.in. przedstawiciele firm biotechnologicznych i biofarmaceutycznych, a także spółek z branży fotowoltaiki i innych źródeł energii odnawialnej, gier wideo czy sektora odzieżowego. Na giełdzie

w Warszawie mogą również pojawić się producenci dronów, spółki z branży FinTech czy np. producent grafenu.

Wejście do grona spółek giełdowych daje bowiem emitentom możliwość łatwiejszego pozyskania elastycznego finansowania, które nie jest narażone np. na gwałtowne zmiany polityki kredytowej banków w kryzysowych czasach. Spółki giełdowe, m.in. dzięki transparentności wyników, stają się też bardziej atrakcyjne dla inwestorów zagranicznych. Firmy notowane na giełdzie mają również większe szanse na przetrwanie w trudnej sytuacji finansowej, przy jednoczesnym zachowaniu faktycznej kontroli nad spółką.

Z marcowego raportu GPW „Koszty notowania akcji na giełdach” wynika jednocześnie, że warszawski parkiet należy do jednego z najtańszych wśród unijnych giełd pod względem opłat za dopuszczenie do obrotu. Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie pod względem pobieranych opłat wypada o wiele atrakcyjniej niż Nasdaq Nordic, London Stock Exchange, Deutsche Börse czy Euronext zarówno w przypadku spółek o kapitalizacji wynoszącej 10 mln euro, 100 mln euro, jak i 1000 mln euro.

Dodatkowo wiele firm notowanych już na warszawskim parkiecie szykuje się do przejścia z NewConnect na Główny Rynek GPW.

WARSZAWA WYPRZEDZIŁA TOKIO

W przypadku spółek gamingowych warszawska giełda stała się hubem nie tylko o regionalnym, lecz także światowym zasięgu. Na obu parkietach GPW notowane są obecnie akcje blisko 60 spółek branży gamingowej. W 2020 r. warszawska giełda przegoniła więc w tej kategorii parkiet w Tokio (na którym pod koniec 2020 r. notowanych było 47 tego typu spółek). Warszawa stała się tym samym światowym liderem pod względem liczby notowanych spółek gamingowych.

Warszawscy inwestorzy w 2020 r. mieli szansę wziąć udział w wielu przeprowadzonych z sukcesem ofertach IPO. Tylko w ubiegłym roku na GPW zadebiutowało bowiem aż 12 spółek gamingowych, wśród nich Gaming Factory, Drageus Games, Duality Games, Games Operators, Ovid Works, Play2Chill, Polyslash, Pyramid Games czy SimFabric. W grudniu dużym sukcesem

zakończyła się oferta pierwotna PCF Group, będącego właścicielem studia People Can Fly, produkującego gry wideo z tzw. segmentu AAA, czyli wysokobudżetowe tytuły na komputery oraz konsole PlayStation i Xbox. Aby zwiększyć zainteresowanie inwestycjami w tę branżę, GPW zorganizowała w czwartym kwartale ubiegłego roku dwie konferencje online: V edycję „Gaming na Giełdzie” oraz V edycję „GPW Innovation Day”.

Wiele wskazuje na to, że w roku 2021 powinna jeszcze bardziej umocnić swoją pozycję w sektorze gamingowym, zwłaszcza, że światowa renoma sprawia, iż do drzwi warszawskiej giełdy coraz częściej pukają również studia spoza Polski. Świadczyć może o tym choćby debiut w lutym 2021 r. spółki Huuuge Games, czyli studia z amerykańskiego stanu Delaware. Oferta cieszyła się ogromnym zainteresowaniem – na akcje Huuuge Games zapisało się ponad 20 tys. inwestorów indywidualnych oraz 125 instytucjonalnych, co w przypadku tych pierwszych wymusiło redukcję zapisów o ok. 97 proc. W 2021 r. na warszawskim parkiecie chce zadebiutować jeszcze ponad 30 producentów gier.

WIECEJ OKAZJI DO INWESTOWANIA

Rok 2020 był również czasem intensywnej realizacji kolejnych elementów strategii #GPW2022.

Na rynku finansowym zadebiutował Beta ETF WIG20lev – siódmy już fundusz typu ETF notowany na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie.

Wprowadzono również możliwość zawierania kontraktów terminowych na akcje spółek Biomed-Lublin, Mercator, XTB czy Allegro.eu. Liczba notowanych instrumentów strukturyzowanych przekroczyła zaś poziom 2,1 tys.

GPW uruchomiła Giełdowy Rynek Rolny, na którym inwestorzy mogą handlować pszenicą, żytem i kukurydzą. Spółka kontynuowała również prace w ramach projektu rynek wtórny dla rynku mocy.

W 2020 r. spółka GPW Benchmark uzyskała zaś zezwolenie na prowadzenie działalności administratora m.in. kluczowego wskaźnika referencyjnego WIBOR, a GPW Tech rozpoczął przygotowania do komercjalizacji pierwszych rozwiązań technologicznych.



**PRZEWODNIK
PO RYNKU NEWCONNECT
JUŻ DOSTĘPNY!**

**POBIERZ
PRZEWODNIK**



POZYSKAJ FINANSOWANIE NA RYNKU PUBLICZNYM



**RYNEK DEDYKOWANY MŚP
O DUŻEJ DYNAMICE WZROSTU**



KAPITAŁ NA DAŁSZY ROZWÓJ



**WZROST WIARYGODNOŚCI
I ROZPOZNAWALNOŚCI**

**DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ:
WWW.NEWCONNECT.PL**





W ostatnich 5 latach na inwestycje przeznaczamy średnio pół miliarda złotych rocznie. To środki, które nie tylko wpływają na lokalną gospodarkę w sensie ekonomicznym, ale też są odczuwalne przez zwykłych mieszkańców, bo mogą żyć w lepszym, czystszej otoczeniu – mówi Frédéric Faroché, prezes zarządu, dyrektor generalny Grupy Veolia w Polsce

Inwestujemy na rzecz społeczności lokalnych i środowiska



Veolia to największy prywatny dostawca ciepła w kraju. Dostarcza również energię elektryczną, gaz, wodę, świadczy usługi odbioru i oczyszczania ścieków. W ilu miastach działacie? Ilu macie klientów?

Veolia w Polsce działa od ponad 20 lat i przez ten czas budowała pozycję sprawdzonego partnera miast i przemysłu. Obecnie prowadzimy działalność na terenie 123 miejscowości. Chociaż w sensie formalnym naszymi klientami są głównie podmioty instytucjonalne – samorządy, spółdzielnie mieszkaniowe, firmy – to dbamy o blisko 3 mln Polaków, dostarczając im ciepło, energię elektryczną, wodę, a także odbierając ścieki.

Konsekwentnie inwestujemy w rozwój kogeneracji, czyli w wytwarzania prądu i ciepła w jednym procesie, co pozwala oszczędzać paliwo, a co za tym idzie – emisje gazów cieplarnianych. Rozwijamy też sieci ciepłownicze, które są ważnym elementem w Polityce Energetycznej Polski do 2040 r. Nasza globalna strategia zmierza do odejścia od węgla w 2030 r. To ambitne zadanie, bo tylko w samej Polsce prowadzimy działalność ciepłowniczą w 78 miastach.

Poza energetyką zarządzamy również sieciami wodociągowymi, kanalizacyjnymi i oczyszczalniami ścieków. Natomiast globalnie mamy szerokie doświadczenie w odzysku surowców i energii, która często byłaby po prostu zmarnowana. Przodujemy także od lat w wykorzystaniu paliw alternatywnych i odnawialnych.

Veolia działa w branży usług środowiskowych, siłą rzeczy samorządy są jej głównymi partnerami. Na czym polega współpraca firmy z samorządami?

W Polsce samorządy są odpowiedzialne za zapewnienie mieszkańcom dostępu do ciepła czy wody, a my wspieramy je w realizacji tych zadań. Współpracujemy z miastami różnej wielkości, są wśród nich te największe, takie jak Warszawa, Łódź czy Poznań, ale też Tarnowskie Góry, Zamość, Leżajsk czy Szczytno. To partnerstwo nie polega jedynie na dostarczaniu mediów, lecz także na ciągłym poszukiwaniu nowych technologii, aby spełniać normy środowiskowe i dziś, i jutro. Realizujemy to m.in. poprzez inwestycje i rozwijanie sieci ciepłowniczych, którymi zarządzamy w 58 miastach.

W polskich warunkach, w połączeniu z kogeneracją, są one sposobem na uniknięcie smogu w miastach i zapewnienie umiarkowanej ceny ciepła dla mieszkańców. Dlatego w sposób w pełni skoordynowany z władzami samorządowymi pracujemy nad podłączaniem kolejnych budynków, na przykład śródmiejskiej części Łodzi.

Nasza współpraca nie kończy się na kwestiach biznesowych. Działając w branży infrastrukturalnej, wpisujemy się trwałe w funkcjonowanie lokalnej społeczności. Projekty realizowane przez Fundację Veolia Polska skierowane są właśnie do mieszkańców tych miast. Głównie są to projekty edukacyjne, podnoszące świadomość ekologiczną, ale nie tylko. Wspólnie z Fundacją Szkoła Liderów już od czterech lat realizujemy projekt „Szkoła Liderów Miast”, który wspiera lokalnych liderów i pomaga nabywać nowe kompetencje przywódcze, diagnozować w miastach wyzwania gospodarcze, środowiskowe i społeczne, a następnie wdrażać w praktyce wypracowane rozwiązania. Dotychczas w projekcie udział wzięło już 172 liderów z 11 miast: Elku, Legionowa, Łodzi, Zgierza, Pabianic, Łomży, Dobrego Miasta, Lidzbarka, Warmińskiego, Ornety i Braniewa oraz Poznania.

Jak wygląda współpraca tak dużej firmy jak Veolia z lokalnymi dostawcami? Jak w ogóle Veolia przyczynia się do rozwoju lokalnej gospodarki?

Rozwój lokalny jest kluczowy dla Veolii, ponieważ nasz biznes jest ściśle połączony z rozwojem miasta. Lokalny wpływ Veolii jest wielowymiarowy i – co najważniejsze – wymierny. Przez 20 lat naszej działalności stworzyliśmy szeroki ekosystem lokalnych dostawców, a według obliczeń Deloitte wartość dodana wygenerowana przez ten czas w polskiej gospodarce dzięki Veolii wyniosła 3,1 mld zł. To efekt zwiększonego popytu na usługi naszych dostawców, a jest ich prawie 10 tys., wpływ na ich otoczenie biznesowe oraz wzrost konsumpcji w całej gospodarce, generowany m.in. przez 4,6 tys. naszych pracowników.

Ważnym wkładem są również płacone przez Veolię podatki, których wartość w latach 2012–2019 wyniosła 4,5 mld zł.

Veolia zajmuje siódme miejsce wśród wszystkich zagranicznych inwestorów w Polsce. Jakiego rodzaju są to inwestycje?

Przez ostatnie 20 lat Veolia przeznaczyła w Polsce niemal 6 mld zł na inwestycje, a w ostatnich pięciu latach średnie nakłady na inwestycje wyniosły pół miliarda rocznie. Z uwagi na specyfikę naszej działalności przeznaczamy je głównie na rozwój i modernizację infrastruktury. Przeprowadziliśmy na przykład kompleksową cyfryzację warszawskiej sieci ciepłowniczej w duchu smart cities, by zwiększyć jej efektywność, ograniczyć straty ciepła i zredukować zużycie paliwa. W samej Warszawie od 2011 r. zainwestowaliśmy ponad 1,2 mld zł. To środki, które nie tylko wpływają na lokalną gospodarkę w sensie ekonomicznym, lecz także są odczuwalne przez zwykłych mieszkańców, bo w efekcie modernizacji liczba awarii sieci zmniejszyła się o 40 proc.

Wszystko po to, żeby przez najbliższe 10 lat zrealizować strategiczny cel, jakim jest odejście od wykorzystania węgla. W Polsce zarządzamy w sumie ponad 4 tys. km sieci ciepłowniczych i ponad 200 źródłami produkcji. To powód naszej dumy, ale także ciągła potrzeba rozbudowy, modernizacji, optymalizacji. Dużo inwestujemy w ludzi, w innowacje i dzięki temu nasi klienci mają dostęp do najnowszych rozwiązań.

Jak firma włącza się w zieloną transformację?

W zieloną transformację włączamy się na kilka sposobów. Po pierwsze, zaczynamy od siebie samych, edukujemy i angażujemy pracowników. Po drugie, rozwijamy kogenerację i dążymy do osiągania efektywności energetycznej naszych sieci zgodnie z kryteriami UE. Po trzecie, zielona transformacja to nie tylko inwestycje w naszą infrastrukturę, lecz także innowacyjne projekty realizowane dla partnerów: odzysk ciepła w zakładach Volkswagena w Poznaniu, wykorzystanie gazu z huty cynku w Miasteczku Śląskim do ogrzewania budynków mieszkalnych czy rozwój technologii wodorowej. Nasze projekty oddziałują na jakość powietrza, kogeneracja dodatkowo pozwala wytworzyć więcej energii przy użyciu mniejszej ilości paliwa, ciągle szukamy rozwiązań pozwalających na oszczędność zasobów. A ponieważ od lat inwestujemy w ludzi, to nasi inżynierowie są gotowi na nowe wyzwania.



Maciej Trybuchowski
prezes Zarządu KDPW
i KDPW_CCP

Polski rynek kapitałowy po 1989 r. był budowany od podstaw w obszarze rozwiązań prawnych i organizacyjnych tworzących nowoczesną infrastrukturę finansową. Jednym z ważniejszych podmiotów tej infrastruktury jest Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych, który powstał w 1991 r. jako jeden z departamentów Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, a od 1994 r. funkcjonuje jako niezależna spółka

Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych jest odpowiedzialny za prowadzenie rozrachunku transakcji zawieranych na rynku regulowanym oraz w alternatywnym systemie obrotu (ASO), jak również za prowadzenie centralnego depozytu papierów wartościowych. Realizuje również wiele usług dla emitentów, takich jak pośredniczenie w wypłacie dywidendy dla akcjonariuszy, asymilację, zamianę, konwersję i podział akcji, realizację prawa poboru.

GRUPA KDPW

Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych tworzy dziś prężną grupę kapitałową oferującą wysokospecjalistyczne rozwiązania dla sektora finansowego, związane z depozytem zdematerializowanych instrumentów finansowych, rozliczeniami i rozrachunkiem transakcji na wielu rynkach, realizacją świadczeń na rzecz posiadaczy papierów wartościowych, gromadzeniem i przechowywaniem danych, nadawaniem kodów i numerów.

Grupę tworzą: Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych SA (KDPW), pełniący rolę centralnego depozytu papierów wartościowych, oraz izba rozliczeniowa KDPW_CCP SA, której głównym zadaniem jest prowadzenie systemu rozliczeń transakcji, systemu gwaranto-



Technologia wspiera rozwój polskiego rynku kapitałowego

wania rozliczeń oraz administrowanie zabezpieczeniami.

Grupa KDPW nie tylko zapewnia najszerzy wachlarz usług w obszarze obsługi rynku finansowego w naszym regionie, lecz także posiada wymagane autoryzacje europejskie i globalne,

które potwierdzają zgodność jej usług z międzynarodowymi regulacjami. Fakt ten znacząco podnosi wiarygodność polskiego rynku finansowego na arenie międzynarodowej i jest swoistą gwarancją jakości usług postransakcyjnych oferowanych w Polsce.



opartych na rozwiązaniach technologicznych, wspierając proces cyfryzacji polskiej gospodarki.

WŁASNE ROZWIĄZANIA IT

Usługi oferowane przez Grupę KDPW oparte są na rozwiązaniach technologicznych opracowanych w większości przez ekspertów – specjalistów IT pracujących w Krajowym Depozycie. Pozwala to nie tylko na dostosowanie rozwiązań do wymagań klientów operujących na polskim rynku, lecz także niezależność od globalnych dostawców i wysokich kosztów związanych z licencjami.

Własne systemy informatyczne obsługują większość udostępnianych przez GK KDPW usług, w tym: rozliczenia transakcji, zarządzanie ryzykiem, rozrachunek, usługi dla emitentów papierów wartościowych związane z operacjami na papierach wartościowych, wypłatą świadczeń i obsługą walnych zgromadzeń spółek publicznych, repozytorium transakcji EMIR, ARM, SFTR, nadawanie kodów LEI czy system rekompensat. W tej chwili ponad 90 proc. usług świadczonych przez Grupę KDPW realizowanych jest za pomocą systemów informatycznych.

ROZWÓJ DZIĘKI TECHNOLOGII

W przypadku takich instytucji infrastruktury rynku jak KDPW czy izba rozliczeniowa KDPW_CCP, które pełnią kluczowe funkcje dla efektywności, bezpieczeństwa i stabilności systemu finansowego w naszym kraju, podstawą w podejmowaniu decyzji są wysokie standardy zarządcze, regulacyjne, operacyjne i technologiczne. Grupa KDPW od lat wprowadza i śledzi najnowsze rozwiązania w tym zakresie. Jednym z nich, który może zrewolucjonizować rozwój i świadczenie usług finansowych, jest technologia blockchain.

KDPW jest pionierem w jej wykorzystaniu, a efektem prac naszych ekspertów było uruchomienie 1 lipca 2019 r. Platformy Blockchain dla Rynku Kapitałowego – nowoczesnej platformy biznesowej, która umożliwia tworzenie niezależnych aplikacji wspierających rozwój innowacyjnych linii biznesowych.

Pierwszą uruchomioną na Platformie Blockchain usługą jest aplikacja eVoting, która digitalizuje proces głosowania na walnych zgromadzeniach. Aplikacja dostępna jest od 30 września 2019 r.

i poszerza obsługę walnych zgromadzeń spółek, których akcje są zarejestrowane w KDPW, o możliwość zdalnego głosowania z wykorzystaniem środków komunikacji elektronicznej.

Już wkrótce KDPW zaoferuje nową aplikację – eVoting-board, czyli rozwiązanie pozwalające na przeprowadzenie zdalnych głosowań na posiedzeniach rad nadzorczych (i komitetów działających w strukturach rad nadzorczych), a także zarządów. Aplikacja umożliwi także na oddawanie głosów poza posiedzeniami (tzw. tryb obiegowy). Rozwiązanie to jest przygotowywane tak, aby zapewnić najwyższy poziom bezpieczeństwa procesu głosowania.

ODPOWIADAJĄC NA POTRZEBY RYNKU

Rolą spółek infrastruktury rynku kapitałowego, jakimi są Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych oraz izba rozliczeniowa KDPW_CCP, jest przede wszystkim zapewnienie bezpiecznych, niezawodnych i sprawnie świadczonych usług. Taki jest cel działalności spółek Grupy KDPW. Dbamy o to, by nasze rozwiązania opierały się na nowoczesnych technologiach oraz odpowiadały aktualnym wymogom prawnym – zarówno na poziomie krajowym, jak i międzynarodowym. W odpowiedzi na te zmiany Grupa KDPW zrealizowała wiele projektów, których efektem są usługi wykorzystujące zaawansowane rozwiązania technologiczne, takie jak: repozytorium transakcji SFTR i EMIR, agencja nadająca kody LEI, automatyzacja nadawania kodów ISIN, FISN i CFI, wprowadzenie aplikacji służącej rejestracji obligacji, stworzenie aplikacji służącej identyfikacji akcjonariuszy spółek, których akcje rejestrowane są w KDPW, czy wspomniane już aplikacje eVoting i eVoting-board.

Sektor finansowy jest największym użytkownikiem technologii cyfrowych oraz główną siłą napędową cyfrowej transformacji gospodarki, a polski rynek kapitałowy, którego Grupa KDPW jest jednym z kluczowych podmiotów, można określić jako nowoczesny, bezpieczny i zgodny z uznanymi międzynarodowymi standardami. Dlatego stale poszerzamy nasze kompetencje i wykorzystujemy nowe technologie w celu poszerzenia oferty świadczonych usług, dostosowania się do rosnących potrzeb i wymagań klientów oraz podniesienia satysfakcji z naszych rozwiązań.

W ostatnich latach Grupa KDPW zrealizowała wiele projektów rozwojowych, dzięki którym oferuje rynkowi komplementarny pakiet usług opartych na nowoczesnych rozwiązaniach technologicznych, aby zapewnić kompletną i atrakcyjną obsługę polskich firm inwestycyjnych i inwestorów, a także podmiotów zagranicznych operujących na polskim rynku finansowym.

FUNDAMENT BEZPIECZEŃSTWA RYNKU FINANSOWEGO

Działalność takich instytucji jak KDPW i KDPW_CCP jest fundamentem efektywności, bezpieczeństwa i stabilności systemu finansowego w Polsce. Jest to możliwe dzięki zachowaniu wysokich standardów zarządczych, regulacyjnych, operacyjnych, a w szczególności technologicznych.

Od wielu lat spółki Grupy KDPW intensywnie inwestują w rozwój usług



W 2020 r. PERN oddał do eksploatacji sześć zbiorników na ropę naftową o łącznej pojemności niemal 550 tys. m sześć. Są one zlokalizowane u wybrzeży Bałtyku: w Bazie Gdańsk i Terminalu Naftowym w Gdańsku

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PERN filarem polskiej gospodarki

Polski rynek naftowy w ostatnich latach przeszedł metamorfozę. Było to możliwe dzięki zmianom legislacyjnym skutecznie wprowadzonym przez Rząd RP, które radykalnie ograniczyły szarą strefę w obrocie paliwami. PERN, lider logistyki naftowej i paliwowej, stał się skutecznym narzędziem państwa w budowaniu niepodległości energetycznej, odpowiadając jednocześnie na wzrost zapotrzebowania klientów na magazynowanie z powodu zwiększenia legalnego obrotu paliw. Nawet w czasach pandemii spółka skutecznie realizowała ambitny plan rozwojowy, dając napęd polskiej gospodarce.

Ubiegły i obecny rok są kolejnym testem dla spółek zarządzających infrastrukturą krytyczną – w tym dla PERN. Epidemia koronawirusa spowodowała wprowadzenie szeregu

obostrzeń sanitarnych i konieczność dostosowania działalności operacyjnej do nowych wytycznych. Podstawowym celem było – i wciąż pozostaje – utrzymanie ciągłości działania oraz mini-

malizowanie zagrożeń wynikających z rozprzestrzeniania się epidemii.

Dzięki wdrożonym procedurom została zachowana zarówno ciągłość dostaw surowca do rafinerii, jak i ciągłość dostaw paliw na stacje benzynowe. W tym czasie w dalszym ciągu realizowany był program inwestycyjny spółki, a kolejne zbiorniki na ropę naftową i paliwa przekazywano do eksploatacji.

GWARANCJA BEZPIECZEŃSTWA

Bezpieczeństwo energetyczne to dziś jeden z najważniejszych obszarów, który wpływa na suwerenność kraju. Kryzys z zanieczyszczoną ropą z Rosji z 2019 roku potwierdził, że działania



podejmowane przez Rząd RP i spółki naftowe stanowią bezpieczną polisę na wypadek tego typu sytuacji. Kluczowym zagadnieniem jest dywersyfikacja źródeł i tras dostaw ropy naftowej do Polski.

Polskie rafinerie coraz częściej kupują ropę w różnych regionach świata. Sprowadzamy ją już nie tylko z Rosji, lecz także z Morza Północnego, Arabii Saudyjskiej czy USA. W zależności od tego, jaka ropa dociera do Polski – a docierają bardzo różne gatunki – PERN jest przygotowany, by zapewnić jej elastyczny transport do rafinerii i zachować jakość surowca.

Odpowiedzią na te wyzwania jest realizowany przez PERN ambitny Program Megainwestycji.

MEGAINWESTYCJE PERN

PERN w większości sfinalizował już rozbudowę zbiorników magazynowych na ropę naftową. W 2020 roku w Bazie Gdańsk i Terminalu Naftowym w Gdańsku powstało łącznie 6 zbiorników o pojemności prawie 550 tys. m³. Ostatni zbiornik o pojemności 45 tys. m³ w Terminalu Naftowym w Gdańsku trafi do eksploatacji jeszcze w tym roku. Inwestycja w znaczącym stopniu poprawia elastyczność systemu logistycznego PERN i pozwala na przyjmowanie dowolnych gatunków ropy z morza i separowanie ich w wydzielonych zbiornikach.

Nakłady inwestycyjne PERN w latach 2016–2020 wyniosły prawie 1,6 mld zł

W segmencie paliwowym już w 2019 roku został zakończony I etap rozbudowy pojemności (4 zbiorniki w bazach paliw w Kuluszkach i Nowej Wsi Wielkiej – łącznie 128 tys. m³).

W II etapie kolejne zbiorniki są sukcesywnie oddawane do eksploatacji – na przełomie roku 2020/2021 zbiorniki w Boronowie, w Emilianowie, w Małaszewiczach, a w połowie 2020 roku zbiornik w Kuluszkach. Finalizowane są również prace w dwóch bazach paliw – w Dębogórze i Rejowcu. Dzięki realizacji II etapu klienci będą mogli skorzystać z dodatkowych

222 tys. m³ pojemności. Spółka przygotowuje także III etap.

PERN w ramach Programu Megainwestycji realizuje także inwestycje liniowe, m.in. rurociąg produktowy z Boronowa do Trzebini o długości około 100 km. Magistrala połączy bazę paliw PERN w Boronowie z Terminalem Paliw PKN Orlen w Trzebini. Celem budowy rurociągu jest poprawa bezpieczeństwa zaopatrzenia południa Polski w paliwa poprzez zwiększenie zasięgu transportu rurociągowego z PKN Orlen.

PERN UNOWOCZEŚNIA BAZY PALIW

PERN modernizuje obecnie swoje bazy paliw. Celem jest m.in. uzyskanie większej liczby stanowisk „multiproduktowych”, co umożliwi kierowcom odebranie dowolnej kompozycji paliw oraz dodatków uszlachetniających przy jednym stanowisku, bez konieczności przejazdu autocysterny na inną wyspę nalewczą. W ramach modernizacji frontów autocysternowych linie nalewcze wyposażane są w najnowocześniejsze moduły dozowania dodatków firmowych.

Spółka wdrożyła także nowoczesny Portal Przewoźnika, oferujący w trybie online szereg narzędzi firmom przewozowym, które przyspieszają i ułatwiają korzystanie z usług PERN. Portal w czasie rzeczywistym podaje informacje o liczbie transportów oczekujących lub odbierających paliwo w danym obiekcie, jest bazą danych o kierowcach i pojazdach przewoźnika oraz o aktualnie realizowanych transportach – wszystko w trybie online. Z portalu w ciągu kilku pierwszych tygodni zaczęło korzystać ponad 100 przewoźników. Dzięki nowemu rozwiązaniu czas niezbędny na rejestrację kierowcy i pojazdu odbierającego paliwo na danej bazie PERN znacznie się skrócił. Wyeliminowane zostały zgłoszenia papierowe drogą pocztową, które zabierały kilka dni, na rzecz obrotu elektronicznego. Ta zmiana pozwala uprościć proces rejestracji, weryfikacji i udzielenia zgody na wjazd na bazę kierowcy i pojazdu do 30 minut.

Spółka prowadzi także prace w swoich bazach, by umożliwić klientom realizację Narodowego Celu Wskaźnikowego (NCW), czyli osiągnięcia 14% udziału energii odnawialnej w transporcie w perspektywie 2030 roku. PERN realizuje już prace związane z rozbudo-

wą pojemności magazynowych na biokomponenty – estry wyższych kwasów tłuszczowych (FAME) oraz bioetanol.

PERN prowadzi aktywne działania, zwiększając efektywność energetyczną własnej infrastruktury, oraz utrzymuje wysoki standard infrastruktury, prowadząc szereg działań proekologicznych – m.in. modernizacje oczyszczalni, kanalizacji, oświetlenia, instalacji odzysku par benzyn.

Dodatkowo, w bazach PERN prowadzony jest także szereg inwestycji mających na celu wdrożenie nowych rozwiązań z obszaru automatycznego prowadzenia procesów technologicznych, a także dostosowanie systemów sterowania i wizualizacji do najnowszych światowych standardów w zakresie przemysłowych systemów sterowania.

Celem jest jeszcze wyższy poziom bezpieczeństwa pracy poszczególnych instalacji, między innymi przez monitorowanie i sygnalizowanie w systemie nadrzędnym stanu poszczególnych elementów wykonawczych i pomiarowych. Przyspieszy to podejmowanie decyzji przez operatorów poprzez łatwy dostęp do kluczowych parametrów technologicznych oraz znacząco zmniejszy udział czynnika ludzkiego w przepływie informacji o aktualnym statusie pracy poszczególnych instalacji.

PERN WSPIERA POTRZEBUJĄCYCH W PANDEMII

Jako firma odpowiedzialna za infrastrukturę krytyczną PERN jest skoncentrowany przede wszystkim na zapewnieniu płynnych dostaw surowca do rafinerii oraz paliw na stacje benzynowe. Jednak obok realizacji założeń strategicznych w trudnym otoczeniu wynikającym z pandemii PERN niósł także pomoc finansową i materialną potrzebującym i poszkodowanym w wyniku zakażenia koronawirusem, wspierając szpitale finansowo i rzeczowo.

Wykonawcy inwestycji PERN otrzymali możliwość skorzystania z pakietu antykrzysowego, który zawiera skrócenie terminów płatności faktur, maksymalne przyspieszenie przelewów, pomoc w płatnościach za dostarczane maszyny i urządzenia. W sumie z programu w różnym zakresie skorzystało 56 firm. Pakiet ten został przedłużony o kolejny rok.

Artykuł powstał we współpracy z PERN



Jaka przyszłość czeka użytkowników Airbnb?

*Michał Płusa*

Najem krótkoterminowy – zjawisko, które dla większości z nas stało się nieodłącznym elementem podróży. Z jednej strony jest to szansa na rozwój branży turystycznej, z drugiej zaś, stanowi przyczynę licznych dyskusji w zakresie jego wpływu na tkankę miejską. Do momentu wybuchu pandemii COVID-19 mnogość ofert udostępnianych na dedykowanych platformach internetowych stanowiła odzwierciedlenie czasów oraz świata, w którym żyliśmy – dynamicznego, gdzie niemalże każde miejsce na świecie, wskutek niskich cen biletów lotniczych, stało się dostępne na wyciągnięcie ręki dla „zwykłego obywatela”. Nikogo nie dziwił fakt, że w piątek po pracy można znaleźć się na drugim krańcu Europy, a w poniedziałek rano z powrotem wrócić do codziennych obowiązków.

Swoją popularność zawdzięcza gwałtownemu rozwojowi technologii oraz powszechności zjawiska zwanego sharing economy. No właśnie, czy najem krótkoterminowy w wydaniu, które znaliśmy z turystycznych miejscowości lub dużych miast, w ogóle miał jeszcze coś wspólnego z ideą dzielenia się swoimi zasobami? Przecież – jak wynika chociażby z raportu „Airbnb w Warszawie. Charakterystyka rynku i wyzwania dla miasta” z 2019 r., sporządzonego przez DELab UW – znaczna większość lokali była wystawiana przez podmioty, które oferowały dwa mieszkania lub więcej, a ponad połowa ofert była od gospodarzy, którzy udostępniali w ten sposób przynajmniej cztery lokale.

Wynika to z faktu, że najem krótkoterminowy stał się dużo bardziej dochodowy niż tradycyjny najem nawet w sytuacji, gdy lokal przez dłuższy czas nie spełniał swojej funkcji. Dlatego też

w pewnym momencie ścisłe centra europejskich miast stały się noclegownią dla turystów. Niosło to ze sobą liczne niedogodności mieszkańców tych ośrodków, którzy musieli znosić nieustające imprezy w sąsiednim mieszkaniu oraz fakt, że ich najbliższa okolica stała się parkiem rozrywki dla przyjezdnych. Doprowadziło to do sytuacji, w której władze państw europejskich powiedziały nieograniczonemu najmowi krótkoterminowemu „Stop!”. Jednym z pierwszych krajów, który wprowadził regulacje, była Francja. Wskutek rosnącego problemu mieszkańców ośrodków turystycznych z zaspokojeniem ich potrzeb mieszkaniowych w gminach z liczbą mieszkańców powyżej 200 tys. wprowadzono obowiązek zgłoszenia swojego lokum do specjalnego rejestru. Przestrzeganie prawa było weryfikowane przez kontrole urzędnicze, a jego łamanie – obwarowane dotkliwymi sankcjami finansowymi. Problem urosł do takich rozmiarów, że w kwestii powyższych uregulowań wypowiedział się TSUE, który w wyroku z 22 września 2020 r. (sygn. C-724/18 i C-727/18) wskazał, że „uregulowanie krajowe, które ustanawia wymóg uzyskania zezwolenia na wielokrotny, krótkoterminowy wynajem lokalu mieszkalnego klientom zatrzymującym się przejazdem, niedokonującym w nim zameldowania, jest zgodne z prawem Unii”.

Niesprzyjające podmiotom oferującym swoje kwatery jest także orzecznictwo polskich sądów, które wyraźnie stawia granicę pomiędzy usługą hotelową a najmem, gdzie obie te instytucje prawa odróżnia przede wszystkim to, że przy usłudze hotelowej nie jest konieczne rozliczenie się przez gościa z tytułu zużytych mediów, ponieważ te są ponoszone w formie zryczałtowanej opłaty za nocleg, co w przypadku najmu nie ma miejsca, ponieważ zwyczajowo najemca ponosi koszty związane z najmem we własnym zakresie. Dlatego też należy uznać, że tzw. najem krótkoterminowy z kodeksową

umową najmu (poza nazwą) ma niewiele wspólnego. Wobec czego takiemu działaniu bliżej jest do usługi hotelarskiej w rozumieniu ustawy o usługach hotelarskich oraz usługach pilotów wycieczek i przewodników turystycznych.

Pierwszym krokiem mającym na celu zwiększenie kontroli w zakresie udostępniania kwater jest tzw. Biała Księga Regulacji Systemu Promocji Turystycznej w Polsce – propozycja zmian ustawowych, które przewidują m.in. uruchomienie Centralnego Wykazu Obiektów lub konieczność zarejestrowania działalności przez właścicieli lokali. Ponadto miejsca noclegowe powinny spełniać określone warunki sanitarne oraz BHP. Z punktu widzenia podmiotów oferujących noclegi najistotniejszy wydaje się fakt stosowania sankcji wobec udostępniających lokum nielegalnie, przewidujący m.in. karę pozbawienia wolności do lat trzech, a także możliwość nałożenia administracyjnej kary pieniężnej w wysokości nawet do 25 tys. zł. Oznacza to, że odpowiedzialność za nieprzestrzeganie przepisów zostanie znacznie zaostrzona, ponieważ obecnie świadczenie usług hotelarskich bez zgłoszenia obiektu do ewidencji jest jedynie wykroczeniem.

Wprawdzie prace nad Białą Księgą znajdują się wciąż we wczesnej fazie legislacyjnej (na początek 2020 r. został złożony raport z prekonsultacji), dodatkowo ograniczonej rozwojem globalnej sytuacji pandemicznej, jednakże należy się spodziewać, że zarówno w świetle ogólnoeuropejskich trendów, jak i dotychczasowej postawy rządzących dalsze działania ustawodawcy będą zmierzały do zwiększenia regulacji w tym zakresie.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest





PGNiG gwarantem bezpieczeństwa energetycznego Polski

Naszą misją jest zapewnienie Polsce bezpieczeństwa energetycznego. Każdemu naszemu działaniu przyświeca myśl, by działać zgodnie z interesem kraju i społeczeństwa, tak by realizować ambitne cele biznesowe i jednocześnie wspierać ideę patriotyzmu narodowego.





Nie zostawiamy pacjentów bez pomocy



Z prof. Waldemarem Wierzbą,
dyrektorem CSK MSWiA w Warszawie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Szpital MSWiA w Warszawie jest od początku na „pierwszej linii frontu”, hospitalizowano w nim najwięcej chorych na COVID-19 w Polsce. Jak wygląda tu sytuacja w trakcie trzeciej fali pandemii?

PROF. WALDEMAR WIERZBA: Szpital już na początku pandemii, decyzją wojewody, został szpitalem jednoimiennym. Potraktowaliśmy sytuację bardzo poważnie, zbudowaliśmy cały szereg barier: śluz, ciągów dekontaminacyjnych, szkoliliśmy personel, wdrożyliśmy procedury bezpieczeństwa epidemicznego i ochrony osobistej oraz przestrzegaliśmy ich. Dzięki temu udało nam się wypracować zachowania, które chronią przed zakażeniami w szpitalu. W efekcie od marca 2020 r. do końca września tylko cztery osoby zaraziły się w szpitalu, na ponad 4 tys. personelu. Żadna nie chorowała ciężko. Od początku stara-

liśmy się być na bieżąco ze wszystkim, co dzieje się na świecie, jeśli chodzi o COVID-19. Codziennie z kierownikami klinik dyskutowaliśmy o najlepszych rozwiązaniach, wyciągaliśmy wnioski. Procedury, które wdrażaliśmy, sposób leczenia, zawsze były oparte na najlepszych dowodach naukowych. Nasze doświadczenia były podstawą przygotowania wytycznych leczenia, wydanych przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji; zresztą wspólnie nad nimi pracowaliśmy.

Czy to prawda, że coraz więcej osób jest dziś w ciężkim stanie, że brakuje miejsc w szpitalu?

Nie obserwuję, żeby obecnie było więcej pacjentów w ciężkich stanach niż wcześniej, choć są tacy pacjenci. Zawsze byli. Część z nich, niestety, umiera, mimo że staramy się im pomóc. Czynnikiem

ryzyka ciężkiego przebiegu COVID-19 są wiek, znaczna otyłość, nieustabilizowana cukrzyca.

Jeśli chodzi o miejsca w szpitalu, to sytuacja jest dynamiczna. Bywa, że przez godzinę czy dwie nie możemy przyjąć pacjentów z karetek pogotowia. Generalnie jednak, na razie, są miejsca (choć zdarzają się nieprzewidziane sytuacje, tak jak ostatnio, kiedy musieliśmy wyłączyć część szpitala z powodu konieczności remontu wind dla pacjentów). Część chorych wraca do zdrowia, są wypisywani; niektórych kierujemy do szpitala tymczasowego na Stadionie Narodowym, który jest naszą filią i ogromną pomocą. Jego utworzenie to była bardzo dobra decyzja. Zabezpiecza miejsca dla chorych z Warszawy, Mazowsza, pomaga szpitalom w trudnej sytuacji. W dużym procencie pracują tam lekarze z naszego szpitala, jest tam taka sama, znakomita opieka jak u nas.

Niemal od początku stosowaliście osoczne ozdrowieńców, co do którego skuteczności były



sprzeczne doniesienia. Co wynika z doświadczeń szpitala?

Jako pierwsi w Polsce zaczęliśmy nie tylko stosować osocze ozdrowieńców, lecz także prowadziliśmy badanie kliniczne, które niedawno zostało zakończone. Udowodniło, że osocze jest skuteczne, tylko trzeba wiedzieć, kiedy je podać. Bardzo dobrze działa w początkowym okresie choroby, w okresie szybkiego namnażania się wirusa. Gdy pacjent jest już w ciężkim stanie, ma zajętych powyżej 50 proc. objętości płuc, to trzeba walczyć już nie z namnażaniem się wirusa, tylko z negatywnymi skutkami dokonanymi przez wirusa. W początkowej fazie choroby osocze to znakomity lek.

Wyniki leczenia macie jedne z najlepszych – jeśli nie najlepsze – w Polsce. Jakie innowacyjne metody leczenia COVID-19 prowadzicie w szpitalu? Pacjenci często późno wzywają pogotowie, myśląc, że w szpitalu nie dostaną pomocy...

W naszym szpitalu dostaną pomoc, jesteśmy na bieżąco ze wszystkimi informacjami, jakie pojawiają się na świecie na temat COVID-19. Wiele terapii stosowaliśmy jako pierwsi w Polsce. Bywało, że inny ośrodek chwalił się podaniem nowoczesnego leku, a my już go stosowaliśmy od dwóch-trzech tygodni lub dłużej. W dalszym ciągu leczenie COVID-19 to leczenie objawowe, stosujemy jednak całą paletę leków, w zależności od stanu chorego. Jeśli ma wysoką gorączkę, to obniżamy ją; jeśli dodatkowo pojawi się zakażenie bakteryjne, to podajemy antybiotyki. Gdy pojawiają się zaburzenia krzepliwości, podajemy leki przeciwkrzepliwe. Są leki, które mogą pomóc w trakcie burzy cytokinowej. Chorzy w ciężkim stanie muszą być pod bardzo dobrym, stałym monitoringiem, by jak najszybciej reagować i podać odpowiednie leczenie. Dzięki temu w ogromnej większości przypadków udaje się wygrać z COVID-19.

Ważnym lekiem jest tlen, podawany pod ciśnieniem, ponieważ wirus SARS-CoV-2 ma powinowactwo do nabłonka pęcherzyków w płucach. Powoduje wysięk płynu do światła pęcherzyków, płyn ten zawiera bardzo dużo włókienka, co powoduje, że one niemal całkowicie zarastają. Trzeba podawać tlen pod ciśnieniem; „wypycha” ono płyn ze światła pęcherzyków do łożyska naczyniowego. To bardzo dobra metoda, która pozwala nie dopuścić do zniszczenia pęcherzyków płucnych.

Ostatnią deską ratunku jest ECMO: aparat do pozaustrojowego utlenowania krwi. Jako pierwsi w Polsce zorganizowaliśmy zespół wyjazdowy terapii ECMO, we współpracy z Lotniczym Pogotowiem Ratunkowym. Mamy kilkanaście takich urządzeń. Zdarzały się sytuacje, że śmigłowiec leciał po pacjenta w ciężkim stanie, chory miał założone ECMO, był do nas przewożony, leczony. Wiele osób w ten sposób uratowaliśmy, choć niestety nie wszystkich.

W szpitalu prowadzicie też prace nad genetycznymi predyspozycjami ciężkiego przebiegu COVID-19. Uda się opracować test, który podpowie, u kogo to zachorowanie może być bardzo groźne?

Ważną częścią dzielenia się wiedzą jest działalność naukowa, która jest naprawdę imponująca: sam jestem współautorem ponad 30 publikacji z zakresu COVID-19 w ostatnim roku. Otrzymaliśmy wiele grantów na badania, m.in. z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, Agencji Badań Medycznych. W ramach prowadzonych przez nas badań naukowych prowadzimy m.in. projekt poszukiwania markerów genetycznych wpływających na intensywność przebiegu COVID-19 (wspólnie z firmą MNM Diagnostics w Poznaniu). Wykorzystujemy sekwencjonowanie genomu pacjentów (za ich zgodą). Celem badania jest opracowanie szybkiego testu, który podpowie, którzy pacjenci są predysponowani genetycznie do ciężkiego przebiegu COVID-19. Rozpoczęliśmy również testowanie polskich szybkich, 15-minutowych testów RT-PCR. Tworzymy nowoczesne Centrum Badań Klinicznych i Ośrodek Leczenia Chorób Rzadkich. Współpracujemy naukowo z Politechniką Warszawską i ze Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego, poszukujemy nowoczesnych metod, z wykorzystaniem m.in. technik grafenowych, do wykrywania cząstek wirusa.

Czy pacjenci niecovidowi mogą dziś u was otrzymać pomoc?

Żadnego z naszych pacjentów onkologicznych, hematologicznych, kardiologicznych, leczonych biologicznie, np. w chorobach reumatycznych, gastroenterologicznych, dermatologicznych, nie zostawiliśmy bez pomocy. Podobnie, jeśli pacjent z Polski (lub jego rodzina) zwróci się do nas z prośbą o leczenie, ponieważ nikt nie chciał mu pomóc, to

nigdy nie odmawialiśmy. Leczyliśmy m.in. chorych z rakiem trzustki, nowotworami neurologicznymi, schorzeniami kardiologicznymi, kardiochirurgicznymi.

Mimo pandemii, a może wbrew niej, staramy się wprowadzać nowoczesne metody leczenia. Prowadzimy m.in. program podawania rzadko stosowanych pierwiastków promieniotwórczych, m.in. w leczeniu nieoperacyjnego raka trzustki. Jeszcze przed pandemią zakupiliśmy nowoczesny robot da Vinci; w czasie pandemii nasi kardiochirurdzy uczyli się wykonywania operacji, zdobywali certyfikaty. Dzisiaj możemy pochwalić się tym, że wykonaliśmy najwięcej operacji kardiochirurgicznych z użyciem robota da Vinci w Polsce, a nawet w Europie Środkowo-Wschodniej. Obecnie techniki operacji z użyciem da Vinci uczą się lekarze innych specjalności: ginekolodzy, chirurdzy, urologi, laryngolodzy. Gdy tylko otrzymają certyfikaty, rozpoczną przeprowadzanie takich operacji.

Każdy dziś zadaje sobie pytanie, kiedy „trzecia fala” epidemii się skończy.

Sądzę, że wtedy, gdy temperatury się ustabilizują, zrobi się ciepło; druga połowa maja, podobnie jak w ubiegłym roku. Myślę jednak, że już wcześniej poziom zachorowań będzie spadał. Prawdopodobnie jednak SARS-CoV-2 z nami pozostanie, być może jesienią znów nastąpi wzrost zachorowań. Mam nadzieję, że na ten wzrost będziemy lepiej przygotowani, m.in. dzięki szczepieniom, i choć ciężkie przebiegi choroby będą mogły się zdarzać, to generalnie wirus nie będzie już tak groźny. Dlatego trzeba się szczepić, każdą szczepionką, która jest dostępna. Nie należy się obawiać żadnych szczepionek, każdą warto się zaszczepić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Waldemar Wierzbę – dyrektor CSK MSWiA, absolwent Politechniki Warszawskiej i Warszawskiej Akademii Medycznej. Master of Health Administration, m.in. był pierwszym prezesem Agencji Oceny Technologii Medycznych i ją tworzył, dyrektorem Departamentu Zdrowia MSWiA; jest specjalistą położnictwa i ginekologii, zdrowia publicznego, menedżerem.



KATARZYNA PINKOSZ: Wielkanoc to święta nadziei. Jak ją jednak odnaleźć, gdy epidemia może potrwać jeszcze miesiące, codziennie umiera 300–400 osób z powodu COVID, a wielu pacjentów nie może znaleźć pomocy medycznej z powodu niewydolności systemu?

KS. PROF. STANISŁAW DZIEKOŃSKI: Ten trudny czas nadszedł przed bardzo ważnymi dla chrześcijan świętami. Z jednej strony czekamy na radosne Alleluja, a z drugiej przygnębia nas sytuacja związana z koronawirusem. Przypominam sobie podobny okres ubiegłego roku, który wcale nie był czasem łatwiejszym, gdy kontakt z innymi osobami był bardzo utrudniony. Sam otrzymywałem wiele informacji, zwłaszcza od osób starszych, które w każdym trudnym momencie życia poszukiwały otuchy i nadziei w kościele. Ograniczenia oddzieliły ich od tego, co zawsze było dla nich kołem ratunkowym, światłem w tunelu. Dziś przeżywamy również trudną sytuację, widzimy, jak odbija się ona na zdrowiu psychicznym, jak bardzo w czasie epidemii COVID-19 pogłębił się problem depresji, samobójstw wśród dzieci i młodzieży. Jest ogrom psychologicznych problemów,



Z ks. prof. Stanisławem Dziekońskim, rektorem UKSW w latach 2012–2016 i 2016–2020, twórcą wydziału medycznego UKSW

rozmawia Katarzyna Pinkosz

Odnaleźć nadzieję



które narastają u dorosłych. Jesteśmy obciążeni informacjami o zachorowaniach, o tragedii, która dotyka wiele rodzin. To ogromna trauma, każdy czuje się niepewnie. Znam osoby, które mimo że nie zachorowały na COVID, żyją w ogromnej niepewności. Im bardziej wydłuża się pandemia, tym bardziej zwiększa się ich niepokój o to, co będzie, gdy zachorują.

Warto jednak zwrócić uwagę, że nie jesteśmy jedynym pokoleniem, które musi zmierzyć się z ogromnym problemem społecznym. Oczywiście jego skala przeraża, gdyż dotyka całego świata. Jednak pokolenia, które nas poprzedzały, również musiały zmagać się z wieloma wyzwaniem i nieoczekiwanymi sytuacjami. Co dawało im siłę, by przetrwać? W wielu przypadkach nadzieja płynąca ze Zmartwychwstania, z prawdy o zwycięstwie Chrystusa nad złem i śmiercią, perspektywa życia wiecznego. Przywołuję elementy teologiczne, by pokazać, jaką siłę daje ludziom prawdziwa nadzieja. Dziś największym wyzwaniem jest jej odnalezienie i pamięć o tym, że zanim przyszedł poranek wielkanocny, trzeba było się zmierzyć z Wielkim Piątkiem.

Przed wybuchem epidemii wydawało się, że medycyna może już niemal wszystko, potrafimy coraz lepiej uporać się z rakiem, pojawia się nadzieja na leczenie wielu chorób genetycznych. Okazało się to mrzonką?

Niewątpliwie możemy poszczycić się wieloma osiągnięciami w medycynie. W leczeniu chorych pokonujemy coraz więcej barier. Pojawiają się nawet głosy, że jesteśmy o krok od programowania człowieka, jakim chcemy, żeby był. Pandemia pokazała jednak, jak nieprzewidywalne może być życie, ile trzeba poświęcić czasu i zdolności, by skutecznie stawić czoła chorobie, jak bardzo ważna jest pokora w forowaniu różnych opinii.

Wydawało się też, że możliwości medycyny pozwolą szybko znaleźć lek, szczepionkę. Szczepionki są, ale nadal jest wiele niewiadomych, czy zakończą epidemię.

W sytuacji epidemii COVID-19 widzimy, jak jesteśmy słabi w zetknięciu z naturą. Mówimy o leczeniu, o konieczności szczepień, a równocześnie widzimy słabość tego przekazu. Rok temu, w ogólnym odbiorze, szczepionka przeciw COVID-19 była postrzegana jako jedyne i skuteczne remedium na pandemię. Dzisiejsze doświadczenia, zbierane w Polsce i poza granicami naszego kraju, ewidentnie pokazują, że

nie do końca tak jest: nie wszyscy chcą się szczepić, nie wszyscy mogą od razu dostać szczepionkę, wielu przejawia obawy co do jej skuteczności czy późniejszych skutków. Lawinowo rośnie liczba komentarzy, czasami skrajnych. Dzięki mediom łatwo docierają one do licznych odbiorców. Przeciętny człowiek łatwo może się pogubić w chaosie informacyjnym, graniczącym niekiedy z dezinformacją. Taki stan, pogorowany brakiem pełnego i bezpośredniego kontaktu z innymi, u wielu osób wywołuje lęk, sprzyja powstawaniu depresji.

W tej sytuacji trzeba zrobić wszystko, by nikt nie czuł się osamotniony, pozbawiony kontaktu z innymi i możliwości wzmocnienia sfery duchowej, która zawsze, w każdej walce – zwłaszcza z chorobą – jest ważna. Pandemia uświadomiła nam bardziej, że człowiek potrzebuje bezpośredniego kontaktu z innymi, jest istotą psychofizyczną. Wymiar duchowy otwiera człowieka na nadprzyrodzoność, dzięki czemu bardziej możemy doświadczyć tego, że w żadnym momencie swego życia nie jesteśmy sami. Łatwiej wówczas zrozumieć, że po Wielkim Piątku następuje poranek Zmartwychwstania, wpisany w dzieło pomocy człowiekowi. Przeżywane tajemnice Wielkiejnocy dają nam jednoznaczny przekaz, że nie możemy zatrzymać się na tragedii związanej z cierpieniem, zagrożeniem życia czy śmiercią.

To, że może być trudniej, mówi wielu ekspertów. Niedawno tak nawet mówił minister zdrowia: jest źle, przygotujmy się na bardzo ciężkie tygodnie.

Wyda mi się, że należy oddzielić przedstawienie realnej oceny danego stanu rzeczy od celowego budzenia niepokojów. Rzeczywista ocena i obiektywna prezentacja tego, co jest i co nas czeka, połączona ze wskazaniem odpowiednich działań, jest jak najbardziej potrzebna. Natomiast lękiem napawa odbieranie człowiekowi nadziei, skupienie się tylko na tym, co złe. Patrząc na historię, niewiele można znaleźć okresów, w których ludzie mogli spokojnie się rozwijać. Każda epoka przynosiła wyzwania, nieprzewidywalne i trudne do pokonania sytuacji. Takie momenty były często sprawdzianem tężyzny duchowej ludzi. Wiele z nich dzisiaj podziwiamy za odwagę, bohaterstwo, budzenie i podtrzymywanie nadziei w innych.

Szczególnie trudna jest dziś sytuacja osób chorych na COVID w szpitalach; nie można do nich

przyjść, lekarze są w masceczkach, nie widać ich twarzy. Jak chorzy mają tę sytuację przetrwać? I jaka jest rola lekarzy, pielęgniarek, całego personelu medycznego w tym wyjątkowym czasie?

Niewątpliwie sytuacja jest trudna. Obostrzenia związane z bezpieczeństwem innych nie pozwalają na kontakt fizyczny znajdującego się w szpitalu chorego z rodziną. Jest to bardzo duże obciążenie psychiczne dla pacjenta. Nie każdy pacjent jest w stanie zadzwonić, porozmawiać. Z pewnością taka izolacja, jakkolwiek konieczna, nie sprzyja wychodzeniu z choroby.

W sytuacji, gdy chorzy są oddaleni od swoich bliskich, zadania lekarzy i personelu medycznego są o wiele większe niż wcześniej. Chory oczekuje nie tylko pomocy medycznej, włączenia leków, podania tlenu, podłączenia pod respirator. Potrzebuje też bliskości drugiej osoby. Na personelu medycznym spoczywa dziś szczególnie rodzaj odpowiedzialności za drugiego człowieka, za jakość życia pacjenta. Towarzyszenie mu może wywołać w nim dodatkową siłę do walki z chorobą. Posługa personelu medycznego jest misją, a w jakiejś mierze nawet powołaniem.

Wielu lekarzy czuje to powołanie, stąd praca w trudnych warunkach. Choć trudno myśleć o powołaniu, gdy spędza się dobę na SOR czy na oddziale, gdzie coraz więcej jest pacjentów wymagających pomocy, dzwonią rodziny, dopytując o bliskich, jest stres, czy każdemu uda się pomóc...

Każda sytuacja jest inna. Jest rzeczą zrozumiałą, że przy natłoku spraw lekarz nie ma czasu na długą rozmowę z pacjentem. Pozostaje jednak pytanie: Czy naprawdę nie można nic zrobić? Często wystarczy życzliwe popatrzenie w oczy, uściśnięcie dłoni, dotknięcie ręką twarzy. Są to gesty, które niosą istotne przesłanie: „Jesteś dla mnie ważny, jesteś mi bliski”. Niejednokrotnie dzięki takim prostym gestom dochodzi do głosu prawda o godności człowieka, będąca najgłębszą racją etyczną, żeby nieść pomoc osobie chorej i cierpiącej. © Wszelkie prawa zastrzeżone



ks. prof. Stanisław Dziekoński
jest profesorem nauk społecznych, był rektorem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w latach 2012–2016 i 2016–2020, kieruje Katedrą Pedagogiki Kultury i Edukacji Międzykulturowej na Wydziale Nauk Pedagogicznych UKSW.



TEST „DO RZECZY”: SENNHEISER MOMENTUM TRUE WIRELESS 2

Swietna jakość dźwięku, niezły system aktywnej redukcji hałasu (ANC), a także design oraz wykonanie charakterystyczne dla klasy premium – to największe zalety drugiej edycji bezprzewodowych dokanałowych słuchawek niemieckiej firmy Sennheiser.

Bez wątpienia największym plusem tego modelu jest zaskakująco dobra jakość dźwięku w słuchawkach ważących po zaledwie 6 g. Brzmienie jest czyste, dojrzałe, wyrafinowane i pozwala cieszyć się różnymi gatunkami muzyki. Sporo jest basu, co ucieszy fanów rocka czy popu. Oczywiście, nie jest to jakość audiofilska, ale jak na małe, przenośne, bezprzewodowe słuchawki dźwięk jest naprawdę bardzo, bardzo dobry.

Dobrze sprawdza się też system aktywnej redukcji szumów, który – po właściwym dopasowaniu słuchawek do ucha – pozwala skutecznie odciąć się od otaczających hałasów. Co ważne, aktywacja systemu ANC nie wpływa zbyt mocno na odbiór odtwarzanej muzyki.

Testowany model jest też bardzo wygodny w użytkowaniu – w tych słuchawkach bez problemu można pracować przez cały dzień i zapomnieć, że wciąż ma się je w uszach. Nie jestem jednak pewny, czy podobne zdanie będą miały osoby o małych uszach.

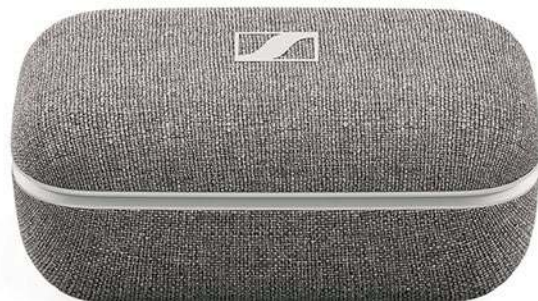
Aby móc dobrze dopasować je do ucha, producent dodaje wkładki w czterech rozmiarach. Jednocześnie są one bajecznie proste w obsłu-

dze. System sterowania głośnością, przełączaniem odtwarzanych utworów etc. jest intuicyjny i logiczny. Przejrzysty jest również układ funkcji bezpłatnej aplikacji, która umożliwia dostęp do equalizera czy ustawień zaawansowanych, takich jak automatyczne odbieranie połączeń itp.

Plusem jest również długi czas pracy na jednym ładowaniu, który wynosi ok. 5–7 godzin (w zależności od tego, czy korzysta się z funkcji ANC, czy jest ona wyłączona).

Dołączane w zestawie eleganckie i solidne etui, pełniące jednocześnie funkcję ładowarki oraz banku energii z akumulatorem o pojemności 600 mAh, może przedłużyć czas konieczny na szukanie elektrycznego gniazdka nawet o kilkanaście godzin. Etui można szybko naładować za pomocą kabla USB-C, ale szkoda, że w drugiej dekadzie XXI w. producent nie przewidział możliwości ładowania bezprzewodowego.

Wady? Ranking ochrony przed wodą to IPX4 (odporność na pot i zachlapania) – przy tej cenie słuchawek mogłyby być jednak wyższe, aby bez zbędnego stresu można było na przykład



biegać w nich w strugach wiosennego deszczu.

Minusem jest też brak możliwości sparowania słuchawek

z kilkoma urządzeniami naraz, a także stosunkowo duże etui (noszone w kieszeni może już nieco przeszkadzać). Szkoda też, że słuchawki w cenie premium obsługują jedynie podstawowe kodeki, takie jak SBC, AAC i aptX, pomijając cenione przez audiofilów kodeki wysokiej rozdzielczości.

Dla wielu wadą będzie również wysoka cena testowanego modelu. Za Momentum True Wireless 2 trzeba obecnie zapłacić 1039 zł. Jeśli kogoś na to stać, to jestem przekonany, że z zakupu Sennheiser Momentum True Wireless 2 będzie zadowolony. ☺☺ **Jacek Przybylski**

WIRTUALNE UŚMIECHY

Firma HTC zaprezentowała opcjonalny moduł Vive Facial Tracker do gogli wirtualnej rzeczywistości, który umożliwia rejestrację mimiki twarzy. Według producenta gadżet dzięki dwóm kamerom i podczewerni potrafi zauważyć aż 38 ruchów ust, szczęki, języka, policzków i brody z opóź-



nieniem wynoszącym zaledwie 10 ms. Akcesorium zasilane jest energią poprzez port USB-C. Gadżet będzie od kwietnia dostępny w sprzedaży. Cena: 629 zł.

LAPTOP NA CIĘŻKIE CZASY

Panasonic wprowadził do oferty drugą generację modelu Toughbook 33. Ekran o przekątnej 12 cali oraz bardzo wysokiej jasności (1200 nitów) jest odczepiany i może być używany oddzielnie jako tablet. Producent

w laptopie zainstalował dwa bliźniacze akumulatory, które można w dowolnej chwili wymienić. Dzięki temu Toughbook 33 II na jednym ładowaniu może pracować ok. 20 godzin. Nowoczesny procesor Intel Comet Lake i7 (lub i5) wspierany jest przez 32 GB pamięci RAM oraz dysk SSD o pojemności 1 TB. Toughbook 33 II jest odporny na kurz, wodę (IP 65) oraz upadek z wysokości do 150 cm. Panasonic nie ujawnił jeszcze ceny urządzenia. ☺☺

Jacek Przybylski



MECENAS SPORTU



Rozmowa z Bartoszem Zmarzlikiem,
żuźlowcem, dwukrotnym indywidualnym
mistrzem świata, zawodnikiem ORLEN Team





„DO RZECZY”: Trzeba się urodzić z metanolem zamiast krwi w żyłach, żeby w wieku 15 lat usłyszeć od Tomasza Golloba, wtedy świeżo upieczonego mistrza świata: „Młody, zrobisz to samo, tylko skróć ci czas o ok. 10 lat”?

BARTOSZ ZMARZLIK: Na pewno trzeba mieć dużą pasję praktycznie od dziecka. We mnie i w moim bracie od najmłodszych lat zaszczepiali nam ją nasz tato i dziadek. W naszym domu motoryzacja to był styl życia. Większość młodych chłopaków w czasie wolnym gra w piłkę, a nam każdą wolną chwilę wypełniały motocykle i gokarty. Na początku dla mnie i brata była to zabawa oraz najbardziej naturalny i ulubiony sposób spędzania czasu.

Kiedy pierwszy raz siedział pan na motocyklu? Mógł już pan na niego wsiąść czy ktoś musiał na niego pana posadzić?

dziło startów i obowiązków. Za miesiąc skończę 26 lat, strasznie szybko ten czas leci, wciąż mam bardzo dużo pracy, treningów i obowiązków, które mocno ten czas pochłaniają.

Lubił pan podpatrywać tatę przy majsterkowaniu w garażu? Musiał się pan wiele nauczyć od człowieka, który potrafi stworzyć i ramę motocykla, i zbudować silnik.

Jeszcze jak! Takie zdjęcia też są w naszych albumach: tata składający motocykle, a ja, mały chłopiec, razem z nim. Kiedy już skończyliśmy babranie się w smarach i dokręcanie śrubek, zdarzało mi się wynosić po cichu różne części, elementy ram, i zabierać je do domu, żeby mieć je zawsze przy sobie. Dzisiaj moi mechanicy przygotowują motocykle w pomieszczeniu, w którym kiedyś stało moje łóżko i do którego znosiłem te

I nie było takiego momentu, na przykład po wypadku pańskiego brata, gdy rodzice z troski chcieli zamknąć wasze „zabawki” pod kluczem? W końcu ściganie się na motocyklach, które nawet nie posiadają hamulców, nie należy do najbezpieczniejszych pasji.

Czas po wypadku brata był trudnym okresem, strach był ogromny, ale przepracowaliśmy to i razem z bratem przekonaliśmy rodziców, abym mógł dalej jeździć. Bez wątpienia jest to sport obarczony pewnym ryzykiem. Ale czy w całym naszym życiu nie jest podobnie? Kiedy ktoś mnie pyta o strach przed wyścigiem, to ja pytam go, czy nie boi się przechodzić przez ulicę. Jazda na torze jest dla mnie już czymś tak naturalnym jak wszystkie inne czynności w moim życiu. Wiadomo, że trzeba to robić z głową, a w każdy sport wkalkulowane jest jakieś ryzyko.

Sukcesy przyszły szybko. W 2014 r. wygrał pan pierwsze zawody Grand Prix. Krótka po tym mówił pan w wywiadzie dla lokalnych mediów, że startuje w tych zawodach okazjonalnie, bo nie stać pana finansowo na regularny w nich udział. Czy trzeba mieć głębokie kieszenie lub bogatych sponsorów już na wczesnym etapie kariery, by zacząć jeździć na poważnie?

Miałem wtedy 19 lat i wystartowałem w Gorzowie Wielkopolskim z dziką kartą (organizator zawodów może wystawić swojego zawodnika, który nie bierze udziału w całym cyklu). Pierwszą taką okazję dostałem już wcześniej, jako 16-latek, kiedy wywalczyłem swoje pierwsze podium w mistrzostwach świata. Stałem uczestnikiem zawodów Grand Prix – po kilku latach, regularnie jeżdżę w GP od 2016 r. Faktycznie jest tak, że im wyższy poziom, tym większe inwestycje i w siebie, i w sprzęt. Poprzeczka idzie do góry i aby rywalizować na takim poziomie, z najlepszymi zawodnikami na świecie, potrzebny jest solidny budżet.

Zawsze przed sezonem trzeba wszystko dobrze zaplanować, określić budżet, w którym trzeba uwzględnić, na co zawodnika stać, a na co nie, ile silników może mieć, ile pieniędzy trzeba przeznaczyć na logistykę i inne organizacyjno-techniczne sprawy, których jest wokół wyścigów mnóstwo. Zawodnicy szukają wsparcia, żeby móc rywalizować, inwestować w siebie i reprezentować swój kraj na arenach międzynarodowych na najwyższym poziomie.

Do absolutnej światowej czołówki wkroczył pan w roku 2016 r., zdobywając wtedy brązowy

Wciąż jestem głodny sukcesów

Tato mówi, że pierwszą, przerobioną na moje potrzeby motorynkę miałem już w wieku trzech-czterech lat. Rodzice śmieją się, że jeszcze nie umiałem dobrze mówić, a już jeździłem. Kiedy zaglądam do rodzinnych albumów ze zdjęciami, widzę, że nie ma w tych słowach dużej przesady.

W 2002 r., kiedy miałem siedem lat, rodzice zapisali mnie do szkoły minizuzłowej w Wawrowie i tak się zaczęła moja przygoda z żuźlem. Od siódmego do 13. roku życia jeździłem w minizuzłach w klasie 85, potem – za pozwoleniem Stanisława Chomskiego, mojego pierwszego trenera – zacząłem treningi na dużym torze w Stali Gorzów. W wieku 15 lat uzyskałem licencję żużlową i jako junior mogłem już startować we wszystkich rozgrywkach młodzieżowych od 15 lat. Po ukończeniu 16. roku życia pierwszy raz wystartowałem jako młodzieżowiec Stali Gorzów w meczu ligowym, a potem z roku na rok docho-

wszystkie części, by mieć je blisko. Teraz w moim dawnym pokoju jest profesjonalny warsztat, w którym bywam tak często, jak tylko mogę, bo lubię wszystkiego dopilnować osobiście, a nawet sam coś zrobić.

A mój obecny dom stoi w miejscu, w którym przed laty tata wybudował mi i bratu tor do minizuzła. Niemalże od początku naszej przygody z motocyklami jeździliśmy tam praktycznie codziennie. To był nasz plac zabaw. Ze szkoły wracało się biegiem, w pośpiechu jadło obiad i do nocy trzaśkało okrażenia na torze zrobionym przez tatę.

Rodzina wspierała pana od samego początku, a dziś jest ważnym ogniwem pańskiego teamu.

Zawsze podkreślam, że i w karierze, i w życiu rodzina jest fundamentem, w którym znajduję największe oparcie. Mama dba o finanse, tata jest naszą złotą rączką, a brat Paweł jest moim menedżerem.



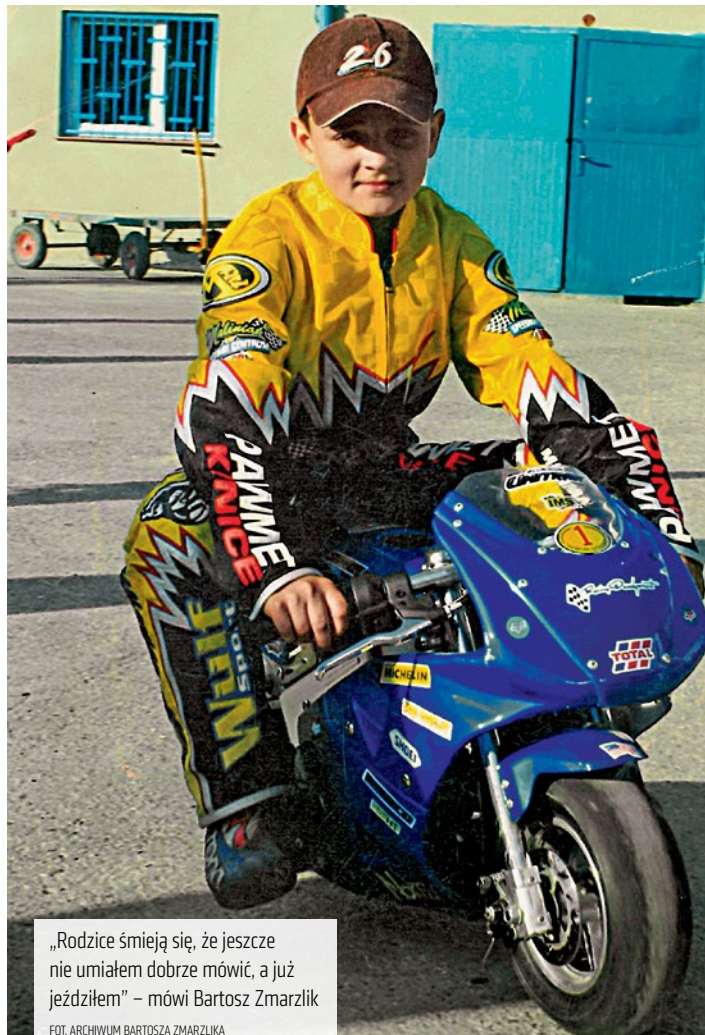
medal w sezonie indywidualnych mistrzostw świata. Był pan w wieku juniorskim, a ścigał się z najlepszymi seniorami na świecie. Potrzebne były do tego nie tylko umiejętności i sponsorzy, lecz także zimna głowa. Jak pan sobie radził z emocjami?

To był mój pierwszy sezon w cyklu Grand Prix. Startowałem w różnych ligach jeszcze jako junior, a tu biłem się o pierwszy medal w mistrzostwach świata. Było to dla mnie ogromne przeżycie. Emocje były tak wielkie, że na wyjeździe do Australii na ostatnią rundę w sezonie poszedłem pobiegać i biegać, płakałem. Emocje były ogromne, presja była ogromna, ale ten medal to jedno z piękniejszych wydarzeń w mojej karierze, którego nie zapomnę do końca życia.

Czy w żuźlu jest tak jak w Formule 1, że co sezon coś się zmienia w pojazdach, czymś nowym zaskakuje się rywali? Co pana zespół przygotował w tym roku?

Jestem w stu procentach gotowy do sezonu. Oczywiście dokonaliśmy także pewnych zmian w motocyklach, bo nowości wprowadzane są praktycznie każdego roku. Jak sobie przypomnę motocykle, którymi jeździłem 10 lat temu, i porównam je z tymi, na których ścigam się teraz... To są zupełnie inne maszyny. Oczywiście dla ludzi, którzy nie przebywają z tym na co dzień, to jest na pierwszy rzut oka to samo, ale to na pewno nie jest to samo. Zresztą także producenci części ciągle coś udoskonalają. Jestem już po pierwszych treningach, które są „rozjeżdżaniem ram”, służą temu, żeby wszystko dobrze się ułożyło, łańcuchy dobrze porozciągały, żeby wszystko było dobrze spasowane. Po tych treningach ruszamy z testami nowych rozwiązań i myślę, że wdrożymy jakieś nowości. Zresztą zmian dokonuje się na bieżąco w trakcie sezonu, bo trzeba uwzględniać wiele zmiennych, np. pogodę, i odpowiednio dopasowywać ramy, silniki, sprężęła czy koła.

Dla laika każdy motocykl wygląda podobnie. Zdaje sobie sprawę z pewnych podstawowych różnic, ale jest to wiedza raczej powierzchowna. Czym wyróżnia się motocykl żużlowy? Mówiliśmy, że nie



„Rodzice śmieją się, że jeszcze nie umiałem dobrze mówić, a już jeździłem” – mówi Bartosz Zmarzlik

FOT. ARCHIWUM BARTOSZA ZMARZLIKA

ma hamulców. Dlaczego jest ich pozbawiony? Jakże jeszcze są różnice?

Faktycznie motocykl żużlowy nie ma hamulców, które moim zdaniem stwarzałyby większe niebezpieczeństwo. Nie ma również skrzyni biegów i jeździ na całkowicie innym paliwie niż normalny motocykl. Do motocykla żużlowego tankujemy metanol. Motocykl ten nie ma też świateł drogowych i w sumie jego konstrukcja jest bardzo prosta, co mocno odróżnia go od typowych motocykli, jakie widzimy na co dzień na drogach.

Zacytujmy raz jeszcze Tomasza Golloba. Chwaląc pana przed laty, mówił, że jest pan strasznie szybki, zwłaszcza na swoim torze, a cały klub Stali Gorzów jeździ u siebie znakomicie. Tylko że w tym roku nie możecie na nim trenować, bo tor stracił licencję i musi ją odzyskać. Brak domowego toru na kilkanaście dni przed startem ekstrakligi to poważny problem dla pana i pozostałych zawodników Stali?

Niestety, na dzień dzisiejszy tor nie jest jeszcze dostępny [rozmowa odbyła się na początku ubiegłego tygodnia – przyp. red.], w czym nie pomagała też pogoda. Może w tym tygodniu coś się

zmieni i będziemy mogli wyjechać na tor w Gorzowie Wielkopolskim. To na pewno nie jest dla zawodników wymarzona sytuacja, ale taki mamy klimat [śmiech] i trzeba się z tym pogodzić. Czas leci szybko, inauguracja ekstrakligi już w pierwszy weekend kwietnia, więc trzeba zacząć jeździć, trenować, trzeba robić wszystko, żeby być gotowym w stu procentach.

Część klubów apelowała, by ze względu na pandemię COVID-19 przełożyć inaugurację sezonu PGE Ekstraligi, ale Główna Komisja Sportu Żużlowego zdecydowała, że liga wystartuje zgodnie z planem. Oczywiście, jeśli nie będzie dodatkowych ograniczeń w związku z pandemią. Czy to dobra decyzja?

Nie mniej to oceniać. Myślę, że ręka cały czas będzie trzymana na pulsie i rzeczywistość ekstrakligi będzie dostosowywana do sytuacji. Niczego nie można być dziś pewnym. Jak każdy

inny zawodnik muszę się dostosować do sytuacji i postanowień osób, które decydują o tym sporcie w Polsce. Moim zadaniem jest zdobywanie punktów i dawanie ludziom radości. Na pewno wolałbym startować przy pełnych trybunach, aczkolwiek jest, jak jest, ale miejmy nadzieję, że kibice będą mogli wkrótce wrócić na trybuny.

Czuje pan obecność kibiców, kiedy zakłada na głowę kask, odkręca manetkę gazu i przestaje słyszeć wszystko poza rykiem silników?

Na pewno jest zupełnie inna atmosfera przed meczami i po nich. Kiedy przed startem widziałem pełny stadion i słyszałem okrzyki, łatwiej wchodziło mi się w rytm wyścigu. To było jak zastrzyk adrenaliny, pojawiał się dobry, motywujący mnie stres. Teraz jest inaczej, ciszej, dziwnie.

W jakim stopniu poprzedni sezon został prze-modelowany przez COVID-19?

W ogromnym, pod każdym względem. Było mniej jazdy, mniej testów, mniej wielu innych elementów pojawiających



się w każdym sezonie, które pomagają wpaść w odpowiedni rytm. Początek ubiegłego roku miałem inny, niż bym sobie tego życzył, dopiero od połowy roku zaczęło mi iść po mojej myśli i sezon udało się zamknąć tak, jak marzyłem. Każdy rok przynosi jakieś nowe sytuacje, które bywają ułatwieniem lub utrudnieniem, i trzeba być elastycznym, bo nie wiemy, jak będzie za miesiąc.

Tym bardziej że startuje pan i w polskiej ekstraklidze w Stali Gorzów Wielkopolski, i w lidze szwedzkiej, reprezentując tam barwy Elit Vetlanda. Jak godzi pan udział w dwóch profesjonalnych ligach?

Jest dosyć intensywnie. Mój tydzień w sezonie wygląda tak: w niedzielę jedziemy ekstrakligę w Polsce, w poniedziałek pakujemy się na prom, we wtorek jedziemy ligę szwedzką gdzieś tysiąc kilometrów od domu, w środę powrót, w czwartek już jesteśmy na obowiązkowym treningu przed kolejnym niedzielnym wyścigiem w ekstraklidze, w piątek zazwyczaj były czasówki na mistrzostwach świata, w sobotę się jechało mistrzostwa świata, a w niedzielę znowu polską ligę. No ale jesteśmy przygotowani na intensywną pracę.

Trudniej się panu rywalizuje i wygrywa w Polsce czy w Szwecji?

PGE Ekstraliga to najsilniejsza liga na świecie, startują tu najbardziej kasowi zawodnicy. Poziom sportowy w Polsce jest na pewno najwyższy pod względem rozgrywanych zawodów, aczkolwiek w Szwecji też bywają trudne mecze. Żuźlowcy szukają okazji do startów i z najlepszymi zawodnikami spotykam się i w mistrzostwach świata, i Polsce, i w Szwecji.

„Ja już nic nie muszę, ja tylko mogę” – powiedział pan pod koniec ubiegłego sezonu. Jakie cele stawia przed sobą zawodnik, który ma niespełna 26 lat, co w żuźlu jest jeszcze młodym wiekiem, a już osiągnął w tym sporcie praktycznie wszystko?

O celach i marzeniach przed sezonem nigdy nie mówię, zawsze po sezonie zdradzam, jaki założyłem plan i czy mi się udało go w pełni zrealizować, czy też nie. Dopóki będę jeździł, dopóty będę stawiał przed sobą nowe cele, do których będę dążył. Najważniejsze jest dla mnie, by w każdych zawodach prezentować się bardzo dobrze i zdrowo, szybko, a także bezpiecznie dojeżdżać do mety.

I żeby dawać dużo radości kibicom, bo to wszystko przede wszystkim dla nich.

Jestem w pełni skupiony na tym, co tu i teraz, i dopóki będę czuł wielki głód ścigania się, dopóty będę wyjeżdżał na tor.

Posadzi pan na motocyklu Antka?

Przed wszystkim chciałbym być dla

syna, który jest z nami dopiero od kilku dni, dobrym ojcem – takim, jakiego mam ja sam. Chciałbym przekazać synowi to, co dostałem od rodziców. To on, kiedy dorośnie, podejmie decyzję, co chce w życiu robić, a ja na pewno pomogę mu, jak tylko będę mógł. Chciałbym, żeby był tak szczęśliwy jak ja. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bartosz Zmarzlik

Urodzony 12 kwietnia 1995 r. Pochodzi z Kinic, choć urodził się w Szczecinie. „F16”, jak o nim mówią kibice, początkowo jeździł na minitorze w Wawrowie. Licencję zdał jako 15-latek, w lidze zadebiutował wiosną 2011 r. Dotychczas wystąpił w 140 meczach i zdobył 1357 punktów. Od początku kariery uznany za wielki talent sportowy. Jego dotychczasowe sukcesy wskazują, że już zapisał się w historii polskiego i światowego speedwaya. Od 2020 r. Bartosz Zmarzlik jest zawodnikiem ORLEN Team. W 2020 r. zdobył drugi złoty medal mistrzostw świata, będąc jednym z 10 zawodników w historii i jedynym Polakiem, którzy tego dokonali.

źródło: zmarzlik.com

OSIĄGNIĘCIA:

INDYWIDUALNE MISTRZOSTWA ŚWIATA (SGP)

złoto: 2020, 2019
srebro: 2018
brąz: 2016

DRUŻYNOWE MISTRZOSTWA ŚWIATA (DPŚ)

złoto: 2017, 2016
brąz: 2015

INDYWIDUALNE MISTRZOSTWA ŚWIATA JUNIORÓW

złoto: 2015

DRUŻYNOWE MISTRZOSTWA ŚWIATA JUNIORÓW

złoto: 2016, 2015, 2014, 2012
srebro: 2013

INDYWIDUALNE MISTRZOSTWA EUROPY JUNIORÓW

złoto: 2012

DRUŻYNOWE MISTRZOSTWA EUROPY JUNIORÓW

złoto: 2014, 2013

INDYWIDUALNE MISTRZOSTWA POLSKI

srebro: 2020, 2019, 2015

DRUŻYNOWE MISTRZOSTWA POLSKI

złoto: 2016, 2014
srebro: 2020, 2018, 2012
brąz: 2017, 2011

MISTRZOSTWA POLSKI PAR KLUBOWYCH

złoto: 2017, 2014
srebro: 2015, 2013

MŁODZIEŻOWE INDYWIDUALNE MISTRZOSTWA POLSKI

złoto: 2015
srebro: 2011
brąz: 2014, 2013

MŁODZIEŻOWE DRUŻYNOWE MISTRZOSTWA POLSKI

złoto: 2013, 2010
srebro: 2014

MŁODZIEŻOWE MISTRZOSTWA POLSKI PAR KLUBOWYCH

złoto: 2015

INDYWIDUALNE MIĘDZYNARODOWE MISTRZOSTWA EKSTRALIGI

złoto: 2020, 2019
brąz: 2017

ZŁOTY KASK

złoto: 2020
srebro: 2018, 2016

SREBRNY KASK

srebro: 2012
brąz: 2013

BRĄZOWY KASK

srebro: 2013

źródło: zmarzlik.com



Paliwowy potentat jest nie tylko istotnym graczem na globalnym rynku paliw oraz największą firmą z naszego regionu, która wymieniana jest we wszystkich kluczowych zestawieniach „Fortune”, Forbesa czy Reutersa. PKN Orlen to także hojny mecenas zarówno profesjonalnych sportowców, jak i amatorów

Sponsoring sportowy to od ponad 15 lat jedna z najszybciej rozwijających się form promocji i budowania pozytywnego wizerunku firmy. Na popularność tego typu działań marketingowych ogromny wpływ ma m.in. dynamiczny rozwój mediów społecznościowych oraz portali internetowych.

Według danych Pentagon Research rok 2019 był rekordowy dla sponsoringu sportowego w Polsce. Z raportu „Rynek Sponsoringu Sportowego 2019” opublikowanego przez Sponsoring Insight wśród 10 czołowych branż pod względem wydatków na zakup praw sponsoringowych w Polsce znalazły się branże: energetyczna, paliwowa, finansowa, zakłady wzajemne/gry losowe, chemiczna oraz produktów szybko zbywalnych (FMCG). W TOP10 znaleźli się również producenci odzieży i sprzętu sportowego, firmy z branży budowlanej, górniczej oraz IT.

Wielu ekspertów pod koniec grudnia 2019 r. spodziewało się, że m.in. dzięki mistrzostwom Europy w piłce nożnej rok 2020 pobije ten rekord. W pandemii rynek sponsoringu sportowego musiał jednak stawić czoła nowym wyzwaniom.

SPORT ORLENEM STOI

Do najhojniejszych mecenasów polskiego sportu od lat należy PKN Orlen, którego logotyp pojawia się na bolidach, kaskach i odzieży wielu czołowych zawodników reprezentujących szeroki wachlarz najpopularniejszych w Polsce dyscyplin.

Ze względu na charakter prowadzonego przez spółkę biznesu koncern najbardziej kojarzony jest ze sportami motorowymi, w tym z Robertem Kubicą i głośnym debiutem polskiej marki w Formule 1. Kubica reprezentuje obecnie m.in. Alfa Romeo Racing ORLEN, a także rywalizuje w niemieckiej serii DTM w barwach ORLEN Team ART. W stycz-



niu 2021 r. Robert Kubica szykował się także do gościnnego występu w jednym z najbardziej prestiżowych wyścigów na świecie – Rolex 24 w Daytonie. I chociaż awaria skrzyni biegów uniemożliwiła Polakowi start w długodystansowym wyścigu, to Kubica cieszy się opinią jednego z najszybszych kierowców w duńskim zespole High Class Racing.

Polski koncern od wielu lat wspiera też zawodników startujących w jednym z najtrudniejszych rajdów świata: Rajdzie Dakar. W skład profesjonalnego zespołu rajdowego ORLEN Team – funkcjonującego w różnym składzie od 1999 r. – wchodzi najlepsi zawodnicy cross-country w Polsce. Obecnie są to m.in. Jakub Przygoński (znany na całym świecie kierowca rajdowy/drifter) oraz motocykliści Maciej Gienza oraz Adam Tomiczek. Orlen Team w 2020 r. wzmocnił także Bartłomiej Marszałek, pierwszy w historii Polak startujący w wodnej Formule 1, czyli najbardziej pre-

stiżowej i widowiskowej klasie wyścigów motorowodnych na świecie. Rywalizację 18 zawodników, których bolidy pędzą z prędkością 250 km/h, ogląda miliard widzów w ponad 80 krajach świata. PKN ORLEN wspierał go w walce o mistrzowski tytuł w sezonie 2020 i będzie go wspomagał również w roku 2021.

Od 2020 r. reprezentantem ORLEN Team jest również Bartosz Zmarzlik, mistrz świata oraz żuźlowiec Stali Gorzów. Podpisanie umowy z nowym zawodnikiem wzmocniło polskiego zawodnika, a PKN Orlen dał możliwość obecności marki na torach całej Europy, na których rozgrywany jest żuźlowy Grand Prix. Bartosz Zmarzlik wykorzystał okazję i w Grand Prix 2020 obronił tytuł mistrza świata w jeździe na żuźlu, przechodząc do historii sportu jako pierwszy Polak, któremu udało się dokonać tego wyczynu.

Koncern wspiera również najbardziej obiecujących zawodników startujących



sport



w Rajdowych Samochodowych Mistrzostwach Polski. Zawodnicy występujący w ramach ORLEN Team reprezentują również karting, Formułę 1, rajdy samochodowe, WRC oraz motoparalotniarstwo. W drużynie ORLEN Team są już nie tylko Polacy, lecz także sportowcy z Czech oraz Niemiec.

PKN Orlen angażuje się również we wspieranie akrobacji lotniczych. W biało-czerwonych barwach koncernu – i na paliwach dostarczanych przez koncern – latają piloci ORLEN Grupy Akrobacyjnej „Żelazny”. Legendarna polska grupa znana jest nie tylko w Europie, lecz także na całym świecie. Jej specjalnością są zaś akrobacje na różnych typach maszyn w formacjach od dwóch do sześciu samolotów. Świetnie wyszkoleni piloci wykonują na niebie ewolucje, podczas których maszyny dzieli często dystans nie większy niż kilka metrów. Jak informuje PKN Orlen na swojej stronie

internetowej, największa polska firma od lat wspomaga również wielu przedstawicieli innych dyscyplin sportu. Koncern naftowy wspiera m.in. czołowych polskich lekkoatletów, wśród których są tak wybitni multimedaliści mistrzostw świata i igrzysk olimpijskich jak Anita Włodarczyk (rzut młotem), Piotr Małachowski (rzut dyskiem) czy Piotr Lisek, pierwszy Polak, który przeskoczył wysokość sześciu metrów w skoku o tyczce.

Orlen jest również generalnym sponsorem Polskiego Związku Lekkiej Atletyki i wspiera wiele różnych wydarzeń lekkoatletycznych. Jednym z nich jest warszawski maraton, będący Narodowym Świętem Biegania, w którym biorą udział nie tylko profesjonalni biegacze, lecz także amatorzy wraz z całymi rodzinami.

Na sponsoring mogą liczyć także siatkarze (m.in. reprezentacje Polski w siatkówce halowej i plażowej we wszystkich kategoriach wiekowych, a także ekstraklasa siatkarskie, w tym kobiece ORLEN Liga).

W styczniu 2021 r. Polski Koncern Naftowy Orlen podczas gali wieńczącej 86. Plebiscyt „Przeglądu Sportowego” i Polsatu został uhonorowany w kategorii Mecenasa Polskiego Sportu w Trudnych Czasach. – Sport jest najlepszym nośnikiem marketingu, a sportowcy są najlepszymi ambasadorami Polski na świecie – podkreślał członek zarządu PKN Orlen Adam Burak, odbierając podczas Gali Mistrzów Sportu okolicznościową statuetkę z rąk prezesa Polskiego Związku Lekkiej Atletyki Henryka Olszewskiego.

IGRZYSKA NAJWAŻNIEJSZE

Rok 2021, podczas którego odbędą się m.in. przełożone z powodu pandemii XXXII Letnie Igrzyska Olimpijskie Tokio 2020, będzie obfitował w okazje do zwiększenia wydatków na sponsoring sportowy oraz promocję swych marek wśród giełdowych gigantów.

Koncern naftowy od wielu lat wspiera Polski Komitet Olimpijski i na pewno igrzyska będą stanowiły bardzo istotny punkt w komunikacji marketingowej Orle- nu. Sponsoringiem objęci zostali zarówno poszczególni zawodnicy, jak i cała polska reprezentacja, która w lipcu wyleci do Tokio. O medale walczyć będą m.in. zawodnicy KROSS ORLEN Cycling Team. W barwach drugiej drużyny światowego rankingu MTB 2020 startują m.in. dwukrotna srebrna medalistka igrzysk olimpijskich w Pekinie i Rio de Janeiro

Maja Włoszczowska oraz złoty medalista mistrzostw Europy w Maratonie w Singen Bartłomiej Wawak.

PKN Orlen jest sponsorem strategicznym Polskiego Komitetu Olimpijskiego, Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej, Polskiego Ruchu Olimpijskiego, a także Polskiego Komitetu Paraolimpijskiego. I chociaż olimpiada będzie najważniejszym wydarzeniem sportowym 2021 r., to kibice i sponsorzy z pewnością pilnie obserwować będą również m.in. eliminacje do mistrzostw świata w piłce nożnej. W akademiach piłkarskich wspieranych przez PKN Orlen w całej Polsce trenuje ponad 7 tys. młodych zawodników.

POMOC JAKO INWESTYCJA

Biznes nie bez powodu stawia na sport. Sponsoring sportowy to element budowania globalnej rozpoznawalności marki, który daje firmom bardzo konkretne wyniki, co pozwala przekuć wydatki na korzyści dla firm: od zwiększenia świadomości i rozpoznawalności marki poprzez kreowanie pożądanego wizerunku marki aż do wsparcia sprzedaży konkretnego produktu.

Na przykład według badań instytutu ARC Rynek i Opinia co szósty kierowca przyznaje, że sponsorowanie Roberta Kubicy przez Orlen wpłynęło na częstsze korzystanie ze stacji marki Orlen. Wartość ekspozycji w mediach marek mecenasów sportu jest często liczona w dziesiątkach lub setkach milionów złotych i kilkukrotnie wyższa niż wartość umów, w ramach których wspierani są poszczególni sportowcy, drużyny czy całe dyscypliny sportu. W wielu kontraktach wypłata pełnych kwot wsparcia obwarowana jest wynikami, a więc spełnieniem różnego rodzaju wskaźników wpływających na promocję marki.

W okresie pandemii – podczas którego według badań ARC Rynek i Opinia – odsetek osób zainteresowanych sportem rośnie (w 2020 r. wzrósł o osiem punktów procentowych), zmniejsza się za to grupa Polaków, którzy w ogóle nie interesują się sportem. Sponsoring sportu jest więc dużo bardziej zauważalny niż np. sponsoring kultury.

Wiele wskazuje więc na to, że sponsoring sportowy będzie nadal stanowił istotną część budżetów reklamowych wielu największych w Polsce firm, w tym wielu spółek notowanych na rynku głównym Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Obrona w Witoszyńcach

Witoszyńce, obecnie spokojna osada prawie na krańcu świata, położona ok. 10 km na południowy zachód od Przemyśla, stały się w 1639 r. widownią dramatycznych wydarzeń, które jak żadne także dziś dają pole do działania wyobraźni. Wieś owa, o której



jedną z pierwszych wzmianek mamy już w 1418 r., była bowiem zaściankiem szlacheckim, w którym zamieszkiwał biedny, ciemny i niewiele różniący się od chłopów ród

Witoszyńskich, gospodarujący na małych zagonach. Była to królewszczyzna należąca do starostwa mościskiego, którego dzierżawcą był Jan Sędziwój Czarnkowski, wówczas już schorowany mąż pochodzącej z Wołochów Anny Mohylanki, córki hospodara mołdawskiego Jeremiego Mohyły. I właśnie żona w niepoohamowanej ambicji postanowiła uczynić z nich chłopów, wykorzystując swego administratora, niejakiego Kamockiego, który wytoczył im proces o naganę szlachectwa.

Szanse Witoszyńskich były zgoła niewielkie, gdyż nie umieli pisać i czytać. Jak podaje Włady-

sław Łoziński: „De facto już niczym nie różnili się od chłopów, a jeśli de iure byli istotnie szlachtą, to przybici nędzą i ciemnotą, nie mając nic, co by za nimi przemawiało”. Złowroga Mohylanka chciała zatem uciec się do pomocy prawnej, jednak niespodziewanie wydarzyła się historia jak z easternu. Nagle bowiem w Witoszyńcach pojawił się Harasym Krykina Witoszyński, mianowany tam popem, członek rodu niewidziany od dawna. Tak naprawdę nie bardzo nawet wiadano, kim on jest naprawdę – księdzem, czerncem, pielgrzymem czy może pątnikiem. Co najważniejsze jednak – był jedynym, który umiał czytać. Harasym został zatem głównym przywódcą Witoszyńskich w sporze z Kamockim i jego panią, niespodziewanie znalazł dokument potwierdzający szlachectwo krewniaków, wydany przez ruskiego kniazia Lwa, potwierdzony w 1448 r. przez króla Kazimierza Jagiellończyka i... przez króla Władysława IV na sejmie. To ostatnie wydaje się wręcz niemożliwe, jednak dokument został wpisany do akt grodzkich przemyskich, musiał więc być autentyczny.

Nie powstrzymało to złowrogiej Mohylanki i jej sług – czego nie mogła dostać prawem, wzięła lewem. Kamocki zmobilizował wkrótce licznych hajduków i Kozaków, po czym zjechał Witoszyńce, gdzie czekało go gorące powitanie. Witoszyńscy bowiem poprzysięgli bronić się do samego końca pod wodzą Harasyma i w tym celu ufortyfikowali cerkiew oraz kilka chałup we wsi. Atakujący ponieśli spore straty, musieli zdobywać po kolei umocnione punkty oporu – na koniec uderzyli na świątynię wzmocnioną parkanami lub murami. Kamocki zdobył cerkiew i pojął żywca Harasyma, natychmiast kazał zakuć go w kajdany i odesłać na zamek w Mościskach, gdzie niepokorny duchowny

powędrował wprost do loszku. Niestety, okazało się, że życie to nie bajka (zwłaszcza w XVII w.) i koniec tej historii był smutny. Wprawdzie grekokatolicki biskup przemyski Atanazy Krupecki zaraz opomniał się o swojego duchownego, nie wiadomo jednak, co tak naprawdę stało się z niepokornym ojcem Harasymem. Wygląda na to, że zakończył życie w lochu, a bez jego pomocy Witoszyńscy nie mieli sił do dalszej walki i poszli w chłopy. Władysław Łoziński podaje w „Prawem i lewem”, że w późniejszych spisach szlachty przeprowadzonych przez Austriaków po I rozbiorze Rzeczypospolitej nazwisko ich nie występuje. Nie figurują również w „Liber Chamorum” Waleriana Nekandy-Trepki, co pozwala sądzić, że albo ich sprawa nie odbiła się szerokim echem, albo też autor nie uważał ich za plebejów.

Krwawa rozprawa i schłopienie Witoszyńskich doczekały się dwóch inspiracji literackich. W „Crimenie: opowieści jarmarcznej” głównym winowajcą schłopienia szaraczków uczynił Józef Hen złego ojca głównego bohatera powieści – pana Błudnickiego. Z kolei sam osobiście wykorzystałem dzieje desperackiego oporu zaścianka w powieści „Diabeł Łańcucki”, historia bowiem pojawiającego się znikąd o. Harasyma Krykina ujęła mnie tajemniczością. Tak naprawdę bowiem wcale nie tak łatwo było w XVII w. pozbawić kogoś szlachectwa, jeśli tylko pozwany i obwiniony miał przyjaciół oraz sąsiadów, gotowych poprzeć go w sądach, sejmikach i awanturach. Przekonał się o tym choćby Jan Pieniążek, cześnik lwowski, który wytaczając naganę szlachectwa przeciwko Teodorowi Winnickiemu, zapłacił za to gardłem rozsiekany przez Winnickich i ich przyjaciół w Krukienicach ok. 1635 r. ©©



ORZEŹWIAJĄCA TARTA

ELI HUREK

W kalendarzu już wiosna, za oknem też coraz ciepiej. Miłośnikom słodkości chciałam zaproponować zatem coś słodkiego, a jednocześnie orzeźwiającego – tartę na chrupiącym kokosowym spodzie, z delikatnie kwaśnym curdem z marakui i puszystą słodką bezą.

CIASTO

Składniki:

- 1,25 szklanki mąki pszennej
- 0,75 szklanki wiórków kokosowych
- 0,5 szklanki cukru pudru
- 150 g masła
- 1 jajko
- szczypta soli

Przygotowanie:

Mąkę, wiórki kokosowe, cukier puder, sól i masło umieścić na stolnicy lub w malakserze. Zagnieść ręcznie lub zmiksować do uzyskania kruszonki. Dodać jajko. Zagnieść lub zmiksować do uzyskania gładkiego ciasta. Owinąć folią spożywczą i wstawić do lodówki na minimum 1 godz.

CURD

Składniki:

- 285 ml soku z marakui
- 100 g cukru
- 190 ml wody
- 3 łyżki mąki ziemniaczanej
- 5 żółtek
- 1 jajko
- 150 g masła

Przygotowanie:

Sok z marakui wraz z cukrem umieścić w rondlu i zagotować. Mąkę ziemniaczaną wymieszać z wodą i dodać do gotującego się soku. Ponownie zagotować. Masa powinna zgęst-

nieć. Do gorącej masy dodać jajko i żółtko. Szybko wymieszać tak, aby masa się nie zważyła. Na koniec dodać masło. Dokładnie wymieszać.

Piekarnik rozgrzać do 175 st. C. Kokosowe ciasto rozwałkować i wyłożyć nim formę do tarty (dno i boki). Spód ciasta ponakłuwać widelcem. Wyłożyć papierem do pieczenia i obciążyć np. grochem lub fasolą.

Piec 15 min z obciążeniem i 10 min bez obciążenia.

Rozpocząć przygotowanie bezy (5 białek, 300 g cukru, 1 łyżeczka mąki ziemniaczanej). Białka umieścić w misie miksera i ubijać do otrzymania prawie sztywnej piany. Następnie rozpocząć dodawanie cukru łyżką po łyżce. Po dodaniu całego cukru ubijać jeszcze ok. 2 min. Następnie wmieszać mąkę ziemniaczaną.

Na podpieczony spód wyłożyć curd z marakui, a następnie przygotowaną bezę, pozostawiając ok. 1 cm wolnej przestrzeni przy brzegach tarty. Piec 35 min – do momentu, kiedy beza będzie z wierzchu chrupiąca, a w środku miękka. Tartę wystudzić i wstawić do lodówki na kilka godzin. ©©

*oprac. raw
Ela Hurek
prowadzi pracow-
nię cukierniczą
oraz vloga, jest
gospodarzem
programu „Ooo
Ciastko. Słod-
ko i z pasją”
w Telewizji
TVS.*



FOT. AGNIESZKA KOŁON/MATPRAŚOWE



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ach, te baby

Zwypieków wielkanocnych największą popularnością cieszą się mazurki. Efektowne, ozdobne mają największy potencjał reklamowy i nawet kompromitująco wysoka kaloryczność nie jest w stanie zaszkodzić ich renomie. Ale ja chciałabym ująć się za innym ciastem, mniej zarozumiałym, takim, które siedzi w kącie cicho i za obrońców może mieć tylko stare książki kucharskie: Monatów, Ćwierciakiewiczową. Ale kto dzisiaj to czyta i kto tego słucha w dobie szybkiej kuchni?

Osobiście jestem zaangażowana w temat bab (od strony konsumenta), gdyż mam w rodzinie osobę, która do ich pieczenia podchodzi z solidnością oraz profesjonalizmem, chociaż z wykształcenia jest prawniczką, a nie cukiernikiem. Ta starsza pani raz w roku zdobywa się na wielki wyczyn pt. „Wielkanoc”. Specjalizacja: baby i pascha. Dzisiaj tylko o tych pierwszych. Kupuje się zatem 200 jaj (w sklepie się dziwią), 5 kg rodzynek, 20 kostek masła, 20 kg cukru. I do akcji. Wystarczy na porcję dla naszej dużej rodziny.

„Pieczenie bab wielkanocnych było wydarzeniem pełnym emocji i można by je nazwać swego rodzaju misterium – piszą w książce »W staropolskiej kuchni« moi ulubieni autorzy: Maria Lemnis i Henryk Vitry. – Kucharka, pani domu i wszystkie

domowe kobiety zamykały się w kuchni na klucz. Mężczyznom wstęp był wzbroniony. Najbielszą mąkę przesiewano przez gęste sito, w donicach ucierano setki żółtek z cukrem, rozpuszczano w wodce szafran, który nie tylko pięknie barwił ciasto, ale także używał mu korzennego aromatu, mielono migdały,

przebijano rodzynek i tłuczono w moździerzach wonną wanilię, robiono z drożdży zaczyn. Nałożone do form babowych ciasto nakrywano

lnianymi obrusami, gdyż zaziębiona baba nie rosła i miała zakalec. Uszczelniano więc w obawie przed przeciągami okna i drzwi kuchni. Odpowiednio wyrośnięte ciasto wsadzano ostrożnie do pieca piekarskiego. Wreszcie, gdy na drewnianej łopacie wyjmowano je z czeluści piekarnika, nierzadko w kuchni rozlegały się dramatyczne okrzyki i płacz: zanedo przyrumieniona lub »usiadła« baba była kompromitacją...»

Dzisiaj wszystko wygląda podobnie. Tyle że zamiast pomocy kuchennych są roboty, okien nie trzeba uszczelniać, ale pracy jest tyle samo. A rezultat: prawdziwa baba muślinowa (24 żółtka, 30 dag cukru i tylko 25 dag mąki) zakasuje swego kolegę na stole, mazurka. Subtelność drożdżowego ciasta, które można jeść dwa tygodnie po świętach, nie może z niczym się równać.

Oby tylko kury się dobrze niosły. ©©



FOT. ANDRZEJ STOLC



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Mądrzy inaczej

Jest takie znane powiedzenie Stanisława Lema o tym, że gdyby nie Internet, nie miałby pojęcia, że na świecie jest tylu idiotów. Nie lubię tej sentencji, bo nie lubię używania ostrych epitetów wobec ludzi, nawet tych nie za bystrych. Cóż, jest w niej jednak oczywiście sporo sensu. Ja bym tę myśl odrobinę zmodyfikował, bo gdyby nie Internet, nigdy nie dowiedzielibyśmy się, jak wielu mądrych ludzi wcale nie jest mądrych.

Piszę to à propos fali ataków na Roberta Lewandowskiego po przyznaniu mu orderu przez prezydenta RP. Nie chodzi mi o to, że celebryci i profesorowie wypisywali agresywne i pogardliwe opinie. Tak myślą, nienawidzą aż ich rozsądza, trudno. Dziwi mnie natomiast, że nie są w stanie przewidzieć konsekwencji swoich ataków na – było nie było – idola Polaków.

Nie mam zielonego pojęcia, jakie są jego poglądy polityczne. Gwiazdor Bayernu Monachium bardzo rozsądnie się z nimi nie afiszuje. Może je ma, a może polityka niespecjalnie go interesuje i trzyma się od niej z daleka. W każdym razie jest politycznie neutralny, wojna polsko-polska do tej pory toczyła się z daleka od niego i specjalnej krzywdy mu nie zrobiła.

I nagle tenże Lewandowski jest mieszanym z błotem przez różnych autoramentu przeciwników obecnej władzy. Co facet musiał sobie pomyśleć? Pewnie coś z grubsza takiego: „Kurczę, w tej opozycji to faktycznie są niezłe świry.

Do tej pory ani mnie grzali, ani ziębili, ale teraz to ich po prostu nie lubię”.

Tyle sam Lewandowski. Który – jak zwykle rozsądnie – nie zabrał w tej sprawie głosu, zgodnie ze starym prawidłem, że psy szczekają, karawana jedzie dalej. Lewandowski ma jednak rzeszę wyznawców. Ci wyznawcy na pewno zostali rozsierdzeni przez agresywne wpisy celebrytek i profesorów. Niejako w ich imieniu głos zabrali dziennikarze sportowi, którzy oczywiście spokojnie nie mogli patrzeć na to, jak się gnoi ich świętość. Oni też niespecjalnie udzielali się politycznie, słusznie trzymając się swego poletka. Teraz jednak musieli sobie pomyśleć z grubsza to samo co Lewandowski. Pewnie to szło jakoś tak: „Ten PiS to jest może i koszmarny, ale ci z opozycji to są dopiero osołomy. Toż to kompletni szaleńcy, zaślepieni nienawiścią”. I oni, w przeciwieństwie do Lewandowskiego, głos zabrali, wałąc w rozmaite opozycyjne autorytety. Nie śledzę tej burzy jakoś szczególnie uważnie, ale już pojawiły głosy, że Magdalena Środzie należałoby zabrać tytuł profesora.

Sęk w tym, że taki rozwój sytuacji przewidywałyby średnio rozgarnięty nastolatek. Atak na idola Polaków? To się po prostu nie opłaca, lepiej nie mieć Lewandowskiego i jego wielbicieli przeciw sobie. Proste rozumowanie.

Żeby jednak dojść do tego wniosku, trzeba być przynajmniej odrobinę bystrym. ©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Zabiję cię z troski o ciebie

Małgośka, mówią mi, naród, który głosuje na komunistów i progresistów, nie zasługuje, aby przetrwać.

Słyszałam to zdanie wiele razy z ust moich hiszpańskich przyjaciół przywiezionych do skrajnej rozpacz kolejnymi posunięciami ich socjalistycznego rządu. – Nie mów tak! – krzyczę wtedy. – Bo ja nie jestem winna, że moi głosują na Biedronia, a Ty nie jesteś winien, że Twoi głosowali na łotrów, którzy nawet w hekatombie pandemii ustanawiają prawo eutanazji „ekspres i z dostawą do domu”!

Pocieszam ich, ale zdarza mi się zwyczajnie się i rozryczeć. Tak jak dziś, gdy przyjaciółka Cristina mówi mi, że musi jutro spisać wolę życia u notariusza, bo dwie starsze siostry już jej zapowiedziały, że powinna poddać się eutanazji, i one jej w tym chętnie pomogą. Powód? „Żal na nią patrzeć z powodu znacznej przepukliny przełyku”. Tylko odpowiedni dokument może pomóc pozostać przy życiu tysiącom hiszpańskich chorych czy starców, których zechcą „sprzątnąć” z tego świata: usłużny syn, siostra albo lekarz rodzinny. Kogo nie zabrała pandemia, tego może zabrać z tego świata „troska” rodziny.

Po przegłosowaniu tego bestialskiego prawa lewica zerwała się do oklasków, a konserwatyści z VOX, którzy nie byli w stanie powstrzymać kolejnego kryminalnego

projektu lewicy, wyciągnęli ekrany laptopów i wbrew apelowi marszałkini pokazali do kamer wszystkim swoim przerażonym rodakom przesłanie nadziei: „Zniesiemy to prawo!”.

Hiszpania jest czwartym krajem Europy, który właśnie zaaprobował eutanazję, a przy tym 31. pod względem medycyny paliatywnej (Polska – ósmym). Lewica uznała, że leczenie ludzi terminalnie chorych jest zbyt drogie, i dlatego przedstawiła rodakom fałszywą alternatywę: cierpienie albo śmierć – opakowując to zwyczajowo w hasła wolności wyboru i praw człowieka. Ale jaką wolność wyboru mają pacjenci pozbawieni leków uśmierzających ból? „Ustanowiliście przemysł śmierci, to dzień hańby w dziejach Hiszpanii” – grzmiała deputowana VOX Lourdes Méndez.

Polacy jeszcze nie rozumieją, że podział na prawicę i lewicę już dawno zniknął na Zachodzie, a dziś w śmiertelnym starciu uczestniczą konserwatyści i patrioci kontra progresiści i globaliści. Nie ma różnicy między Hołownią, Budką czy Czarzastym – wszyscy oni zgłosili już dawno akces do klubu europejskich postępówców. Szymek H. – ps. My Wiemy, Jak To Zrobić – przekonuje teraz, że nie wolno zmuszać kobiet do rodzenia, a za parę lat przekona, że nie wolno nikogo zmuszać do życia. I będzie wiedział, jak to zrobić. ©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Niedawno, że mało kto pamięta



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Historyk czasów współczesnych ma naprawdę niełatwe życie. Często słyszy od polityków: „Zostawmy to historykom”, ale kiedy weźmie się do roboty, słyszy w najlepszym razie, że uległ politycznym uprzedzeniom, w najgorszym zaś razie – obelgi. Problem dotyczy zresztą nie tylko opinii o wydarzeniach, lecz także pamięci o samych wydarzeniach. Najwyraźniej historią współczesną rządzi w naszym życiu publicznym selektywna pamięć. „Wojna polsko-polska” trwa i nie wiadomo, do czego jeszcze doprowadzi. Sam jej opis dzieli większość Polaków na dwa przeciwstawne obozy. Nawet podczas spotkań towarzyskich czy rodzinnych dochodzi nieraz do ostrych kłótni, w których dyskutanci nie biorą pod uwagę całości obrazu, lecz wyrwane z niego emocjonalnie fragmenty, które chcieli zapamiętać.

Tymczasem historyk powinien dysponować pamięcią bardziej całościową, a to może się nie podobać zacietrzewionym rzecznikom tej czy innej opcji politycznej. I tak ktoś pewnie pamięta nadużycia Centralnego Biura Antykorupcyjnego w okresie rządów PiS z lat 2005–2007,

a nie pamięta, że raport posłanki Julii Pitera z PO w sprawie tych nadużyć z października 2008 r. okazał się żałośnie pusty. Jeśli ktoś pamięta, że w tym samym czasie rząd Donalda Tuska odmówił prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu udostępnienia samolotu w drodze na unijny szczyt w Brukseli, w związku z czym musiał się on tam udać wycarterowanym boeingiem 737, to chyba przyzna, że podkopało to wiarygodność Polski na arenie międzynarodowej. Czyż nie?

A jak było z kontraktem gazowym z Rosjanami? Czy pamiętamy, że 6 maja 2010 r. Komisja Europejska zakwestionowała projekt polsko-rosyjskiego kontraktu gazowego do roku 2037 r., akceptowany przez wicepremiera Waldemara Pawlaka, na co premier Tusk zaprotestował przeciw „ograniczaniu suwerenności Polski” przez Komisję? Tylko jednak dzięki naciskowi Komisji horyzont tego kontraktu ograniczono do 2022 r., choć kontrakt podpisany ostatecznie w dniu 29 października 2010 r. opierał się na najwyższych w Europie cenach gazu.

Kto dziś pamięta taki szczegół, że premier Tusk przyjął z premierem Putinem za podstawę śledztwa smoleńskiego konwencję chicagowską o lotach cywilnych, wykluczającą praktycznie stronę polską z tego śledztwa, podczas gdy tragiczny lot z 10 kwietnia 2010 r. był lotem wojskowym, regulowanym polsko-rosyjskim porozumieniem z 7 lipca 1993 r., przewidującym dwustronną współpracę w śledztwie? A przepraszam, że zapytam: Dlaczego w przededniu katastrofy smoleńskiej do Moskwy został skierowany, całkiem przypadkiem, Tomasz Turowski? Czy ktoś jeszcze pamięta, kto to był? W 2010 r. minister Radosław

Sikorski namawiał PiS-owską wówczas opozycję: „Zrozumcie: ta Polska, którą mamy [...], jest najlepszą, jaką kiedykolwiek mieliśmy”. Niestety, to jego kolega z rządu, a nie ktoś z PiS, tę Polskę nazywał „państwem teoretycznym”. Niestety, historia składa się z takich faktów.

Co do mowy nienawiści – jedni w kółko powtarzać będą słowa Jarosława Kaczyńskiego o ludziach „gorszego sortu”, ale inni raczej określenie pewnego celebryty nieprzyjawnego PiS o tym, że na tę partię głosowało „bydło”, lub innego, że „biomasa”. Co do stopnia elegancji obydwu tych epitetów można się spierać do upadłego, bo to kwestia smaku.

Epitety epitetami, ale czy naprawdę nie szkoda ok. 250 mld zł wyprowadzonych z budżetu państwa przez mafie VAT-owskie, kilkudziesięciu tysięcy lokatorów poszkodowanych przez piracką reprivatyzację w Warszawie czy też kilkuset milionów złotych ukradzionych depozytariuszom Amber Gold, które między innymi ulokowano w firmie OLT Express, która miała wykończyć LOT i pomóc go przejąć obcemu przewoźnikowi? I co miał z tym wspólnego syn premiera? Teleturniej z historii najnowszej byłby doprawdy fascynujący. Oto kilka przykładowych pytań: Minister spraw zagranicznych którego państwa był gościem specjalnym na odprawie polskich ambasadorów w MSZ? Czy Rok Rosji ogłoszono w Polsce przed aneksją Krymu przez to państwo czy po niej? Jak wyjaśnić niezwykle sukces PSL (23,7 proc. głosów) w wyborach samorządowych 2014 r.?

Fatalna jest ta pamięć historyków. Jak mówił kiedyś ulubiony klasyk opozycji, Lech Wałęsa: „Zbij pan termometr, a nie będziesz pan miał gorączki”. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Każdek nienawiści w każdym domu





Wojciech Cejrowski
korespondencja
z USA

NIKT

Każdy chce być kimś, nikt nie chce być nikim. Owszem, są wyjątki, ale to wyjątki – ktoś idzie do pustelni na resztę życia. Był bogaty, sławny i z dobrego domu, a potem decyduje się wycofać – jak brat Albert czy św. Antoni Pustelnik. Ale nawet oni nadal chcieli być KIMŚ, a nie nikim. Nikim może dla świata, ale jednak kimś – świętym w niebie. Zatem ogólnie jest prawdą, że każdy chce być kimś, nikt nie chce być nikim, a już na pewno nikt z nas nie chce być śmieciem ani pionikiem.

Mimo to całe społeczeństwa głosują za socjalizmem, socjałem, państwem opiekuńczym – za takim czy innym systemem wybudowanym w oparciu o marksizm. W tych systemach stajesz się nikim. Z definicji. Te systemy traktują ludzi statystycznie, a nie osobowo. Liczą się masa, grupa, warstwa społeczna, a nie jednostka. Przestajesz się liczyć jako osoba, pomimo pięknych haseł i lukrowanych słów o tym, że „musimy się pochylić nad losem najbardziej potrzebujących, wyказаć solidaryzm społeczny, zaopiekować wszystkimi”.

System, który opiekuje się „wszystkimi, bez wyjątku i wykluczania kogokolwiek”, jest w stanie poświęcić jednostkę (czyli np. ciebie) dla dobra ogółu. Zniszczyć jednostkę „dla dobra społecznego”, bo „dobre społeczne” jest ważniejsze od osoby, od jednostki.

Na ciebie nie trafi? A skąd wiesz? A poza tym, co to za argument, że na ciebie nie trafi w sytuacji, gdy za cenę twojego komfortu ktoś inny zostanie systemowo

i urzędowo zniszczony? Nie przeszkadza ci to? Jeżeli ci nie przeszkadza, to masz coś nie tak z moralnością. Podam przykład i... mogło trafić na ciebie.

W Wielkiej Brytanii zamordowano Polaka. Zrobiono to URZĘDOWO I ZGODNIE Z PRAWEM. Takie tam mają prawo – powszechna opieka zdrowotna, podobna do tego, co mamy w Polsce. Powszechna, państwowa i zagwarantowane prawo do „bezpłatnej ochrony zdrowia”.

W Polsce wszyscy są ZA. Są wyjątki, ale to świry takie jak ja – kapitałści bez serca. Przecież wiadomo, że służba zdrowia MUSI być bezpłatna i powszechna (czyli siłą rzeczy zarządzana przez państwo), a obywatel (niezależnie od tego, czy ma pieniądze na leczenie, czy nie ma) MUSI MIEĆ – krzyczą tłumy głoszące za tym marksistowskim rozwiązaniem – MUSI MIEĆ bezpłatny dostęp do opieki zdrowotnej.

Co się stało z tym pojedynczym przypadkiem Polaka w Wielkiej Brytanii? Jego pojedynczy przypadek musiał ustąpić wobec statystycznej większości, wobec statystycznej konieczności, wobec ubezpieczonych zdrowotnie mas.

Gdy służba zdrowia jest powszechna, bezpłatna (to akurat oszustwo w nazwie, bo przecież „bezpłatna” też coś kosztuje), a do tego konstytucyjnie zagwarantowana, wówczas koszt leczenia jednostki nie może być przesadny. Muszą być jakieś granice, gdy

państwo PRZESTAJE LECZYĆ I RATOWAĆ pojedynczego pacjenta ze względu na „dobre ogółu”. I co, jeżeli trafiło akurat na ciebie? Zapłaciłeś za tę usługę w podatkach, ale jesteś jednostką, a system jest socjalistyczny, więc liczą się masy. I wtedy pochylają się nad twoim przypadkiem i mówią tak: No, nie możemy leczyć tego zdychającego gościa w nieskończoność, bo za tę samą cenę możemy wyleczyć tysiąc innych osób, mniej chorych (on i tak, naszym zdaniem, zdechnie, więc... szkoda forsy).

W socjalizmach liczy się masa ludzi, a nie jednostka.

Nasz rodak w Wielkiej Brytanii został urzędowo zamordowany, bo jego dalsze leczenie się nie opłacało i byłoby „społecznie szkodliwe”. W tej sprawie zdecydował brytyjski sąd, a rząd Rzeczypospolitej położył uszy po sobie. Coś tam próbowali zrobić, robili „wszystko, co mogli”. Wysłali paszport dyplomatyczny, by zabrać Polaka na dalsze leczenie do Polski, ale ostatecznie ulegli. Tak samo zaopiekują się TOBĄ, gdy ty będziesz zdychał za granicą.

Nasz śp. Rodak w listopadzie 2020 r. doznał zawału serca i kilka dni po przyjęciu do szpitala PERSONEL doszedł do wniosku, że W JEGO NAJLEPSZYM INTERESIE leży wycofanie się z leczenia podtrzymującego życie. Matka i rodzeństwo chcieli ratować. Znaleźli instytucje chętne przyjąć pacjenta, znaleźli pieniądze na leczenie, ale... w angielskim prawie decyzja o tym, czy pacjent może żyć, czy nie, leży w ręku sędziego.

I sędzia zdecydował zgodnie z interesem społecznym, a nie indywidualnym. Bo to przecież powszechna i społeczna opieka zdrowotna, a nie jakieś kapitalistyczne prywaciarstwo, gdzie liczy się interes jednostki. Polaka urzędowo i zgodnie z prawem zamordowano, bo za dużo kosztował. Koszt społeczny wygrał z interesem jednostki. Marksizm w działaniu.

Nadal chcesz, aby służba zdrowia była powszechna, „bezpłatna” i zarządzana przez państwo?

Nooo, może i nie chcę w tym kontekście. Ale co pan proponuje zamiast?

Proponuję to, co mam w Ameryce... W Polsce mam to samo co wszyscy – płace składki zdrowotne, a oni w zamian dają to, co dają, i dość często ODMAWIAJĄ wykonania usługi, za którą musiałem zapłacić tyle, ile chcieli. Albo każą czekać dwa lata na pilną operację oka.

W USA mam ubezpieczenia takie same jak na samochody i na dom od pożaru. Sam wybieram ubezpieczyciela, sam negocjuję zakres ubezpieczenia i sam opłacam składki. Potem sam wybieram szpital, który mi się podoba, oraz termin wykonania usługi. Czy to możliwe w Polsce? A czemu nie? Ubezpieczenie na samochody działa. Jest obowiązkowe, czyli przymusowe, i tu kończy się opiekuńcza rola państwa, ale poza tym reszta prywatnie i według indywidualnych potrzeb JEDNOSTKI. W USA jestem osobą, w marksistowskim systemie powszechnej ochrony zdrowia w PL jestem częścią statystyki – NIKIM. ©©



WYŁĄCZ TV! CZYTAJ DOBRE KSIĄŻKI



WWW.DEREGGIO.ORG

stop.
cafe

BUDZI APETYT NA ŻYCIE


ORLEN

NOWOŚĆ



Twoje śniadanie na ciepło!

Dostępne na wybranych stacjach ORLEN, o ofertę zapytaj sprzedawcę.

eprasa.pl 8056c630a1